



Mentalista Hitlera

Gervasio Posadas

„REWELACYJNA POWIEŚĆ, KTÓRA UJAWNIA NIEZNANY
ASPEKT HISTORII NAZISTOWSKICH NIEMIEC”.

JUAN ESLAVA GALÁN



REBIS

Gervasio Posadas

Mentalista Hitlera

**NIEZWYKŁA HISTORIA
ERIKA JANA HANUSSENA**

Przełożyła
Agata Ostrowska



DOM WYDAWNICZY REBIS

Dla Manzany,

która nigdy mnie nie nabiera

Podziękowania

Pomysł na tę książkę zrodził się z moich rozmów z Fernandem Navarrem, autorem *Diccionario biográfico de nazismo y III Reich* („Słownika biograficznego nazizmu i Trzeciej Rzeszy”). To jeden z najważniejszych w Hiszpanii ekspertów w tej dziedzinie i niewyczerpane źródło dokumentacji, a ponadto jedna z niewielu osób, z którymi mogłem się dzielić moją obsesją na punkcie Hanussena w trakcie pisania tej książki. Proces twórczy odbił się oczywiście najbardziej na Manzanie Camuñas, która pomogła mi zwalczyć niezdecydowanie i zmobilizowała mnie do rozpoczęcia pracy nad powieścią. Nad pierwszymi wersjami rękopisu przemęczyć się musieli moja siostra Carmen, Victoria Chapa i Javier Gutiérrez – przyjaciele i wierni czytelnicy od samego początku. Nikolas Piper, również stary przyjaciel, pomógł mi z niemiecką dokumentacją. Chciałbym także podziękować Juanowi Gispertowi za przekłady oraz filozoficzne sentencje.

Przedmowa

Już jako mały, dość przemądrzały chłopiec marzyłem o wehikule czasu. Nie pragnąłem jednak podróży do postapokaliptycznej przyszłości – jak bohaterowie H.G. Wellsa i wielu innych – ani wizyty w starożytnym Egipcie czy biblijnej Jerozolimie, typowych celach takich wypraw. Moja wymarzona trasa była dużo krótsza, zależało mi na sprawdzeniu konkretnej rzeczy: jak to się stało, że Niemcy, naród tak kulturalny i cywilizowany, ojczyzna wielkich artystów, filozofów i naukowców, uległ wpływowi jednego wizjonera, zdolnego pchnąć go na drogę nieludzkich okrucieństw, równie pochyłą prowadzącą do apokalipsy, w wyniku której ziemie Europy zaścieliły się milionami trupów. Zgadzam się, że to zainteresowanie typowe raczej dla dziadka niż młodego chłopaka, ale muszę wyznać, że nazizm od zawsze budził we mnie jakąś mroczną fascynację. Czytałem niemal wszystko, co wpadło mi w ręce – dobre, złe czy przeciętne – próbując znaleźć, jak wielu przede mną, odpowiedź na to pytanie. Spotkałem się jednak z bardzo nielicznymi powieściami poświęconymi genezie tej katastrofy, temu, jak Hitler – przy użyciu praktycznie wyłącznie demokratycznych metod – zdołał dojść do władzy i stać się wodzem absolutnym, utożsamiającym cały kraj z własną osobą. Wbrew temu, co powszechnie się sądzi, nie była to wcale kulminacja pewnego nieuniknionego procesu, lecz serii przypadków, zaniedbań i wpadek, do których doszło od marca 1932 do marca 1933 roku, i na tym okresie właśnie postanowiłem się skupić, przedstawiając własną wizję tamtej epoki.

Miałem już więc wybrany przedział czasowy, ale nadal nie mogłem się zdecydować na pisanie. I nagle pojawiła się postać, której tak szukałem – jak za sprawą magii, podczas błahej pogawędki ze znajomym. Naród prześladowany widmem wielkiej wojny oraz potężnym kryzysem gospodarczym, w wyniku którego sześć milionów Niemców straciło pracę, nieuchronnie wynosi na piedestał jednostki skrajne, takie jak Adolf Hitler. Albo jak Erik Jan Hanussen. Historia życia tego jasnowidza, niemal nieznanego w Hiszpanii i zapomnianego w Niemczech, a urodzonego w tym samym roku co nazistowski wódz, jest tak niewiarygodna, że nie mogłem się oprzeć i zignorować wezwania. Przez wiele miesięcy żyłem razem z nim, czasem zdawałem się wręcz odczuwać jego kpiącą obecność za moimi plecami podczas samotnych nocy spędzonych za biurkiem. Łatwo byłoby uciec się do stereotypu i wrzucić Hanussena do jednego worka, jak często się zdarzało, z niezliczonymi wydumanymi teoriami dotyczącymi okultystycznych spisków, które rzekomo zawiązywano w Trzeciej Rzeszy. Jednak mój bohater, despotyczny jak każda porządna postać fikcyjna, prosił mnie o utrzymanie dyscypliny historycznej i przywrócenie mu roli, którą rzeczywiście odgrywał w tej tragikomedii.

Tak jak zwykle w wypadku jednostek spowitych mgiełką tajemnicy istnieje wiele wersji najważniejszych wydarzeń z życia Hanussena. Wybrałem te, które moim zdaniem najlepiej pasują do jego stylu bycia oraz kontekstu historycznego, nie naginając przy tym rzeczywistości. Zgodnie z tą zasadą wszystkie postaci występujące w powieści – z wyjątkiem narratora i jednej czy dwóch postaci trzecioplanowych – naprawdę istniały i mieszkały w tamtych czasach w stolicy Niemiec: od właściciela pensjonatu przez kobiety z otoczenia Hanussena po ostatniego nazistowskiego zbira włącznie. Zachowanie i wypowiedzi głównego bohatera tej powieści nie są przypadkowe, stanowią owoc

zmudnej pracy badawczej.

Próbowałem również zachować wierność drugiemu, równorzędnemu bohaterowi tej książki, czyli Berlinowi – Babilonowi ostatnich lat Republiki Weimarskiej, miejscu, gdzie wszyscy ciągnęli, by spełniać najskrytsze marzenia, ale gdzie kwitły też nauka i sztuka, dzięki największym geniuszom dwudziestego wieku – ożywić jego ulice, teatry, kawiarnie, zuchwałą atmosferę bohemy, która zniknęła wraz z dojściem nazistów do władzy.

Kiedy krytykowano go za nieściskości historyczne w *Trzech muszkieterach*, Aleksander Dumas zwykł mawiać: „Owszem, zgwałciłem historię, ale zrobiłem jej piękne dzieci”. Na szczęście dzieje Erika Jana Hanussena są tak niepospolite, że nie musiałem uciekać się do nawet odrobiny przemocy, żeby napisać tę powieść i wreszcie odbyć podróż w czasie do fascynującej, a zarazem straszliwej epoki, w której tkwią przyczyny wielu naszych obecnych problemów.

Gervasio Posadas

„Jasnowidz, stojąc twarzą w twarz z publicznością, wpada w trans. To jego wielka chwila. Wierzy w to, co mówi, bo unosząc się na skrzydłach mistycznej siły, nie może wątpić w autentyczność swojej misji”.

Otto Strasser, lider jednej z frakcji NSDAP

CZĘŚĆ PIERWSZA

Sam na środku sceny, oświetlony pojedynczym reflektorem, mężczyzna w milczeniu obserwuje zgromadzony tłum. Wyniosły, z rękami skrzyżowanymi na piersi, o wyglądzie zupełnie sprzecznym z oczekiwaniami. Nie jest wysoki ani szczupły, aparycję ma pospolitą, mimo eleganckiego stroju, ale blask jego dłoni i oczu przyciąga spojrzenia. Jasne, delikatne, nieproporcjonalnie długie palce niecierpliwie czekają na wezwanie do działania. Lśniące punkciki źrenic wwiercają się w balkony na trzecim piętrze. Szepty powoli zamierają. Mężczyzna zaczyna przemawiać cichym, gardłowym głosem. Niektórzy widzowie z trudem mogą go dosłyszeć, ale udaje mu się stworzyć poufną, niemal intymną atmosferę.

„Właśnie rodzi się nowa epoka. Wszystkie ludzkie ambicje i marzenia, przepowiednie i prorocтва stają się powoli rzeczywistością – za sprawą naszej siły, woli, działania. Niespotykany ruch elektryzuje społeczeństwo i przygotowuje je na przyszłość. Jest coś cudownego i magicznego w tych zmianach, następujących mimo trudności, z którymi się borykamy, mimo problemów gospodarczych i politycznych”.

Przemowa zaczyna wybrzmiewać coraz głośniejsze, przybiera na sile i natężeniu. Rozglądam się dookoła: widzowie nie odrywają wzroku od sceny, z wyczekiwaniem w oczach i lekko rozchyłonymi ustami. Na nagły plask pięści mężczyzny, uderzającej w drugą dłoń, lekko podskakują.

„Tak! Żyjemy w czasach wielkich zmian, śmierci starego porządku, odrodzenia, w gorączkowym okresie, kiedy nauka każdego dnia zaskakuje nas nowym wynalazkiem odmieniającym nasze życie: możemy podnieść słuchawkę i zadzwonić do Nowego Jorku, wysłuchać przez radio wiadomości o tym, co dokładnie w tej samej chwili dzieje się w Chinach, wsiąść do samolotu i po zaledwie kilku godzinach wylądować w Paryżu, Londynie czy Rzymie. Istnieją maszyny, które piorą nam ubrania, wciągają kurz w naszych mieszkaniach, chłodzą i podgrzewają nasze posiłki w ciągu kilku minut. Niektórzy mówią, że już wkrótce będą mogły opiekować się naszymi dziećmi”.

Słowa nie są ważne, publikę porywa siła głosu, chrapliwego i władczego zarazem. Uwaga nadal skupia się na oczach i tańczących dłoniach. Bankierzy, aktorki, politycy, handlarze, zwykli urzędnicy – wszyscy śledzą je wzrokiem, kiedy opadają, wzbijają się do góry, uderzają, wskazują. Nawet sam Meissner, sekretarz stanu prezydenta Hindenburga, siedzący o kilka foteli ode mnie, nie odrywa ukrytych za okularami oczu krótkowzrocznego psa gończego od mężczyzny w średnim wieku, mówiącego z silnym akcentem i przesadną gestykulacją, nawet jak na Austriaka.

„Czasem jednak zapominamy, że najdoskonalszą maszynę, jaką kiedykolwiek stworzono, mamy zawsze ze sobą, nosimy ją na ramionach” – mówi, łapiąc się obiema rękami za głowę porośniętą gęstymi, ciemnymi włosami. „Nasz mózg to nie tylko okno na świat, połączenie ze światem zmysłów i idei. Jest też zdolny do wielu rzeczy, których nie jesteśmy nawet sobie w stanie wyobrazić. Wiedzieli o tym starożytni Egipcjanie, kapłani hinduizmu, inkascy szamani: dobrze wyćwiczony mózg może stłumić ból, zwiększyć naszą siłę fizyczną, jeśli zajdzie konieczność, czy wyeliminować potrzebę

przyjmowania pokarmów. Potrafi jednak więcej, znacznie więcej!” Ciemne, przenikliwe spojrzenie omiata rzędy foteli na parterze, dłonie wznoszą się ku niebu. „Możliwe jest wszystko, co sobie postanowimy, od przesuwania masywnych mebli bez dotykania ich po podróże w czasie i przestrzeni. A także bliższe poznanie życia wewnętrznego przedmiotów, co teraz właśnie zrobimy”. Na chwilę mężczyzna teatralnie zawiesza głos: sam, na środku sceny, jego czarna sylwetka odcina się wyraźnie od czerwonej kurtyny. Potem dramatycznym gestem wyciąga ramię – palce zdają się jeszcze dłuższe. „Wszystkie przedmioty mają życie, nawet kamienie. Zachowują wspomnienia, przeżycia, obrazy tak samo jak my. Niektóre od początku istnienia świata, inne od chwili, w której wyszły z rąk rzemieślników, swoich twórców. Teraz się przekonamy, jak rozwinięty umysł może poznać to życie, czytać z przedmiotów jak z otwartej księgi”. Palce przewracają wyimaginowaną stronicę. „Do tego eksperymentu będę potrzebował udziału ochotnika. Gdybym wybrał go sam, mogliby państwo podejrzewać – i nie bez powodu – że was oszukuję, że mam na widowni jakiegoś współnika. Dlatego spróbuję znaleźć kogoś, kto pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami”. Świdrujący wzrok skupia się teraz na siedzących w pierwszych rzędach, którzy onieśmieleni odchylają się maksymalnie na oparcia foteli. Sekretarz stanu wyraźnie się poci, może żałuje, że wybrał się tego wieczoru do teatru. Oczy prześlizgują się jednak po nim i spoczywają na pulchnej kobiecie około pięćdziesiątki z czarną etolą na ramionach. Pada na nią światło reflektora.

– Frau Mildorf, żona komendanta policji z Kreuzbergu, zgadza się? – Kobieta wzdryga się, jakby nagle się obudziła, i patrzy zdezorientowana na grubego faceta na sąsiednim miejscu, najwyraźniej męża. W końcu kiwa potakująco głową. – Poproszę panią, żeby pożyczyła jakiś przedmiot od któregoś z panów, którego nie zna pani nawet z widzenia, cokolwiek. – Frau Mildorf rozgląda się wokół i z tępym uśmiechem wskazuje faceta siedzącego przy przejściu: teraz to jego oświetla biała lampa. Wstaje – jest szczupłym, lekko siwiejącym blondynem z włosami zaczesanymi do tyłu. Nosi się elegancko, ma na sobie tweedową marynarkę.

– Jak się pan nazywa?

– A to nie jest pan jasnowidzem? – odparowuje widz z wyraźnym pruskim akcentem.

Publiczność wybucha pełnym ulgi śmiechem, wdzięczna za akcent humorystyczny, który rozładował napiętą już atmosferę. Mężczyzna stojący na scenie również się śmieje, pozornie naturalnie.

– Dobra odpowiedź. Prezentacje zostawmy na później – odpowiada, nie przestając szczerzyć długich, lekko pożółkłych zębów. – Byłby pan tak miły i dał mi jakiś swój przedmiot osobisty? Jeśli to możliwe taki, który ma pan już od dawna. – Ochotnik mimo woli podchodzi do sceny i wręcza coś magikowi. Ten pokazuje przedmiot publiczności. – Jak państwo widzą, mamy do czynienia z najzwyklejszą na świecie papierośnicą, bez żadnego napisu, symbolu czy herbu. Zobaczmy, co nam opowie ten nieruchomy, nieożywiony przedmiot. – Delikatnym gestem przykładą ją do głowy, a potem do serca. Szeroko otwartymi oczami wpatruje się gdzieś ponad sufit teatru, jakby znajdował się tam ekran z obrazami, których szuka. – Ta papierośnica nie jest pańska, prawda? – pyta po upływie kilku długich sekund. Twarz właściciela rozciąga się w ironicznym uśmiechu

w świetle reflektora.

– Oczywiście, że jest moja.

– Wcześniej należała jednak do kogoś bliskiego, członka rodziny. Do ojca... nie, do brata. – Uśmiech znika z twarzy, która tężeje, podczas gdy widz potakująco kiwa głową. – Należy już jednak do pana od wielu lat.

– Owszem.

– Przynajmniej od piętnastu lat, może szesnastu – mówi mężczyzna, ponownie przybliżając papierośnicę do głowy.

– Od siedemnastu.

– Powiedziałbym, że... od wojny. – Widz milczy, ale przez jego oczy przemyka błysk. – A dokładnie od dnia, w którym przysłano panu przedmioty osobiste należące do brata.

– Tak. – Głos jest niemal niesłyszalny.

– Zginął pod Ypres. Zgadza się?

Właściciel papierośnicy nie może już dłużej wytrzymać i ukrywa twarz w dłoniach, zza których dobiega szloch. Publiczność zrywa się z miejsc i zaczyna z całej siły bić brawo, zadziwiona, podekscytowana. Na scenie Erik Jan Hanussen lekkim skłonieniem głowy i półuśmiechem pozdrawia entuzjastycznie reagującą widownię. Wydaje się przekonany, że następnego dnia gazety będą się rozpisywać o kolejnym niepodważalnym sukcesie bohatera chwili.

Ja również biłem brawo, choć nieco mniej żarliwie niż reszta publiczności. Wszyscy ci magicy, mentaliści, jasnowidze czy jak tam ich zwał, nie robili na mnie większego wrażenia ani szczególnie mnie nie interesowali. Moją uwagę przyciągały raczej piegowate, silne i krągłe ramiona Brunhilde, zwanej Nildi, siedzącej u mego boku blondynki, z zapalem oklaskującej Hanussena, który wciąż pozdrawiał nas ze sceny. Przynajmniej w tym tygodniu to na nią padło. W zeszłym to była Else, a w przyszłym – kto wie? W Berlinie nie brakowało *schöne Frauen*, dziewczyn uroczych, nieskrępowanych, swobodnych, radosnych, pewnych siebie, wysportowanych, o śnieżnobiałych zębach, twarzach niemal bez śladu makijażu, zawsze świetnie ubranych. O zmierzchu można było je zobaczyć, jak spacerują parami wzdłuż szerokich chodników Kurfürstendamm albo samotnie jedzą lody w ogródku Romanisches Café. Publicznie paliły papierosy, nie przejmując się ludźmi, bez opieki matki, ciotki czy teściowej, jak musiałyby to wyglądać w Hiszpanii, gdzie co prawda rok wcześniej proklamowano republikę, ale żeby wyjść gdzieś z dziewczyną, nadal trzeba było złożyć oficjalne podanie do przynajmniej dwóch czy trzech ministerstw. W Berlinie 1932 roku wystarczyło mieć gadane, a w kieszeni parę marek (przez rodowitych berlińczyków nazywanych „jajkami”), żeby zaprosić dziewczynę na kilka kolejek i zapewnić sobie noc w ciepłku. Niektórzy wyrażali nostalgię za czasami cesarstwa i narzekali na emancypację, na rozluźnienie obyczajów, które – jak praktycznie wszystkie inne klęski – spadło na ten kraj po porażce w wielkiej wojnie – ale ja osobiście nie potrafiłem wyobrazić sobie lepszego miejsca do życia dla dwudziestopięcioletka.

Kiedy wyszliśmy ze Scali, natychmiast wciągnął nas tłum widzów, przechodniów udających się na inne spektakle i sprzedawców ostatnich egzemplarzy gazet wieczornych.

Mimo ciągłego poszturchiwania dobrze się czułem w tłumie, wśród wszystkich tych ludzi składających się na gorącą krew tętniącą w żyłach wielkiego miasta. Podmuch lodowatego wiatru sypnął nam w twarz śniegiem. Zaczynał się marzec, do początku wiosny brakowało zaledwie kilku tygodni, ale berlińska zima nie odpuszczała. Nildi jednak nawet nie zakryła dekoltu. Była wciąż zbyt podekscytowana obejrzanym przed chwilą spektaklem.

– Cudowne! Prawda? Mówiłam ci, że Hanussen jest zupełnie inny niż wszyscy ci jasnowidze. Żadnych sztuczek ani podstępów. Nie ulega wątpliwości, że posiada autentyczne moce! – zawołała z policzkami czerwonymi od emocji. Uśmiechnąłem się z pobłażaniem. Nie była może najładniejszą dziewczyną, z jaką się w ostatnich czasach spotykałem, ale miała uroczy nosek i nogi jak marzenie. – Widziałeś, jak zahipnotyzował tego starego, co wyglądał, jakby miał rezydencję w Grunewaldzie?

Ostatni element pokazu Hanussena polegał na hipnotyzowaniu niektórych widzów. Padło między innymi na szacownego brzuchacza wystrojonego w porządną ciemną garnitur. Jasnowidz posadził go na krześle na scenie, stanął za nim i masując mu skronie, podśpiewywał pod nosem piosenki dla dzieci. Nagle powiedział wysokim, piskliwym głosem: „Masz pięć lat”. Mężczyzna skurczył się na krześle, przyciskając brodę do piersi. „Dziś Boże Narodzenie – ciągnął Hanussen – właśnie dostałeś nową piłkę. No dalej, pograj sobie!” Nie bacząc na wiek ani kilogramy, grubas w garniturze bankiera wstał, z błyskiem radości w oku, i zaczął uganiać się za wyimaginowaną zabawką po całej scenie, kopiąc w powietrze i śmiejąc się do rozpuku, a cały teatr śmiał się razem z nim. „Uważaj, przewrócisz choinkę!” – ostrzegł magik. Stary wpadł na nieistniejące drzewko, potknął się, upadł na podłogę i zaczął płakać, zawodząc ile sił w płucach. Hanussen pomógł mu wstać i dał cukierka, ku uciesze publiczności. To nieco uspokoiło małego bankiera, który ciamkał z zadowoleniem. „Tata będzie zły”. Twarz zahipnotyzowanego się nachmurzyła. „Zamknij cię za karę w tym pokoju pod schodami. Jest tam ciemno i śmierdzi wilgocią”. Na jego obliczu zaczął malować się strach. „Chce ci się do łazienki, ale nie możesz stamtąd wyjść. Nie śmiesz też zapukać w drzwi, ojciec jeszcze bardziej by się zdenerwował. Oooj, tak bardzo ci się chce...” Znękana mina dorosłego mężczyzny przebierającego nogami doprowadziła widownię do kolejnego ataku śmiechu. „Nie możesz się załatwić na podłogę, mama by cię skrzyczała. Widzisz ten wazon w kącie? Może on by się nadał...” Patrząc nieco podejrzliwie, elegancki dżentelmen podniósł z podłogi niewidzialne naczynie, a drugą ręką zaczął rozpinać rozporek. Cały parter tarzał się po ziemi ze śmiechu. W tej chwili Hanussen taktownie przerwał pokaz, wybudził ofiarę z transu i pozwolił wrócić na miejsce, choć teraz z twarzą czerwoną jak burak.

– Może wcale go nie zahipnotyzował, widywałem takie rzeczy na jarmarkach, to pewnie był jego wspólnik – odparłem, nie przestając się uśmiechać.

– Nie gadaj głupstw, Pepe, na własne oczy widziałeś, jak ten szacowny pan zrobił z siebie głupka na oczach połowy Berlina.

– A może ten Hanussen jest taki genialny, że wszystkich nas zahipnotyzował, żebyśmy uwierzyli, że widzimy starucha zachowującego się jak dziecko.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem, a ja objąłem ją w pasie. Słodkie miała te dołeczki w policzkach.

– Ech, *Liebster*, kochanie, ale ty masz pomysły! Jesteś chyba najbardziej racjonalnym Hiszpanem na świecie. Nie wierzysz w nieznanne, w siły tajemne, w potęgę umysłu, w mistycyzm?

Przytuliłem ją mocniej i pocałowałem w szyję.

– Jak miałbym nie wierzyć w to wszystko? W moich żyłach płynie cygańska krew, prosto z Sacromonte w Grenadzie! – odparłem, malując rękami fantazyjny kształt w powietrzu.

– Z tymi niebieskimi oczami? – Palcem dotknęła czubka mojego nosa. – Ale z ciebie kłamczuch! Chodź, pójdziemy coś zjeść, umieram z głodu.

Już mieliśmy wyrwać się z gawiedzi, wciąż jeszcze z ożywieniem komentującej spektakl, ale Nildi dojrzała nagle w tłumie znajomą twarz i pociągnęła mnie w stronę kobiety, która opatulala się właśnie po nos futrzanym płaszczem.

– Pani baronowo, co za niespodzianka spotkać panią tutaj! – wypaliła Nildi nieco onieśmielona, zakrywając dekolt.

– Kochana, jak miło cię widzieć! – Kobieta otaksowała mnie spojrzeniem od stóp do głów, a potem zbliżyła się i pocałowała w policzek Nildi, która się tego nie spodziewała. – Podobało ci się przedstawienie?

– Oczywiście, było fantastyczne! To niesamowite, jak wiele można zdziałać siłą umysłu, nigdy nie widziałam niczego podobnego. Cóż za interesujący, niezwykle człowiek! – Moja znajoma ewidentnie miała ochotę nadal zachwycać się pokazem, ale jednocześnie bała się zanudzić rozmówczynię. – Ach, przepraszam, proszę pozwolić, że przedstawię: to Pepe, znajomy z Hiszpanii. Jest dziennikarzem – powiedziała Nildi z błyskiem dumy w oku. – Pepe, to pani baronowa.

Ryzykując, że moja towarzyszka się obrazi, ująłem dłoń nowej znajomej i ucałowałem z przesadną galanterią.

– Widzę, pani baronowo, że nie wszystkie arystokratki są stare i grube. Błękitna krew bardzo dobrze pani służy.

– A ja widzę, że dobrze mówi pan w naszym języku. – Patrzyła na mnie jak na małpę w zoo, ale w swojej próżności wołałem wyobrazić sobie, że z zaciekawieniem mieszał się pociąg.

– Babcia Pepe była Niemką. Prawda, że jest boski? – powiedziała Nildi, przyciągając mnie do siebie.

– Oczywiście, nie mógłby być bardziej boski. – Oczy baronowej nie były ani zielone, ani niebieskie, miały barwę akwamaryny. Choć wydawały się wesołe, gdzieś w głębi czaił się smutek. Zastanowiła się chwilę, po czym podjęła: – Jakie macie plany? Idziemy ze znajomymi do Kakadu, spotkać się z Hanussenem.

– Z Hanussenem! Naprawdę? – zareagowała Nildi z entuzjazmem. – Zna go pani?

– Trochę. Myślę, że mogłabym was sobie przedstawić – odparła baronowa z nutką żalu w głosie, zatrzymując taksówkę. – No nic, jeśli macie ochotę, będziemy tam około dwunastej. – Wsiadła do pojazdu i patrzyliśmy, jak znika w gęstym wieczornym ruchu ulicznym.

– Nie chcesz chyba tam iść, prawda? Liczyłem raczej na spokojny wieczór w domu. Rano muszę popracować – powiedziałem, obściskując Nildi. Miałem już dość magii na

jeden wieczór. W tej chwili marzyłem tylko o tym, żeby zobaczyć ją nago.

– To niepowtarzalna okazja, żeby poznać Hanussena, nie możemy jej przegapić! Na pewno będzie szampan, kawior, luksusy, eleganccy ludzie. – Widząc rozmarzony wyraz na twarzy dziewczyny, zrozumiałem, że niełatwo będzie wybić jej ten pomysł z głowy. Nie codziennie otwierają się przed fryzjerką drzwi do wielkiego świata. – Zresztą Hiszpan nie może być chyba taki nudny. Fiesta! Berlin nie jest dla tych, co kładą się spać z kurami. No chodź, idziemy coś zjeść.

Rzeczywiście, jak już wspominałem, w 1932 roku Berlin zdecydowanie nie był miejscem dla nudziarzy: miasto wysokich intelektów i niskich instynktów, z trzema operami i słynną filharmonią, z dwudziestoma tysiącami barów, restauracji i kabaretów, od najbardziej ekskluzywnych po najbardziej szemrane, miasto tonące w muzyce, oferujące najlepszy jazz na kontynencie, tygiel najróżniejszych języków, lśniących witryn, reklam, neonów barwiących noc na zielono, czerwono i żółto, przyciągający turystów z całego świata spragnionych seksu do oglądania, do skonsumowania, do jednorazowego użycia i wyrzucenia. Miasto pełne lokali dla heteryków, gejów, lesbijek, par, fetyszystów, masochistów, voyeurów i gości hołdujących wszelkim innym upodobaniom, których istnienia wcześniej nawet sobie nie wyobrażali. Miasto historyczne, olśniewające, plugawe, zawsze żywe, o którym berlińczycy zwykli mawiać, z charakterystycznym sarkazmem, że nie śpią tutaj nawet zwierzęta w zoo.

Każdy wieczór przynosił jakąś przygodę, nowe, osobliwe przedstawienie, które koniecznie trzeba było przeżyć. Mimo moich protestów Nildi uparła się iść na kolację do Hackepetera. Nie interesowała jej jednak wcale tradycyjna potrawa, z siekanej wieprzowiny i cebuli, od której restauracja wzięła swoją nazwę.

– Ciekawe, co tam u Jolly'ego? Strasznie chcę się z nim spotkać! – powiedziała z szelmowskim uśmieszkiem, kiedy zdjęliśmy płaszcze i oddaliśmy je dziewczynie w kraciatym fartuszk, typowym dla nadreńskich piwiarni.

Jolly nie był żadnym playboyem, sławnym aktorem ani wyjątkowo przystojnym kelnerem. Był to jeden z tak zwanych sztukmistrzów głodówki. Jego popis polegał na niebraniu do ust nawet kęsa przez długie dni, choć wokół unosiły się tace pełne golonek, świńskich nówek, kiełbasek, dzbanów piwa, wina mozelskiego i innych rarytasów. Ubrany wyłącznie w wyświechtane kalesony, zamknięty w szklanej budce ustawionej na środku sali jadalnej palił jednego papierosa za drugim, obojętny na spojrzenia klientów zawsze zatłoczonego lokalu, w obstawie dwóch typów o twarzach grabarzy, którzy pilnowali, żeby nikt nie wsunął mu nawet plasterka szynki. Nildi przywitała się z nim, gestykulując przesadnie, jakby próbowała zwrócić na siebie uwagę dziecka, ale Jolly nadal wpatrywał się przed siebie, w żaden sposób nie dając do zrozumienia, że ją zauważył. Znaleźliśmy stół, z którego dobrze było widać przedstawienie. W głębi kapela grała popularną muzykę, tworząc wesołą atmosferę, jak w każdym *Biergarten*.

– Nadal nie rozumiem, co w tym ciekawego, ten biedak nie robi niczego szczególnego. Co to za rozrywka patrzeć, jak tam siedzi? – spytałem i przypuściłem atak na antrykot z ziemniakami. Czy Jolly czuje zapach wysmażonego na złoto mięsa, słyszy dźwięki przeżuwania, siorbania piwa z wielkich kufli? Nieznaczny obłoczek dymu, wydobywający się z jego nosa między kolejnymi zaciągnięciami, stanowił jedyny dowód

na to, że mężczyzna żyje.

– Nic nie rozumiesz, on jest bohaterem romantycznym, Lohengrinem samotnie walczącym z przeciwnościami losu, zdany jedynie na własną siłę woli. Poza tym jest taki przystojny! Jedna z Rockefellerów chciała nawet za niego wyjść, ale on wołał poświęcić się życiu duchowemu.

Nie mieściło mi się w głowie, że ten facet w kalesonach, niedomyty i zapuszczony, mógłby kogokolwiek pociągać, zwłaszcza amerykańską milionerkę. Z zasady nie klóciłem się o głupstwa z moimi zdobyczami, ale teraz nie potrafiłem ukryć zdumienia powodzeniem, jakim w Berlinie cieszyły się wszystkie te dziwadła, ekscentrycy albo najzwyczajni oszuści, całe zastępy tarocistów, astrologów, hipnotyzerów, fakirów, joginów i chiromantów. Jako autentyczne gwiazdy mieli tysiące wielbicieli gotowych uciąć sobie rękę za ich autograf, a kobiety ze wszystkich klas społecznych same pchały im się do łóżek. Kościoły świeciły pustkami, ludzie nie wierzyli już w Boga, a zamiast tego wypełniali po brzegi najróżniejsze lokale, żeby tam adorować nowych idoli. Nildi zdawała się czytać mi w myślach.

– Życie jest szare, wszystko jest takie smutne, *Liebster*, że trzeba marzyć.

Faktycznie, ówczesne Niemcy miały i drugie, mroczne oblicze: sześć milionów bezrobotnych, niekończący się kryzys gospodarczy, polityków, którzy nie oferowali żadnych rozwiązań, a potrafili wyłącznie klócić się między sobą, głód, desperację, rodziny zmuszone do stręczenia własnych córek, żeby mieć co włożyć do garnka...

– Wolę myśleć, że istnieje jakaś inna rzeczywistość, w której wszyscy możemy być lepsi, bystrzejsi, silniejsi, tak jak mówił dzisiaj Hanussen.

Moja przyjaciółka postrzegала go jako ostateczny dowód na to, do czego będzie zdolny nowy rodzaj człowieka. Hanussen podawał się za syna duńskich arystokratów, spędził wiele lat na Bliskim Wschodzie, a w latach dwudziestych był po prostu jednym z wielu jasnowidzów zapełniających widownie w teatrach i kabaretach Europy Środkowej. Wszystko zmieniło się w roku 1928, kiedy w Czechosłowacji oskarżono go o oszustwo względem osób, którym świadczył usługi parapsychologiczne. Po trwającym dwa lata procesie biegli postanowili w końcu poddać zdolności Hanussena próbie – tego dnia sala sądowa pękała w szwach. Oskarżony odgadł, gdzie schowano rozmaite przedmioty w pomieszczeniu, opisał zawartość portfela prokuratora i tak szczegółowo zrelacjonował narodziny syna sędziego, że ten ostatni nie miał innego wyjścia, jak tylko go uniewinnić. Wyrok uzasadniono stwierdzeniem, że nie da się udowodnić oszustwa.

Przypomniałem sobie, że czytałem o tym jeszcze w Madrycie. Dziennikarze z całego świata poszli bowiem o krok dalej niż sędzia i wielkimi literami opublikowali własną interpretację wyroku: proces miał ich zdaniem stanowić pierwsze w historii legalne poświadczenie zdolności mentalisty. Na fali popularności Hanussen dotarł do Berlina, gdzie szybko stał się jedną z największych sław świata rozrywki, o statusie porównywalnym tylko z gwiazdami kina czy sportu. Był właścicielem dwóch gazet, nad jednym z lokalnych jezior trzymał olbrzymi jacht, w garażu – kolekcję luksusowych samochodów, a za godzinę prywatnych konsultacji inkasował podobno ponad dwieście „jajek”.

– Chyba źle wybrałem profesję! – zawołałem z mieszanką zdumienia i zazdrości,

kiedy usłyszałem o tej stawce. Jako korespondent prasowy zarabiałem sto siedemdziesiąt marek, a średnie miesięczne wynagrodzenie w Niemczech wynosiło poniżej setki.

– Jeśli rzeczywiście jesteś pół-Cyganem, jak twierdzisz, możesz sobie dorobić pokazami tańca flamenco – skwitowała Nildi. – Baronowa na pewno chętnie by zapłaciła, trudno nie zauważyć, jak się na ciebie gapiała.

Nie mogłem przestać myśleć o oczach nieznajomej, o jej szczupłych nadgarstkach, o emanującej z niej elegancji. Pozornie bez większego zainteresowania zapytałem moją towarzyszkę, kim jest ta kobieta.

– W zakładzie mówimy na nie wszystkie „baronowa”. Nie wiem, jak się nazywa. To prawdziwa dama, zwykle ją obsługuję i sam widziałeś, że traktuje mnie jak przyjaciółkę. A poza tym jej napiwki...

Meine Damen und Herren, einen Moment, bitte. Zespół przestał grać. Nie potrafiłem zlokalizować źródła cienkiego, wysokiego głosu. „Szanowni klienci, dziś mija czterdzieści dni, odkąd nasz artysta, spadkobierca pradawnych technik stosowanych przez fakirów z mistycznych Indii, po raz ostatni przyjął jakikolwiek pokarm. Dokładnie dziewięćset sześćdziesiąt godzin, czyli pięćdziesiąt siedem tysięcy sześćset minut bez ani kęsa”.

Wreszcie go zobaczyłem: człowieczek wysoki na niewiele ponad metr przechadzał się po sali wystrojony w smoking, z włosami przyczesanymi brylantyną i monoklem w oku. W jednej dłoni dzierżył megafon, w drugiej zaś – kieliszek szampana. „Wznieśmy wszyscy toast za naszego artystę, za Jolly’ego! *Prost!*”

Rozległ się brzęk stukających o siebie kufli, toast powtarzano przy wszystkich stolikach. Niezwykle powolnym ruchem, nie odrywając wzroku od pustki, Jolly pociągnął maleńki łyżeczek wody gazowanej ze stojącej obok szklanki. Nildi podeszła bliżej i, za milczącym przyzwoleniem strażników szklanej klatki wycisnęła pocałunek na szybie, która wkrótce miała pokryć się niemal w całości karminowymi śladami, kiedy inne dziewczyny pójda w jej ślady.

– Ależ jest przystojny! – powtórzyła z rozmarzeniem, siadając z powrotem przy stole. Potem wybuchnęła śmiechem, przytuliła mnie i delikatnie ugryzła w ucho.

Po kolacji i kilku koktajlach Nildi zdołała mnie zaciągnąć na ulicę Kurfürstendamm, zwaną Ku'damm – długi, elegancki bulwar stanowiący centrum życia handlowego i nocnego stolicy, z wielkimi domami towarowymi, sklepami oraz setkami restauracji, kawiarni, kabaretów i kin. Wysiedliśmy z taksówki pod wielkim neonowym szyldem baru Kakadu, prawdziwej instytucji nocnych marków, miejsca spotkań impresariów, artystów, dyplomatów, turystów i flapperek, mocno wymalowanych, skąpo odzianych i pozbawionych oporów. Popychając drzwi pomalowane granatową farbą, poczułem łaskotanie w żołądku. Praktycznie nie odwiedzałem tak stylowych lokali. Co więcej, z tego co słyszałem, ten akurat przybytek należał do ulubionych mojej idolki Marlene Dietrich. Wówczas mieszkała już w Hollywood, ale wiedziałem, że od czasu do czasu wraca do rodzinnego miasta powspominać stare czasy. Od kiedy przed kilkoma miesiącami przyjechałem do Berlina, marzyłem – podobnie jak większość Hiszpanów – że kiedyś ją spotkam, a ona poprosi mnie o ogień z wysoko uniesioną brwią, tak jak w filmach. Może tej nocy dopisze mi szczęście.

Zespół grał ogłuszającego fokstrota, przez unoszącą się w powietrzu chmurę dymu prawie nic nie było widać, sala pękała w szwach, a tłum walczył o każdy skrawek niebiesko-złotego baru, słynącego jako najdłuższy w Berlinie. Nildi nie należała jednak do osób zniechęcających się pierwszą lepszą przeszkodą, więc umiejętnie utorowała sobie drogę w głąb sali, gdzie stały podobno stoliki dostępne tylko wybranym. Wśród palm doniczkowych, chroniących przed ciekawskimi spojrzeniami postronnych – a przynajmniej sprawiających takie wrażenie – znaleźliśmy kryjówkę magika. Podeszliśmy nieco nieśmiało, jak ubodzy krewni pojawiający się na weselu, na które zaproszono ich wyłącznie z poczucia obowiązku, ale zaraz drogę zastąpiło nam dwóch osobników wyglądających na ochroniarzy. Nildi próbowała przyciągnąć uwagę baronowej, pogrążonej w rozmowie ze znajomymi, ale ta z początku ją ignorowała. Nieco dalej Hanussen – przebrał się z fraka, w którym występował na scenie, w nowiutki smoking – śmiał się do rozpuku, z dwiema blondynkami w objęciach, a reszta towarzystwa rozpijała kolejne butelki szampana z olbrzymiego srebrnego kubła pełnego lodu. Dopiero kiedy moja przyjaciółka zaczęła się wyklócać z ochroniarzami, baronowa wyraziła aprobatę przyzwalającym gestem i obstawa się rozstała. Minęła dłuższa chwila, zanim rozpoznałem oczy widziane przy wyjściu z teatru. Żadna z niej Marlene Dietrich, nawet jej nie przypominała. Nie była też klasyczną pięknoscią, lewy kącik jej ust zdawał się w uśmiechu opadać nieco w dół, a nos miała nieco za bardzo haczykowaty jak na mój gust. Kiedy jednak zobaczyłem ją z bliska, poczułem ucisk w dołku, jak na kolejce górskiej w wesołym miasteczku. Baronowa wskazała nam miejsca na samym końcu zarezerwowanego stołu, ale Hanussen zerwał się już na równe nogi i gapił na Nildi jak sroka w gnat.

– Nie przedstawiś nas, moja droga?

– To Nildi, moja... specjalistka od urody, z przyjacielem. Przedstawiam wam mistrza – powiedziała skrepowana baronowa.

Hanussen ujął dłoń mojej towarzyszkii i ucałował, nie przestając świdrować jej wzrokiem. Mnie nie zaszczycił nawet przelotnym spojrzeniem.

– *Enchanté, mademoiselle* – rzekł, po czym kazał jednej z blondynek się przesiąść i zaprosił moją przyjaciółkę na miejsce u swojego boku.

Stałem tak sam, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Rozejrzałem się wokół i usiadłem na samym końcu, tuż przy jakimś faceciku, który wyraźnie szukał czegoś na dnie kieliszka. Przez chwilę rozważałem ulotnienie się, Nildi wydawała się bardzo zaabsorbowana mentalistą, a ja nikogo tam nie znałem. Powstrzymała mnie jednak szansa przyjrzenia się baronowej, nawet z oddali. Jej szerokie czoło zdawało się oświetlone przez jakiś niewidzialny reflektor. Wąziutkie brwi, wyskubane i wymodelowane zgodnie z obowiązującą modą, podkreślały dziwny smutek w jej zielonkawych oczach. Szyję miała długą, niemal wygiętą, a dekolt złocistej sukni bez rękawów pozwalał wyobrazić sobie drobne, jędrne piersi. Założyła nogę na nogę w sposób, który w Hiszpanii zostałby uznany za bardzo nieelegancki, ale ona wyglądała zupełnie naturalnie i szykownie. Najchętniej przez całą noc siedziałbym tak i się w nią wpatrywał, ale postanowiłem nalać sobie trochę szampana, żeby nie wyjść na głupka. Niechcący szturchnąłem przy tym coś, co stało na stole między butelkami.

„Kelnerrr, rrachunek, rrrrachunek!” Aż podskoczyłem na ten wrzask. Dopiero po chwili zrozumiałem, że to papuga, która do tej pory siedziała sobie spokojnie w klatce.

– Pan zostawi, zaraz się zmęczy – powiedział typek siedzący obok, odrobinę podnosząc spojrzenie wyłupiastych oczu. – Sam pan wie, jakiego wszyscy mają w tym Berlinie bzika na punkcie oryginalności. Bar się nazywa Kakadu, więc oczywiście wymyślili, że na każdym stole postawią klatkę z ptaszyskiem. Skaranie boskie z nimi. Pan zobaczy, znowu zaczęły srać do kawioru. Trzeba uważać, bo spaskudzą człowiekowi kolację.

Przedstawiłem się, nie słuchając zbyt uważnie nazwiska rozmówcy. Stopy dyndały mu nad podłogą, nie mógł mieć więcej niż metr sześćdziesiąt, ale z powodu szerokich ramion wydawał się jeszcze niższy. Jego twarz wyglądała mi jakoś znajomo, ale każdego wieczoru w Berlinie poznawało się tylu ludzi...

– Przyjaźni się pan z panem Hanussenem? – zapytałem, żeby powiedzieć cokolwiek, nie odrywając przy tym wzroku od baronowej.

Facecik znowu zajrzał w kieliszek.

– Tak, przynajmniej w takim stopniu, w jakim to możliwe w tym mieście. Może nawet trochę bardziej. To ciekawy typ, prawda? Był pan na jego pokazie? Co pan sądzi?

Przez chwilę szukałem jak najbardziej wymijającej odpowiedzi, ale potem postanowiłem zmienić taktykę, przejął inicjatywę i zapytać mojego towarzysza z szezlonga, czy wierzy w moce magika. Przynajmniej czas szybciej zleci. Tamten spojrzał na mnie z ukosa swoimi wielkimi, półprzymkniętymi oczami.

– Wszystko jest względne – oznajmił po chwili, którą poświęcił na wydobycie pastylki z puszki noszonej w kieszeni i umieszczenie jej pod językiem. Wyjaśnił, że to lekarstwo, bo wiele lat temu uległ wypadkowi i nadal męczą go bóle. – Moce... Co konkretnie ma pan na myśli? Jakiś czas temu doszło na przykład do kilku zbrodni w Düsseldorfie, nie wiem, czy pan pamięta. Tajemniczy zabójca przez lata terroryzował

miasto, porywał i mordował dziewczynki. Nie zostawiał żadnych śladów, wysyłał tylko liściki do prasy, w których zdradzał miejsce zakopania zwłok. Ludzie bali się wychodzić z domu. Mój przyjaciel Erik zaferował swoją pomoc w rozwiązaniu tej zagadki i na podstawie listów przewidział, że morderca to chłopak z klasy wyższej, blondyn, kulturalny, niepalący i cierpiący na krótkowzroczność. W końcu policja zdołała schwytać „wampira z Düsseldorfu”, jak ochrzciła go prasa. Okazał się blisko pięćdziesięcioletnim robotnikiem, który palił jak smok i nie nosił okularów. Mimo to Hanussen zdołał przekonać wszystkich, że jego przepowiednia się spełniła. Trzeba mieć jakieś moce, żeby czegoś takiego dokonać! Nie sądzi pan? – Facecik zachichotał nieśmiało, a potem rozejrzał się dookoła. Przypominał małego gryzonia. – Chyba za dużo wypilem. A tak poważnie: Erik to świetny gość, dobry dla przyjaciół i bardzo hojny, jak sam pan zresztą widzi, a to już dużo w tym mieście. I tak, wierzę w jego dar, przewidział mi wiele rzeczy.

– Na przykład że dostanie pan rolę mordercy w filmie na motywach tej sprawy?
– odparłem z uśmiechem. Wreszcie go rozpoznałem: to był Peter Lorre, aktor wcielający się w postać wampira z Düsseldorfu w *M*, filmie z ubiegłego roku.

– Owszem, chociaż mój przyjaciel przyjaźni się też oczywiście z Fritzem Langiem, reżyserem – stwierdził aktor i znów wybuchnął niepewnym śmiechem. – Niech pan mnie nie słucha, mówiłem, że jestem pijany.

Potem jego śmiech zaczął stopniowo cichnąć, a on wyciągnął się na szeszlony z głupkowskim uśmiechem na ustach. „Lekarstwo” najwyraźniej działało. Ponownie skupiłem uwagę na baronowej, która przez cały ten czas nawet na mnie nie zerknęła. Miała długie, śliczne nogi, lśniące w jedwabnych pończochach.

– Piękne stopy, co? – zagaił Peter Lorre, patrząc spod półprzymkniętych powiek.
– Uwielbiam stopy, według mnie to najbardziej zmysłowa część ciała kobiety. A tutaj znajdzie pan najlepsze stopy w Berlinie, zaręczam.

– Zna ją pan? – zapytałem, wskazując dyskretnie głową.

– Baronową? Ostatnio ciągle się kręci koło Erika. Nie wiem, jak się nazywa ani czy naprawdę jest baronową czy tylko jedną z tych ciem przyciąganych przez flesze.

Baronowa wraz z Nildi śmiechem i oklaskami nagrodziły zręczną sztuczkę zaprezentowaną przez Hanussena. Ja zaś nie mogłem oderwać od niej wzroku.

Światła reflektorów tworzą ognisty krąg wokół mówcy. Niewzruszony, z idealnie prostymi plecami i ramionami skrzyżowanymi na piersi, wyniosłym spojrzeniem lodowatych oczu obserwuje wypełnioną po brzegi widownię. Mija minuta. Dwie. Już, już się wydaje, że zacznie mówić, ale nic z tego. Każda kolejna sekunda ciszy jest jak wyładowanie elektryczne. Uchylone usta, oczy pełne wyczekiwania. Kiedy napięcie zdaje się już sięgać zenitu, mówca zabiera w końcu głos, niemal szeptem, nieco niepewnie, grasejąc, niektórzy widzowie z trudem mogą go dosłyszeć. Stopniowo podnosi jednak głos, a dłonie zaczynają wskazywać, uderzać, ciąć, drapać. Oczy wychodzą z orbit, mówca daje się ponieść przyływowi i odpływowi własnych słów, aż jego okrzyki odbijają się echem po całej sali. „Lada chwila narodzi się nowa epoka, jest już na wyciągnięcie ręki”. Dłoń ze sztywnymi palcami wyciąga się w stronę tłumu, który zdaje się oddychać w jednym rytmie. „Epoka, w której będziecie znów mogli z dumą oznajmić, że jesteście Niemcami. Kiedy spoglądamy wstecz, na naszą historię, czujemy wstyd za nasze obecne życie”. Twarz wodza spływa potem, wygląda, jakby był kompletnie pochłonięty swoim przekazem. „Nasz naród musiał znieść okropne cierpienia, kiedy w wyniku inflacji z 1923 roku miliony osób zostały okradzione z dorobku całego życia. Za tę katastrofę odpowiedzialni są ci, którzy podpisali kapitulację w roku 1918: socjaliści, pacyfiści, Żydzi”. Lewa dłoń na piersi, palec prawej wskazuje w dół, w kierunku piekła, w którym powinni spłonąć zdrajcy. „Ta katastrofa się powtarza. Teraz. W tej właśnie chwili. Albo my skończymy z nimi, albo oni skończą z nami! Nie ma miejsca dla niezdecydowanych” – twarz wodza wykrzywia się, aby podkreślić nieuniknioną prawdę. „To bitwa między czystym a nieczystym, między wolą a tchórzostwem, między nami a nimi! Będzie dla mnie zaszczytem móc poprowadzić was do tej walki. Amen!” Co najmniej dziwnie brzmi religijny okrzyk padający z tych wykrzywionych wściekłością warg. Publiczność waha się przez ułamek sekundy, a potem wybucha rykiem. Orkiestra i miejsca na parterze, zakryte olbrzymim transparentem z napisem: „Moje Niemcy wolne od marksizmu”, toną w rześzystych oklaskach i wiwatach tysięcy zgromadzonych. Promienne uśmiechy na twarzach rozpalonych wysłuchanym przed chwilą wystąpieniem, oczy wilgotne z emocji. Prawe ramię Adolfa Hitlera strzela do przodu w geście salutu rzymskiego i nie czekając na koniec owacji, Führer schodzi ze sceny i szybkim krokiem opuszcza Sportpalast w kordonie brunatnych mundurów SA, nazistowskich oddziałów szturmowych.

Sieg Heil! Sieg Heil! Woląłem darować sobie to, co wiedziałem, że musi nastąpić: zaraz zacznie się wyśpiewywanie hymnów, nazistowskiej *Horst-Wessel-Lied*, *Deutschland, Deutschland über alles*, parady sztandarów i cały ten burdel. To był już mój trzeci mityng tego popołudnia, a musiałem jeszcze zdążyć wrócić do pensjonatu i przekazać do Madrytu, za pośrednictwem telekonferencji, kronikę z ostatniego dnia kampanii w wyborach na prezydenta Niemiec, żeby mogła trafić do jutrzejszego wydania gazety. Wyszedłem z hali widowiskowej, zatrzymałem taksówkę i zacząłem trochę porządkować materiał dla naczelnego. Słyszałem już niemal jego głos na drugi końcu linii: „Tak żeby dało się to zrozumieć, Pepe”. Problem w tym, że wcale nie tak łatwo

wyjaśnić przeciętnemu czytelnikowi z Hiszpanii, co się dzieje w tym kraju. Od jakichś dwóch lat w Niemczech panowało coś w rodzaju dyktatury prezydenckiej – parlament co prawda istniał, ale praktycznie się nie liczył. W obliczu potężnego kryzysu gospodarczego, który wybuchł w 1929 roku, marszałek Hindenburg przekazał całą władzę w ręce kanclerza Brüninga z partii Centrum, a ten wdrożył rozwiązania mające na celu ograniczenie wydatków i zbilansowanie budżetu poprzez obniżki płac i cięcia świadczeń socjalnych. Jedynym rezultatem tej polityki okazał się wzrost liczby bezrobotnych do sześciu milionów. Teraz zbliżały się wybory prezydenckie, do których stanąć miał znowu stary, osiemdziesięcioletni już Hindenburg, komunista Thälmann, nacjonalista Duesterberg (ze Stahlhelmu, związku weteranów wojennych) i skrajny nacjonalista Hitler. Ten Austriak, naturalizowany w samą porę przed wyborami, zdołał w roku 1930 zwiększyć liczbę posłów NSDAP z dwunastu do stu siedmiu, co uczyniło z jego partii drugą siłę w Reichstagu, po socjaldemokratkach, którzy teraz popierali – w ramach jakiegoś przedziwnego sojuszu – Hindenburga i jego próby ponownego wzmocnienia władzy prezydenckiej, mimo że ten stary wojskowy monarchista ucieleśniał wszystkie znieawidzone przez nich cechy pruskiego establishmentu. Tylko dwóch kandydatów miało szansę przejść do następnej tury i wszystko wskazywało, że będą to stary marszałek i Hitler. Pytanie tylko, czy nowa gwiazda na politycznym firmamencie zdoła za jednym zamachem unieważnić wszystkie prognozy. To zbyt skomplikowane, żeby przyciągnąć uwagę hiszpańskich czytelników, którzy i tak mieli już sporo na głowie – burzliwe początki republiki, proklamowanej w naszym kraju zaledwie rok wcześniej.

Tak jak przewidziałem, redaktor naczelny skwitował połowę przygotowanej przeze mnie kroniki drugim ze swoich ulubionych powiedzonek: „Do rzeczy, Pepe, do rzeczy!”. Odwiesiłem słuchawkę z poczuciem, że cała moja praca zostanie zredukowana do kilku linijek. W końcu tym, co mogło zainteresować czytelnika, były wyniki wyborów z następnego dnia. A może nawet nie, bo przecież mieliśmy do czynienia dopiero z pierwszą turą. Wszedłem przed pensjonat, zapaliłem hamburskie cygaro podarowane mi tego dnia na jednym z mityngów i spojrzałem na nie z odrazą: ten niemiecki tytoń zupełnie nie miał smaku. Rozwahałem przez chwilę pójście na spacer, żeby zorientować się w nastrojach wyborczych, ale rozmowa z naczelnym wzbudziła we mnie niesmak. Najważniejszą informację i tak podadzą międzynarodowe agencje prasowe, trudno byłoby mi znaleźć coś, co zainteresowałoby redakcję. Zajmowałem stanowisko od niedawna, a dostałem je tylko dlatego, że dziennikarz, którego „El Heraldo” zamierzał wysłać do Berlina, zginął w wypadku, a ja – choć nowicjusz – znałem niemiecki. Z początku wydawało mi się, że podbiję świat, a czytelnicy będą niecierpliwie czekać na moje relacje, ale powoli zaczynałem myśleć, że moja pisanina nie obchodzi nikogo z wyjątkiem matki. Minęła mnie ciężarówka wypakowana chłopakami rozprawdzającymi nazistowskie materiały propagandowe, którzy zasypali chodnik ulotkami. Wracali pewnie z kolejnej bitwy ulicznej z komunistami. Od czasu rozpoczęcia kampanii wyborczej w każdym obozie można było naliczyć po kilkadziesiąt ofiar śmiertelnych, zwykle zerwanie jednego z tysięcy plakatów oklejających miejskie mury

mogło kosztować życie. Odechciało mi się wychodzić. Jak na jeden dzień dość już się nasłuchiwałem wezwań do nienawiści, napatrzyłem się na wystarczająco wiele brunatnych i czerwonych koszul.

Aż podskoczyłem, kiedy mojego ramienia dotknęła owłosiona ręka. Należała do Manuela Olivara, właściciela Pensión Latina, Katalończyka w średnim wieku, krępego, sympatycznego i bardzo rozmownego. Kazał mi wyrzucić to, co palę, i poczęstował mnie swoim caliqueño. Wymieniliśmy kilka luźnych uwag na temat tego, jak słabe i nudne wydają się niemieckie cygara w porównaniu z porządnie drapiącym w gardle tytoniem z Walencji, ale kiedy Manuel zaczął opowiadać jakąś historię o hawance, z którą miał romans na Kubie, przerwałem mu, tłumacząc, że umieram z głodu, i zapytałem, co na kolację. Katalończyk mieszkał wcześniej w różnych krajach Ameryki Łacińskiej i stanowił niewyczerpane źródło anegdot na każdy możliwy temat – zwykle chętnie ich słuchałem, ale dziś nie miałem nastroju.

Stała klientela Pensión Latina składała się z Hiszpanów i Latynosów, których przyciągała tu serdeczność Olivara oraz nieco ekstrawagancki klimat bohemy: chodziło nie tylko o oryginalny wystrój wnętrz, z portretami baletnic, toreadorów i wielkich tenorów, meksykańskimi sombreroami, andyjskimi fletniami i wypchanymi ptakami tropikalnymi, lecz także o uprzejmą obsługę, czystą pościel, dobrze wietrzone pokoje i obfitość ciepłej wody. Wszedłem do jadalni i aromat domowej kuchni hiszpańskiej wzbudził we mnie smutek i nostalgię. Gestem ręki pozdrowiłem jednego z gości, podobno bogatego Urugwajczyka zajmującego się pisaniem, skinąłem głową meksykańskiemu generałowi i jego przepięknej towarzyszkę, którą wszyscy uważali za kochankę. Generał jak zwykle położył olbrzymi pistolet na stojącym obok krześle, żeby zawsze mieć go pod ręką. Nieco dalej zobaczyłem Aragończyka w podróży służbowej, do którego często się przysiadalem, ale tym razem wybrałem stolik w kącie, oddalony od pozostałych, i rozłożyłem stary numer „El Heraldó”, żeby dać otoczeniu jasny sygnał, że nie ma mnie dla nikogo. Olivar, teraz w roli maître d’hôtel, podszedł przyjąć zamówienie. Polecił mi *escudella i carn d’olla* z przepisu swojej matki, przekazywanego z pokolenia na pokolenie, i tak dalej, i tak dalej. Nie byłem głodny, ale nie miałem też ochoty dyskutować z gospodarzem, więc zgodziłem się i zamówiłem do tego jeszcze coś mocniejszego. Wychyliłem kieliszek na raz i znów odpaliłem caliqueño, suche jak pieprz. Co za parszywe życie, wiecznie za pożyczone. Pomyślałem o dziewczynie poznanej tamtego wieczoru, baronowej – niezła panienska, inne mogłyby jej najwyżej buty czyścić. Z kolejnym zaciągnięciem znowu ogarnęło mnie zniechęcenie – nie miałem szans u takiej kobiety, byłem zwykłym kanciarzem, amatorem, któremu udało się załapać do gazety. Próbowałem pocieszyć się myślą, że całkiem nie najgorzej piszę i jestem jeszcze młody, więc mogę się wiele nauczyć, ale w głębi duszy wiedziałem, że nie mam nosa do sensacji, cechującego wszystkich wielkich reporterów. Prędzej czy później naczelny się zorientuje i wyśle do Berlina kogoś z większym doświadczeniem i talentem. Stracę swoją wielką szansę, będę musiał wrócić do Madrytu na jakąś trzeciorzędna posadę i gnić na samym dnie redakcji.

W tym momencie, jakbym wywołał ducha rasowego dziennikarstwa, pojawił się Eugeni Xammar, nestor hiszpańskich korespondentów w Berlinie. Żonaty z Niemką,

pracował tu już od początku lat dwudziestych, obecnie dla dziennika „Ahora”, którego naczelnym był Chaves Nogales. Strząsnął mokry śnieg z melonika, zdjął płaszcz i jak zwykle zagadał do Manuela po katalońsku; ten odpowiedział mu po hiszpańsku. Było to coś w rodzaju gierki między nimi. Xammar zapytał, czy zostało jeszcze trochę paelli, po czym rozejrzał się wokół i podszedł do mojego stolika. Nie mogłem dłużej kryć się za gazetą – od mojego przyjazdu do Berlina darzył mnie dużą sympatią, traktował jak przybranego syna. Parę razy w tygodniu spotykaliśmy się na kawie, często zapraszał mnie nawet do swojego komfortowego mieszkania w spokojnej dzielnicy Charlottenburg, gdzie jego żona serwowała dość kontrowersyjną wersję hiszpańskiej tortilli na modłę brandenburską. Xammar usiadł przy stoliku, westchnął i lekko poluzował nieodłączną muszkę. Miał koło pięćdziesiątki, niemal zupełnie białe włosy i mocno podkrążone oczy w zmęczonej twarzy, ale zdawał się dysponować znacznie większymi zasobami energii niż ja, ledwie dwudziestopięciolatek. Ten kataloński reporter przez cały dzień krążył po ulicach, zapuszczał się wszędzie, a do ministerstw, siedzib partyjnych i ambasad wchodził jak do siebie. Teraz położył mi rękę na ramieniu i zapytał, jak minął dzień. Bez większego zapału zdałem mu relację z mityngów.

– Ten Hitler jest jak zdarta płyta – stwierdził Xammar, nalewając nieco gorzałki do stojącego na stole kieliszka na wino. – Obiecuje pokój, pracę i odzyskanie przez Niemcy statusu światowej potęgi. Za całe zło odpowiada traktat wersalski, cios w plecy zadany przez socjalistów i Żydów. Zwięzły, jasny i brutalny przekaz. Wiesz, co nam powiedział, kiedy z Josepem Pla robiliśmy z nim wywiad w 1923 roku, kiedy jeszcze prawie nikt o nim nie słyszał? – Opowiadał mi tę historię już nieraz, ale wolałem wysłuchać jej ponownie, niż samemu musieć mówić. – „Jeśli chcemy, by Niemcy przetrwały, musimy wyeliminować Żydów”. Nie wiedzieliśmy, czy żartuje, czy mówi serio, ale wystarczyło rzucić okiem na jego twarz, żeby się zorientować, że raczej nie grzeszy nadmiernym poczuciem humoru. „Jak zamierza pan tego dokonać? Pałkami?” – zapytaliśmy, wciąż z pewnym niedowierzaniem. „Chętnie! Gdyby tylko nie było ich tak wielu! To byłoby oczywiście świetne rozwiązanie, ale bardzo trudne”, odpowiada. Ten to ma *collons*¹! Na szczęście nie wierzę, żeby miał wygrać jutro ani w drugiej turze. Niedługo, jak już umrze stary Hindenburg, zobaczymy, co będzie. Stąd, ze stolicy, wszystko wygląda inaczej. Nie bez powodu mówi się o „czerwonym Berlinie”. U nas naziści ledwie dociągnęli do dwudziestu procent w ostatnich wyborach, komuniści prześcignęli ich niemal dwukrotnie. Ale wystarczy pojeździć trochę po kraju, żeby się przekonać, że Niemcy lubią dyscyplinę. Spójrz tylko, kto staje do wyborów: marszałek i były kapral karierowicz.

– Tak, tu nawet w rewiach muzycznych tańczą krokiem defiladowym – skwitowałem, wspominając tancerki kabaretowe, podnoszące jednocześnie nogi z zadziwiającą precyzją w rytm muzyki.

– Właśnie, idealna mieszanka pruskiego militarystyki i weimarskiej zmysłowości! – Śmiech ujawnił głębokie zmarszczki na twarzy Xammara. Przy okazji Katalończyk pociągnął kolejny łyk wódki. – W tym kraju nawet bolszewicy chodzą w mundurach i urządzają defilady, *la mare de Déu*². Problem w tym, że tutaj mieli tylko połowiczną rewolucję. Obalili kajzera, wprowadzili demokrację, przyznali kobietom prawa wyborcze, ale nadal rządzą ci sami: arystokracja, wojskowi, wysocy urzędnicy i sędziowie, wszyscy

zatwardziali konserwatyści. Na razie boją się Hitlera, uważają go za niedouczzonego prowincjusza, wstydzą się jego strojów, fryzury na alfonsa, akcentu z przedmieść Wiednia, wąsów, histerycznych póz. On jednak oferuje dokładnie to co oni, tyle że w nowym opakowaniu. A kiedy ludzie po dziurki w nosie mają już polityków, kiedy brakuje im do pierwszego, nowinki dobrze się sprzedają. I to jak! Przedstawiają się jako ci czyści, jeszcze niezeepsuci przez system, który doprowadził Niemcy do upadku, i niestety istnieje ryzyko, że ludzie dadzą się nabrać na nowe pudełko i je kupią. Nawet jeśli okaże się pełne gówna.

Tyradę Xammara przerwała pani Olivar, korpulentna Andaluzyjka, wiecznie z muchami w nosie – przyniosła właśnie tacę z parującą patelnią pełną przesmażonej, żółtawej paelli.

– Kończąc temat: ostatnio w tym kraju właściwie się nie zdarza, żeby to, co rano jest prawdą, pozostało nią do wieczora, a wieczorna prawda jest nieaktualna już następnego ranka, ale jak mawiał mój ojciec, *res de política a la taula*² – podsumował reporter, zawiązując sobie pod brodą serwetkę, żeby ochronić jedwabną muszkę.

Ja zaś straciłem resztki marnego apetytu. Eugeni zdołał w dwie minuty streścić to, co ja przez dwa dni próbowałem ująć w artykule do gazety.

Collons (kat.) – jaja (pot.) (przyp. tłum.). [[wróć](#)]

La mare de Déu (kat.) – Matko Boska! (przyp. tłum.). [[wróć](#)]

Res de política a la taula (kat.) – Przy stole nie rozmawia się o polityce (przyp. tłum.). [[wróć](#)]

W świąteczne poranki Kurfüstendamm przechodziła prawdziwą transformację. Znikały światła neonów kin, barów i kabaretów, a okolica na kilka godzin odzyskiwała spokojny, mieszczański wygląd. Ulica wypełniała się psami: pudłami i sznaucekami towarzyszącymi paniom po pięćdziesiątce, dogami i mastiffami prowadzonymi na smyczy przez nastolatków i majordomów, niektórych nawet w liberiach, beagle'ami kroczącymi u boku wąsatych kawalerów. Były wyżły, spaniele, setery, teriery, labradory, ale ja najbardziej lubiłem charty, nieodłącznych towarzyszy wysokich, stylowych dziewcząt, które z pozornie swobodną elegancją ignorowały spojrzenia przechodniów. Niemcy i ich psy – Hiszpanom trudno zrozumieć tę miłość, znacznie silniejszą niż ta, którą członkowie tej nacji obdarzali większość bliźnich.

Po długich tygodniach zimna nastąpił dzień wyjątkowo ciepły jak na koniec marca, a przyjemny wielkopiątkowy poranek wymazywał z pamięci polityczny obłęd, w jakim ostatnio żyliśmy. Zresztą już po pierwszej turze wyborów w mieście nieco się uspokoiło, a nieustanne konfrontacje między SA a komunistami, trupy i wystrzały zakłócające nocną ciszę ustąpiły nieco sennej atmosferze, jakby całe miasto odetchnęło z ulgą na wieść o wyniku głosowania. Hitler zdobył znacznie mniej głosów, niż oczekiwano, i chociaż przeszedł do drugiej tury, jego ewentualna wygrana graniczyła z cudem. Nawet naziści sprawiali wrażenie nieco zbitych z tropu i zanosilo się na osłabienie impetu wielkiej brunatnej fali. W ten świąteczny dzień Berlin odzyskał nieco dawnego prowincjonalnego klimatu z czasów, gdy małe pruskie miasto nie przepoczwarzyło się jeszcze w radioaktywnego kolosa o pięciu milionach mieszkańców. Zatrzymałem się na widok drzew obwieszonych jajkami wielkanocnymi, jak zwykle w tym okresie ustawianych przy wejściach do wielkich domów towarowych. Choć wśród mieszkańców dzielnicy dominowali Żydzi (nacjonaliści pogardliwie nazywali ją „Syjonem”), to niemal wszystkie lokale przybrano kwiatami i elementami dekoracji typowymi dla Wielkiego Tygodnia. Fala niemal bożonarodzeniowej czułości otuliła mnie niczym ciepły koc. W tej świątecznej atmosferze, gdy przechodnie pozdrawiali się serdecznie, uchylając kapeluszy, czułem się bezpiecznie, jakby nie mogło mnie spotkać nic złego. Zobaczyłem w jednej z witryn damską apaszkę zawiązaną na szyi manekina, który zdawał się do mnie uśmiechać, więc wszedłem ją kupić. Na pewno spodoba się mamie. Co miesiąc dostawałem od niej paczkę, a sam prawie się nie odzywałem.

Po wyjściu ze sklepu wstąpiłem do Kranzlera. Zamiast tłumu intelektualistów i cyganerii, dziś wyjątkowo kawiarnię wypełniały rodziny. Kelnerki w czarnych strojach i białych czepkach lawirowały między dziećmi rojącymi się wokół stolików. Panie w futrzanych etolach maczały biszkopty w gorącej czekoladzie, a panowie skrywali za gazetami przemożną chęć ucięcia sobie drzemki. W tle zespół grał walca wiedeńskiego. Poddałem się domowej, słodkiej atmosferze nudy, do chwili gdy pociągnąłem pierwszy łyk podwójnej mokki. Kofeina wyrwała mnie z letargu, obudziła niepokój prześladowający mnie w ostatnich dniach. Dlaczego siedzę tu z tymi ludźmi? Powinienem polować na sensacje, robić obchód po biednych dzielnicach, zabiegać o wywiady z przywódcami

politycznymi, uzyskiwać poufne informacje z nieoczekiwanych źródeł. Próbowałem sobie tłumaczyć, że są święta, więc ludzie albo siedzą w domach, albo jak ci tutaj mieszczanie cieszą się wolnym dniem. Hitler pije pewnie piwo ze swoimi towarzyszami w Monachium, a prezydent Hindenburg gania w kapciach za wnukami. Lepiej mi zrobi, jak się odprężę, zjem dobry obiad w jakiejś restauracji, może zabiorę do kina Nildi albo inną dziewczynę, a potem będę się z nią nieśpiesznie kochał w pensjonacie, bo Olivar przymykał oko na gości płci żeńskiej. Z napięcia zaczęła mi jednak tężeć żuchwa, sztywnienie promieniowało w stronę skroni. Nie chodziło w końcu tylko o moją karierę – musiałem publikować, żeby więcej zarobić. Ostatnimi czasy, przez ciągłe wieczorne wyjścia, dziewczyny i pozostałe wydatki, prawie nie starczało mi na czynsz. Nie mogłem nadal prosić matki o przysyłanie pieniędzy jak jakiś student. Dobry reporter nigdy nie odpoczywa, a jeśli nie ma żadnych wiadomości, to sam ich szuka, wymyśla, znajduje w zwykłym, codziennym wydarzeniu coś, co zainteresuje czytelnika. Odstawiłem filiżankę na spodek, nie powinienem pić kawy, za bardzo mnie stresowała i pozbawiała dystansu. Nawet pod tym względem nie przypominałem dziennikarzy z prawdziwego zdarzenia, którzy żłopali ją litrami i wcale nie drżały im potem ręce ani nie mieli problemów ze snem (i tak zresztą nie potrzebowali go zbyt wiele).

Dlaczego nie wziąłem ze sobą gazety, czegoś do czytania? Przynajmniej nie musiałbym myśleć. Rozejrzałem się dookoła, szukając jakiejś rozrywki, ale nie było na czym zawiesić oka. Ani żadnej ładnej dziewczyny, ani nawet jakiejś ekscentrycznej postaci – niczego, co mogłoby odwrócić moją uwagę od niepokoju. Pustynia wykwintnych kapeluszy i wyglansowanych łysin. Przez chwilę zamarzyłem, żeby kawałek gzymsu oderwał się od muru i kogoś zabił, nastąpiło jakieś trzęsienie ziemi, wybuchła bomba, cokolwiek.

Z ponurych rozważań wyrwał mnie wybuch śmiechu. Dwóch klientów najwyraźniej świetnie się bawiło przy lekturze gazety.

– Ten facet to czubek – stwierdził jeden.

– Raczej geniusz propagandy – odparł drugi.

– Jak on może mówić coś takiego teraz, po sytuacji z wyborami?

– To nawet niezłe jako żart, ale prawdopodobieństwo, że rzeczywiście mogłoby się to wydarzyć, jest mniej więcej takie jak lądowania zeppelinu na Marsie. Na szczęście ten *Ausländer*, ten histeryczny cudzoziemiec, nie dojdzie do władzy.

Rozmowa wzbudziła moją ciekawość, ale ze swojego miejsca nie mogłem się zorientować, o jakiej gazecie mowa. Wkrótce jednak osobnicy zapłacili rachunek i wyszli, zostawiwszy pismo na stole, a ja ukradkiem je sobie przywłaszczyłem. Nie był to ani „Berliner Tageblatt”, ani „Morgenpost” – dzienniki o największym nakładzie – ani nawet kontrowersyjny „Der Angriff” pod redakcją Josepha Goebbelsa, ale „Die Hanussen Zeitung”, popularny tygodnik astrologiczny wydawany przez magika. Znowu ten facet... W głowie mignęły mi oczy baronowej. Nagłówek na pierwszej stronie w pełni odpowiadał moim oczekiwaniom względem czasopisma tego pokroju: HANUSSEN W TRANSIE PRZEPOWIADA PRZYSZŁOŚĆ HITLERA. Szybko przebiegłem tekst wzrokiem: ostrzeżenia dotyczące zdrowia i bezpieczeństwa lidera nazistów; rana prawej dłoni, która może się zakazić; potencjalny zamach dokonany przez pomyłonego studenta,

kłótnie wewnątrzpartyjne wywołane przez bliskiego przyjaciela i mogące zaszkodzić sprawie; Führer wyjdzie jednak z tego wszystkiego jeszcze silniejszy. Najważniejszą część przepowiedni zostawiono na sam koniec: przed upływem roku Hindenburg i jego prawicowi zwolennicy podadzą Hitlerowi na tacy władzę kanclerską Rzeszy. Przeczytałem tekst jeszcze raz, żeby się upewnić, że się nie mylę, i się uśmiechnąłem. Reakcja moich wcześniejszych sąsiadów wydała mi się w pełni logiczna. Wizja, że śmiertelni wrogowie Austriaka ułatwią mu dojście do władzy, zwłaszcza w obliczu obelg, jakimi obydwie obozy obrzucały się wzajemnie w ostatnim czasie, wydawała się nierealna. Jeśli kajzerowscy nostalgicy nienawidzili kogokolwiek bardziej niż komunistów i socjalistów, to właśnie tego samozwańczego zbawiciela niemieckich dusz, marnego kaprała, który ukradł należne im głosy. Rzuciłem okiem na inne artykuły w gazecie. Rady dla inwestorów giełdowych. Horoskopy. Czy poligamia to przyszłość związków uczuciowych? Cudowne zdolności Toga, psa-telepaty. W reklamie na całą stronę wizerunek Hanussena zachęca do stosowania kremu hormonalnego dla mężczyzn Eukutol 3, dzięki któremu kobiety ponoć nie mogą się im oprzeć. Szaleństwo. Wiedziałem jednak, że czytelnicy z całej Europy mają bzika na punkcie zjawisk nadprzyrodzonych. Nawet najbardziej prestiżowe tytuły publikowały kolumny poświęcone astrologii i podobnym tematom. Przypomniałem sobie też, co słyszałem o mentaliście: setki tysięcy egzemplarzy każdego numeru jego dwóch czasopism (oprócz „Die Hanussen Zeitung” wydawał też „Berliner Wochenschau”), teatry pełne widzów, sława, reputacja w społeczeństwie Berlina. Znalazłem temat.

KRÓL MENTALISTÓW KORONUJE HITLERA

Kronika telegraficzna naszego korespondenta Josego Ortegi z Berlina

W ubiegłym tygodniu „Die Hanussen Zeitung”, periodyk o jednym z największych nakładów w pruskiej stolicy, zaskoczył czytelników wiadomością, która wielu wydała się dość kuriozalna: nim minie rok, Adolf Hitler – lider partii narodowosocjalistycznej, odcinający się od innych sił politycznych, obecnie w dołku mimo zdobycia jedenastu milionów głosów w pierwszej turze wyborów prezydenckich – obejmie władzę absolutną w Niemczech. Autorem tej osobliwej przepowiedni jest nikt inny jak sam Erik Jan Hanussen, właściciel cytowanego tygodnika i bezdyskusyjny król berlińskich mentalistów. Nieczęsto się zdarza, żeby medium – nawet, jak w tym przypadku, zajmujące się głównie astrologią – wydawało oświadczenie tak kategoryczne, a zarazem tak sprzeczne z logiką, jaką podpowiadają ostatnie wydarzenia. Nic więc dziwnego, że artykuł ten stał się pośmiewiskiem Berlina i całych Niemiec. Zawsze wytrwale podążając tropem sensacji, nasz korespondent pokonał liczne przeciwności losu, żeby przeprowadzić wywiad z gwiazdą ostatnich dni – panem Hanussenem. W tym celu udajemy się w okolice parku Tiergarten, gdzie niemieccy arystokraci odbywają konne przejażdżki, na luksusową ulicę Bendlerstrasse, przy której mentalista zajmuje imponujące czternastopokojowe mieszkanie. Drzwi otwiera nam smagły lokaj w turbanie na głowie i zaprasza nas do pokoiku o lakierowanych ścianach, delikatnie pachnącego kadzidłem, udekorowanego motywami chińskimi, hinduistycznymi figurkami, tybetańskimi sznurami modlitewnymi i jadeitowymi posążkami Buddy – przenosimy się do odległej mistycznej krainy. Sekretarz Hanussena, równie egzotyczny pan Dzino, przedstawia nas innej dziennikarce, pracującej dla „Berlin am Morgen”, jednego z najważniejszych czasopism komunistycznych w stolicy. Od razu nawiązujemy rozmowę i koleżanka po fachu oznajmia, że zamierza zdemaskować „oszusta”. Zgodnie z jej ideologią, skoro Bóg nie istnieje, nie mogą istnieć też nadprzyrodzone siły, których nie da się wyjaśnić naukowo. Interesującą konwersację przerywa nam przybycie pana Hanussena. To mężczyzna silnie zbudowany, żwawy i ruchliwy, wzrostu z dolnej granicy stanów średnich, o ciemnych włosach, krzaczastych brwiach, wydatnym nosie oraz głębokim spojrzeniu przenikliwych oczu, adekwatnych do profesji. Wita nas kordialnie i popisuje się swoim urokiem osobistym, ale komunistyczna dziennikarka wita się z nim sztywno, przesadnie wyciągając rękę na powitanie, jakby próbowała utrzymać go na dystans. Odmawia również whisky zaoferowanej przez mentalistę, ale ja chętnie przyjmuję poczęstunek.

– Proszę nie próbować mnie upić i odpowiadać wprost. Jest pan opłacany przez plutokratów przemysłowych, którzy wspierają i finansują działania zbrodniczej partii narodowosocjalistycznej? – atakuje reporterka z „Berlin am Morgen”, zanim jeszcze zdążymy pociągnąć pierwszy łyk trunku podanego przez innego służącego.

Pan Hanussen wybucha śmiechem.

– Towarzysko – mówi z pewnym przekąsem – jestem stuprocentowo apolityczny. Uważam się za dobrego Niemca, ale nie osądzam innych. Jeśli zada sobie pani trud przeczytania artykułów ukazujących się w moich gazetach, to zauważy pani, że rzadko wspomina się tam o partii nazistowskiej czy jej przywódcach. Jako człowiek obdarzony, że tak powiem, nieco szerszym oglądem spraw, ograniczam się do analizy informacji dostarczanych przez ciała niebieskie oraz własną intuicję. W tej chwili zaś wszystkie gwiazdy wskazują na pana Hitlera.

Następnie sypie nowymi przepowiedniami, o bliskim schyłku Republiki Weimarskiej, o wynalezieniu napoju bezalkoholowego, który pozwoli na pracę przez wiele dni bez potrzeby snu, a nawet ni mniej, ni więcej, o zdelegalizowaniu działalności partii komunistycznej.

Jak było do przewidzenia, na tę ostatnią rewelację wysłanniczka „Berlin am Morgen” wpada w furję i przypomina panu Hanussenowi, że KPD to największa partia komunistyczna Europy, a proletariat wkrótce przejmie władzę i, podobnie jak w Rosji sowieckiej, skończy z pasożytami jego pokroju. Żeby nieco rozładować sytuację, nasz korespondent postanawia zapytać pana Hanussena o jego metody pracy. Po chwili namysłu gospodarz odpowiada:

– Nielatwo to wyjaśnić, ale najprostszym porównaniem może być radio. Jestem w pewnym sensie odbiornikiem wychytującym fale, niedocierające do innych, a przekazujące informacje, które dzięki swojemu doświadczeniu potrafię rozszyfrować. Potrzebuję elementu kontaktowego: Fräulein, czy byłaby pani tak miła i pożyczyła mi na chwilę jakiś przedmiot osobisty? Na przykład klucze do domu – prosi moją koleżankę.

Zaskoczona, a nawet zirytowana, z początku się opiera, ale w końcu mu je wręcza.

Pan Hanussen przyciska klucze do czoła i zamyka oczy. Następuje chwila ciszy i skupienia. W końcu, nosowym, mechanicznym głosem, zaczyna wymieniać serię zdarzeń: włamanie, zaginiony obraz, choroba skóry bardzo młodej osoby, spadek otrzymany przez kogoś cierpiącego na problemy z wątrobą, szczęśliwe narodziny po ciąży z komplikacjami. Dziennikarka blednie i szeroko rozdziawia usta. Wygląda na to, że jasnovidz trafił. Dziewczyna wstaje i bardzo nerwowo zaczyna oskarżać go, że wyreżyserował tę scenkę, że kazał ją śledzić, żeby wytrącić jej oręż z ręki. Pokrzykując, wrywa klucze z dłoni naszego gospodarza, zbiera swoje rzeczy i wychodzi.

– Są ludzie, którzy nie potrafią uwierzyć w wodę, nawet kiedy ją piją – kwituje mentalista i wybucha swoim charakterystycznym chrapliwym śmiechem.

Potem pytamy go o zagadnienia, które mogą zainteresować naszych czytelników, czyli o przyszłość naszego kraju.

– Historia Hiszpanii, podobnie jak Rosji, pisana jest krwią. Nie zostaliście stworzeni do pokoju – odpowiada. Jak widać, pan Hanussen chętnie wsadza kij w mrowisko i nie stroni od wygłaszania kontrowersyjnych opinii. – Za kilka lat problemy jednak zostaną rozwiązane i pański kraj odzyska pozycję jednego z najpotężniejszych mocarstw Europy.

Dobra wiadomość i zła. Czas pokaże, czy ma rację, ale jedno jest pewne: na najbliższy pokaz magika publiczność będzie walić drzwiami i oknami. A prawdopodobnie to na tym najbardziej mu zależy.

Z zadowoleniem przejrzałem artykuł. Może i żaden ze mnie Julio Camba, ale było nieźle. Szef prosił o osiemset słów, wyszło osiemset trzydzieści, ale wiedziałem, że nic nie sprawia mu takiej przyjemności, jak przycinanie tekstu zgodnie z własnym widzimisię. Obiecał mi też pierwszą stronę działu międzynarodowego, czego jeszcze nigdy wcześniej nie udało mi się osiągnąć. Szkoda, że nie mogłem opisać ze szczegółami całego wieczoru. Dom stanowił skrzyżowanie dziupli Fu Manchu z burdelem Ala Capone, ale nie ulegało wątpliwości, że ten cały Hanussen to intrygujący typ. Tak jak przypuszczałem, nie pamiętał naszego spotkania w Kakadu sprzed kilku tygodni, ale kiedy mu o nim przypomniałem, wziął mnie za znajomego baronowej i wyraźnie poczuł się swobodniej. Jak wyznał – „to poufna informacja, liczę na pana słowo dżentelmena” – numer z kluczami był względnie łatwy do wykonania. Według niego komunistom najłatwiej coś zasugerować. „Są takimi dogmatykami, że wszystko, co wykracza poza utarte schematy, wyprowadza ich z równowagi”.

Potem zaprezentował parę sztuczek magicznych, z tych praktykowanych przez ulicznych prestidigitatorów, ale jego ręce tańczyły z magnetyczną prędkością i precyzją. Zwłaszcza że na tym etapie był już po trzech szklaneczkach whisky. Nalał mi kolejną i zaczął wypytywać o hiszpańską korridę.

– Z tego, co widziałem w kronikach filmowych, to mrozący krew w żyłach spektakl, bardzo dobre wykonanie. Powiedz, na czym polega trik? To niemożliwe, żeby ci ludzie dawali się zamknąć z dziką bestią bez żadnej ochrony. Używają luster? Reflektorów oślepiających widownię?

Z trudem udało mi się go przekonać, że nie ma żadnej sztuczki, tylko czerwona płachta i parę banderilli – gdybyśmy mieli do czynienia z numerem cyrkowym, na arenie nie ginęłoby tylu toreadorów. Korzystając z okazji, nieco rozochocony whisky wyznałem, że moim wujkiem był słynny matador José Gómez Ortega, „Joselito”, wielki rywal Belmontego, który zginął przed piętnastoma laty w Talaverze, wzięty na rogi. Tak naprawdę moja rodzina miała styczność ze światem korridy wyłącznie za pośrednictwem dalekiego kuzyna ojca, pikadora, którego nawet nigdy nie poznałem, ale wiedziałem, że takie historie pasują do romantycznej wizji Hiszpanii hołubionej przez Niemców. I rzeczywiście, od tej chwili Hanussen przestał postrzegać mnie jako widza, któremu trzeba zaimponować, zdawał się autentycznie zainteresowany moimi słowami, zafascynowany szczegółami, więc opisywałem dalej, barwnie i potoczyście, tajniki tauromachii, nie stroniąc od pewnych nieścisłości i wyolbrzymień, bo wiedziałem, że tylko uatrakcyjnią one moją opowieść.

– Śmierć: oto wielki trik, z którym nie może się mierzyć żadna sztuczka iluzjonisty – powiedział mentalista, wbijając we mnie spojrzenie ciemnych oczu.

Przy drugiej butelce whisky daliśmy sobie spokój z transcendencją i zmieniliśmy temat na Hiszpanki, darzone przez Hanussena dużą sympatią, podobnie zresztą jak kobiety wszelkich innych ras i narodowości. Odślonił przede mną sekrety skrywane przez różne typy kobiecych kolan, a ja, na fali łągarstw i fantazji, opowiedziałem kilka rozkosznie pikantnych anegdotek wyjętych żywcem z tanich powieścideł. Już miałem zacząć zmyślać historię o swoim romansie ze słynną kuplecistką Raquel Meller, kiedy

zadzwiezczał dzwonek i lokaj zapowiedział gościa.

„Hrabia Helldorf, proszę pana”. Nie czekając na zaproszenie, przybysz bezceremonialnie władował się do pokoju, zdejmując po drodze pelerynę i kapelusz, które wręczył służącemu. Wzdrygnąłem się na widok brunatnego munduru Obergruppenführera, który ukazał się spod płaszcza.

Mężczyzna był wysokim, wyjątkowo niezgrabnym blondynem o pociągłej twarzy i udręczonym spojrzeniu poetów romantycznych oraz wielbicieli mocnych trunków. Jak często w przypadku studentów elitarnych niemieckich uniwersytetów, jego czoło znaczyła blizna po pojedynku. Przypomniałem sobie, że czytałem o nim w gazetach: hrabia Helldorf, szef berlińskich SA, jeden z nielicznych arystokratów, którzy od samego początku przyłączyli się do ruchu nazistowskiego.

– Drogi panie hrabio! – zawołał Hanussen, bez pośpiechu podnosząc się z fotela. – Nie spodziewałem się pana tak wcześnie. Proszę usiąść. Pan pozwoli, że przedstawię: José Ortega, wybitny przedstawiciel prasy hiszpańskiej i potomek rodu najświetniejszych toreadorów. – Helldorf mocno uściśnął mi dłoń, ale nawet na mnie nie spojrział. – Napije się pan koniaku? – zaproponował mentalista, dając znak służącemu. Wyraźnie niespokojny hrabia gestem przyjął ofertę. Hanussen odchylił się na oparcie fotela i przez dłuższą chwilę obserwował gościa ze złośliwym uśmieszkiem, jakby czerpał przyjemność z niezręcznej ciszy. Potem nagle szybko wstał. – Myślę, że przede wszystkim powinniśmy załatwić nasz mały interes, im wcześniej, tym lepiej, prawda? – Hrabia skinął głową bez słowa. – Zostawiam pana w dobrych rękach, nasz hiszpański przyjaciel to niezwykle interesująca postać – oznajmił mentalista, po czym zniknął za drzwiami.

Hrabia wpatrywał się twardo w przestrzeń przed sobą, ogrzewając kieliszek w dłoniach. W zwykłych okolicznościach pewnie też zachowałbym milczenie, ale wypilem zbyt dużo whisky, żeby przepuścić okazję wyciągnięcia czegoś od jednego z ludzi Hitlera.

– Niech pan wybaczy moją impertynencję, panie hrabio, ale jak pan już wie, jestem dziennikarzem i chętnie poznałbym pańską opinię na temat drugiej tury wyborów prezydenckich – zagadnąłem, starając się, by zabrzmiało to jak najuprzejmiej.

Helldorf uniósł głowę i spojrział na mnie zaskoczony, jakby dopiero teraz mnie zauważył.

– Skąd tak dobrze zna pan niemiecki? – wypalił, przyglądając mi się badawczo i nawet nie próbując tego ukryć.

– Wychowała mnie pewna Fräulein, która u nas pracowała. – Nie było w tym nawet ziarna prawdy. Ojciec, wielki entuzjasta niemieckiej dyscypliny, uparł się, żebym od małego uczył się języka uznawanego przez niego za mowę przyszłości, więc pewna sąsiadka pochodząca z Hamburga, żona pampeluńczyka, podjęła się dawania mi lekcji. Wiedziałem jednak, że Niemcy czują potrzebę przypisywania obcokrajowców do konkretnej klasy społecznej, więc wersja o niemieckiej guwernantce musiała zrobić odpowiednie wrażenie na pruskim arystokracie. Jeśli dorzuciło się do tego, że rodzina spędzała wakacje w Biarritz i jeździła mercedesem, zaczęli uważać cię niemal za człowieka.

– *Schön, schön* – skwitował hrabia z aprobatą, nie przestając mnie sondować.

– A takie niebieskie oczy są typowe dla Hiszpanów?

Postanowiłem znowu uruchomić wyobraźnię i jak z rękawa wyciągnąłem rzekomą babcię – córkę niemieckiego konsula w Barcelonie. To wyraźnie przypadło do gustu Helldorfowi, który pozwolił mi dolać sobie koniaku, a potem usiadł w sąsiednim fotelu. Poczulem się dość skrępowany bliskością faceta w oficerkach i skórzanej koalicyjce, roztaczającego woń będącą mieszanką lawendowej wody kolońskiej i sznapsa.

– Pytał pan o wybory, tak? To żadna tajemnica, że Führerowi trudno będzie wygrać drugą turę. Nie spędza to jednak snu z powiek członkom partii narodowosocjalistycznej. Nie śpieszy nam się, przejęcie przez nas władzy jest nieuchronne. Może się to zdarzyć za miesiąc, może latem albo w przyszłym roku, ale kiedy już ją zdobędziemy, nikt nam jej nie odbierze. Finansiści, Żydzi, próbują nam przeszkodzić, ale naród niemiecki rozpoczął już marsz. – Próbowałem sprowadzić rozmowę na inne tory, żeby nie skończyło się na serii sloganów, ale hrabia ciągnął swój monolog. – Bardzo podziwiam Hiszpanów, wie pan? Wasi królowie katoliccy wykazali się wielką inteligencją, wypędzili Żydów już ponad czterysta lat temu. Zdaje pan sobie sprawę, ilu problemów sobie dzięki temu oszczędzili? Spiski, lichwa, podziały, komunizm. Nie ma nic gorszego niż bezpaństwowcy. Ludzie pozbawieni ojczyzny mają złą krew, tendencję do zawiści i czynienia zła, niszczenia ojczyzny innych. Zależy im na stworzeniu światowego związku finansistów, dyktatury międzynarodowych trustów. Dlatego najgroźniejsi nie są wcale ortodoksyjni Żydzi, a ci, którzy stracili nawet wiarę, ojczyznę Talmudu i Tory, którzy próbują się zasymilować, kosmopolici.

– A jednak gazety piszą...

– W tym właśnie problem! – zawołał Helldorf, uderzając się pięścią w udo. – Gazety na całym świecie są w łapach Semitów. Wystarczy rzucić okiem na te szmatławce w rodzaju „Berliner Tageblatt” czy „Morgenpost”: kłamstwa, kłamstwa i jeszcze raz kłamstwa. Dlatego potrzebujemy bezstronnych dziennikarzy, rozumiejących niemieckiego ducha i zdolnych przekazać nasze przesłanie całemu światu. Może mógłbym pana namówić na przeprowadzenie wywiadów z kilkoma naszymi liderami, co pan na to? – Delikatnie, pozornie od niechcenia położył dłoń na mojej. Poczulem, jakby prąd mnie kopnął, i odruchowo chciałem się odsunąć, ale się powstrzymałem. Gest był na tyle wieloznaczny, że nie wymagał natychmiastowej reakcji, więc przez chwilę zwlekałem z cofnięciem ręki.

– No dobrze, już jestem – przerwał nam Hanussen, który wrócił właśnie z jakąś teczką.

– Tłumaczę naszemu przyjacielowi z Hiszpanii, że potrzebujemy dobrych dziennikarzy, którzy opowiedzą o nas prawdę za granicą.

– Tak, tak, oczywiście, bez dwóch zdań! – Mentalista przekładał swoje dokumenty.

– Szanowny panie hrabio, może przejdziemy do mojego gabinetu?

Otworzyli przesuwne szklane drzwi i przeszli do sąsiedniego pomieszczenia. Dzięki odbiciu w lustrze zobaczyłem, jak Hanussen podpisuje coś wyglądającego na czek, a hrabia wciska papier pośpiesznie do kieszeni i wypełnia jakiś świstek sprawiający wrażenie pokwitowania. O co tu chodzi? Logika kazałaby sądzić, że to naziści powinni płacić jasnowidzowi za korzystne przepowiednie, a nie na odwrót. Odniosłem

nieprzyjemne wrażenie, że mentalista zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Może lepiej się stąd ulotnić. Właśnie wstawałem, kiedy tamci wrócili do salonu.

– Już się pan zbiera, młodzieńcze? Szkoda, prawda, panie hrabio? – Hanussen kątem oka spojrzął na Helldorfa. – Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy, bardzo przyjemnie się z panem rozmawiało. Śmierć i kobiety, czyż istnieją bardziej zajmujące tematy? Ach, z skoro już przy tym jesteśmy, zapomniałem pokazać coś, co powinno pana zaintrygować – powiedział, odprowadzając mnie do wyjścia. Zatrzymał mnie obok drzwi, przed białą ścianą, mocno kontrastującą z pozostałymi, pokrytymi złoceniami i ciemną farbą.

– I co pan sądzi? Piękne, prawda? – Na mojej twarzy odmalowało się niezrozumienie, a mentalista wybuchnął śmiechem. – Czasem mamy piękno tuż przed nosem, ale nie potrafimy go dostrzec. – Zgasił lampę i nacisnął włącznik ukryty za chińskim gobelinem. Korytarz zalał się niebieskim światłem reflektora, a na ścianie ukazał się wielkich rozmiarów fluorescencyjny portret. Przedstawiał ciało zupełnie nagiej kobiety, która z wyrazem rozkoszy na twarzy dotykała się między nogami. Od razu ją poznałem: baronowa.

– Wiedziałem, że doceni pan moją małą niespodziankę – stwierdził Hanussen i znowu zaniósł się śmiechem.

W redakcji „Berlin am Morgen”, dla stałych czytelników „BaM”, panowała tego ranka dziwna cisza. Towarzysze, niektórzy w szarych koszulach z czerwonymi opaskami partii komunistycznej, pracowali przy swoich biurkach, nie rozmawiając ze sobą, jak zwykle. Nawet Lenin, sprawujący pieczę nad pomieszczeniem z wielkiego plakatu wiszącego na ścianie, wydawał się jakiś przygaszony i nieobecny w ten pochmurny dzień. Mimo to redaktor naczelny Bruno Frei w wyjątkowo dobrym humorze pił filiżankę mocno osłodzonej herbaty. Od wielu tygodni nie sypiał zbyt dobrze, ale ostatniej nocy wreszcie porządnie wypoczął. Żadnych koszmarów ani zrywania się o świcie z powodu jakiejś wiadomości. To niesamowite, ile może zdziałać kilka godzin snu – wszystko wydawało mu się prostsze i jaśniejsze. Przynajmniej dopóki nie zaterkotał telefon. Dzwonił Willi Münzenberg, właściciel dziennika i wielu innych mediów komunistycznych, a do tego partyjny szef propagandy, przez wrogów zwany „czerwonym carem”. Nie należał do rannych ptaszków, więc telefon o tak wczesnej porze mógł oznaczać tylko jedno: reprimendę.

– Mógłbyś mi wyjaśnić, co to za gówno na pierwszej stronie gazety? Na całym świecie nie zdarzyło się nic ciekawego i musimy zajmować się plotkami ze światka artystycznego?

Frei rozłożył najnowszy numer „BaM”:

SZARLATAN PODBIJA BERLIN. BRUDNE SZTUCZKI KŁAMLIWEGO JASNOWIDZA ERIKA JANA HANUSSENA – głosił jeden z największych nagłówków na czołówce. Powinien był przewidzieć, że będą z tego kłopoty.

– Willi, na pewno słyszałeś o przepowiedni, którą ten bydlak opublikował w swojej gazecie. To woda na młyn nazistów. Chodzi o dwie strony tej samej monety, magia przechodząca w politykę, polityka przechodząca w magię. Zapewniam cię, że...

– To ja cię zapewniam, że Hitler ma dużo poważniejsze problemy niż ten. Po tym, jak się uparł, wbrew radom innych partyjnych szefów, żeby startować w wyborach prezydenckich, przegrywa drugą turę z kretesem, o siedemnaście punktów procentowych! Dwa dni później kanclerz Brüning delegalizuje SA, partia najwyraźniej bankrutuje, już mówi się o zastąpieniu go jakąś sympatyczniejszą twarzą, żeby mogli dojść do władzy. A ty, zamiast wałkować ten temat, wyjeżdżasz mi tu z jakimś cholernym wróżbitą!

– Wiem, brzmi to dziwnie, ale myślę, że ta strategia może zadziałać. – Frei wiedział, że musi jak najszybciej się wtrącić, bo w przeciwnym razie Münzenberg, wyrzucający z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego, nie da mu dojść do słowa. – Hanussen to pięta achillesowa Hitlera, atak na niego to atak na irracjonalizm, zabobony i obskurantyzm ideologii nazistowskiej, możemy stworzyć oczy wielu ludziom, wciąż jeszcze postrzegającym ich jako atrakcyjną alternatywę.

– Czy ty w ogóle czytałeś ten gówniany artykulik, który wypuściłeś? Ani jednego faktu, żadnych świadków czy dowodów, niczego, co faktycznie łączyłoby Hanussena z tym pieprzonym Austriakiem. Same domysły: „rzekomo”, „mówi się”, „w pewnych kręgach twierdzi się”... Jeśli zamierzasz drążyć ten temat, to lepiej poszukaj bardziej

przekonujących argumentów na podtrzymanie tej absurdalnej teorii. Jeśli nie, zapomnij o całej historii i przestań reklamować tego pajaca, bo o to właśnie mu chodzi.

Willi rozłączył się bez pożegnania, a Frei gwałtownym ruchem zrzucił gazetę ze stołu. Co za kutas. Szczyt szczytów, komunistyczny przedsiębiorca, milioner rozbijający się po Berlinie limuzyną, z pierwszorzędnym mieszkaniem w Charlottenburgu, który na domiar wszystkiego nazywa się Münzenberg, czyli dosłownie „góra monet”. Najgorsze jednak, że szef miał rację, a on o tym świetnie wiedział. Reporterka wysłana na wywiad z jasnowidzem wróciła ogarnięta zabobonnym lękiem, którego nie potrafiła ukryć, a jej artykuł nie nadawał się nawet, jak powiedziałyby Willi, do podtarcia tyłka. Jedyne rzeczywiście sensowny fakt to ten, że Hanussena często widywano w nocnych lokalach z hrabią Helldorfem i innymi oficjelami z SA. Ale też z Conradem Veidtem i Peterem Lorrem, znanymi lewicowymi aktorami, a także z Żydem Alfredem Döblinem, autorem powieści *Berlin Alexanderplatz*, szczerze znienawidzonej przez nazistów.

Frei zwykle nie kierował się osobistymi antypatiami, ale w wypadku Hanussena nie mógł się powstrzymać i postanowił zrobić wyjątek. Jako dziennikarz brał udział w słynnym procesie w Litomierzycach, któremu mentalista zawdzięczał całą sławę, a na samo wspomnienie do dziś wywracały mu się flaki. Małe czechosłowackie miasteczko przez niemal rok stanowiło pole bitwy między rozumem a zabobonem, prawdą a kłamstwem. Hanussen został oskarżony o oszustwo i nieuprawnione posługiwanie się tytułem profesora, bo jego stopa nigdy nie postąpiła na żadnym uniwersytecie, nawet przypadkiem. Z początku wszystko szło dobrze: dziewięć miesięcy pracy śledczej prokuratorów zaowocowało solidnym, dobrze uargumentowanym aktem oskarżenia. Powołano trzydziścioro troje świadków, a wielu z nich zeznało, że mentalista inkasował spore kwoty za przepowiednie, które się nie spełniły, przez co ponieśli dodatkowe straty. Owszem, inni dopuszczali możliwość, że faktycznie dysponował jakimiś mocami, a prokuratura wykazała nieprawdziwość części zeznań – na przykład pewien chytry rolnik oskarżał go o straty finansowe z powodu błędnej prognozy cen bawełny, choć w rzeczywistości zarobił na tym interesie – ale powszechnie spodziewano się, że Hanussen trafi za kratki na pięć do siedmiu lat. Niestety, w obliczu braku przekonujących wyjaśnień sędzia postanowił zawiesić proces na cztery miesiące.

Po wznowieniu sprawy zarówno oskarżenie, jak i obrona powołały nowych świadków. Seria sprzecznych zeznań zdawała się nudzić sędziego, więc adwokat, sprytny typek, namówił go, żeby sprawę rozstrzygnąć na podstawie serii testów, którym Hanussen miał zostać poddany na sali sądowej, na oczach wszystkich. Wtedy właśnie skończył się proces, a zaczął spektakl, więc magik poczuł się jak ryba w wodzie. Następowaly kolejne cyrkowe sztuczki: Hanussen znalazł klucz ukryty w innym pomieszczeniu, scharakteryzował dwoje nieznanym na podstawie ich podpisów, odgadł zawartość zalakowanej koperty. I – werbel, tusz – wielki numer finałowy: trzy osoby podały datę i miejsce, a mentalista zgadywał, co się wtedy tam wydarzyło. Salę wypełnił ogłuszający aplauz i wivaty, kiedy odgadł, że trzecia data dotyczy urodzenia syna przez cesarskie cięcie. Nieważne, że nie trafił w przypadku drugiej daty, a przy teście z podpisami wypowiadał się niezwykle ogólnikowo – ludzie dali się zasugerować i dostrzegli nadprzyrodzone moce tam, gdzie istniał tylko kuglarski spryt, a sędzia oczyścił

Hanussena ze wszystkich zarzutów, tym samym czyniąc go nową gwiazdą świata rozrywki. Bruno Frei bezskutecznie próbował swoimi artykułami otworzyć oczy masom. Rozum został pokonany przez zabobon, a prawda – przez kłamstwo.

Mimo tego gorzkiego wspomnienia Frei wiedział, że lepiej nie kłócić się z Willim. „Muszę dać sobie spokój z tym pomysłem zdyskredytowania Hitlera przez jego związki z Hanussenem”, powiedział sobie, wziął do ręki dossier jasnowidza i przymierzył się, żeby wyrzucić je do kosza. W ostatniej chwili zmienił jednak zdanie i położył teczkę w rogu biurka, pod stosem innych papierów.

Było mi niewygodnie. Kamizelka mnie cisnęła, a przód koszuli zdawał się wrywać, żeby wyskoczyć nad nią jak łosoś. Spodnie były zbyt dopasowane w kroku, a nogawki okazały się za długie. Z niesmakiem przyjrzałem się swojemu odbiciu w lustrze. Nie cierpiałem pożyczanych fraków, wyświeconych od intensywnego noszenia, wydzielających woń benzyny i środka dezynfekującego. Jeszcze żałośniej przedstawiał się jednak ten widok w pokoiku w Pensión Latina, w otoczeniu mebli sprawiających wrażenie wygrzebanych na jakimś bazarze w Andaluzji, jak pięść do nosa pasujących do stojącego w kącie tradycyjnego niemieckiego pieca kaflowego. Fałszywa elegancja dla fałszywego dziennikarza wśród fałszywych dekoracji, pomyślałem. Spróbowałem odgonić czarne myśli machnięciem ręki, jak natrętną muchę, po czym wziąłem do ręki leżący na szeszlengu kapelusz.

Manuel Olivar, który pucował właśnie długą ladę recepcji pensjonatu, zdjął okulary w szylkretowej oprawie i aż gwizdnął na mój widok, kiedy zszedłem po schodach.

– *¡Fas molt goig, xiquet!*¹, co za elegancja. Przypomniała mi się historia z czasów mojego pobytu w Kolumbii. Otóż pracowaliśmy w hotelu tuż koło dżungli. Jeden z maîtres wyszedł na fajkę, wystrojony dokładnie tak jak ty, i się zagapił. Parę tygodni później na indiańskim targu znaleźliśmy jego głowę skurczoną do rozmiaru pomarańczy. Podejrzewam, że frak przerobili sobie na zasłony.

Zaśmiałem się bez przekonania.

– Można wiedzieć, dokąd się wybierasz w tej kreacji? – Za plecami usłyszałem głos Felipego Fernandez Armesta, również mieszkańca pensjonatu. Znanego też jako Augusto Assía – tak podpisywał artykuły do barcelońskiej „La Vanguardii”, żeby nie drażnić tych z „La Libertad” w Madrycie. Miał na sobie zwykły garnitur, mocno wyświechtany. – Nie słyszałeś, że nie ma już u nas monarchii? Wystroiłeś się jak na audiencję w pałacu królewskim, a nie na obchody pierwszej rocznicy proklamowania republiki w ambasadzie. No chodź, wychylimy parę koniaczków przed wyjściem.

Porządny facet, ironiczny jak każdy Galisyjczyk, chociaż czasem rozmowy z nim stawały się nieco męczące. Nieważne, o czym rozmawialiśmy, zawsze wychodziło na jedno: w Związku Radzieckim wszystko jest większe, lepsze, wspanialsze. Mnie tam komunizm ani ziębił, ani grzał, ale od czasu do czasu chodziliśmy razem na piwo czy dziewczyny. Był praktycznie moim rówieśnikiem, a poza nim nie miałem w Berlinie nikogo w rodzaju przyjaciela.

Jak było do przewidzenia, kiedy tylko usiedliśmy w jadalni nad butelką przyniesioną przez Olivara, Armesto zaczął starą śpiewkę. Według niego mieliśmy wielkie szczęście, że znaleźliśmy się w Berlinie w tym momencie historii. To tu właśnie wykuwało się społeczeństwo przyszłości, które miało położyć kres przebrzmiałym ideom przeszłości. Jako jeden z przykładów podał całkowitą wolność seksualną pochodzącą z ZSRR, która miała prędzej czy później rozprzestrzenić się na wszystkie kraje.

– Komunizm zostanie niedługo wprowadzony. A dzięki temu wszyscy więcej poruchamy – stwierdził i puścił mi oko.

– Jak z takimi poglądami dajesz radę pisać do takiej konserwatywnej gazety jak „La Vanguardia” czy do „La Libertad”, której właścicielem jest Juan March, pierwszy milioner Hiszpanii? – zapytałem.

– Robię tak samo jak z dziewczynami: każdy dostaje ode mnie to, czego oczekuje
– odparł cynicznie Armesto.

Z taksówki wysiedliśmy przed Tiele-Winckler-Haus już zdrowo podchmieleni. Wytworny neoklasycystyczny budynek – siedzibę ambasady Hiszpanii – oświetlono silnymi reflektorami, a Armesto stanął i zaczął podziwiać fasadę, wygięty mocno do tyłu, jakby miał przed sobą dwudziestopiętrowy drapacz chmur.

– *Carallo*², to jak katedra w Santiago w święto patrona!

Ze śmiechem zapytałem, czy nie przypomina mu raczej Kremla. Potem nabrałem głęboki haust zimnego kwietniowego powietrza, żeby nieco otrzeźwieć, i pociągnąłem kolegę w stronę wejścia. Wisząca przy drzwiach hiszpańska flaga niezbyt dokładnie zasłaniała widoczne jeszcze na ścianie ślady po dużym, prostokątnym obrazie.

– Widzisz, jak łatwo pochować zdetronizowanych królów? Wystarczy przykryć ich flagą i gotowe. – Typowa hiszpańska fuszerka. Za trzy czy cztery lata zasłonią pewnie dziurę po Alfonsie XIII Alcalá-Zamorą czy kimś tam. Tak działają republiki – prezydenci utrzymują się krócej niż królowie, często nie ma nawet czasu ich sportretować.

U podnóża szerokich schodów prowadzących na salony gości witał ambasador – jeden z twórców konstytucji z 1931 roku i znawca twórczości Lenina. To ostatnie wystarczyło Armestowi, żeby po standardowym uprzejmym powitaniu zmonopolizować ambasadora, więc zostawiłem go i wszedłem do salonu. Na przyjęciu panowała już dość ożywiona atmosfera i potoczyłem wzrokiem po tłumie w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy, aż dostrzegłem w kącie Eugeniego Xammara z żoną. Katalończyk przywitał się ze mną, próbując powstrzymać śmiech.

– Co słyhać, Pepe? No proszę! Ale się wystroiłeś. – Xammar miał na sobie elegancki ciemny tweedowy garnitur, dyskretny i świetnie skrojony. Przywiązywał dużą wagę do stroju, stylizowanego na „dzentelmena farmera”, jak sam mawiał. Ja po paru koniackach już dawno zapomniałem o pożyczonym fraku i teraz znów przez chwilę poczułem się skrępowany, ale zaraz mi przeszło. – Czytałem twój artykuł o Hanussenie. Sprytnie to wykombinowałeś, zupełnie inny punkt widzenia. – Spuchłem z dumy, mało brakowało, żeby guziki na piersi wystrzeliły na wszystkie strony.

Komplement od weterana dziennikarstwa zachęcił mnie, żeby zrelacjonować resztę wieczoru w domu jasnowidza. Xammar nie wyglądał na szczególnie zaskoczonego. Helldorf miał opinię groźnego ptaszka, brutalnego i skłonnego do awantur, a w zeszłym roku odegrał główną rolę w incydencie, który mógł się zakończyć dramatycznie, a okazał się śmieszny: w żydowski Nowy Rok wyjechał ciężarówką na Ku'damm ze swoimi koleżkami i zaczęli okładać kijami przechodniów o ciemniejszej skórze czy semickich rysach. Na nieszczęście dla nich pierwsze ofiary okazały się grupą południowoamerykańskich dyplomatów z wizytą w Berlinie. Policja przyjechała niemal natychmiast i aresztowała większość członków SA. Wybuchł tak wielki skandal, że nawet partia nazistowska musiała publicznie potępić nieudany pogrom i wykluczyć uczestników

ze swoich szeregów. Helldorfa także zawieszono w prawach członka partii, ale potem przyjęto z powrotem. Hrabia słynął też z dużej rozrzutności i żerowania na innych. Kilka lat wcześniej musiał sprzedać rodzinny pałac – rzecz nie do pomyślenia dla niemieckiego arystokraty – żeby spłacić hazardowe długi.

– Nie dziwi mnie za bardzo, że to nie naziści płacą jasnowidzowi za publikowanie tych bzdur, a właśnie Hanussen przekazuje im datki. Po kampanii wyborczej zostali podobno bez grosza i wielu spisało ich już na straty. Wydaje mi się jednak, że to głównie pobożne życzenia, po prostu chcielibyśmy ich pogrzebać. – Xammar przerwał wywód, kiedy się zorientował, że jego żona, pogrążona w rozmowie z inną kobietą, która perorowała bez chwili przerwy, z naciskiem spojrzała na niego z ukosa. Jej rozmówczyni, drobna i bardzo nerwowa, miała na sobie czarną sukienkę, którą starała się zatuszować nadwagę, i etolę okalającą okrągłą, bladą twarz, na której wyróżniały się wyłącznie malutkie usta, uszmkowane ostrą czerwienią. Wyglądała na typową starą pannę zdolną śledzić trzy rozmowy naraz.

– Wybacz, Pepe, nie przedstawiłem ci Frau Belli Fromm. Pisze kroniki towarzyskie do publikacji grupy Ullstein, to prawdziwy autorytet berlińskiej socjety. Zna wszystkich, których warto znać – oznajmił Eugeni tonem, który wydał mi się nieco złośliwy.

Pani Fromm przyjrzała mi się badawczo, wystudiowanie ukradkowo, a po wysłuchaniu moich niemieckich uprzejmości uśmiechnęła się z widocznym zadowoleniem.

– Miło mi poznać nowego przedstawiciela prasy międzynarodowej, tym bardziej przyjaciela pana Xammara, jednego z nielicznych dżentelmenów w naszej profesji. Pewnie nie miał pan jeszcze sposobności poznać wielu osób, pozwoli pan, że wprowadzę pana w nasze towarzystwo – powiedziała, złapała mnie pod rękę i pociągnęła w stronę tłumu. Rzuciłem skonsternowane spojrzenie na Eugeniego i jego żonę, ale oni tylko pomachali mi kpiąco. – Musi pan zrozumieć, drogi przyjacielu, że świat dyplomacji to taki mały klub: wszyscy się znają, ale nie wszyscy biorą udział w tych samych zajęciach. Jedni grają w polo, inni w tenisa, a niektórzy wolą brydża. Dlatego nie spotka pan tych samych ludzi na przyjęciu w ambasadzie hiszpańskiej co w brytyjskiej, zwłaszcza od czasu obalenia króla. Biedny don Alfonso! Poznałam go wieki temu u Battenbergów, to taki światły, dystyngowany człowiek. Takie już jednak jest życie, trzeba akceptować wyroki losu, wszystko ma swoje dobre strony. Żeby daleko nie szukać, dzięki temu, że macie teraz u siebie republikę *à la gauche*, nie uświadczy pan tu tych okropnych nazistów w paskudnych brązowych mundurach, z tymi ich wysokimi butami i koalicijkami. Niech pan sobie wyobrazi, że parę dni temu na bankiecie w ambasadzie Włoch księżę Auwi pojawił się w mundurze SA. Syn kajzera!

Opowiadając mi to wszystko, Frau Fromm nieśpiesznie lawirowała między różnymi grupami, bacznie obserwując każdą z nich. Odnosiłem wrażenie, że paraduje ze mną jak ze złowionym przed chwilą dziesięciokilogramowym okoniem, ale jej opowieści naprawdę mnie interesowały, odsłaniała przede mną nieznaną mi wcześniej rzeczywistość.

– Widzi pan, co mam na myśli? Spotka pan tutaj ludzi, którzy zwykle nie obracają się w takich kręgach. O proszę, oto ma pan przed sobą, w tak wspaniałym salonie, samego

rogatego diabła.

Miała na myśli Ernsta Thälmana, pogrążonego w ożywionej rozmowie z hiszpańskim ambasadorem. Sekretarz generalny Komunistycznej Partii Niemiec, który w pierwszej turze ostatnich wyborów zdobył pięć milionów głosów, przypominał przerośniętą i pozbawioną brody replikę Lenina. Chciałem się zatrzymać, ale zostałem pociągnięty w przeciwnym kierunku. Przedstawiono mi tylu ambasadorów i ministrów pełnomocnych, a Frau Fromm opowiedziała mi tyle kompromitujących historii na ich temat, że w końcu zupełnie się pogubiłem, kto jest kim.

– Proszę zapamiętać: najważniejsze, to wiedzieć wszystko, a publikować to, co naprawdę niezbędne. Dzięki temu będą panu ufać – stwierdziła sentencjonalnie kronikarka.

Szampan zaczął właśnie mieszać się z wypitym wcześniej koniakiem, a moja nadpobudliwa przewodniczka zatrzymała się przy dwóch mężczyznach palących olbrzymie, wonne cygara. Czułem mdłości i choć twarze te wydawały mi się jakby znajome, nie potrafiłem ich umiejscowić.

– Ach, szanowny Reichskanzler, wreszcie pana znalazłam! – zawołała Frau Fromm i wyciągnęła rękę do pocałowania w stronę wysokiego, łysego mężczyzny ze złotym pince-nez.

Mieszanka alkoholi zaczęła przewalać mi się w żołądku jak piłka, ale rozpoznałem kanclerza Brüninga, którego kojarzyłem z licznymi karykatur w gazetach i czasopismach od prawa do lewa. Sztywny ze zdenerwowania, próbując zapomnieć o pożyczonym fraku, uścisnąłem dłoń szefa niemieckiego rządu. Brüning po mistrzowsku unikał odpowiedzi na bezpośrednie pytania dziennikarzy, a zamiast tego komplementował strój, gust muzyczny i różnych krewnych autorki kroniki towarzyskiej. Robił to jednak z takim urokiem i poczuciem humoru, że odważyłem się poprosić go o wywiad do mojej gazety, na co Frau Fromm zareagowała grymasem niesmaku. Kanclerz poprosił o wizytówkę i obiecał, że wkrótce skontaktuje się ze mną jego rzecznik prasowy.

Mdłości ustąpiły bez śladu, a ja – zarazem szczęśliwy i śmiertelnie zmęczony – poczułem, że wreszcie załatwiam sprawy odkładane od dłuższego czasu, a kostium dziennikarza powoli zaczyna na mnie pasować. Wielki salon ambasady stopniowo się wyludniał. Szukałem wśród gości Xammara z żoną, ale widocznie już się ulotnili. Nie widziałem też nigdzie Armesta. To był odpowiedni moment, żeby się ewakuować, zanim zamienię się w dynię albo szwy frakowej kamizelki wreszcie puszcza. Kiedy jednak chciałem się pożegnać z Frau Fromm, ta zupełnie zignorowała moje zamiary.

– Musi pan pójść ze mną do Palais de Danse. Nigdy pan tam nie był? Będzie pan zachwycony. Szczyt kiczu! Spotykają się tam najlepsze i najgorsze strony Berlina, potomkowie Fryderyka Wielkiego z ostatnimi parweniuszami. Poza tym umówiłam się tam z sekretarzem ambasady amerykańskiej i jego żoną, rewelacyjną kobietą. Ma świetny gust i niezłe pochodzenie, to jedna z Guggenheimów, wie pan, tych obrzydliwie bogatych właścicieli kopalni...

¡Fas molt goig, xiquet! (kat.) – Aż miło popatrzeć, chłopcze! (przyp. tłum.). [wróć]

Carallo (kat.) – Cholera! (przyp. tłum.). [wróć]

Sądząc po biżuterii kobiety, para amerykańskich dyplomatów musiała rzeczywiście dysponować milionami, tak jak mówiła Bella Fromm, ale okazali się jeszcze nudniejsi, niż się spodziewałem. Para pięćdziesięciolatków gadała i gadała bez końca o wuju Solomonie, który po przejściu na emeryturę poświęcił się kolekcjonowaniu dzieł malarstwa abstrakcyjnego. Podobno niedawno odwiedził Niemcy i wydał krocie na obrazy jakiegoś Kandinskiego. „Sztuka awangardowa”, jak twierdziła pani Guggenheim. „Kupa gówna”, jak skwitował jej mąż. Frau Fromm uważnie słuchała każdego słowa, ale ja zerkąłem tęsknie w stronę parkietu tanecznego, czując się jak w więzieniu. Zgodnie z zapowiedziami pod pozłacanym sufitem, brokatowymi zasłonami i imitacjami fresków w Palais de Danse gromadziła się dekadenska zbieranina arystokratów, filmowców, znanych sportowców, zwycięzców loterii hiperinflacji z 1923 roku, nowobogackich kupców i zrujnowanych polityków, ale przede wszystkim – najśliczniejszych dziewczyn w Berlinie.

– *Hallo, meine Liebe*, piękna jak zawsze! Świetny masz ten płaszcz, zadzwoni do mnie koniecznie – zaszczebiotała Frau Fromm, z uśmiechem jeszcze bardziej fałszywym niż dekoracje w lokalu, do wysokiej, atrakcyjnej blondynki o długich włosach i przenikliwym spojrzeniu, otulonej w futro, która przeszła obok nas, wywołując atmosferę wyczekiwania przy sąsiednich stolikach. Nie musiałem nawet pytać kto to.

– Leni Riefenstahl, pospolita aktorka, niezbyt utalentowana, chociaż z niezłej rodziny – mruknęła mi Bella do ucha. – Poznałam ją ze sto lat temu, jeszcze jako tancerkę tego tak zwanego tańca współczesnego, wychodziła na scenę półnago. Jej kochankiem był wtedy dwukrotnie starszy fabrykant jedwabiu, ale jest ambitna i pozbawiona skrupułów, więc może daleko zajść. Niedawno miał premierę jej debiut reżyserski, *Błękitne światło* czy coś takiego.

Ze smutkiem patrzyłem za oddalającą się Riefenstahl. W miejscu pełnym tak fascynujących kobiet siedziałem przykuty do stolika, od którego nie mogłem wstać, żeby nie urazić przekłetej Frau Fromm, która teraz zaczęła opisywać Amerykanom, z bogactwem szczegółów, tapicerkę *avant guerre*, którą nowa ambasadorka Francji madame François-Poncet obijała niedawno fotele w salonie. Przez chwilę się zastanawiałem, czy nie zasymulować omdlenia, zawału serca, nagłego ataku raka... Wiedziałem, że kronikarka nie zaakceptuje żadnej innej wymówki, a nie mogłem zrazić do siebie osoby, która mogła otworzyć mi tyle drzwi.

– Pan Ortega! Gdzie pan się podziewał? – Poznałem cienki wąsik i ciemną skórę Dzina, sekretarza Hanussena, i udało mi się jakoś ukryć zaskoczenie tak wylewnym powitaniem. – Tęskniliśmy za panem! Właśnie miałem do pana dzwonić, żeby sprawdzić, czy nie zapomniał pan o umówionym spotkaniu. – Szeroki uśmiech Dzina nie zdradzał nawet cienia ironii. – Jeśli piękne damy pozwolą, już od dłuższego czasu wyczekiwaliśmy naszego hiszpańskiego przyjaciela. – Wschodni czar i eleganckie maniery sekretarza pomogły mu przekonać niechętną z początku Bellę, która w końcu mnie puściła, ale wcześniej kazała przysiąc, że niedługo wpadnę do niej na herbatę, a ja tymczasem

wylewnie usprawiedliwiałem swoje zapominalstwo. Kiedy odeszliśmy już na bezpieczną odległość od dyplomatów, serdecznie podziękowałem mojemu wybawcy za uchronienie mnie przed pewną śmiercią z nudów.

– Sam pan wie, jaki jest mistrz. Ma chyba jakieś trzecie oko, jak tybetańscy lamowie: wydaje się zajęty własnymi sprawami, a tymczasem jest na bieżąco ze wszystkim, co się dzieje w otoczeniu – stwierdził Dzino tonem bardzo zbliżonym do autentycznego podziwu.

Kiedy podeszliśmy do ich stolika, poczułem się onieśmielony blaskiem brylantów, jedwabistymi włosami kobiet, kieliszkami szampana i wybuchami śmiechu. Nie znałem tam nikogo poza Hanussenem, więc próbowałem podejść i się przywitać, ale on trzymał mnie na dystans – przyjacielskim mrugnięciem dał mi do zrozumienia, że jest zbyt zaabsorbowany swoją blond towarzyszką. Dzino zajął miejsce obok niego, a ja usiadłem nieco dalej, obok paru pustych krzeseł. Nalałem sobie kieliszek i rozglądając się wokół, zauważyłem hrabiego Helldorfa, którego pozdrowiłem zdawkowym gestem. Nie był jedynym nazistą przy stoliku, obok niego siedział inny z blizną po pojedynku kończąca się tuż przy kąciku ust, która zmieniała jego arogancki uśmiech w złowrogi grymas. Nagle Hanussen wstał i rozmowy umilkły. Mistrz zamknął oczy i położył dłonie na skroniach poznanej przed chwilą blondynki.

– Nazywa się pani Grace, Grace Cameron – oświadczył mentalista podniosłym tonem.

– Właśnie to panu powiedziałam – odparła dziewczyna z uśmiechem.

– Pochodzi pani z jakiegoś niedalekiego kraju, prawdopodobnie z Anglii.

– To również łatwo zgadnąć bez żadnych specjalnych mocy. Obawiam się, że akcent mnie zdradza.

– Ale mieszka pani gdzie indziej, w Belgii. I choć można by wziąć panią za aktorkę, nie jest nią pani. Ale zdobyła pani sławę dzięki urodzie. – Dłonie Hanussena nadal spoczywały na skroniach blondynki.

– Wreszcie coś, czego panu nie powiedziałam, ale nie zdziwiłabym się, gdyby słyszał pan, że w zeszłym roku zostałam wybrana królową piękności Brukseli. Może spróbuje pan powiedzieć mi coś konkretnego, coś o mojej przyszłości? – zaproponowała Grace wyzywająco.

– Wkrótce w pani życiu zajdzie nagła zmiana. Pozna pani mężczyznę swoich marzeń pod olbrzymim żyrandolem. Umrze też pani pod podobną lampą.

Królowa piękności podniosła wzrok na sufit, z którego zwisał olbrzymi szklany pająk, i wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Bardzo pan dowcipny, panie Hanussen, ale jeśli cała ta historia to sposób na zaloty, to czuję się w obowiązku uprzedzić, że zupełnie mnie pan nie pociąga.

Mentalista wybudził się z rzekomego transu i zachichotał.

– Jest pani bardzo inteligentna, miss Cameron, ale czasem nie wszystko jest tym, czym się wydaje – powiedział i obrócił krzesło dziewczyny, tak że ta znalazła się twarzą w twarz z Dzinem. Roześmiali się oboje, a sekretarz uniósł w jej stronę kieliszek i się stuknęli.

Całe towarzystwo zaczęło głośno komentować pokaz mentalisty, a goście przy

sąsiednich stolikach popatrywali na nas i szemrali. W tej chwili, trzymając się pod ramię, wróciły panie zajmujące puste tymczasowo krzesła – pewnie z toalety. Serce zabiło mi mocniej, kiedy zobaczyłem Riefenstahl w towarzystwie baronowej. Leni robiła wrażenie i choć jak na mój gust miała nieco zbyt blisko osadzone oczy, ogólnie była bardzo atrakcyjna. Baronowa miała w sobie jednak coś szczególnego, jakiś blask bijący z wielkich, smutnych oczu oraz cudownie niedoskonały uśmiech. Była niższa od Riefenstahl, ale zdecydowanie bardziej proporcjonalnie zbudowana i kobieca, z delikatną szyją owiniętą boa z piór, którą zachwycająco poruszała. Przypomniałem sobie trikowy obraz w domu mentalisty i z szeroko rozdziawionymi ustami zerwałem się na równe nogi, żeby się z nią przywitać, ale Hanussen szybko posadził ją obok siebie i kontynuował występ. Nie mógł pozwolić, żeby ktoś inny znalazł się w centrum uwagi. Pozostawał gwiazdą nawet poza teatrem, jakby każdy jego krok śledziły światła jupiterów. Robił kawały, parodiował znane osoby, opowiadał dowcipy, kierował rozmowę na interesujące go tematy. Kiedy zainteresowanie gości zaczęło maleć, Hanussen zmienił taktykę i znalazł sobie kolejną ofiarę: nowego członka grupy, czyli mnie we własnej osobie. Podszedł i przesunął mi ręką po plecach z wyrazem skupienia na twarzy.

– Widzę, widzę... widzę, że ten frak odwiedził dwadzieścia sześć wesel, trzydzieści pogrzebów i siedemnaście bankietów. – Cały stół wybuchnął tubalnym śmiechem, a mnie ze wstydu zapłonęła twarz. Hanussen uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu, jakby przepraszająco. – Nie, ale tak poważnie, mój przyjaciel Pepe to bardzo dzielny mężczyzna, dużo odważniejszy od wszystkich tu zebranych. – Wyzywająco potoczył wzrokiem po mundurach SA-manów. – Mało kto wie o śmierci tyle co on, bo Pepe patrzył jej w twarz nie raz, lecz tysiące razy. Jest bowiem najprawdziwszym toreadorem. Tak, tak, nie ma co się śmiać. Pochodzi z dynastii matadorów i tragedię ma we krwi. Urodził się i wychował w bezlitosnym świecie, gdzie spryt i zwinność mogą stanowić o różnicy między chwałą a śmiertelną raną. Nie bacząc na konsekwencje, stawiał czoło najgroźniejszym bestiom. – Chciałem zapaść się pod ziemię. Mentalista najwyraźniej przejrzał moje łągarstwa, a teraz rewanżował się z nawiązką. Złapał szal jednej z dam, zaimprovizował kilka ruchów, a potem mi go rzucił. – Teraz jednak zobaczymy, czy zdoła ujarzmić najbardziej niebezpieczne zwierzę na świecie: kobietę w rui. – Na jego gest od stolika wstała jedna z biesiadniczek, brunetka o agresywnej urodzie, której egzotyczny wygląd podkreślał jedwabny welon. Wyjęła goździk z wazonika i zaczęła się zbliżać, sunąc ku mnie jak pantera. Poczułem zimny pot na karku, bałem się tak, jakbym rzeczywiście czekał na szarżę byka. Brunetka stanęła przede mną, zdjęła z głowy welon, wbiła we mnie natarczywe spojrzenie czarnych oczu, po czym objęła mnie w pasie prawą ręką i mocno pociągnęła.

– Teraz się przekonasz, jak La Jana tańczy tango – oznajmił Niemiec, zbliżając twarz do mojej na odległość kilku milimetrów. Na próżno próbowałem wytłumaczyć, że ani nie jestem Argentyńczykiem, ani nie mam zielonego pojęcia, jak się tańczy *La cumparsite*, bo to właśnie zaczęła grać orkiestra. Dzika kocica porwała mnie na parkiet, gdzie obchodziła się ze mną jak z pozbawioną stawów kukłą, miotając mną wte i wewte według własnego widzimisie. Jedno okążenie, drugie, następne... Do dziś pamiętam śmiechy odbijające się echem w Palais de Danse. Próbowałem wypatrzeć stolik Belli

Fromm i amerykańskich dyplomatów, ale na szczęście już sobie poszli. Niestety, do łez śmiały się głównie kobiety z mojego stolika, a zwłaszcza baronowa. Próbowałem się wymknąć, ale La Jana mnie złapała, zmusiła do kolejnego obrotu, wykręciła jeszcze parę ósemek i akurat na koniec utworu odchyliła moje ciało na swoim ramieniu. Przy szalonym aplauzie publiczności uśmiechnęła się do mnie i pozwoliła opaść powoli na podłogę.

Promień słońca zaświecił mi prosto w twarz i obudziłem się z nieprzyjemnym poczuciem, że nie wiem, gdzie się znajduję. Już mi się to zdarzało, ale tym razem wrażenie nie minęło po pierwszej chwili. Uczucie kołysania przywodziło na myśl łódkę, ale kiedy opuściłem nogę i wymacałem podłogę, odrzuciłem tę możliwość. To moja głowa się kiwała, nie łóżko. Miałem morderczego kaca, ból rozsadzał mi skronie i musiałem z powrotem się położyć. Uchyliłem jedną powiekę i dokonałem inspekcji pomieszczenia. Czerwona satynowa pościel na pewno nie należała do wyposażenia Pensión Latina, podobnie jak olbrzymia maska orientального demona wisząca na ścianie. Przez chwilę podejrzewałem, że trafiłem do burdelu, ale szybko w mojej głowie zaczęły się pojawiać zapomniane obrazy. Po lekcji tanga wróciliśmy z La Janą do stolika w deszczu oklasków. Baronowa ucałowała mnie w policzek, a jedna z dziewczyn podała mi kieliszek szampana, który wychyliłem do dna, potem przyszła inna, ale zażenowanie wracało falami i plątało mi język. Uznałem, że najlepiej będzie wrócić do pensjonatu, schować się pod łóżkiem i nie wychodzić przez rok. Kiedy jednak wstałem, baronowa złapała mnie za rękę i skłoniła do ponownego zajęcia miejsca.

– Nie ma się czego wstydzić, w Berlinie nikt się nie przejmuje takimi rzeczami, widzieliśmy tu już wszystko – powiedziała, wyjmując z małej złoconej torebki wieczorowej okrągłą puszczykę. – Otwórz buzię, zamknij oczy. – Nie potrafiłem odmówić. Poczulem, jak na podniebieniu rozpuściło mi się coś przypominającego suchy liść. Otworzyłem oczy i zajrzałem do pudełka: okazało się pełne małych kryształowych płatków. – To najlepsze antidotum na nieśmiałość – oznajmiła i schowała pojemniczek.

Od tej pory moje wspomnienia są dość mgliste: Leni Riefenstahl gadająca bez ustanku o kinie jako religii przyszłości, czy coś w tym guście, a potem znikająca z facetem, który po nią przyszedł. Delikatne i jędrne wargi baronowej na moich, tak na oczach wszystkich. Jak mogłem o tym nie pamiętać? Przypomniał mi się też jednak długi i soczysty pocałunek La Jany. Baronowa całująca się z Hanussenem. La Jana całująca się z baronową. Zaczęło mi się kręcić w głowie.

Następna wizja przedstawiała salon o pomalowanych na czarno ścianach. Wydawał się znajomy, wystrój przypominał ten w domu magika. Do towarzystwa dołączyli inni goście, a przynajmniej ich twarze wydawały mi się obce. Oczy Petera Lorrego. Groźny uśmiech Ohsta, kumpla Helldorfa z NSDAP. Mentalista stał nad jakąś kobietą, siedzącą na poręczu kanapy z zagubionym spojrzeniem, i hipnotyzował ją.

– Czujesz wielkie podniecenie, jak suka w rui. Tak, jesteś mokra, bardzo mokra. Czekasz na swojego mężczyznę. Niedługo przyjdzie, rozbierze cię i nadzieje na swoją wielką dzidę. Połóż się.

Dziewczyna z drzeniem wyciągnęła się na podłodze. Zgodnie z instrukcjami Hanussena rozłożyła nogi i z jękiem przyjęła wyimaginowanego kochanka. Zaczęła poruszać się zgodnie z rytmem jego bioder. W gwałtownym przebłysku ujrzałem twarz zahipnotyzowanej. Była to baronowa, ale z jej twarzy zniknął chłód, policzki płonęły, a rozchylone usta wyglądały dziecinnie i obscenicznie zarazem. Język wił się między

zębami, a dłonie pieściły niewidzialne ciało. W tym momencie jednak na wizję nałożył się obraz La Jany w podobnej sytuacji, wygiętej w łuk i szepczącej zberezeństwa. Niemal czułem jej ciało pod sobą. Wróciły zawroty głowy. Którą z kobiet zahipnotyzowano? Czy któreś z tych wspomnień było prawdziwe? Może obydwa? Usiadłem i otworzyłem oczy na tyle, na ile dałem radę. Byłem kompletnie nagi. Doświadczenie podpowiadało mi, że sądząc po wyglądzie odsuniętego od ściany łóżka, skotłowanej pościeli i porozrzucanych resztkach fraka, raczej nie spędziłem tej nocy sam. Ale z kim? Wyobrażałem sobie baronową, kochając się z La Janą? Przespałem się z baronową po tym, jak widziałem zahipnotyzowaną La Janę? Może to mnie zahipnotyzowano? Zacząłem walić ręką w czoło, jakbym chciał wbić sobie do głowy prawdę.

– Wyspał się nasz matador?

Musiałem porządnie otworzyć oczy, żeby upewnić się, że już nie śnię. W drzwiach stała baronowa, w różowym satynowym szlafroku z kołnierzem z gronostajów, i La Jana, ubrana wyłącznie w krótką halkę z czarnego jedwabiu. Obie uśmiechały się figlarnie. Moje spojrzenie powędrowało od nich do łóżka i z powrotem na drzwi. Baronowa zanosła się śmiechem.

– Wiesz, z którą z nas się przespałeś? Najwyraźniej nie. Cóż, może lepiej potrzymać cię w niepewności. Masz tu ubranie, żebyś nie musiał wracać w tym fraku z wypożyczalni. Pośpiesz się, mistrz czeka ze śniadaniem – powiedziała, po czym obie zniknęły jak poranne zjawy.

Okazało się, że minęła już trzynasta, więc umyłem się szybko i włożyłem garnitur, który mi przyniosły – szary w prążki. Leżał jak ulał i był dużo lepszej jakości niż każdy z przeze mnie posiadanych. Spojrzałem na metkę: kaszmir i wełna, z zakładu krawieckiego w wielkim domu towarowym KaDeWe, jednego z najdroższych w Berlinie. Po wyjściu z pokoju wpadłem prosto na jednego z noszących turbany lokajów, który zaprowadził mnie długimi korytarzami do jadalni. Tam, za lśniącym w słońcu stołem nakrytym białym lnianym obrusem, mentalista czekał już na mnie, sącząc kawę. Wyglądał nienagannie, jakby poszedł do łóżka o dwudziestej trzeciej ze szklanką ciepłego mleka, a nie wydoił kilka roczników szampana. Wydawał się wręcz młodszy niż poprzedniej nocy. To faktycznie byłbym gotów uznać za nadprzyrodzone moce, ja musiałem się postarzeć chyba o dwadzieścia lat. Chociaż nie pamiętałem, żebym widział go zażywającego magiczne płatki.

– Pepe, przyjacielu, już myślałem, że pan umarł – powiedział z uśmiechem i zerwał się jak na sprężynie. – Chodźmy, jest piękny dzień, trzeba z niego skorzystać.

Wyszliśmy na ulicę. Powietrze było rześkie, ale świeciło słońce. Gestem ręki odprawił czekającego na nas szofera i podeszliśmy do samochodu zaparkowanego przed bramą. Nie wypilem nawet kawy i ciągle trochę kręciło mi się w głowie, ale podczas gdy jeden ze służących składał dach pojazdu, od razu rozpoznałem wielkie reflektory i charakterystyczną sylwetkę bugatti type 46S, najnowszego modelu, który dotychczas widziałem tylko w gazetach. Dźwięk silnika okazał się cichym szmerem, nawet w moim delikatnym stanie.

– Mam sześć innych samochodów, ale tak wspaniałe popołudnie aż się prosi o czerwony, nie sądzi pan? – zapytał Hanussen, wrzucając jedynekę. Już po paru

przecznicach zorientowałem się, że może i ten człowiek jest wróżbitą, ale za kierownicą żaden z niego Nuvolari. Trzymał kierownicę jedną ręką i bez przerwy gadał, ledwo zerkając na drogę. Czuję nasilające się mdłości. – Dobrze się pan wczoraj bawił? Chciałbym przeprosić za ten numer z La Janą w Palais de Danse, czasem daję się ponieść potrzebie urzędnika spektaklu i się zapominam. W ramach zadośćuczynienia pozwoliłem sobie zrobić panu mały prezent. – W ostatniej chwili wymijając przechodzące przez ulicę dziecko, wyjął z kieszeni jakąś paczuszkę i wręczył mi ją. W środku znalazłem srebrne spinki do mankietów z moimi inicjałami. – Chociaż chyba i tak nieźle pan skorzystał na wczorajszym wieczorze – stwierdził i jak zwykle wybuchnął śmiechem. Nie dał mi szansy zadać pytania, które męczyło mnie od chwili przebudzenia. – Dziewczyny mówiły, że nie jest pan pewny, z którą się przespał. Czy to nie zabawne? Z brunetką, z blondynką, z obiema? Może z żadną. Lepiej nie wiedzieć, co to zmienia? Kobiety są wspaniałe, a przyjemność to iluzja, sen, urojenie, ważny jest nie tyle sam akt, ile wspomnienie, które nam po nim zostaje, zgodzi się pan ze mną, przyjacielu? – powiedział, stukając się palcem w skroń, o włos wyprzedzając wielki żółty piętrowy autobus. Poczuję, że skromna zawartość mojego żołądka szuka ujścia przez usta i gestem poprosiłem, żeby zmniejszył prędkość. On znowu się zaśmiał. – Powinien pan uważać na specyfiki baronowej, ta kobieta to prawdziwy demon z twarzą aniołka. Dla uspokojenia żołądka zabiorę pana w miejsce, z którego roztacza się najpiękniejszy moim zdaniem widok w mieście.

Zaparkowaliśmy bugatti przed jakąś restauracją i usiedliśmy przy jednym ze stolików wystawionych na zewnątrz. Fasadę budynku naprzeciwko pokrywał olbrzymi afisz: SENSACJA BERLINA. NAJSŁYNNIEJSZY JASNOWIDZ ŚWIATA: ERIK JAN HANUSSEN, FENOMEN NASZYCH CZASÓW. Niżej, dużo mniejszym drukiem, reklamowano drugi element programu: LA JANA I BALET ORIENTALNY. Nic dziwnego, że tak tańczyła.

– Nieźle, prawda? Mówiłem, że widok jest bezkonkurencyjny. – Patrzył na plakat z nieukrywaną satysfakcją. – Uzna mnie pan pewnie za zarozumialca i będzie pan miał rację, ale poświęciłem wiele wysiłku, żeby dotrzeć tu, gdzie jestem.

Pożerałem jajecznicę na szynce, wypijając przy tym pół litra kawy, a on zaczął opowiadać mi swoją historię. Urodził się w Ottakringu, żałosnej dzielnicy na przedmieściach Wiednia – „cuchnęło tam bardziej niż w małym tyłku”, jak sam powiedział. Ojciec, aktor z lichej wędrowniej trupy teatralnej, porwał jego matkę, córkę kupca, po czym zostawił samą z dzieckiem w drodze. Kobieta była jednak słabego zdrowia i wkrótce zmarła. „Wiem, brzmi to jak tanie powieści dla kucharek, ale życie czasem je przypomina”. Hanussen od małego czuł się wyjątkowy i, jak twierdził, już w wieku trzech lat zdołał w środku nocy ewakuować budynek, w którym spali, ratując dzięki temu mieszkańców przed wybuchem, który nastąpił wkrótce w drogerii na parterze. W wieku czternastu lat miał już dość marnego życia – „i męża pewnej trzydziestoosmioletniej śpiewaczki, który chciał mnie zabić” – i przy pierwszej nadarzącej się okazji uciekł z cyrkiem przejeżdżającym przez miasto.

Imał się najróżniejszych zajęć, od zmiatania podłóg po poskrabianie słoni i połykanie mieczy, a tuż przed wojną doczekał się pierwszych solowych występów jako

prestidigitator – „nie miałem zielonego pojęcia, co robię, ale ludziom się podobało”. Po wybuchu wielkiej wojny trafił do Bośni z armią cesarską i tam zaczęły nawiedzać go pierwsze przecucia. Pewnego dnia mieli pojechać pociągiem w stronę frontu, ale on dostał okropnego ataku paniki. Rozpętał straszne zamieszanie, żeby powstrzymać odjazd pociągu, w końcu nawet położył się na torach przed lokomotywą.

– Dokładnie w tym momencie jakiś pocisk uderzył prosto w wiadukt tuż za wyjazdem ze stacji. Buuum! – zawołał, uderzając ręką w stół, aż przewrócił moją filiżankę z kawą. – Gdyby nie moje przecucie, wszyscy byśmy zginęli.

Po tym wydarzeniu jego sława wzrosła do tego stopnia, że wkrótce pracował dla samego cesarza Austro-Węgier. Po zakończeniu wojny cieszył się coraz lepszą reputacją, ale z powodu intryg rywali – „w moim życiu są tylko wrogowie, arcywrogowie i koledzy po fachu” – musiał opuścić kraj i udać się na Wschód. Tam uczył się od zaklinaczy węży, marabutów i fakirów. Nie pamiętam już wszystkich sztuczek, o których mi opowiedział, ale jedna wydała mi się wyjątkowo odrażająca: dziecko wchodziło po linie, a po dotarciu na jej koniec znikowało. Potem magik wspinał się za nim z mieczem, również się ulatniał i ku przerażeniu widzów na ziemię zaczynały spadać szczątki poćwiartowanego malca. W końcu magik wypowiadał kilka formuł i chłopak pojawiał się cały i zdrowy.

– To tylko iluzja wykorzystująca efekt światła słonecznego, ale nie mógłbym zaprezentować tego triku nawet tutaj, w Berlinie. Dzięki podróży nauczyłem się jednak rozdzielać sztuczki od przecuć, kontrolować ukryty głos, który używa mnie jako głośnika.

Po powrocie do Europy znowu zaczął organizować pokazy, ale udzielał też prywatnych konsultacji i współpracował z policją różnych krajów przy wykrywaniu sprawców rozmaitych przestępstw, od rabunków przez porwania po zabójstwa. Jednak dopiero dzięki procesowi w Czechosłowacji osiągnął pełnię sławy, którą cieszył się do dziś. Nienawisć rywali wreszcie obróciła się przeciwko nim. Przez dwa lata poddawano go nieustającym próbom i testom, aż w końcu udowodnił sędziom, że nie jest oszustem i naprawdę dysponuje szczególnymi mocami. Jednak nawet z takim papierem w kieszeni niełatwo było mu zapewnić sobie bezdyskusyjnie uprzywilejowaną pozycję na szczycie Olimpu dla wybranych.

– No dobrze, ale pewnie się pan zastanawia, po co mu to wszystko opowiadam. Nie chodzi o to, że lubię o sobie mówić. – Obrzucił mnie jednym z tych przenikliwych spojrzeń, kiedy jego ciemne oczy zlewały się niemal w jedno z krzaczastymi brwiami, ale zaraz rozładował atmosferę uśmiechem. – Chociaż nie da się ukryć, że to uwielbiam, to mój ulubiony temat! Nie, ale poważnie: jak pan widzi, wiele kosztowało mnie dotarcie tu, gdzie dziś jestem. Świat sceny jest jednak zupełnie nieprzewidywalny. To, co dziś święci triumfy, jutro może już przebrzmieć. Dlatego trzeba się dawkować i nie stawiać wszystkiego na jedną kartę, zniknąć na jakiś czas, ale tak, żeby jednocześnie do ludzi wciąż docierały wieści o naszych sukcesach. Berlin to stolica widowisk, ale jest przy tym bezlitosny. Dziś piszą o mnie wszystkie gazety, jutro im się znudzę. Zajrzałem do egzemplarza popołudniówki. Z przerażeniem zobaczyłem zdjęcie z poprzedniego wieczoru, na którym hipnotyzuję Grace Cameron w Palais de Danse. Nie widziałem tam żadnego reportera. Proszę się nie martwić, kliszę z pańskim namiętym tangiem

odkupiłem, zanim zdążyli wywołać zdjęcia. Pewne jest jednak to, że sława, pieniądze i sukces budzą zawiść, a wszystko to miesza się z moją przepowiednią dotyczącą Hitlera. Jak już panu mówiłem, nie mieszam się w politykę, jestem zwykłym dobrym obywatelem, ale etyka zawodowa nie pozwala mi ukrywać, że gwiazdy sprzyjają nazistom. Jak można było przewidzieć, w kraju gdzie połowa populacji marzy o wybicciu drugiej połowy, tego typu wróżba, nawet zupełnie neutralna, może przynieść tylko kłopoty. Z tych wszystkich powodów, które właśnie panu wyłuszczyłem, słuszne wydaje mi się poszukać sobie nowego miejsca. Znają mnie niemal w całej Europie, a w Stanach Zjednoczonych próbowałem szczęścia już przed kilku laty, ale nic z tego nie wyszło. Nie wiem, czy to wina języka, czy braku wyobraźni tego prozaicznego narodu. Jest jednak wielki kontynent, gdzie jeszcze o mnie nie słyszano: Meksyk, Hawana, Rio de Janeiro, Buenos Aires... Olbrzymie, bogate miasta z wielkimi teatrami. Muszę zasiać tam pierwsze ziarna, żeby ludzie o mnie usłyszeli, nabrali apetytu na moje pokazy, a impresariowie zaczęli się ślinić na dźwięk mojego nazwiska, rozumie pan?

Jadłem właśnie drugiego croissanta i spojrzałem na niego pytająco. Mentalista zmarszczył czoło, z nutką niecierpliwości, jakby wątpił, czy słusznie robi.

– Słuchaj, Pepe, mogę ci mówić na ty? Głęboko wierzę w swój instynkt, zwykle mnie nie zawodzi. Na przykład Dzina poznałem parę lat temu w baru hotelu Adlon. Szedł pod ramię z dwiema bliźniaczkami i każdy uznałby go za typowego kobieciarza za dychę, jakich nie brakuje w Berlinie, Bośniaka, który choć bardzo sprawnie to ukrywał, nie miał grosza przy duszy. Ja jednak dostrzegłem w nim potencjał i zaproponowałem współpracę. Wierzyłem w niego do tego stopnia, że od razu spłaciłem jego długi hazardowe, przewyższające cztery tysiące marek. Nie pomyliłem się, okazał się wybitnym sekretarzem i pomocnikiem. Taki już jestem, wzbogaciłem się dzięki intuicji, więc jej ufam. Podobasz mi się, jesteś bystrym chłopakiem, nieco zielonym, ale sympatycznym, powiedziałbym nawet, że budzisz w ludziach jakiś instynkt opiekuńczy. Do tego jako dziennikarz z Hiszpanii musisz chyba siłą rzeczy znać przedstawicieli prasy południowoamerykańskiej w Berlinie, prawda?

Odparłem twierdząco – wielu mieszkało w moim pensjonacie, a z innymi często się spotykałem. Co więcej, część hiszpańskich korespondentów pisywała też do gazet wychodzących w Ameryce Łacińskiej.

– O to właśnie mi chodzi, bądź moim dojściem, zachęcaj ich, żeby o mnie pisali, wzbudzaj ich ciekawość, niech chodzą na moje występy i budują zainteresowanie moją osobą w swoich krajach. Myślisz, że mógłbyś to zrobić?

Przytaknąłem z uprzejmości. Czulem się zdezorientowany i skrępowany, nie widziałem się w roli propagandzisty magika. Miałem zajęcie i to na nim powinienem się skupić, jeśli nie chciałem stracić pracy.

– Możliwe też, że przydasz mi się do czegoś innego. Nie trzeba szczególnej przenikliwości, żeby zauważyć, że Dzino zakochał się na zabój w niejkiej Grace Cameron. Wystarczyło zobaczyć dziś rano jego oczy zbitego psa. Zdenerwowałem się na niego, skrzyczałem, nazwałem pieprzonym mieszczaninem, ale znam ludzką duszę na tyle dobrze, by wiedzieć, że pewnych rzeczy nie da się cofnąć, więc od tej pory nie będę mógł liczyć na mojego asystenta w tym samym stopniu co wcześniej. Jak się pewnie domyślasz,

nie proszę cię o to wszystko w ramach przysługi. Jestem gotów płacić ci pięćset marek miesięcznie. Plus koszty, że tak powiem, reprezentacyjne. Nie chodzi, rzecz jasna, o zatrudnienie na pełen etat, nie musisz rzucać pracy. Co więcej, sam pomogę ci szukać wiadomości, które mogą zainteresować twoich przełożonych. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie mam kontakty. Jesteś zainteresowany?

Bez chwili namysłu wyciągnąłem rękę. Uścisk jego dłoni był ciepły i lepki, a w śmiechu szczyrzyły się duże, żółtawe zęby.

Minął tydzień od mojej rozmowy z Erikiem Janem Hanussenem i choć przez ten czas jasnowidz się nie odzywał, ciągle plułem sobie w brodę, że przyjąłem jego ofertę. Prawdziwy reporter nigdy nie pozwoliłby się tak bezczelnie kupić – owszem, byłem dopiero adeptem sztuki dziennikarskiej, ale sam powinienem szukać wiadomości na ulicy, w dzielnicach robotniczych, na korytarzach parlamentu, poprzez własne kontakty. Jedząc churros z czekoladą w jadalni pensjonatu, pomyślałem o złożeniu wizyty Belli Fromm: chyba mnie polubiła, a mogłaby otworzyć mi wiele drzwi, pomóc załatwić wywiad z kanclerzem Brüningiem, umówiony wstępnie w hiszpańskiej ambasadzie. Jednak wizja popołudnia spędzonego przy herbacie i ciasteczkach oraz pogawędkach o nowych zasłonach w ambasadzie Belgii sprawiła, że odrzuciłem tę możliwość. Nagle podskoczyłem na terkot telefonu w recepcji, jak za każdym razem w ciągu ostatnich dni. Nerwowo nasłuchiwałem, czy to do mnie ktoś dzwoni, ale nikt nie zawołał mojego nazwiska, jak zwykle robiło się w takich wypadkach. Żeby spróbować się nieco uspokoić, otworzyłem świeże wydanie „Tageblatt”, szukając jakiejś wiadomości, która mogłaby zainspirować mnie do napisania artykułu, ale od czasu wyborów prezydenckich w burzliwej zwykle polityce niemieckiej zapanował pełen napięcia spokój. Dzięki zakazowi działalności SA oraz bojówek komunistycznych udało się zmniejszyć liczbę ofiar w starciach ulicznych, a gazety bawiły się teraz we wróżenie z fusów, co się stanie, kiedy stary marszałek Hindenburg – dźwigający osiemdziesiąt pięć lat na zmęczonym karku – wyzionie wreszcie ducha. Ogólnie rzecz biorąc: nic, co mogłoby zainteresować Hiszpanów. A jeśli nie będę publikował, zostanie mi tylko nędzna stała sumka wypłacana co miesiąc przez redakcję.

Jakby tego było mało, w tej właśnie chwili do jadalni wszedł Manuel Olivar z jakąś kartką w dłoni.

– Wybacz, że przeszkadzam, Pepe, ale mam do ciebie sprawę. Zbliży się koniec miesiąca, a ty nadal zalegasz mi za marzec. Dwieście dziesięć za każdy miesiąc, czyli w sumie czterysta dwadzieścia marek. Wiesz, że nie lubię się upominać, ale ja też muszę płacić rachunki, chociaż wiem, że wszyscy tu nie śmierdzicie groszem...

Rzuciłem okiem na rachunek, ale wiedziałem, że wyliczenia Manola się zgadzają. Nie dość, że ostatnio praktycznie nie pisałem, to jeszcze prowadziłem bardzo rozrzutny tryb życia, stawiałem dziewczynom i znajomym, jakbym był właścicielem Reichsbanku. Wydałem nawet kasę na wypożyczenie tego absurdalnego fraka, chociaż nie było mnie na to stać. Obiecałem jak najszybciej zapłacić i gospodarz wycofał się dyskretnie. Czterysta dwadzieścia „jajek”! Skąd ja je wytrzasnę? Najgorsze, że wiedziałem, nawet zbyt dobrze. Wychyliłem kieliszek anyżówki dla kurażu i wykręciłem numer z wizytówki. Głos służącego został po chwili zastąpiony przez inny, jasny i wyraźny, który zaczynał już brzmieć mi znajomo.

– Ortega, przyjacielu! Właśnie spodziewałem się twojego telefonu.

Pierwsze zadanie zlecone mi przez Erika Jana Hanussena polegało na zorganizowaniu konferencji prasowej w hotelu Eden, jednym z najlepszych w stolicy, w związku z nowym sezonem występów. Rzecznik prasowy zajął się zebraniem przedstawicieli mediów niemieckich, a ja prawie dostałem zawału na widok listy zaproszonych – ponad setka gości, w tym najgęstsza i najśłodsza śmietanka branży: felietoniści i krytycy reprezentujący „Tageblatt”, „Tempo”, „Berliner Zeitung”, „Uhu”, „Börsen-Courier” i „Süddeutsche Sonntagspost”, poważanych tytułów, wielu dość sceptycznie nastawionych do kwestii ezoterycznych. Żeby zapracować na te przekłete pięćset „jajek” – a także utrzymać posadę – musiałem sprowadzić przynajmniej dwudziestu korespondentów z Hiszpanii i Ameryki Południowej, a nie miałem nawet pewności, czy tyłu nas jest. Przez cały tydzień wisiałem na słuchawce albo tkwiłem przy barze w różnych lokalach, błagając i upijając kolegów. Armesto przysporzył mi najwięcej trudności – z powodu komunistycznych przekonań miał skrupuły przed robieniem szumu wokół, jego zdaniem, oszusta nie z tej ziemi. Słowa nie opiszą, ile kosztowało mnie przekonanie go, że konserwatywni czytelnicy hiszpańskich gazet, do których pisze, już bez jego pomocy zupełnie odurzyli się opium dla ludu. W końcu udało mi się zebrać osiemnastu dziennikarzy, w tym Xammara, który – ku mojemu zaskoczeniu – wydawał się wręcz rozbawiony całą sprawą. Dla równego rachunku poprosiłem jeszcze meksykańskiego generała, który zawsze nosił przy sobie pistolet, i Manuela Olivara, żeby dołączyli do naszej wesołej gromadki. Obaj zgodzili się z takim entuzjazmem, jakbym zaprosił ich do teatru.

Punktualnie o szóstej, ledwie dziennikarze zaczęli sączyć słynne martini serwowane przez Joego, kolorowego barmana z hotelu Eden, Erik Jan Hanussen zrobił wejście. Jak już wspominałem, nie grzeszył wysokim wzrostem, a brzuch miał godny czterdziestolatka zdolnego przegonić w picciu pułk huzarów. Jednak jego czarne, lśniące włosy, garnitur skrojony przez mistrza igły, a przede wszystkim energia i prężny krok sprawiały, że zawsze błyszczał niczym w świetle jupiterów. Przywitał się kolejno z wszystkimi gośćmi, a dla każdego miał szeroki uśmiech i miłe słowo. Kiedy dotarł do mojej grupy i przedstawiłem mu przedstawicieli prasy argentyńskiej (tak naprawdę dwóch), zaczął zniecka śpiewać, całkiem niezłym głosem i z manierą znad La Platy, zwrotkę jakiegoś tanga: „Wystrojona na bogato tańczysz w stylu corte / i z nutką snobizmu pijesz prissé”. Od razu wszystkich sobie zjednał. Korespondent z „La Nación” nie krył entuzjazmu:

– O rany, ten koleś jest jak Gardel z żydowskim nochalem.

Nie mogłem opanować wybuchu śmiechu. Hanussen Żydem, co za absurd!

Kiedy powitania dobiegły końca, mentalista wszedł na scenę, na której grała zwykle hotelowa orkiestra, i zaczął przemawiać. Zdefiniował jasnowidzenie jako pierwotny, podstawowy punkt w kontinuum czasoprzestrzennym Einsteina. Mogło to zabrzmieć pretensjonalnie, ale dzięki sporej dawce ironii nawet najbardziej uczeni

dziennikarze nie mogli się przyczepić. Potem opowiedział o poszczególnych elementach nowego spektaklu, do których należały: telepatia, grafologia – polegająca na badaniu pisma widzów, analiza podpisów znanych osób, „komboloi” – tybetański sznur koralików przypominający różaniec, który pomagał odnajdować zaginione przedmioty, a do tego podobno poprawiał wydolność seksualną, cud z Konnersreuth – magik miał krwawić jak Teresa Neumann, słynna stygmatyczka z tej niemieckiej gminy, telewizja – wizualizacja obrazów, radiestezja oraz oczywiście gwóźdź programu, czyli jasnowidzenie. Hanussen zaznaczył, że podczas żadnego występu nie zaprezentuje wszystkich tych numerów ani nie wykona ich w tej właśnie kolejności. Według niego pozwoli to zaskakiwać publikę, choć wyglądało raczej na to, że chciał, by ludzie po kilka razy przychodzili na pokazy z obawy przed pominięciem któregoś z elementów. Potem Hanussen zachęcił do zadawania pytań.

– Adolf Stein z „Germanii”. Czy pan Hitler będzie obecny na pańskich spektaklach?

Sprawa przepowiedni Erika wciąż była świeża i wszyscy spodziewaliśmy się, że temat prędzej czy później wypłynie na konferencji.

– To chyba pytanie do niego, proszę pana – odparł mentalista z uśmiechem. – Tak czy inaczej będzie musiał kupić bilet w kasie, jak wszyscy. Za darmo wpuszczam tylko ładne dziewczyny! – Dziennikarze wybuchnęli śmiechem. Dla wszystkich stało się jasne, że starego wyjadacza niełatwo będzie zbić z pantałyku.

– Hans Tasiemka, „Tempo”. Czy w każdym numerze korzysta pan z tak zwanych mocy, czy możemy spodziewać się również trików iluzjonistycznych? – zapytał gruby facet z cygarem w zębach.

– Co jest jasnowidzeniem, a co zwykłą rozrywką umysłową? Czasem trudno rozróżnić jedno od drugiego. – Hanussen podszedł do stojącej na scenie tablicy. Wziął do ręki kredę, szybkim gestem nabazgrał coś na czarnej powierzchni, obrócił się i zaprezentował rezultat. – Czy to pana podpis, panie Tasiemka? – Na pół zirytowany, na pół zaskoczony dziennikarz z „Tempa” musiał przyznać, że owszem. – Potrafię zachować w pamięci siedemset różnych podpisów i idealnie je odtworzyć. To nadprzyrodzone moce czy sztuczka? – Nie wiem, czy sobie to wcześniej przygotował, ale na pewno zamknął usta kilku niedowiarkom.

Kolejne pytania dotyczyły przede wszystkim sytuacji w kraju. Hanussen zapowiedział rychłe wyjście z kryzysu, gwałtowny spadek bezrobocia, odkrycie wielkich złóż ropy w Bawarii, pokojowe przyłączenie Gdańska i utworzenie niemieckiego korytarza przez Polskę. Przewidział również, że grand prix w letnich wyścigach konnych zdobędzie pięcioletnia gniada klacz, a Max Schmeling w ciągu kilku najbliższych miesięcy straci tytuł mistrza świata wszech wag, ale wkrótce go odzyska. Czy mówił coś o nazistach? Owszem, ale potrafił robić to tak, by nie wywoływać zbyt wielu kontrowersji. Według niego tabele astrologiczne Hitlera wskazywały, że najbliższe kilka miesięcy będzie przełomowe i że prawdopodobnie zasiądzie on na fotelu kanclerza. Wszystko jednak mogło się zmienić. Świetny sposób, żeby mieć ciastko i zjeść ciastko, owinać sobie wokół palca przedstawicieli prasy z całego niemal szerokiego wachlarza ideologii wyznawanych w Republice Weimarskiej. Po serii pytań i odpowiedzi wszyscy

razem uraczyli się kolejnymi martini, śmiejąc się przy tym z żartów Hanussena. Gdy przyszło do pożegnania, większość zaproszonych przeze mnie dziennikarzy zdawała się usatysfakcjonowana i dobrze usposobiona do „najnowszego fenomenu”. Zwłaszcza Manuel Olivar sprawiał wrażenie bardzo rozentuzjasmowanego.

– To było jak pokaz cyrkowy tylko dla nas! – zawołał, klepiąc mnie energicznie po ramieniu. – Kiedy tylko zapłacisz mi zaległy czynsz, umówię się do niego na prywatną konsultację. Chciałbym zapytać go o parę inwestycji, co do których nie jestem do końca przekonany. Mógłbyś mi to załatwić?

Prawie wszyscy byli zadowoleni. Prawie. Już kiedy wychodził, zapytałem Eugeniego Xammara, co sądzi o konferencji. Odciągnął mnie na stronę.

– Świetna zabawa, Pepe, niezły oryginał z tego twojego szefa, prawdziwa osobowość. Korespondenci na pewno napiszą pochwalne artykuły, a może nawet będą próbowali przekonać czytelników, że Hanussen naprawdę ma jakieś moce. W końcu autentyczni jasnowidze sprzedają dużo więcej gazet niż fałszywi prorocy. Pamiętaj jednak, że jesteś dziennikarzem, a nie kuglarzem. Nie zapomnij się. – Xammar z tym swoim zdrowym rozsądkiem psuł czasem całą zabawę.

Nigdy wcześniej nie odwiedziłem apartamentu w Adlonie. Właściwie po raz pierwszy znalazłem się w pokoju hotelu takiej kategorii, najlepszego w Berlinie. Okazał się oczywiście wielki, o bardzo konserwatywnym wystroju, niemal pałacowy. Mimo to było tu również przyjemnie – dorodne rośliny doniczkowe, perskie dywany i światło wpadające przez duże okna czyniły to miejsce przytulnym, pozwalały poczuć się jak w domu. Gdybym miał kupę forsy na wynajęcie tutaj pokoju... Pewnie, przywykłem do mieszkania w Pensión Latina, a nawet w gorszych miejscach, więc ta myśl była absurdalna, musiałem pożyczyć ją od któregoś z poznanych w ostatnich czasach snobów, narzekających, że luksusowe hotele są zbyt bezosobowe.

– Proszę, niech pan usiądzie.

Również nigdy wcześniej nie widziałem z bliska laureata Nagrody Nobla, nie mówiąc nawet o przeprowadzeniu z nim wywiadu. Tomasz Mann był niewysoki i miał wielką głowę, ale postawę arystokraty, zdawał się tkwić na jednej nodze jak czapla. Podłużną twarz znaczył trójkąt złożony z ostrego nosa, siwych wąsów i mocnego podbródka. Nieprzyjemne spojrzenie błękitnych oczu i lewa brew uniesiona pytająco wyżej niż prawa dodatkowo potęgowały moją już i tak niemałą tremę. Praktycznie nie znałem życiorysu ani twórczości pisarza. Próbowałem przebrnąć przez *Czarodziejską górę*, ale utknąłem w lesie abstrakcyjnych refleksji, zupełnie dla mnie niezrozumiałych, które zniechęciły mnie już po kilku pierwszych stronach. Któregoś wieczoru przekartkowałem znacznie cieńszą *Śmierć w Wenecji*, ale z trudem udało mi się nie zasnąć nad tymi wszystkimi ozdobnikami przy braku akcji. Przez chwilę żałowałem, że w ogóle zgodziłem się przeprowadzić ten wywiad, nie czułem się na siłach, ale Hanussenowi nie dało się odmówić. To on bowiem załatwił tę rozmowę, w ramach zapłaty za organizację konferencji prasowej. Spodziewałem się, że skontaktuje mnie raczej z jakąś postacią ze świata rozrywki, może z polityczną płotką albo i samym hrabią Helldorfem. Tymczasem Hanussen postanowił niespodziewanie uraczyć mnie największym z wielkich trofeów – laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Mało kto cieszył się wówczas w Niemczech większym prestiżem niż ten pisarz, więc Hanussen chciał pewnie zaimponować mi swoją ekskluzywną i rozległą siecią kontaktów. Mann najwyraźniej interesował się okultyzmem, prowadził z mentalistą ożywioną korespondencję, a nawet zdarzało mu się napisać jakiś artykuł do jego gazet.

– Czy Nobel to szczytowe osiągnięcie w pańskiej karierze? – Co za głupota. To tak jakby zapytać aktora, czy swój ostatni film uważa za najlepszy. Problem w tym, że nie za bardzo wiedziałem, o co pytać, nigdy wcześniej nie przeprowadzałem wywiadu z literatem, zwłaszcza takiej klasy. Lewa brew Manna uniosła się jeszcze wyżej niż zwykle.

– Jak na razie nie zamierzam ani umierać, ani rzucać pisania tylko dlatego, że dali mi jakąś nagrodę – odparł nieco poirytowany. – Obecnie kończę pracę nad pierwszą z cyklu książek zainspirowanych biblijną historią Józefa, planuję tetralogię. – Świetnie, i tak oto zabrnęliśmy w ślepy zaułek.

Moja edukacja religijna pozostawiała wiele do życzenia, a o Józefie wiedziałem tyle, że bracia wrzucili go do studni. W tym samym miejscu sam się teraz znajdowałem: na dnie studni, w egipskich ciemnościach.

– Czy *Czarodziejska góra* to pana najlepsze dzieło?

– Nie da się ukryć, że jestem bardzo zadowolony z tej książki, może dlatego że stara się stworzyć syntezę kultury europejskiej, mniej lub bardziej trafne wytłumaczenie tego, dlaczego jesteśmy, jacy jesteśmy, dlaczego raz po raz popełniamy dokładnie te same błędy. Jednak pytać autora o ulubione dzieło to trochę jak pytać rodzica, które dziecko kocha najbardziej.

– Pisze pan codziennie? Woli pan ołówek czy pióro? – Wszystkie pytania, które przygotowałem sobie w notatniku, wydawały mi się równie żenujące. Lewa brew Tomasza Manna zaczęła przypominać grot strzały.

– *Jawohl!* Kiedy jestem w domu w Monachium, zaczynam pisać o dziewiątej, po porannej kawie i kromce chleba z konfiturą z malin, jeśli interesuje to pana czytelników, i kończę o trzynastej. – Co za zgryźliwy facet. – Popołudnia poświęcam na czytanie, prowadzenie obfitej korespondencji oraz spaceru z psem.

Gdybym zapytał o rasę psa, wybiłyby mi chyba oko tą brwią. Musiałem powiedzieć coś naprawdę inteligentnego.

– Czy można pokusić się o stwierdzenie, że piękno stanowi jeden z najważniejszych motywów pańskiej twórczości? – Mnie osobiście cała ta historia starucha i chłopca ze *Śmierci w Wenecji* zdawała się zakrawać na pederastię, ale chyba trafiłem.

– W pewnym sensie owszem. – Brew leciutko opadła. – Zajmuje mnie rozdarcie artysty między emocjami wzbudzonymi przez piękno a banalnością codziennego życia, między poetycką wizją a koniecznością złapania autobusu kwadrans po ósmej. A także paradoks, że wizja ta nie mogłaby istnieć bez swojego przeciwieństwa, bez tego drugiego aspektu egzystencji, który ją inspiruje.

Pustka. Ta odpowiedź wywołała w mojej głowie absolutną pustkę. Nie pozostało mi nic innego, jak sięgnąć po ostatni karteluszek.

– Jaki jest pana stosunek do hiszpańskiej literatury i sztuki? – Po tym pytaniu mogłem już iść do domu, nic więcej nie miałem. Pozostałe nie nadawały się nawet do wysmarkania nosa.

– Południe to kwintesencja zmysłowości, intelektualnej przygody, pasji kolorów i życia, piękna mimo bólu lub właśnie poprzez niego. Nie miałem jeszcze okazji odwiedzić pańskiego kraju, ale boję się to zrobić, zniszczyć stworzoną w głowie wizję. Zawsze jednak interesowałem się waszymi autorami, oczywiście Cervantesem, ale też bardziej współczesnymi.

Ostatnie słowa zapaliły jakąś lampkę w otchłaniach mojej pustej głowy. Zawahałem się chwilę, po czym wypaliłem:

– A co sądzi pan o twórczości Josego Ortegi y Gassetta? Zapomniałem wspomnieć, że to mój dalszy wuj.

Wzmianka o hiszpańskim filozofie i naszym pokrewieństwie w mgnieniu oka stępiła spiczastą brew. Noblista zaczął perorować z zapalem, nie dało się go powstrzymać.

Nawet nie musiałem o nic pytać: sam z siebie podyktował mi cały wykład o *Buncie mas*, jego przełożeniu na sytuację w Niemczech i – jakżeby inaczej – nazizmie.

– Antysemityzm jest jak granat rzucony po to, by wywołać chaos i zamieszanie w obozie demokratów, ale naziści zaatakują wkrótce także fundamenty humanistycznego chrześcijaństwa. Jesteśmy obecnie świadkami ni mniej, ni więcej, tylko ekspresji pierwotnych pogańskich instynktów, buntujących się przeciwko dziesięciu przykazaniom.

Zużyłem trzy notesy na zapisanie jego wypowiedzi. Po zakończeniu wywiadu przekazał mi serdeczne pozdrowienia i kilka książek z dedykacją dla mojego rzekomego krewnego. Szkoda, że dziś nie wiem, gdzie się podziały. Całe szczęście, że w porę przypomniałem sobie radę udzieloną mi przez Armesta na początku mojego pobytu w Berlinie: „Z normalnymi ludźmi gadaj o Belmontem, z intelektualistami – o Ortedze”. Przestrzegałem jego instrukcji niemal co do joty.

Dzięki temu wywiadowi szczęście wreszcie się do mnie uśmiechnęło. Redaktor naczelny, zaskoczony artykułem, poświęcił mi trzy kolumny na pierwszej stronie i od tamtej pory zaczął zupełnie inaczej traktować moje pisanie. Również koledzy wreszcie postrzegali mnie jako pełnoprawnego członka swojego grona. Nawet Armesta, uważającego mnie za pożytecznego idiotę faszystowskiej międzynarodówki, zbił z tropu mój wywiad z jednym z symboli lewicowych intelektualistów.

Zmianę zawdzięczałem również pieniądzom od Hanussena. Mistrz okazał się niezwykle hojny i do miesięcznej pensji dorzucał mi zawrotnie wysokie dodatki, co pozwalało mi odwiedzać – nierzadko w jego towarzystwie – najlepsze berlińskie restauracje, kluby nocne i kabarety. Mogłem też pozwolić sobie na dziewczynę adekwatną do mojego nowego, wyższego statusu. Nigdy się nie dowiedziałem, z kim przespałem się tamtej pamiętnej nocy, ale że baronowa zdawała się zbyt zaabsorbowana Hanussenem, a ja nie zamierzałem uganiać się za nią i zebrać o względy, zdecydowałem się na La Janę. Wiem, że nie brzmi to zbyt romantycznie, ale w wieku dwudziestu pięciu lat nie można sobie pozwolić na marnowanie czasu. La Jana nie tylko miała ciało, na którego widok zatrzymywały się samochody, żółtawe kocie oczy i ponadprzeciętny apetyt na seks, lecz także stanowiła część świata rozjarzonych wielkomiejskich neonów, do którego ja również – choć próbowałem się tego wypierać – chciałem należeć, symbol mojego sukcesu. Próżność: to chyba najczęstszy grzech popełniany przez mężczyzn mojego pokroju. Oczami wyobraźni widziałem przyjaciół z Madrytu zieleniejących z zazdrości przy lekturze moich listów, w których chwaliłem się romansem z niemiecką gwiazdą rozrywki, wyrafinowaną i uwodzicielską królową erotyzmu. Nie przeczę też, że w głębi duszy miałem nadzieję prędzej czy później wzbudzić zazdrość w baronowej, która w końcu mi ulegnie i padnie w ramiona.

Ona jednak nadal odgrywała swoją rolę lodowej bogini. Dlatego zaskoczyło mnie, kiedy pewnego wieczoru – byłem umówiony na kolację z Hanussenem po jego występie w Scali – to ona, a nie jak zwykle szofer, przyjechała po mnie packardem mistrza. Jej wejście w skąpej, srebrzystej sukience wywołało sensację w Pensión Latina.

– *¡Em cago en tot!*¹ – zawołał Manuel Olivar, przeczesując dłonią białe włosy. – Nie widziałem takiej panny od... od... Cholera, nigdy nie widziałem na żywo takiej dziewczyny!

– Jeśli piekło by istniało, na pewno byś do niego trafił – stwierdził Armesto z uśmiechem, udając, że nie może oderwać oczu od gazety, którą czytał w recepcji.

Dumny jak paw wsiadłem do samochodu. Kiedy jednak ruszyliśmy, stało się to, co zwykle przydarzało mi się w jej towarzystwie: nie mogłem wydusić słowa. Próbowałem wymyślić coś oryginalnego, lekkiego i zaczepnego zarazem. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy, więc patrzyłem tylko na jej dłonie na kierownicy – drobne, białe, o ledwo widocznych żyłach i niezbyt długich, ale delikatnych palcach.

– Podobają ci się moje palce? – zapytała i spojrzała na nie ze zmarszczonym czołem. – Masz fatalny gust, to najgorsza część mojego ciała. Są za krótkie, to pewnie

kwestia chowu wsobnego. Cóż, w naszej klasie społecznej nie da się uniknąć pewnych defektów.

– Naprawdę jesteś baronową? Jak się nazywasz?

Dziwna sprawa – niezależnie od tego, jak wiele bym rozpytywał, nikt nic o niej nie wiedział, dostawałem tylko zdawkowe odpowiedzi: że jest z Hanussenem od roku, jako coś w rodzaju skrzyżowania sekretarki i kochanki niewyżytego magika, że zarządza jego grafiką i prowadzi dom, że traktuje ją jako jedną z nielicznych naprawdę zaufanych osób. Pochodziła z któregoś europejskiego kraju z niemieckimi wpływami, jednego z rozbitków po zatopionym cesarstwie austro-węgierskim. To tłumaczyło jej przesłodzony akcent i lekkie przeciąganie głóski „s”.

– Czy to naprawdę ważne? Co za różnica, skąd pochodzimy? Naprawdę liczy się tylko to, kim jesteśmy w danej chwili.

Poza tajemniczej arystokratki-nihilistki doprowadzała mnie do szału, a jednocześnie podniecała. Baronowa wznosiła mur, którego nie dało się pokonać, stawiała się ponad nieszczęściami pozostałych śmiertelników.

– W takim razie kim jesteś? – W kontaktach z kobietami nigdy nie wzbijałem się na wyżyny myśli filozoficznej, ale czułem potrzebę, żeby wyciągnąć z tej rozmowy coś konkretnego.

– Dla ciebie jestem złotym pucharem, którego nigdy nie zdobędziesz. Możliwe, że tak naprawdę jest on blaszany, więc lepiej się za bardzo nie zbliżać.

Jak zareagować na takie *dictum*? Klasycznie: stracić zimną krew i uczeplić się śpiewki „czemu on, a nie ja”. Miałem lekkie wyrzuty sumienia ze względu na Hanussena, który świetnie mnie traktował, ale on miał przecież dziewczyn na pęczki, a ja szalałem tylko na punkcie tej jednej.

– Mistrz jest zupełnie inny, czyta we mnie jak w otwartej książce. Powiem ci coś, o czym nikt inny nie wie: poznałam Erika w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku, podczas prywatnej konsultacji, mniejsza o to gdzie. Gdy tylko mnie zobaczył, oznajmił, że jestem uwięziona w małżeństwie bez miłości, co było prawdą, za trzy tygodnie zostawię męża i zostanę jego kochanką. Spoliczkowałam go, wstałam i wyszłam bez płacenia. Pomylił się: dopiero po prawie trzech latach zapukałam do drzwi jego domu w Berlinie. Od tamtej pory należę do niego.

Ta historia odebrała mi resztki nadziei. Nie miałem szans z wszytkowiedzącym. Reszta podróży upłynęła w milczeniu.

Byliśmy umówieni w Himmel und Hölle – piekło i niebo – lokalu z restauracją i kabaretem, chętnie odwiedzanym przez znanych i bogatych. Przy drzwiach witały gości dwie figury: Święty Piotr prowadził klientów, którzy zarezerwowali miejsce w raj, do sali o ścianach pomalowanych na niebiesko, udekorowanej poduchami w kształcie chmur oraz świętymi obrazkami i księgami, z podkładem muzycznym w formie chorałów gregoriańskich i eterycznymi blond kelnerami ze skrzydłami przyklejonymi do pleców. Z drugiej strony, tak jak niechący przewidział Armesto, szatan zapraszał do swojego królestwa – sali o niskim sklepieniu, urządzonej w stylu mrocznej jamy rozjaśnionej czerwonymi światłami i płomieniami wydobywającymi się z gazowych grzejników. Kelnerzy w obcisłych diabelskich kostiumach, z rogami i ogonami, serwowali dymiące

trunki i kłuli klientów trójzębami, ale Hanussen miał tak groźny wyraz twarzy, że nikt nie odważyłby się go zaczepić.

– To będzie kolacja dla zakochanych parok? Nikt więcej nie przyjdzie? Niczego nie potrafisz dobrze zrobić? – zapytał baronową z irytacją na powitanie. La Jana też wyraźnie się najeżyła, kiedy zobaczyła, że zjawiliśmy się razem.

Pierwszy raz widziałem mentalistę w złym nastroju. Uśmiech i beztroska radosnego fauna zostały zastąpione przez maskę, którą przywdziewał na występy: zmarszczone brwi rzucały cień na oczy, w których źrenice lśniły jak dwie bryłki węgla. Nie lubił półśrodków, a nade wszystko cenił sobie publiczność, klikę przyjaciół i wielbicielek z przyległościami. Tymczasem tej nocy biesiadników było mniej niż ochroniarzy – dyżurnych pięciu piło piwo przy barze, nie próbując nawet ukryć wypukłości smyth & wessonów pod marynarkami. Baronowa odrzuciła pozę królowej śniegu. Nie mogła wytrzymać spojrzenia Hanussena i wykręcała dłonie jak mała dziewczynka przyłapaną na psocie.

– Naprawdę próbowałam. Ale na dzisiejszy wieczór wszyscy byli już poumawiani.

– Jeśli rezerwuję tu stolik, to chcę się dobrze bawić. Na stypę nie muszę się wybierać do piekła, tylko na cmentarz. Jeśli ktoś mnie tu zobaczy, od razu pomyśli, że źle mi się wiedzie.

– Przysięgam, że zaprosiłam księcia Jerzego Lobkowicza i innych znajomych – tłumaczyła się baronowa z czerwonymi policzkami i oczami mokrymi od łez. – Potwierdził jeszcze dziś rano, potem musiało się coś stać i nie miał innego wyjścia, jak tylko uprzejmie odmówić. Zajrzałam do niego w drodze po Pepe, ale nie nadawał się do wyjścia.

W tej chwili podszedł do nas szatański maître z rogami i ogonem i zaczął czytać listę dań dnia. Jak można się było spodziewać po piekle, w rekomendacjach podkreślał negatywne aspekty potraw: antrykot wyszedł nam trochę niedosmażony, chyba nawet ciągle się trochę rusza; *Sauerbraten* może wywołać niestrawność; tłuszcz z kiełbasek zatka państwu tętnice i za parę dni umrzecie. Hanussen dobrze znał maître i żartował sobie z jego zdolności przewidywania przyszłości. Kiedy wrócił do naszej rozmowy, jego czoło się wygładziło, a głos stracił ostry ton.

– Lobkowicz? Ten kierowca wyścigowy? – ciągnął, jakby wcale się wcześniej nie wściekał. – Słyszałem, że to bardzo obiecujący facet, z jajami, jeden z najszybszych. Chętnie bym go poznał i zapytał o radę co do samochodu, który chcę kupić.

– Następny? – zapytała La Jana, wciąż naburmuszona. – Jak tak dalej pójdzie, to niedługo będziesz mógł otworzyć przedsiębiorstwo taksówkowe.

Zapytałem, czy księciu coś dolega, mimo że nie miałem pojęcia kto zacz. Według baronowej rajdowiec twierdził, że cierpi na skurcze żołądka i woli odpocząć przed międzynarodowymi zawodami, które miały się odbyć za parę dni na torze Avus na przedmieściach Berlina.

– Potem spotkałam Ulego Etzenberga, jednego ze znajomych księcia, który powiedział mi, że się martwi, bo bóle są silne, a lekarze nie są pewni przyczyny problemu.

Podczas całej tej opowieści Hanussen wydawał się nieobecny, jakby próbował spojrzeć poza czerwone ściany restauracji. Nagle jednym ruchem zerwał się na równe

nogi, aż wszyscy podskoczyliśmy.

– Pepe! – zawołał, szarpiąc mnie za ramię. – Musimy jak najszybciej zwołać konferencję prasową! Najlepiej jutro! – Gwałtownie odwrócił się na pięcie i wymaszerował z restauracji, ku poruszeniu szatańskich kelnerów, którzy przynieśli nam właśnie przystawki.

¡Em cago en tot! (kat.) – Ja pierdolę! (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Musiałem się nieźle nagimnastykować, żeby namówić znajomych korespondentów na udział w drugiej w ciągu trzech tygodni konferencji prasowej, do tego to na mnie spoczął obowiązek zwołania berlińskich dziennikarzy, bo rzecznik prasowy Erika był poza miastem. Tym trudniej było mi wzbudzić zainteresowanie, że sam nie miałem zielonego pojęcia, co Hanussen zamierza ogłosić. Nie wiedzieli tego również baronowa ani Dżino. Wielka zagadka. Jedyne informacje, jakiej mogłem udzielić dziennikarzom, to że wydarzenie odbędzie się w siedzibie Niemieckiego Klubu Automobilowego. Nie wiem, jak mentalista przekonał władze tej szacownej instytucji, ale odetchnąłem z ulgą, gdy o piątej po południu w sali konferencyjnej zebrał się całkiem pokaźny tłumek – czterdziestu przedstawicieli różnych mediów. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy „ulga” to właściwe określenie mojego stanu ducha. Jakkolwiek by na to patrzeć, moja delikatna reputacja zawodowa w dużym stopniu zależała od tego, co ogłosi Erik. Jeśli okaże się to tanim chwytem reklamowym, *boutade*¹, to słono zapłacę.

Tym razem Hanussen nie powitał dziennikarzy uśmiechem ani żartami. W podniosłej atmosferze powagi zajął jedyne miejsce za stołem prezydyjnym. Przez kilka chwil w milczeniu toczył przenikliwym spojrzeniem po zgromadzonych. Potem zaczął przemawiać.

– Szanowni państwo, dziękuję za przybycie mimo tak krótkiego terminu, ale muszę oznajmić państwu sprawę niecierpiącą zwłoki. Jak państwo wiedzą, w przyszłą niedzielę, dwudziestego drugiego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku, na torze Avus odbędzie się międzynarodowy wyścig automobilowy Grand Prix, zorganizowany przez prestiżowe stowarzyszenie, które zgodziło się ugościć nas dziś w swoich progach. Mogą też państwo wiedzieć, że w zawodach tych weźmie udział, oprócz innych asów kierownicy, książę Jerzy Lobkowitz w bugatti T54, doświadczony automobilista o imponującym dorobku, powszechnie znany nie tylko dzięki swojej karierze zawodowej, lecz także jako członek znamienitego rodu. Cóż, nie lubię przekazywać złych wiadomości ani ponurych omenów, ale w tej chwili, w państwa obecności, oświadczam, że podczas niedzielnego wyścigu książę ulegnie straszliwemu wypadkowi. Nie potrafię dokładnie określić charakteru urazów, ale bardzo możliwe, że okażą się one śmiertelne.

Poczułem, jakby nagle cała krew odpłynęła mi z organizmu. Mentalista mógłby cisnąć granatem na środek sali, a nie wywołałby takiego poruszenia. To nie było typowe, niejasne prorocтво na tematy ogólne ani klasyczna spekulacja z gatunku „jeśli stanie się A, prawdopodobnie stanie się B”. To było zagranie *va banque*, ogłoszenie dokładnej daty niespodziewanej śmierci. Hanussen odmówił odpowiedzi na pytania dziennikarzy i wyszedł drzwiami znajdującymi się za sceną, zostawiając mnie na pastwę losu. Koledzy rzucili się na mnie albo z docinkami, albo z żądaniem dodatkowych informacji, które wyjaśniłyby słowa jasnowidza. Musiałem też wziąć na siebie reprimendę od członka zarządu klubu za zamieszanie, jakie wybuchło w ich siedzibie. Próbowiałem tłumaczyć, że wiem tyle co i oni, ale jako że nikt mi nie wierzył, zhańbiłem się ucieczką po schodach.

Przez następne kilka dni wolałem nie przyjmować telefonów i wychodzić z pokoju w pensjonacie wyłącznie o takich porach, kiedy wiedziałem, że nikogo nie spotkam. Gdyby to ode mnie zależało, zamknąłbym się w szafie i zagłodził na śmierć jak tamten fakir z restauracji, ale pani Olivar postanowiła do tego nie dopuścić – wciąż zostawiała mi pod drzwiami parujące talerze wyładowane pysznymi daniami z ciecierzycy. Nie odpowiadałem na natarczywe wezwania Xammara i Armesta. Byłem skończony. Uwierzyłem, że uda mi się wszystko połączyć, jak zręcznemu zonglerowi, zachować pracę, załatwiając jednocześnie sprawy Hanussena, a w rezultacie wszystkie piłeczki rozsypały się po ziemi. Zgrzeszyłem naiwnością czy raczej cynizmem? Przecież w głębi duszy było mi wszystko jedno, czy Hanussen rzeczywiście ma prawdziwe moce, chciałem tylko wykorzystać okazję.

– Pepe, jakaś pani bardzo nalega na spotkanie z tobą. – Zza drzwi dobiegł mnie głos Manuela Olivara. Odparłem, że nie chcę nikogo widzieć. Wszystko jedno, czy to La Jana, Nildi czy którakolwiek ze znanych mi dziewczyn. W tej chwili ani nie potrzebowałem niczyjego pocieszenia, ani nie miałem ochoty na seks.

– Ja na twoim miejscu bym otworzył, radzę ci jako przyjaciel – upierał się Manuel.

W końcu go posłuchałem. Na progu stała baronowa. Z twarzą zakrytą woalką, w czarnej dopasowanej spódnicy, krótkim futrze z norek i na wysokich obcasach wyglądała, jakby zeszała prosto z wielkiego ekranu. Weszła do pokoju i bez słowa pocałowała mnie w usta. Popchnęła mnie na łóżko i nieśpiesznie zdjęła majteczki. Potem podwinęła spódnicę, wdrapała się na moje nogi, rozpięła mi spodnie i mnie dosiadła.

Kiedy długo marzy się o seksie z jakąś kobietą, pierwszy raz okazuje się zwykle nieco rozczarowujący. Trudno żeby rzeczywistość sprostała rozpalonej fantazji. Tymczasem pierwszy raz z baronową był doskonały, niczym układ choreograficzny dwojga tancerzy, którzy się nie znają, a mimo to od pierwszego kroku idealnie się dopasowują. Kiedy jej nogi oplatały mi łądzwie, a dłonie pieściły moje ciało, uświadomiłem sobie, że niemożliwe, żebym już się z nią kochał, nawet pod wpływem narkotyków, i o tym zapomniał, mój mózg nie mógłby zatrzeć wspomnienia nie jednego, a dwóch, trzech kolejnych orgazmów. Po wszystkim czułem się jak po zawrotnie szybkiej przejażdżce kolejką górską w wesołym miasteczku – mdłości, euforia, wyczerpanie.

– Dlaczego? – zapytałem. Ona położyła mi palec na ustach.

– Nie pytaj – odparła, a potem wstała. – Nie zastanawiaj się też już nad ostatnią przepowiednią mistrza, on wie, co robi. – Nie powiedziała nic więcej, włożyła bieliznę i wyszła z pokoju.

Boutade (fr.) – kaprys, żart (przyp. tłum.). [wróć]

W końcu nadeszła niedziela. Żeby nie spędzić całego dnia na analizowaniu wydarzenia, do którego doszło w moim pokoju, przyjąłem zaproszenie Armesta na obiad u Xammara, pod warunkiem że nie będziemy rozmawiać o niczym, co ma jakikolwiek związek z przepowiednią. Nie chciałem jeszcze bardziej się denerwować. Jeśli Lobkowicz będzie wieczorem opijał sukces w Grand Prix, stanę się – w stopniu jeszcze większym niż dotychczas – pośmiewiskiem znajomych, którzy przeczytali prorocstwo Hanussena w jego gazecie z dnia poprzedzającego wyścig. Jeśli zaś książę roztrzaska się o jakąś latarnię, moja reputacja nie ucierpi, ale nie uniknę poczucia winy, że mniej czy bardziej mimowolnie przyłożyłem rękę do podpisania wyroku śmierci. Ale to jakiś absurd: jaka była szansa, że mentalista miał rację? Wyścigi są niebezpieczne, zdarzają się wypadki, ale może książę będzie miał awarię i po prostu zrezygnuje z udziału. Albo choroba się nasili i Lobkowicz nawet nie stanie do zawodów.

Kiedy dotarłem do domu Eugeniego, już od drzwi powitała mnie woń spalenizny. Jak wspominałem, żona przyjaciela była Niemką, ale uparcie próbowała odtwarzać przepisy kuchni hiszpańskiej. Z marnym rezultatem. Tym razem ofiarą padła paella. Poszedłem do salonu, gdzie znalazłem Xammara, który – ignorując docierające nawet tu kłęby dymu – wybierał płytę ze swojej kolekcji muzyki poważnej, żeby położyć ją na gramofonie. Rozwalony na sofie Armesto czytał gazetę.

– Ciągłe gadają, że kanclerz Brüning szykuje przywrócenie monarchii po śmierci Hindenburga. Szkoda, że nie piszę do „ABC”, ta wiadomość na pewno zachwyciłaby czytelników! – powiedział, przecierając okulary.

– Zaraz, zaraz, czy ty nie jesteś komunistą?

– Moje poglądy to jedno, a inna sprawa, że lubię sprawiać przyjemność odbiorcom moich artykułów – odparł z uśmiechem.

Od kilku dni nie zaglądałem do hiszpańskich gazet, więc zapytałem o wieści z kraju.

– Nic nowego, *catalinos* jak zwykle podskakują – stwierdził Armesto i puścił do mnie oko. – Nie wystarczy im autonomia, chcą też, żeby w szkołach uczono katalońskiego.

Xammar prychnął głośno i zaczął tyradę o wielowiekowej historii języka katalońskiego, prawie do tego, żeby posługiwać się nim nie tylko w domach, lecz także w salach lekcyjnych... Słyszeliśmy to wszystko już tysiąc razy. Nie potrafił się powstrzymać – kiedy ktoś machał przed nim płachtą *senyera*¹, Eugeni nacierał niczym wściekły byk. Zaczął pastwić się nad Stalinem i jego wąsami w kształcie szczotki do butów, a Felipe ze śmiechem przeszedł do kontrataku i porównał Francesca Macià, lidera nacjonalistycznej partii Esquerra, do szalonego Don Kichota. Świetnie się bawiliśmy, szukając sobowtórów polityków podziwianych przez jednego i drugiego, gdy nagle zadzwonił telefon. Eugeni wstał, podniósł słuchawkę i spojrzał na mnie zaskoczony.

– Do ciebie – powiedział. – Hanussen.

Zamarłem. Tego bym się nigdy nie spodziewał.

– Kurde, nie trzeba być jasnowidzem, żeby wiedzieć, gdzie jesteś! – zawołał w końcu Felipe. – Pewnie zadzwonił do pensjonatu i Manuel mu powiedział. No dalej, odbierz.

Biorąc słuchawkę do ręki, zauważyłem drżenie lewej dłoni. W ustach mi zaschło.

– Pepe, stało się. Moja przepowiednia spełniła się w stu procentach.

Senyera – flaga Katalonii (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Nie, nic z tego, to nie działa, szklanka letniej wody odniosłaby bardziej spektakularne efekty. Bruno Frei zmiął kartkę, na której pisał, i cisnął kulą do kosza pełnego podobnych kiepskich pomysłów. Od kiedy rząd przywrócił cenzurę i zakazał propagandy ateistycznej, coraz trudniej było mu napisać przyzwoity wstępniak do „Berlin am Morgen”. Może powinien poszukać innej perspektywy? Dzwonek telefonu wyrwał go na chwilę z zamyślenia. Zamierzał go zignorować i skupić się na pracy, ale natarczywość irytującego dźwięku świadczyła o tym, że mogło chodzić o jedną tylko osobę.

– Słucham, Willi – powiedział i wsunął za ucho trzymany w ręku ołówek.

– Skoro wiesz, że to ja, to czemu nie odbierasz? – Münzenberg był chyba w jeszcze gorszym nastroju niż zwykle. – Zresztą nieważne. Mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego nie piszecie nic o Eriku Janie Hanussenie?

Gdyby nawet sam Stalin wleciał teraz przez okno, Frei byłby mniej zdumiony.

– Cholera, Willi, sam mi przecież zabroniłeś!

– Nie widziałeś czołówek dzisiejszych dzienników?

Dobrze wiedział, do czego pije szef. Rozłożył najbliższą gazetę.

HANUSSEN – CZŁOWIEK, KTÓRY NIGDY SIĘ NIE MYLI.

– Wiesz, co chcą przez to powiedzieć?! – wrzeszczał Willi na drugim końcu linii.

– Skoro ten magik za dychę przewidział, że księciunio rozwali się na sośnie, to ta jego przepowiednia sprzed paru miesięcy, że Hitler wkrótce zostanie kanclerzem, lada chwila się spełni. Ludzie wpadli w histerię, że Hanussen naprawdę widzi przyszłość, i teraz gotowi są wręczyć temu oszołomowi z Austrii tytuł kanclerza zapakowany w bibułkę z piękną czerwoną kokardą! Musisz rozmontować całą tę historię, zdemaskować uzurpatora, zanim narobi więcej szkody. Kapujesz? Chcę mieć ten artykuł na biurku przed czwartą.

Willi Münzenberg jak zwykle rozłączył się bez pożegnania. Bruno zamierzał uporządkować myśli, ale w końcu pozwolił im swobodnie wędrować. Słyszał o procesie Hanussena w Litomierzycach, ale wiedział o nim już wcześniej, od czasu sprawy z Breitbartem. Zishe Breitbart, siłacz z Polski, na początku lat dwudziestych budził ekscytację w całej Europie. Ucharakteryzowany a to na Goliata, a to na rzymskiego centuriona, podczas występów zginał grube metalowe pręty, rozrywał łańcuchy, przeciągał ciężarówkę własnymi zębami i dokonywał innych podobnych wyczynów. Wyróżniało go jednak coś jeszcze: żydowskie pochodzenie. Wbrew stereotypom rozpowszechnionym w kręgach antysemitycznych, ten Żyd nie był ani chorowity, ani słaby, ani tchórzliwy, wręcz przeciwnie: uchodził za najsilniejszego mężczyznę świata i dokonywał czynów, których nikt nie odważyłby się nawet spróbować. Gdziekolwiek się pojawiał, tłumy powiewały na występach swojego idola wielkimi flagami z gwiazdą Dawida i intonowały pieśni religijne. Jego sława przyciągała również zazdrosnych kolegów po fachu, w tym niejakiego Erika Jana Hanussena. Mentalista, wówczas jeszcze nie tak popularny, chciał wykończyć rywala odwracającego od niego uwagę tłumów,

a najlepiej było to zrobić, szargając jego reputację. W jednym z wiedeńskich barów znalazł bezrobotną nastolatkę, szczuplutką, bez śladu mięśnia, ochrzcił ją jako Martę Farrę i nauczył naśladować sztuczki żydowskiego olbrzyma. Hanussen wiedział bowiem, że większość numerów Breitbarta wymagała raczej zręczności niż siły, i postanowił go zdemaskować, ujawniając widzom, jak dokonuje swoich wyczynów: łańcuchy wydrążone w środku, pręty niby z żelaza, a w rzeczywistości z drewna, łatwe do odtworzenia triki fakirskie. Kontrowersje te doprowadziły do ostrego konfliktu między zwolennikami i przeciwnikami Breitbarta i Marty Farry, z rękoczynami włącznie, a opinia tego nadczłowieka jako symbolu żydowskiej siły została mocno nadszarpnięta. Kres całej sprawie położyła jego przedwczesna śmierć w wyniku ran odniesionych podczas spektaklu oraz wyrwanie Marty Farry ze szponów mentalisty przez Mister Rexa, pogromcę lwów.

Mimo żydowskich korzeni Frei, jako przykładowy komunista, nie sympatyzował z ruchami syjonistycznymi, ale tamten okrutny numer Hanussena poruszył go do głębi. Jeśli jednak wyciągnął z tej historii jakąś naukę, to taką, że nieważne, jak dobrze wykonana jest sztuczka – zawsze gdzieś czai się podstęp. Również w przypadku katastrofy rajdowca musiało istnieć naukowe wyjaśnienie, niemające nic wspólnego z siłami mroku. Mogło chodzić na przykład o samospełniającą się przepowiednię. Księżę – zaledwie dwudziestopięcioletni młodzieniec, delikatny, rozpieszczony, na pewno łatwo ulegający wpływom – przeczytał gdzieś o przepowiedni Hanussena i na torze puściły mu nerwy. Nie pierwszy raz zdarzyłoby się coś takiego. Nie należało również zapominać o niewątpliwie bliskich związkach magika z Hitlerem. Między wierszami, dla uniknięcia ewentualnych problemów z prawem, Frei mógł zasugerować, że naziści majstrowali coś przy bugatti, żeby wzmocnić autorytet swojego proroka. Czym prędzej rzucił się do pisania: dochodziła czwarta, a Willi nie lubił czekać.

W dniach, które nastąpiły po wypadku księcia, wszystkim odbiło. Dziennikarze, nawet ci, którzy dawniej wyśmiewali Hanussena, zaczęli poświęcać mu całe strony tekstu. Poważni autorzy przyznawali, że tym razem nie mamy do czynienia z jednym z wielu szarlatanów, od jakich roilo się na berlińskich scenach. Nawet najzagorzalsi przeciwnicy przyznawali, że nie wiedzą, co myśleć w obliczu tak niezbitych dowodów. Miliony czytelników, dotąd zupełnie niezainteresowanych okultyzmem, śledziły historię z wypiekami na twarzy.

CZŁOWIEK, KTÓRY NIGDY SIĘ NIE MYLI.

Nie ulegało wątpliwości, że to już nie kuglarskie sztuczki. Po raz kolejny, tak jak w procesie w Litomierzycach, niepodważalnie dowiedziono istnienia nadprzyrodzonych mocy u śmiertelnika i znów okazał się nim Erik Jan Hanussen. Według prostej reguły trzech wszystko, co od tej pory powiedział, musiało zostać uznane za prawdę.

Nikt nie przejmował się oświadczeniem Niemieckiego Klubu Automobilowego, zgodnie z którym za wypadek Jerzego Lobkowicza odpowiadała usterka układu kierowniczego w nowym bugatti T54, w którym podczas tego wyścigu zasiadł po raz pierwszy. Niezaprzeczalne fakty brzmiały: samochód księcia staranował trzy drzewa rosnące przy torze, uderzenie spowodowało śmierć na miejscu, a Erik Jan Hanussen zapowiedział to pięć dni wcześniej w obecności ponad czterdziestu dziennikarzy.

Co naprawdę stało się z księciem Lobkowiczem? Czy Hanussen mógł dysponować nieznanymi mi informacjami? Czy ta scena z baronową podczas kolacji była zaplanowaną przez nich wspólnie farsą? Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia. Może Erik rzeczywiście miał moce, może w tamtej chwili zapaliła mu się jakaś lampka. Tak często bowiem widziałem, jak mylił się w swoich przewidywaniach, że daleki byłem od obwoływania go nieomylnym.

Jak to zwykle bywa, zamieszanie ucichło równie szybko, jak wybuchło, a nowa wiadomość zatarła poprzednią: trzydziestego maja grupka umiarkowanych nacjonalistów skupionych wokół wiekowego prezydenta Hindenburga zdobyła wreszcie to, czego pragnęła od dłuższego czasu – głowę Brüninga, kanclerza Republiki Weimarskiej z najdłuższym stażem na tym stanowisku (dokładnie dwa lata i dwa miesiące). Żegnaj, wywiadzie! Nic dziwnego, że do mnie nie dzwonił, ewidentnie miał ważniejsze sprawy na głowie. Zastąpił go bliżej dotąd nieznaną Franz von Papen, choć partyjniakiem odpowiedzialnym za całą operację był generał Schleicher, minister obrony, który mianował członków gabinetu nazywanego przez berlińczyków z typową dla nich ironią „gabinetem monokli”: najniżej urodzony minister był bowiem baronem.

To wszystko zupełnie nie interesowało Hanussena, który przedłużył sezon występów w Scali i podwoił ceny biletów. Nie mógł nadążyć z konsultacjami prywatnymi i musiał przenieść gabinet do większego mieszkania. Poczekalnia pękała w szwach od dżentelmenów i – przede wszystkim – dam, gotowych czekać, ile będzie trzeba, żeby mentalista pomógł im w problemach ze zdrowiem, pieniędzmi czy sprawami sercowymi. Nie tylko oni wyrażali zainteresowanie jego usługami. Pewnego wieczoru podczas

kolacji, kiedy dziewczyny poszły na parkiet potańczyć, Hanussen zwrócił się do mnie, szczerząc zęby w uśmiechu i unosząc gęste brwi:

– Wiesz co? Hitler chce mnie poznać.

Jak powiedział, wiadomość dostał za pośrednictwem swojego przyjaciela hrabiego Helldorfa. Nie ustalono jeszcze terminu, ale na pewno miało to nastąpić przed latem. Prawdę mówiąc, niezbyt mnie to zaskoczyło. Zaledwie kilka dni wcześniej, rankiem, kiedy Hanussen zaprosił mnie do swojego fryzjera – oczywiście najlepszego i najdroższego w Berlinie – na własne oczy widziałem, jak wręcza Ernstowi Röhmowi wypchaną kopertę, którą najwyższy dowódca SA, mężczyzna o groźnej twarzy rozwścieczonego dzika pokrytej licznymi bliznami, przyjął niczym uniżony sługa. Podejrzewam, że Erik zaprowadził mnie tam właśnie po to, żebym był świadkiem tej sceny. Lubił się popisywać. Dzino opowiadał mi też, że szef przekazał czterysta par butów dla żołnierzy oddziałów szturmowych. Partia była zupełnie splukana po kosztownej kampanii prezydenckiej, tysiące członków SA musiało praktycznie zebrać o jedzenie. Z tego właśnie powodu, a także przepowiedni o dojściu Hitlera do władzy i wielu innych spraw, o których nie miałem na razie pojęcia, naziści mieli spory dług u Hanussena. Spotkanie z przywódcą było skromnym gestem z ich strony, ale Erik wydawał się szczególnie uradowany tą wieścią.

– Liczy się władza, Pepe, to realna miara sukcesu. Pieniądzy mam już w nadmiarze.

– Po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz.

Nie tylko Adolf Hitler chciał się spotkać z Hanussenem. Pewnego dnia, na początku czerwca, Bella Fromm zaprosiła mnie na herbatę, nazajutrz o siedemnastej. Już od dłuższego czasu nie miałem z nią kontaktu i już, już zamierzałem zrezygnować z przyjemności wysłuchiwania jej paplaniny, bo czekało na mnie kilka zaległych artykułów o ostatnich wydarzeniach politycznych, ale ciekawość zwyciężyła – włożyłem jeden z nowych garniturów i złapałem taksówkę. Frau Fromm mieszkała na eleganckim przedmieściu na zachód od Charlottenburga, przy ulicy małych prywatnych willi z początku wieku. Lokaj w białych rękawiczkach otworzył mi drzwi i zaprowadził do salonu. Spodziewałem się spotkania towarzyskiego, z nudnymi dyplomatami i tak dalej, ale gospodyni czekała na mnie sama, z okrągłą twarzą i wąskimi czerwonymi wargami, z naszyjnikami z pereł i w prostym czarnym kostiumie.

– Miło, że pan przyszedł. Proszę usiąść. Zależało mi, żeby porozmawiać z panem w cztery oczy.

Nieco skonsternowany dość intymną atmosferą opadłem na fotel, przygotowany na długą litanię plotek z wszystkich możliwych ambasad. Głos Frau Fromm brzmiał jednak inaczej, bez zwykłej maniery teatralnej, jakby mówiła do siebie. Zaczęła opowiadać o dorastaniu w Norymberdze, w starym arystokratycznym dworku będącym w posiadaniu jej rodziny od siedmiu pokoleń i często odwiedzanym przez bawarską rodzinę królewską. Rodzice zmarli, gdy była dzieckiem, a ona sama wyszła za mąż tuż przed wojną, ale małżeństwo okazało się nieszczęśliwe. Część fortuny straciła w następstwie rozvodu, większość tego, co zostało – w wielkiej inflacji z 1923 roku. Mogła uważać się za szczęściarę, bo wiele dobrze urodzonych kobiet kończyło jako prostytutki lub stręczycielki własnych córek, żeby zarobić na chleb, ona jednak miała dobrych przyjaciół

i jeszcze lepsze znajomości. To pozwoliło jej zdobyć posadę autorki kroniki towarzyskiej w grupie wydawniczej Ullstein i odbić się od dna, a z czasem nawet odzyskać część utraconego majątku. Teraz jednak jej spokój znowu został zagrożony.

– Nagle wszędzie aż się roi od tych paskudnych nazistów. To robactwo wyłazi z kloak, z najgłębszych otchłani wysypisk śmieci, żeby podgryzać nasze pokojowe współzycie. Sama ich obecność, sposób mówienia zadają mi tortury. To niby niemieckie wyrazy, te same, których używali Goethe czy Schiller, ale w ich ustach brzmią inaczej, jak obcy, okropny język. „Ojczyzna”, „honor”, „kultura”, „miłość” nie oznaczają dla nich tego co dla nas. Przeinaczają te słowa, wywracają je na nice, zamieniają w narzędzia nienawiści. Destylują z naszej esencji wszystko to, co nikczemne, trujące, okrutne, a potem wykorzystują do własnych celów. – Frau Fromm zrobiła chwilę przerwy dla uspokojenia emocji, po czym ciągnęła: – Poza tym to żadna tajemnica, że jestem Żydówką, a sam pan wie, jak oni nas postrzegają: jako jedyną i fundamentalną przyczynę wszelkiego zła w tym kraju. Nieważne, o co chodzi, zawsze to my jesteśmy winni. Wielu sądzi, że antysemityzm jest dla nazistów tylko narzędziem walki politycznej, że zmienia się, kiedy dojdą do władzy. Nawet ten kretyn Papen wierzy, że to prości wieśniacy, których zdoła ucywilizować i wykorzystać do realizacji własnych ambicji. Ja jednak jestem przekonana, że takiego fanatyzmu nie da się wypłukać paroma kieliszkami szampana. Co gorsza, tej fali jadu nie powstrzymają granice, rozprzestrzenia się i wkrótce ucierpią też inne kraje. Jako przedstawiciel prasy zagranicznej powinien pan uświadomić sobie czyhające zagrożenie. – Bella Fromm odetchnęła głęboko i sięgnęła po srebrny dzwonek leżący obok fotela.

Kiedy pojawił się lokaj, gospodyni wykonała dyskretny gest. Milczałem, wciąż zaskoczony analizą polityczną, która zastąpiła spodziewane ploteczki. Służący przyniósł kryształową karafkę i po brzegi wypełnił malutki kieliszek jakimś płynem. Bella wypiła do dna i mówiła dalej.

– Z powodów, które właśnie panu przedstawiłam, wyjątkowo trudno przychodzi mi prosić o przysługę. Czasem nie ma jednak innego wyjścia, jak tylko przełknąć skrupuły, niezależnie od tego, jak niestrawne się okażą. Chodzi o to, że bliska mi przyjaciółka, której bardzo wiele zawdzięczam, jakiś czas temu poznała pewną kobietę z dobrej rodziny, która została aktorką: tak się czasem w życiu plecie. Przeciętna komedianka, nawet niezbyt urodziwa, choć trafiła nawet do zespołu teatru narodowego. Przesadnym intelektem też nie grzeszy i zaczyna mieć swoje lata, a dobrze pan wie, co to oznacza dla aktorki. Okazało się, że idiotka dała się uwieść komuś bardzo potężnemu, politykowi, odrażającemu typowi, choć jego ojciec był drobnym szlachcicem. Mężczyzna ten niedawno owdowiał i wciąż ma obsesję na punkcie zmarłej małżonki. Jego kochanka uważa, że uda mu się uwolnić spod jej uroku tylko, jeśli będzie mógł porozumieć się z nią w zaświatach. – Frau Fromm, podniosła na mnie wzrok, wbity do tej pory w podłogę. Musiała dość dobrze odczytać moje myśli. Odetchnęła ciężko, jakbym zmuszał ją do jeszcze większego upokorzenia niż to, które odczuwała. – Panie Ortega, proszę pana o zaaranżowanie spotkania między pana przyjacielem Hanussenem a Hermannem Göringiem.

Tak jak podejrzewałem, Hanussena zachwyciła ta wiadomość. Göringa i Josepha Goebbelsa, dwóch najbliższych akolitów Hitlera, nikomu nie wolno było widywać ze względu na zazdrość tego ostatniego. Mentalista kontaktował się z nazistami przez Helldorfa, podwładnego szefa propagandy i gauleitera partii w Berlinie, więc to spotkanie otwierało mu nową drogę na szczyt. Był tak zadowolony, że zaproponował mi, żebym to ja mu towarzyszył zamiast wiernego Dzina. Ze wszystkich sił próbowałem się wykręcić – co innego organizować kontakty z prasą, a co innego odgrywać sekretarza. Co więcej, wiedziałem, że nie będę mógł wykorzystać niczego, co zobaczę i usłyszę, w swoich artykułach, ale Erik nie przyjmował odmowy do wiadomości. „Chodź, będzie zabawnie”.

Odnosiłem wrażenie, że traktował to jak grę, w której mógł poruszać pionkami według własnego widzimisię. Wciąż poruszony słowami Belli Fromm zapytałem, czy nie martwi go ewentualne dojście nazistów do władzy. W końcu należał do środowiska bohemy, miał wśród znajomych wielu Żydów, więc zupełnie nie pasował do jednolitego narodu porządku obiecywanego przez Hitlera. Hanussen spojrzał na mnie jak na idiotę.

– Słuchaj, Pepe, w polityce groźni są wyłącznie ludzie nieposzlakowani, nieprzekupni. Naziści odgrywają publicznie rolę partii świeżynek, bez plam na reputacji ani kont w szwajcarskich bankach. Ja jednak mam całą szufladę ich weksli. Za bardzo się u mnie zadłużyli, żebym się ich bał.

W końcu poddałem się jego uporowi i własnej ciekawości. Rozbawiona baronowa zaproponowała, by przebrać mnie w strój jednego z hinduskich służących mentalisty. Nie byłem z nią tak blisko od czasu jej wizyty w pensjonacie. Teraz widziałem blask jej morskich oczu, czułem zapach perfum i dotyk ciepłych dłoni na ciele, kiedy pomagała mi zapiąć guziki marynarki. Utrzymywała taki sam dystans jak dawniej. Ani jednego porozumiewawczego gestu, żadnego przelotnego spojrzenia, jakby tamtej nocy do niczego między nami nie doszło. Mógłbym odstawić scenę, rozpętać skandal, ale wiedziałem, że nic mi z tego nie przyjdzie, co najwyżej tylko ją od siebie oddalę. Pozostawało mi jedynie nie wpadać w jeszcze większą obsesję i zachować spokój.

Prowadząc packarda z Erikiem na tylnym siedzeniu, jakbym był szoferem, zajechałem pod budynek, w którym Göring zainstalował Emmy Sonnemann, swoją kochankę. Ubrani po cywilnemu strażnicy kazali nam wjechać do garażu, skąd było bezpośrednie przejście do mieszkania – nowinka w tamtych czasach, wymuszona względami bezpieczeństwa oraz potrzebą zachowania dyskrecji. Inny facet, o aparycji orłosepa brodatego, otworzył nam drzwi i zaprosił do długiego, wąskiego salonu, wyposażonego w meble w stylu klasycznym, które zdawały się nie pasować do siebie wzajemnie, jakby czuły się w swoim towarzystwie skrzypowane. Erik zasiadł na miękkiej, głębokiej kanapie, ale musiał się nieco wyprostować, żeby nie dyndały mu nogi. Ja, jak na dobrego orientalnego sługę przystało, zachowałem pozycję stojącą. Wymieniliśmy ukradkowe spojrzenia. Hanussen uśmiechnął się szelmowsko jak chochlik, a ja, choć z początku czułem się niepewnie i absurdalnie w przypisanej mi roli, próbowałem zarazić się jego dobrym nastrojem. W gruncie rzeczy ta sytuacja była całkiem zabawna: kobieta

uparła się, żeby jej kochanek pogawędził ze zmarłą żoną. Napatrzyłem się już jednak na ulicach na czaszki roztrzaskane przez SA-manów, więc wiedziałem, że ci ludzie nie słyng z poczucia humoru.

– Dobry wieczór, panowie, wybaczenie, że musieliście czekać. – Hermann Göring wielkimi krokami przemierzył salon i podszedł do nas. Nie miał na sobie jak zwykle brunatnego munduru ani odznaczeń wojennych – chętnie się nimi popisywał, choć stanowiły obiekt drwin jego przeciwników – lecz jedwabną granatową bonżurkę z białym fularem pod szyją. Miał szaroniebieskie oczy i zaczerwienioną, przekrwioną twarz, jakby wyszedł właśnie spod gorącego prysznica. Był wyższy od Erika zaledwie o kilka centymetrów, ale znacznie tęższy, piersi wyraźnie rysowały się pod materiałem. Za nim szła Emmy, wyższa od kochanka, nieco przy kości, o spojrzeniu melancholijnej krowy. Göring przywitał się z mentalistą, po czym wskazał mnie gestem głowy.

– To Radżit, mój pomocnik. Nie mówi po niemiecku – rzucił Hanussen, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem. Gospodarz zaprowadził nas w głąb salonu, gdzie przygotowano okrągły stół. Wszyscy usiedli, z wyjątkiem mnie – nadal trwałem na stojąco, tuż przy mistrzu.

– Pozwoliłem sobie przynieść pani drobny upominek.

Erik popchnął w stronę Emmy zapakowane puzderko. Kobieta uśmiechnęła się i zamierzała schować prezent, ale kochanek kazał jej go otworzyć. W środku znajdowała się broszka, bardzo gustowna, ale ewidentnie niezbyt droga. Göring wziął do ręki sztuczny klejnot, przyjrzał mu się z grymasem i odsunął.

– Bardzo dziękuję, to niezwykle miłe z pana strony – powiedziała ona. – Otóż zależy nam na tym...

– Pozwól, że ja powiem – przerwał jej Göring.

Zniżył głos do niemal niedosłyszalnego szeptu i zaczął mówić o swojej zmarłej żonie Carin. Kiedy się poznali, ona była mężatką i rzuciła wszystko dla niego, choć nie miał wówczas grosza przy duszy i pracował jako pilot oblatywacz. Kiedy w następnym roku został ranny w nieudanym puczu nazistów w Monachium, pomogła mu uciec przed policją. Jaka ta Carin była piękna, jaka cudowna, jaka elegancka... Głupio było słuchać, z jakim żarem ten człowiek wychwalał żonę, zmarłą zaledwie przed rokiem, w obecności kochanki, ale Emmy słuchała z wypiekami na twarzy. W końcu Göring skończył punktowanie cnot Carin i przeszedł prosto do tego, co najbardziej go dręczyło: kiedy ona dostała zawału serca, który okazał się śmiertelny, jego przy niej nie było. Nigdy sobie tego nie wybaczy. Czuł, że powinni odbyć jeszcze jedną rozmowę, że wciąż mają sobie coś do powiedzenia przed ostatecznym rozstaniem. Dlatego właśnie potrzebował kogoś takiego jak zaproszony gość. Dolna warga Göringa drżała ze wzruszenia, kochanka pogładziła go czule po policzku.

Hanussen położył dłonie płasko na stole i odetchnął.

– Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że się państwo pomylili. Nie jestem tym, kogo szukacie – powiedział, podnosząc wzrok na szaroniebieskawe oczy, które rozwarły się szeroko jak u sowy. Na chwilę serce zamarło mi w piersi. Mentalista zawiesił na chwilę głos, po czym mówił dalej: – Nie jestem medium. – I z absolutnym spokojem zaczął tłumaczyć różnicę między spirytystą a jasnowidzem.

Choć na świecie nie brakowało oszustów gotowych wykorzystać naiwnych i zdesperowanych, mentalista nie negował możliwości rozmowy z duchami. On jednak specjalizował się w czymś innym: widział obrazy – przeszłości, teraźniejszości, czasem przyszłości. Coraz bardziej czerwony na twarzy grubas z całej siły wykręcał dłonie. Jego upierścienione palce były grube, ale zarazem delikatne, niemal kobiece.

– Mimo to – dodał Hanussen, kiedy napięcie stawało się już nie do zniesienia – jeśli udostępni mi pan jakiś przedmiot należący do żony, będę chyba mógł udzielić panu interesujących informacji.

Grubas podniósł się bez słowa i wkrótce wrócił z jakimś zawiniątkiem. Z najwyższą ostrożnością rozwinął bibułę i wyjął szczotkę do włosów z marmurową rączką. Hanussen równie ostrożnie wziął ją do ręki i zaczął obmacywać z zamkniętymi oczami. Jego twarz nagle stężała, jak zawsze gdy wpadał w trans.

– Ten przedmiot należał do osoby... kobiety delikatnej, ale silnej zarazem. Kobiety wyjątkowej, bardzo oddanej rodzinie, odważnej. Była jednak słabego zdrowia. – Coraz bardziej się denerwowałem: Erik sypał jedną oczywistością za drugą, parafrazował to, co wdowiec sam mu przed chwilą opowiedział. Göring jednak uśmiechał się ze wzrokiem pełnym nadziei, jakby w każdym zdaniu rozpoznawał Carin. – Właścicielka tej szczotki z całego serca kochała swojego małżonka, najbardziej na świecie, była gotowa zrobić dla niego wszystko, jak orzeł chroniący swoje pisklę. I nadal czuwa nad nim stamtąd, gdzie się znajduje. – Göring uniósł wzrok i utkwiał go w bliżej nieokreślonym punkcie. – Kobieta ta miała silne przekonania, ceniła sobie duchowość, emanowała spokojem. Czuję jej energię, znalazła spokój, jest szczęśliwa i tego samego życzy panu na nowej drodze życia, chciałaby, żeby miał pan dzieci, których ona nie mogła panu dać. – W tej chwili Erik „obudził się” z transu i otworzył oczy. – Przykro mi, nie widzę nic więcej.

Po rumianym policzku spłynęła łza. Göring wstał i uściśnął dłoń Hanussena, wylewnie dziękując mu za te słowa. Pewnie po to, żeby ukryć przed nami silne wzruszenie, podszedł do barku, wyjął butelkę i trzy szklanki, po czym nalał do nich alkohol. Mnie oczywiście nie zaoferował nawet wody. Zmienił temat i zaczął gadać z ożywieniem – nasz gospodarz był wyraźnie zadowolony, jakby ktoś zdjął mu z serca ciężki kamień. Z bliska Göring sprawiał wrażenie uroczego człowieka, wyrobionego, żywo zainteresowanego antykiem i sztuką, miłośnika Rubensa – podczas niedawnej podróży do Włoch odkrył nieznany sobie wcześniej obraz mistrza, który bardzo przypadł mu do gustu. Kiedy wytworzyło się między nimi głębsze zaufanie, nasz gospodarz zagadnął mentalistę o przepowiednię dotyczącą Hitlera i poprosił o więcej informacji na temat przyszłości. Hanussen potwierdził prognozę i uzupełnił ją wizją rychłego zakazu działalności komunistów i pozostałych partii. Potem zaczął opowiadać o okupacji Polski i upadku Francji w 1942 roku, a na koniec dorzucił, że Joseph Goebbels umrze w ciągu najbliższych kilku lat śmiercią naturalną. Proroctwo to bardzo uradowało grubasa, który walnął ręką w stół i na nowo napełnił kieliszki.

– Za tysiącletnią Rzeszę! – wznosił toast. Potem jakby zawahał się na moment. – Bo przetrwa tysiąc lat, prawda? – dodał, patrząc na Hanussena, który z roztargnieniem wpatrywał się w ścianę w głębi salonu.

– Przepowiednie astrologiczne opierają się na konkretnych datach, w jakich

dochodzi do danych zdarzeń. Jeśli na przykład spełni się moja prognoza i dojdą panowie do władzy w styczniu albo lutym, Trzecia Rzesza przetrwa prawdopodobnie jakieś piętnaście, dwadzieścia lat, choć jeszcze nie mogę być tego pewnym.

Stopniowo, jakby powoli trawił usłyszaną właśnie wiadomość, grubas robił się coraz bardziej purpurowy, aż w końcu przybrał barwę bakłazana.

– To spotkanie dobiegło końca! – wrzasnął, zrywając się na równe nogi i przewracając krzesło.

Cała krew nagromadzona w twarzy Göringa zdawała się odpływać z moich żył. Nie mogłem ruszyć nawet palcem. Hanussen wstał bardzo powoli i spojrzał na grubasa, nie okazując nawet cienia zdenerwowania.

– Och, zapomniałem, mam prezent także dla pana – powiedział i wyjął z kieszeni marynarki drugie puzderko.

– Niech pan sobie zostawi te tanie błyskotki, już widzieliśmy pana prezenty.

Z godnością uczynił gest odmowny, ale Hanussen trzymał pudełeczko w wyciągniętej dłoni, dopóki tamten w końcu go nie wziął. Göring szeroko rozdziawił usta, kiedy zobaczył zawartość: okazało się pełne małych diamentów. Prawdziwych.

– Wiedziałem, że się panu spodoba. Może się przyda na pierwszą ratę za Rubensa. Dobranoc państwu, dziękuję za przemiły wieczór – pożegnał się Hanussen, zabierając kapelusz.

Kiedy dotarłem do drzwi, nasi gospodarze nadal w osłupieniu wpatrywali się w podarunek.

Stopniowo, niemal nie zdając sobie z tego sprawy, dołączyłem do grona stałych współpracowników Hanussena. Teoretycznie, choć nadal pisałem do „El Herald”, zajmowałem stanowisko rzecznika odpowiedzialnego za kontakty z prasą zagraniczną, czasem jednak zajmowałem się też innymi zleceniami – jakoś trzeba to nazwać – wykraczającymi poza zakres moich obowiązków. Tak naprawdę byłem czymś w rodzaju chłopca na posyłki, ale mentalista dobrze płacił, a ja nie miałem nic przeciwko bieganiu po mieście za prezentem dla jednej z jego przyjaciółeczek czy negocjowaniu ceny za partię kawioru na wystawną kolację. Mniej uśmiechało mi się transportowanie „maluchów”: Hanussen i jego była żona Fritzi mieli w sumie osiem bassetów, którymi opiekowali się na zmianę co drugi tydzień. Nigdy nie przepadałem za zwierzętami, więc na wszystkie sposoby próbowałem się wymigać, ale mentalista nie zamierzał zmienić zdania.

– Nie bój się, nie gryzą. Moja była też nie. Wręcz przeciwnie, jest urocza i bardzo ładna. Może nawet mógłbyś się z nią spiknąć. Nie wyszedłbyś na tym źle, dzięki mnie jest bardzo bogatą kobietą. Masz, zaprosź ją gdzieś – powiedział tonem, który trudno było jednoznacznie zinterpretować jako poważny albo żartobliwy, wciskając mi banknot „stujajowy” do górnej kieszonki marynarki.

Wciąż przeklinałem go w myślach, kiedy dzwoniłem do drzwi, próbując jednocześnie opanować sforę. Była Erika mieszkała zaledwie o kilka przecznic od niego, w bocznej uliczce wychodzącej na Tiergarten, ale pokonanie tej trasy z psami zajęło mi prawie godzinę. Nie mogłem jednak oprzeć się ciekawości, jak wygląda kobieta, która zdołała zaciągnąć tego notorycznego uwodziciela przed ołtarz. Przez chwilę się obawiałem, że będę musiał obejść się smakiem, bo drzwi otworzyła służąca, jednak zaraz w progu stanęła pani domu.

– Elfriede, dzień dobry. Mówią na mnie Fritzi, jak pan pewnie wie – przedstawiła się, wyciągając rękę. Mogła mieć nie więcej niż trzydziestkę. Lekko rudawa blondynka o bardzo jasnej cerze. Nigdy nie podobały mi się pieguski, ale ta wydawała się sympatyczna. – To bardzo miłe z pana strony, właśnie czekałam, żeby zabrać je na spacer. Ma pan ochotę pójść z nami? Byłabym bardzo wdzięczna, nie wiem, czy uda mi się opanować wszystkie te bestie!

Miałem już po dziurki w nosie odgrywania poskramiacza zwierząt domowych, ale żadna wymówka nie przysłała mi do głowy, więc wylądowaliśmy w parku – każde z nas miało w ręku po dwie smycze, jak szczęśliwa mieszczańska para.

– Spodziewał się pan starszej byleż żony, prawda? – zapytała Fritzi z uśmiechem. Rzeczywiście, wyobrażałem sobie raczej kobietę pod czterdziestkę, rówieśniczkę jasnowidza. – Większość osób myśli podobnie. A ja wyszłam za niego w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat, biedne dziecko! – Już miałem o coś zapytać, ale ona mówiła dalej: – Poznaliśmy się w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku w Romanisches Café, wie pan, tym lokalu bohemy na Ku’dammie. Erik uwielbiał to miejsce, spędzał tam całe dnie. Ja dopiero co zaczęłam pracować. Jak mówiłam, byłam wtedy praktycznie

dzieckiem, a do tego z bardzo konserwatywnej rodziny. Ojciec jest pułkownikiem, więc może pan sobie wyobrazić. – Typowa słodka, rozpieszczona dziewczynka, której Hanussen nie mógł przepuścić. I nie przepuścił. Fritzi była zaręczona, ale z dnia na dzień rzuciła narzeczonego. – Biedak tak źle to zniósł, że pozwał Erika o „hipnotyczne uwiedzenie”. Pozornie klasyczny przypadek cnotliwej niewiasty, która padła łupem bezwstydnego oszusta. Erik był wówczas całkiem niezłą partią, dobrze mu się wiodło, miał dwa luksusowe samochody, mieszkanie i sporo na koncie. Niestety, ubzdurał sobie, że kocham go za jego pieniądze! Nieważne, jak często zapewniałam go, że zupełnie o to nie dbam, nie potrafiłam go przekonać. W końcu, nawet się nie zastanawiając, przepuścił cały majątek w jeden wieczór w kasynie. Następnego dnia, z ostatnimi pięcioma markami w kieszeni, zaproponował mi wspólną ucieczkę z Berlina. – Bez trudu potrafiłem wyobrazić sobie Hanussena stawiającego fortunę na jeden numer w ruletce, ale nie mogłem uwierzyć, że zrobiliby to z miłości do kobiety. Fritzi znów jakby czytała mi w myślach. – Wiem, myśli pan pewnie, że upiększam, wymyślam jakąś romantyczną historię, ale gdyby pan widział radość i zaskoczenie malujące się na jego twarzy, kiedy powiedziałam „tak” i razem poszliśmy do mojego szefa, żebym się zwolniła... To było cudowne! – Fritzi przeprosiła za gadatliwość, zdawało się, że zamilknie, ale po chwili kontynuowała: – Po paru miesiącach się odbił i żyliśmy w Bratysławie jak królowie, kupiliśmy mercedesa, a mnie podarował komplet garderoby, w tym trzy futra. Zaczął też oczywiście zdradzać mnie z pierwszą, która się napatoczyła. – W uśmiechu Fritzi nie było cienia smutku ani melancholii. – Taki właśnie jest Erik, cudowny szaleniec zdolny do heroiczych czynów, ale jednocześnie niespokojny, buntowniczy duch, który szybko się nudzi i potrzebuje wciąż nowych atrakcji, nowych wyzwań, nowych zdobyczy. Nie mam mu tego za złe, wiedziałam to od początku. Proszę o tym pamiętać, kiedy to panem się znudzi. Nie, proszę tego nie brać do siebie, na pewno bardzo pana ceni, ale prędzej czy później to musi nastąpić. Nie uniknie pan tego. Wie pan, Erik jest jak ten pies – powiedziała, wskazując najbardziej rozbrykanego basseta, który bez przerwy próbował zerwać się ze smyczy – słucha wyłącznie własnego instynktu i robi to, na co w danym momencie ma ochotę.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy dotarliśmy w okolice Potsdamer Platz. Psy zdenerwowały się i zaczęły szczekać na widok zgromadzenia brunatnych mundurów. Nie było ich znowu tak dużo, może ze sto dwadzieścia. Poznałem Goebbelsa, niziutkiego, ale budzącego strach szefa partii w Berlinie, który rozdzielał właśnie rozkazy między poszczególne grupy. Z tego, co się orientowaliśmy, choć nowy rząd obiecał ponowną legalizację SA, jeszcze tego nie zrobił, więc nazistowskie bojówki wyszły na ulice wystrojone na galowo, próbując sprowokować policję, żeby ich aresztowała. Nie zaczepiali przechodniów, nie krzyczeli, po prostu chcieli się pokazać. Goebbels, powłócząc kulawą nogą, zaczął paradować przed dwoma policjantami, starając się zwrócić na siebie ich uwagę, ale ci udawali, że patrzą w innym kierunku. Kiedy niziutki mężczyzna podszedł jeszcze bliżej i zaczął machać im ręką przed nosem, funkcjonariusze po prostu odwrócili się na pięcie i odeszli. Goebbels wybuchnął tubalnym śmiechem, a jego ludzie zaraz mu zawtórowali.

– Miejmy nadzieję, że Erik szybko zapomni także i o tych nowych znajomych

– stwierdziła Fritzi, kiedy wracaliśmy z psami do parku. – Nie mają za grosz wdzięku.

Na szczęście nie zajmowałem się wyłącznie wyprowadzaniem psów, a praca dla Hanussena zapewniała mi sporo rozrywki, była nieprzewidywalna i zupełnie inna niż wszystkie. Przebywanie w jego towarzystwie przypominało podłączenie do dynama, elektryzującego i napędlającego energią. Nigdy się nie wiedziało, co planuje. Pewnego ranka zadzwonił, żebym tego wieczoru zawiózł jego znajomą na spektakl „poza programem”, który zamierzał wystawić w pobliżu lotniska Tempelhof.

– Nie musisz załatwiać prasy. Będzie tam pełno dziennikarzy, a nawet ekipa filmowa z Pathé, tego przedsiębiorstwa kinematograficznego! – zapowiedział, nie kryjąc entuzjazmu.

Nie udało mi się namówić go, żeby zdradził swoje plany, ale wspomnianą znajomą okazała się Leni Riefenstahl. Nie miałem okazji porozmawiać z nią tamtego pamiętnego wieczoru w Palais de Danse, bardzo mnie onieśmiała. Nie chodziło nawet o jej artystyczną pozę, ale o twarde, krępujące spojrzenie. Nigdy nie czułem się dobrze z ludźmi tak pewnymi siebie. Żeby się nieco rozluźnić, postanowiłem chlapnąć sobie kilka kieliszków przy stoliku w jadalni pensjonatu. Kiedy pojawił się Armesto, poprosił Manuela Olivara o szklanekę i przysiadł się do mnie.

– Widzę, że tankujesz. Wybierasz się gdzieś?

Już przy drugiej kolejce zaczął wychwalać sukcesy planu pięcioletniego w Związku Radzieckim: produkcja żeliwa potroiła się, żelaza wzrosła czterokrotnie od 1927 roku, a wydobycie węgla sięgnęło siedmiuset pięciu milionów ton. Zwykle bym go pogonił, ale ta litania cyfr, podlana alkoholem, wywoływała we mnie dziwne poczucie spokoju, którego tak potrzebowałem. Kiedy przyszła pora się pożegnać, zapytałem, czy chce mi towarzyszyć.

– Na spotkaniu ze słynną aktorką? No nie wiem, zamierzałem spędzić wieczór w swoim pokoju i porobić na drutach – odparł z szelmowskim błyskiem w oczach ukrytych za okrągłymi okularami.

Niespełna kwadrans później odbieraliśmy niebieskiego cadillaca z garażu Erika.

– To całkiem niezłe, zostać na jedną noc kapitalistą! Trzeba doświadczyć przywilejów klasy wyzyskiwaczy, zanim z nimi skończymy – stwierdził przyjaciel, sadowiąc się wygodnie na luksusowej skórzanej kanapie.

W drodze do domu Riefenstahl uświadomiłem sobie, że nie zadzwoniłem po La Janę, żeby z nami poszła. Może i lepiej, wołałem zachować pewien dystans. Choć wieczór był dość chłodny jak na czerwiec, Leni zeszła po schodach w sukience z krótkim rękawkiem, pod pachą niosła wielką kamerę. Tak jak pamiętałem, jej kanciaste rysy sprawiały wrażenie wyciosanych z lodu. Przywitała się ze mną bez uśmiechu, a potem spojrzała nieprzyjaźnie na tylne siedzenie. Wydawała się niezadowolona z eskorty zapewnionej przez Hanussena, wyraźnie nie spełnialiśmy jej oczekiwań. Wyjaśniłem, że znajomy jest słynnym hiszpańskim dziennikarzem, i atmosfera nieco się ociepliła, ale kiedy uruchomiłem silnik, siedziała nadal w milczeniu, niewzruszona jak kariatyda. Ośmielony alkoholem zapytałem, czy wie, na czym ma polegać tajemnicze

przedstawienie.

– W tym roku mija sto lat od śmierci naszego wielkiego Goethego, a pewien brytyjski badacz okultystyczny twierdzi, że znalazł rękopis, którym poeta posłużył się, by opisać rytuał Fausta – wyjaśniła, nawet na mnie nie patrząc.

Badacz ten miał podobno kilka dni wcześniej w obecności prasy próbować odtworzyć zaklęcie na Blocksbergu, najwyższej górze środkowych Niemiec. Przy pełni księżyca, po wypowiedzeniu magicznych słów i w obecności dziewicy koza powinna się przemienić w samego diabła. Próba skończyła się kompletną porażką: księżyc nawet nie wyjrzał zza chmur, koza uciekła, a widzowie żywili poważne wątpliwości co do cnoty dziewczyny. Hanussen, zawsze czyhający na okazję, natychmiast podniósł rękawicę i zaprosił badacza oraz dziennikarzy brytyjskich do Berlina, żeby dwudziestego pierwszego czerwca, w dzień przesilenia letniego, obejrzeni jego wersję rytuału.

– A kamera? Chce pani jako pierwsza uwiecznić diabła na filmie? – zapytał Felipe z tylnego siedzenia. W lusterku wstecznym widziałem, że pociąga łyk z piersiówki.

– Ostatnio doszłam do wniosku, że może moje miejsce jest za kamerą, a nie przed nią. – Leni była na tyle uprzejma, że nieco podniosła głos, tak by mój przyjaciel ją usłyszał, ale nie raczyła się odwrócić. – Żyjemy w fascynujących czasach, w chwili bolesnej, ale uzdrawiającej transformacji, a ja chciałabym zarejestrować ten moment historii taki, jaki jest, bez scenariuszy i dekoracji. Kilka dni temu byłam na przykład na mityngu Adolfa Hitlera. Widzieliście go kiedyś? – Nie czekała na odpowiedź. Zimne, pozbawione wyrazu oczy lśniły w świetle przydrożnych latarni. Żywo gestykulowała. – Wierzcie lub nie, to doświadczenie mnie odmieniło. Lśniące żywym ogniem snopy światła z reflektorów, krwistoczerwone flagi, hymny poruszające te struny naszej duszy, które uważaliśmy za dawno znieruchomiałe. Wszystko to było wspaniałe. Dużo ważniejszy niż cała ta otoczka okazał się jednak ten mężczyzna: samotny, unoszący się nad tłumem, z niesamowitym głosem stanowczo wskazującym drogę, jaką musimy pójść. Nigdy nie zapomnę tej niemal apokaliptycznej wizji. Miałam wrażenie, że ziemia rozstała mi się pod nogami, pękła na pół, a ze szczeliny wystrzelił strumień wody, tak potężny, że sięgnie nieba i wstrząśnie całym światem. – Umilkła na chwilę, żeby złapać oddech. – To było niewiarygodne przeżycie, prawdziwe objawienie. Takie właśnie emocje chciałabym uchwycić obiektywem kamery: triumf woli, zwycięstwo narodu.

– W takim razie naprawdę nie rozumiem, co pani tu robi. Najwyraźniej już pani wie, gdzie można naprawdę sfilmować szatana – usłyszałem głos Armesta.

Nie wiem, czy Leni usłyszała jego uwagę, bo w tej samej chwili dojechaliśmy do celu. Niezabudowany teren był cały zastawiony samochodami, zaparkowaliśmy, gdzie się dało. Dochodziła północ, księżyc świecił jasno między nielicznymi czarnymi chmurami, powiewała rześka bryza. Nie spodziewałem się żadnych niezwykłych wydarzeń, ale atmosfera skłaniała do wiary w zjawiska nadprzyrodzone. Podeszliśmy do sporego tłumu zgromadzonego wokół wielkiego kręgu oświetlonego reflektorami. Wszyscy z napięciem wpatrywali się w diabelski pentakl wyrysowany na ziemi wapnem i wytyczony świecami. Nikt nie chciał przegapić ani jednego szczegółu, żadnego elementu czarnej magii. Wewnątrz kręgu stały trzy postaci, każda oświetlona reflektorem: Hanussen, wystrojony we frak, cylinder i długi jedwabny szalik, tkwił nieruchomo ze wzrokiem wbitym

w horyzont, z głową uniesioną wysoko w aroganckiej pozie, ignorując blask fleszy i szepty gapiów; przy nim, z nieobecnym wyrazem pyszczka, koza – zwierzę demoniczne *par excellence* – przeżuwała trawę, przywiązana do kołka; nieco dalej znajdował się niezbędny element eksperymentu – westalka, która miała przyciągnąć Złego. Tą ostatnią była oczywiście ona: długa, biała, plisowana sukienka baronowej lśniła w światłach ekip filmowych. Nie dało się zaprzeczyć, że w stroju tym sprawiała wrażenie czystego anioła, ale jeśli to miała być dziewczyna wybrana do rytuału, to cała ta ceremonia satanistyczna stanowiła po prostu kolejny numer Erika pod publiczność. Widzowie wydawali się jednak zahipnotyzowani magią chwili. Riefenstahl bez uprzedzenia wzięła swoją kamerę i wmieszała się w tłum.

– Ta dziewczyna jest groźniejsza niż małpa z bombą w ręku – stwierdził Felipe, obserwując, jak uwija się, szukając najlepszego kąta filmowania. – Najgorsze, że z taką ambicją na pewno osiągnie to, co sobie postanowiła.

Hanussen zerknął na zegarek i podniósł ręce. Szmerzy ucichły i mentalista zaczął mówić:

– Panie i panowie: legenda Fausta na zawsze pozostanie nierozzerwalnie związana z naszym nieśmiertelnym Goethem, który jak nikt wcześniej potrafił oddać się refleksji nad sprzecznościami natury ludzkiej, jej dobrocią i jednoczesnym pragnieniem zdobycia wiedzy i bogactwa za wszelką cenę. Faust to jednak nie tylko bohater legendy, lecz także prawdziwy człowiek, z krwi i kości. Johannowi Faustowi, żyjącemu na początku piętnastego wieku, przypisuje się autorstwo licznych traktatów z dziedziny magii oraz antologii starożytnych pism nekromanckich. Co więcej, według jednego z uczniów Lutra podobno naprawdę zamierzał przehandlować własną duszę...

Wszyscy utkwili wzrok w Hanussenie. Ich twarze były oświetlone blaskiem reflektorów i świec, a jego metaliczny, nieco zgrzytliwy głos niósł się echem po łące i odbijał od drzew. Choć zdawałem sobie sprawę, że to farsa, ku swojemu zaskoczeniu poczułem dreszcz.

– Jak mówił poeta, posępny, żeby uczcić znów tę straszną noc, przybywam ja, Hanussen, co nieszczęścia jej wróżyłem¹. Księżyc nie jest co prawda w pełni, ale wznosi się jasny i dostoyny, rozsiewając wokół swój blask – powiedział, wskazując niebo. Gdyby nie był mentalistą, mógłby zrobić karierę jako świetny aktor charakterystyczny. – Nikną wszelkie iluzje, ognie płoną niebieskawym światłem. To idealna noc do naszych celów.

Władczym gestem wezwał do siebie dziewczyną asystentkę – baronowa podeszła z wielkim zwojem białego płótna. Mentalista rozwinął je, potrząsnął energicznie, żeby udowodnić, że nic nie kryje się w jego fałdach, po czym majestatycznym ruchem zakrył całą kozę.

– Odprawimy teraz rytuał, obrzęd powtarzany przez stulecia, rozpaczliwą inwokację, wezwanie istoty, przed którą wszyscy drżymy, a którą tak bardzo zarazem przypominamy, która stoi za naszymi najpotworniejszymi czynami i codziennymi występkami: upadłego anioła. Proszę szanowną publiczność o zachowanie ciszy adekwatnej do tej jakże podniosłej chwili.

Apel okazał się zupełnie niepotrzebny: otaczający mnie ludzie nie śmieli nawet mrugnąć. Hanussen zaczął głębokim głosem recytować łacińską inwokację:

– *Sint mihi Dei Acherontis! Valeat numen triples Jehovae! Ignis, aeris, aquae, terra spiritus, salvet! Orientis princeps Belzebub, infern ardentis monarcha, et Demogorgon, propiamus vos, ut appareat et urgat Mephistophilis. Per Jehovam, Gehennam, et consecratam aquam quam nunca spargo, signumque crucis quod nunc facio, et par vota nostra, ipse surgat nobis dicatus Mephistophilis!*

Hanussen na chwilę zawiesił głos, a potem przygotował się do zdjęcia materiału okrywającego kozę. Rozbłyskujące ze wszystkich stron flesze na chwilę nas oślepiły. Gdy rozwiały się kłęby magnezji, po kozie nie było ani śladu. Reakcja widzów ewoluowała z początkowego zaskoczenia do potężnego wybuchu zaraźliwego śmiechu, który poniosł się po całej łące. Na miejscu zwierzęcia pojawiło się niewielkie, dość osobliwie poruszające się stworzenie – wąsaty karzeł odziany w tradycyjny strój bawarski prezentował taniec regionalny, uderzając dłońmi na zmianę w podeszwy obu butów.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Hanussen pozdrowił publiczność i wzniósł toast, unosząc dłoń z kieliszkiem. Z ciężarówki zaparkowanej tuż przy zaimprovizowanej scenie dalekowschodni służący wypakowywali butelki szampana, rozlewali go do szklanek i rozdawali dziennikarzom i gapiom. Wszyscy wyglądali na zachwyconych, berlińczycy najbardziej lubili tego typu żarty. Armesto nie mógł przestać się śmiać.

– Genialne! Twój przyjaciel naprawdę ma talent sceniczny. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego! – zachwycił się, ocierając łzy śmiechu. – Chociaż nie wiem, czy Leni i jej kumple naziści też to docenią: zmienił niemiecką kozę w miniaturową replikę ich ukochanego Führera!

Parafraza cytatu z *Fausta*, za: Johann Wolfgang Goethe, *Faust*, tłum. Adam Pomorski, Świat Książki, Warszawa 1999 (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Siedząc na tarasie kawiarni Josty, można było się poczuć jak w centrum dowodzenia ogromnej maszyny. Pięcioma największymi alejami Berlina płynął wartki strumień samochodów, autobusów, rowerów i wozów ciągniętych przez konie na Potsdamer Platz, a dominowała nad nimi metalowa wieża sygnalizatora świetlnego, widocznego z każdego krańca pięciokąta ulic. Setki osób wlewały się na stacje metra i kolei i wylewały z nich, mijając niezliczonych sprzedawców gazet i kwiaciarzy, którzy jak niewzruszone skały opierali się ludzkiej lawinie. Zaczynało się ściemniać i zapalały się już pierwsze światła Kempinski Haus Vaterland, wielkiego centrum rozrywki z kinami i restauracjami. Obserwowaliśmy z Xammarem tłumy, w milczeniu popijając piwo. Jeszcze kilka dni wcześniej zasypywałbym go tysiącem historii, ale teraz czułem się przy nim dość skrępowany. Choć Eugeni nie dopytywał zbyt natarczywie o moje życie, odnosiłem wrażenie, że nieustannie mnie osądza. Nawet kiedy zerkał na mnie mimochodem, tak jak teraz.

– A jak tam w pracy? – zapytał w końcu.

W odpowiedzi rzuciłem kilka ogólników. Nie miałem ochoty zdradzać, że jedyny artykuł, jaki udało mi się ostatnimi czasy opublikować, dotyczył problemów z bezsennością zwierząt z berlińskiego zoo w związku z intensywnym ruchem pojazdów w nocy. Wspomniał, że pewien ekwadorski dziennik poszukuje kogoś do pisania i może ja mógłbym się tym zająć – on miał już dość roboty, bo oprócz „Ahory” współpracował też z gazetami z Hawany, Limy, Bogoty, Caracas, Montevideo i Buenos Aires. Odparłem coś niewyraźnie, ograniczając się do monosylab. Artykuły Eugeniego ukazywały się na pierwszych stronach kilku czasopism, do tego tłumaczył niemieckich klasyków i miał nawet czas na przygotowanie pawilonu hiszpańskiego na targi w Lipsku, a ja tymczasem nie potrafiłem sklecić porządnego tekstu do jednej jedynej gazety. Na razie zbierałem jeszcze żniwa wywiadu z Tomaszem Mannem, ale spodziewałem się, że już niedługo redaktor naczelny zacznie się upominać o coś nowego.

– Ale upał. – Xammar zdawał się nie zauważać mojego podłego nastroju. Wbrew swoim zwyczajom odpiął guzik kołnierzyka i poluzował nieco muszkę.

Przedłużające się milczenie zaczynało mnie stresować, ale nadal nie miałem ochoty na rozmowę. Zamówiłem piwo i pokłóciłem się z kelnerem, bo mi go nie przynosił. Przez taras przeszło dwóch nazistów, zostawiając na stolikach ulotki.

– Znowu te brunatne koszule – skomentował jeden z siedzących za nami klientów.

– A taki już był spokój, kiedy zdelegalizowali SA.

– Ja tam będę na nich głosowała, nie mogą być gorsi od tych, co teraz rządzą, a przyda się powiew świeżego powietrza – odparła jego towarzyszka. – Ktoś zresztą musi usadzić Żydów, bo w końcu opanują całe Niemcy. – Xammar bez większego zainteresowania przejrzał broszurki.

– Znowu wybory. Jak tak dalej pójdzie, będą musieli wykarczować wszystkie lasy Schwarzwaldy, żeby mieć na czym drukować agitki.

Rzeczywiście – nowy kanclerz Papen rozpiął wybory parlamentarne na koniec

lipca. Od kiedy kilka dni wcześniej zniesiono zakaz noszenia mundurów organizacji paramilitarnych, w całym mieście zaroilo się od ludzi w brunatnych, czerwonych i szarych koszulach, rozdających materiały propagandowe. Oraz ciosy. Tylko w ubiegły poniedziałek siedemnaście osób zginęło w Niemczech w bójkach ulicznych. Wojsko kilkakrotnie musiało interweniować w celu stłumienia zamieszek. Dochodziło również do zamachów na lokale żydowskie.

– Nie mogę się nadziwić tej ich obsesji na punkcie Żydów – ciągnął Xammar, jakby myśląc na głos. – Większość tych rzekomo czystej krwi Aryjczyków wcale nie czuje nienawiści do Żydów, często wręcz podziwiają ich intelekt i przedsiębiorczość. Żeby daleko nie szukać, w ubiegłym roku, zaledwie kilka miesięcy przed twoim przyjazdem, Charlie Chaplin promował w Berlinie jeden ze swoich filmów. Naziści rozpętali ostrą kampanię przeciwko temu, jak mówili, „żydowskiemu komediantowi, który odwraca uwagę młodzieży od bohaterów mitów germańskich, takich jak Zygfryd”. A mimo to kilkuset tysięczny tłum, największe zgromadzenie, jakie widziałem w tym kraju, zebrał się przed hotelem Adlon, żeby go przywitać. Niestety, naziści zdołali przekonać miliony niedojadających Niemców, że mogliby jeść więcej, gdyby nie Żydzi, a właściciele sklepów, że interesy szłyby im dużo lepiej bez żydowskiej konkurencji.

Nie byłem w nastroju na rozmowy o polityce, więc poprosiłem o rachunek – chciałem zostać sam. Zdenerwowałem się, kiedy Eugeni uparł się, żeby zapłacić na pół – drażniły mnie te prowincjonalne nawyki. Chryste, przecież zamówiliśmy tylko parę piw i dwie kiełbaski! Już, już wstawałem, pewny, że udało mi się wyswobodzić, kiedy Xammar zadał mi pytanie, którego najbardziej się obawiałem.

– A jak tam twój przyjaciel Hanussen?

Mógł sobie darować ten sarkazm, którym nasycił słowo „przyjaciel”.

– Nie widziałem go od jakiegoś czasu – rzuciłem, po czym pożegnałem się i niezobowiązująco przyjąłem zaproszenie na obiad u niego.

Faktycznie, ostatni raz spotkałem się z mentalistą podczas imprezy na statku, ponad tydzień wcześniej. Nie byłem zresztą pewien, czy chcę go jeszcze kiedyś widzieć.

W dniu przyjęcia niebo o zmierzchu wyglądało spektakularnie. Praktycznie z dnia na dzień lato przyniosło falę ciepła, którą my, przybysze z Południa, docenialiśmy niemal tak jak berlińczycy. Jak na dźwięk pistoletu startowego parki wypełniły się coraz skąpiej odzianymi ludźmi, a niektóre dziewczyny rozbierały się nawet do bielizny, żeby chłonać każdy promień słońca. Nie brakowało zwolenników nudyzmu, ostatniego krzyku mody w Republice Weimarskiej: w samym tylko Berlinie znajdowało się przeszło czterdzieści klubów gromadzących tysiące entuzjastów, podzielonych – podobnie jak we wszystkich aspektach życia w Niemczech – ze względu na wyznawaną ideologię: komuniści i socjaliści bronili naturyzmu jako symbolu nowoczesności, pacyfizmu oraz nowych obyczajów, traktujących ciało jako coś w pełni naturalnego; z kolei nacjonałiści opiewali *Nacktkultur* jako powrót do aryjskich korzeni, antyintelektualny sposób na odzyskanie supremacji niemieckich ciał i dusz.

Większość klubów realizowała swoją działalność nad jeziorami wokół Berlina i to właśnie nad jedno z nich, Scharmützelsee, udaliśmy się z La Janą pewnego lipcowego poranka. To tam cumował statek Hanussena, *Ursel IV*, który według przechwałek

właściciela był większy od jachtu Rockefellera i kosztował około stu tysięcy „jajek”. Tego wieczoru miał się na nim odbyć, według niego, bal stulecia. Nasłuchałem się już o przyjęciach na statku i chciałem się dowiedzieć, czy opowieści były zgodne z prawdą. Jak na prawdziwego nuworysza przystało, Hanussen uwielbiał obnosić się ze swoim bogactwem i nie szczędził kosztów, żeby zaimponować gościom.

Na mnie udało mu się zrobić wrażenie już od pierwszej chwili. Nienaganna sylwetka świeżo odmalowanego jachtu lśniła na wodach jeziora. Z takielunkiem oplecionym tysiącem kolorowych girland przypominała wielkiego białego słonia przystrojonego na jakieś pogańskie święto.

– *Namaste*, drodzy przyjaciele. Oto najpiękniejsza i najbardziej egzotyczna para na świecie: tancerka i toreador! – Hanussen czekał na nas u wejścia na trap, z kieliszkiem w rękę i papierosem w ustach. W turbanie na głowie wydawał się wyższy, a dopasowana marynarka z szafranowego jedwabiu go wyszczuplała. – Zapraszam na noc orientálną na jachcie siedmiu grzechów głównych. – Tak zwykle nazywał swój statek i taki był motyw przewodni imprezy.

Ja ubrałem się tak samo jak na wizytę u Göringa, ponownie przyjmując tożsamość Radżita, La Jana zaś przywdziała jeden z najbardziej spektakularnych kostiumów ze swoich przedstawień i wcieliła się w – jak twierdziła – Saraswati, hinduską boginię miłości. Nie wyznaję się zbyt dobrze na hinduistycznym panteonie, ale wyglądała tak wyzywająco, że w drodze nad jezioro nie miałem innego wyjścia, jak tylko zatrzymać samochód w dyskretnym miejscu i dokonać należnego świętokradztwa. Jak można się było spodziewać, Erik nie oszczędzał również na dekoracjach: pokład statku pokrywały orientalne dywany, wszędzie tliły się kadzidelka, kelnerzy mieli na sobie kolorowe koszule, tureckie szarawary i fezy, w jednym kącie zaklinacz węży grał na flecie nad swoim koszykiem, a umieszczony na dziobie ołtarzyk z licznymi posążkami bóstw zwieńczony był wielkim fallusem z gipsu pomalowanym na złoto.

– To linga, wyobrażenie boga Śiwy, symbol energii i obfitości. A ten jest dokładnym odwzorowaniem mojego! Nawet sobie nie wyobrażacie, jak niewygodne było robienie odlewu! – Hanussen ze śmiechem wskazał obiema rękami na krocze.

Również zgodnie z moimi oczekiwaniami na statku roiło się od dziewczyn: wysokich, niskich, brunetek, blondynek i rudych, wszystkich pięknych i młodych. Wokół jasnowidza kręciły się zawsze dzikie tabuny kobiet: aktorek, tancerek kabaretowych, dziewczyn z dobrych rodzin korzystających z konsultacji. Erikowi dla nikogo nie brakowało czasu ani miłości. Choć przekroczył już czterdziestkę, sam często zazdrościłem mu wigoru. Niziutki, grubutki, z wielkimi oczami i nochalem... A jednak nie mogły mu się oprzeć.

– Podobno pieniądze szczęścia nie dają – powiedział, klepiąc mnie po plecach – ale możesz sobie za nie kupić taki jacht i zapełnić go kobietami. Nie widziałem jeszcze smutnego mężczyzny na statku pełnym pańienek.

Stojąca obok nas dwójka gości wybuchnęła gromkim śmiechem. Wyglądali jak kropka i „i” – jeden wysoki i chudy, drugi niski i gruby.

– Chodź, Pepe, przedstawię ci moich dwóch wspaniałych przyjaciół.

Petera Lorrego – filmowego wampira z Düsseldorfu, przebranego dziś za handlarza

papuciami – pamiętałem od czasu naszej pogawędki w Kakadu, o której on rzecz jasna kompletnie zapomniał. Natychmiast rozpoznałem też ostre rysy i podkrążone wylupiaste oczy Conrada Veidta, słynnego Cesarego z *Gabinetu doktora Caligari*. Naczelny czarny charakter kinematografii niemieckiej miał na sobie czarną pelerynę, niezbyt orientálną, ale adekwatną do postaci odgrywanej na ekranie. Zaczęliśmy żartować, że powinni nakręcić film z Hanussenem, to widzowie posraliby się ze strachu. Wszyscy śmiali się głośno, choć Conrad Veidt nieco mniej serdecznie.

– Swoją drogą, przyjacielu – powiedział, kładąc rękę na ramieniu mentalisty – mówią, że spotkał się pan z Hitlerem.

Hanussen znów się roześmiał.

– Nie wiercie we wszystko, co słyszycie – odparł, odchodząc u boku egipskiej księżniczki. – Wiadomo, że ludzie uwielbiają gadać, zwłaszcza na mój temat!

Oprócz pisarzy, ludzi teatru, tancerek i innych artystów, na tak ekskluzywnej imprezie nie mogło zabraknąć również hrabiego Helldorfa wraz z nieodłącznym towarzyszem – Sturmbannführerem Ohstem, nazistą o niepokojącym uśmiechu. Nawet na ten wieczór nie zrezygnowali z wysokich oficerek, które wyglądały dość absurdalnie w połączeniu ze spowijającymi ich mauryjskimi dżellabami. Zobaczyłem, że rozmawiają z Dzinem, i już miałem się oddalić, kiedy sekretarz Hanussena przywołał mnie gestem.

– Dyskutujemy o wojnie, to bardzo... interesujący temat – zagadnął, żeby wciągnąć mnie do rozmowy. Najwyraźniej nie uśmiechała mu się samotna konwersacja z tymi typami.

– Był pan na wojnie? – zapytał mnie szorstko hrabia.

Wymigałem się od wojska dzięki płaskostopiu, ale wężąc w tym pytaniu podstęp, odparłem, że owszem, służyłem w Maroku, ale niestety nie brałem udziału w spektakularnych akcjach. Dzino wtrącił, że on sam walczył na froncie wschodnim, i dodał z nieukrywaną dumą, że jego ojciec był jedynym w historii muzułmańskim dowódcą armii austro-węgierskiej. Helldorf spojrział na niego z pobłażaniem.

– Lepszy mahometanin niż Żyd... – rzucił Ohst, a blizna przy ustach rozciągnęła jego twarz w dół. Sam widok tego faceta wprawiał w przerażenie. – Pan jest Żydem?

Poczułem się tak, jakby ktoś przystawił mi pistolet do piersi. Wyjąkałem, że nie, w Hiszpanii jest ich niewielu.

– Bo tutaj są ich całe chmary! – zawołał, wskazując na gości, którzy już zaczęli tańczyć i pić. Potem zwrócił się do szefa: – Naprawdę wydaje się panu, że Hanussen jest godny spotkania z Führerem?

Helldorf zgromił go wzrokiem, a Ohst spuścił głowę. Dyskretnie oddaliłem się od grupy, podczas gdy Dzino próbował tłumaczyć, że ze względu na swoją profesję Hanussen zadaje się z najróżniejszymi ludźmi, a w tej branży nie brakuje Semitów. Wizyta mentalisty u Hitlera była najwyraźniej na wszystkich językach, ale zakładałem, że dowiedziałbym się o niej, gdyby już do niej doszło. Erik nie należał do osób, które trzymałyby takie wydarzenie w tajemnicy.

Nawet się nie zorientowałem, kiedy łódź odbiła od brzegu. Oparłem się o barierkę na górnym pokładzie i cieszyłem wieczorną bryzą. Z brzegu ludzie obserwowali nas przez lornetki, zaintrygowani dźwiękami muzyki oraz reputacją, jaką cieszyły się bankiety

wydawane przez mentalistę. Zastanawiałem się, o czym myślą gapie – pewnie nam zazdroszczą. Albo życzą sobie w duchu, żeby statek zatonął z nami wszystkimi na pokładzie – takie przyjęcie musiało stanowić prowokację w kraju sześciu milionów bezrobotnych. Ktoś stanął u mojego boku i aż podskoczyłem, kiedy zauważyłem, że to baronowa.

– Podoba ci się moja sukienka? Mistrz zaprojektował ją dla mnie specjalnie na imprezę. – Miała na sobie biały haftowany kaftan, ale mogłaby włożyć nawet worek po ziemniakach, a i tak pozostawałaby najpiękniejszą kobietą na statku.

Chyba już od dłuższego czasu spędzała całe dni na jachcie, bo skórę miała brązową od słońca, a czubek nosa uroczo zaczerwieniony. W rozwichrzonych włosach lśniły promienie zachodzącego słońca. Po raz pierwszy od dawna rozmawiała ze mną bez żadnego powodu. Odpowiedziałem, próbując udawać obojętność i znużenie.

– Twoje przebranie też jest niezłe – stwierdziła. – Oczywiście, jak mówi wschodnie przysłowie, czasem szata jedynie skrywa piękno duszy.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale udało mi się tylko głupkowato uśmiechnąć. To miała być jakaś aluzja czy po prostu się ze mnie nabijała? Baronowa uśmiechnęła się na chwilę, która wydawała mi się wiecznością, a potem wskazała głową na dolny pokład. La Jana, z zamkniętymi oczami, zupełnie ignorując tłumy gości, opalała się nago łapiąc ostatnie promienie słońca, tylko dwie orientalne bransoletki błyszcząły na jej złocistobrązowych kostkach.

– Ma piękne ciało, prawda? – rzuciła baronowa, odchodząc. – Nie spuszcza jej z oka, bo jakiś spryciarz ci ją sprzątnie.

Gdy zapadła noc, coraz więcej kobiet i młodzieniaszków przechadzało się po jachcie niemal nago. W ogólnym rozluźnieniu obyczajów pomogły przystawki roznoszone przez tureckich kelnerów na srebrnych tacach: kawałki ananasa z pejotlem, narkotykiem praktycznie wówczas nieznanym w Berlinie. Z uwagi na wcześniejsze doświadczenia z tą substancją wolałem trzymać się szampana. Z początku czułem się dość niezręcznie wobec powszechnej nagości – pewnie przez hiszpańskie uprzedzenia i brak przyzwyczajenia – ale w końcu ogarnęła mnie euforia i zacząłem z zapalem ocierać się o tyłki, dotykać oferowanych mi ud i piersi. Musiałem chyba być bardzo pijany, bo miałem wrażenie, że wszyscy stanowimy jedno ciało, pulsujące i poruszające się w rytmie zmysłowej muzyki.

Oczywiście nie wszystko było pokojem, miłością i ekumeniczną nagością. W jednym kącie pokładu Helldorf żarliwie tłumaczył coś Hanussenowi, który słuchał z najwyższą powagą, choć zdjął już z głowy turban, a na szyi zawiesił sobie koło ratunkowe. Ze sposobu mówienia hrabiego, który raz po raz wykrzywił usta, z furią akcentując „u” w słowie *Juden*, łatwo można było wywnioskować temat jego tyrady. Im bardziej mentalista starał się go uspokoić, tym bardziej Helldorf – z płonącym wzrokiem i gubiąc czasem wątek – zdawał się wychodzić z siebie. Znużony Hanussen zdjął sobie koło z szyi i gestem dał grafowi do zrozumienia, żeby ten chwilę poczekał. Przeszedł na drugą stronę pokładu i wrócił z jednym z powabnych tancerzy z trupy La Jany. Kiedy chłopak stanął przed Helldorfem, ten otaksował go wzrokiem od góry do dołu – a raczej od dołu do góry. Potem ujął go pod ramię, zabrał butelkę szampana i zniknęli razem

w przejściu prowadzącym do kabin.

Przyjęcie osiągnęło właśnie apogeum, kiedy nagle muzyka zamilkła. Jakaś dziewczyna, którą wcześniej mi przedstawiono, podobno znana malarka, wyłączyła gramofon.

– Eriku, starczy już tych tańców! – zawołała. – Chcemy zobaczyć twój pokaz! – Pozostali goście zawtórowali oklaskami i entuzjastycznymi gwizdami. – Chcemy zobaczyć coś wyjątkowego, prawdziwą sensację – ciągnęła dziewczyna. – Może na przykład zahipnotyzujesz mnie, żebym zrobiła striptiz?

– Przecież już jesteś goła! – zawołał ktoś z głębi.

Dziewczyna miała na sobie tylko jedwabne francuskie figi. Wybuchliśmy gromkim śmiechem. Erik stanął na środku i poprosił publiczność o propozycje. Ktoś zasugerował sztuczkę z wyimaginowanym kochankiem, znaną większości obecnych choćby ze słyszenia. Mentalista odrzucił jednak ten pomysł – stwierdził, że nie lubi się powtarzać. Nagle jego twarz przybrała wyraz świadczący o tym, że wpadł mu do głowy jakiś pomysł. Szepnął coś na ucho jednemu z kelnerów, a potem podszedł do malarki i rozpoczął rytuał hipnozy. Mięśnie dziewczyny się rozluźniły, ledwo utrzymywały ją w pionie, a w jej oczach zagościła pustka.

– Stworzysz wielkie dzieło, droga Ruth, awangardowe, niekonwencjonalne, które zostanie zapamiętane na wiele lat. Oto farby dla ciebie – powiedział, wręczając jej tubki musztardy oraz sosu pomidorowego przyniesione przez służbę – a tutaj masz płótno – dodał, sadzając ją przed baronową, nadal w jedwabnym kaftanie.

Serce zaczęło mi szybciej bić. Pograżona w transie artystka odkręciła tubki, przykucnęła i zaczęła rękami malować po białej tkaninie. Goście bili brawo bez większego przekonania, nieco rozczarowani.

– Ale malowanie na płótnie to nic nowego, przestarzała, dekadenska technika. Powinnaś malować na blejtramicie.

Malarka wstała i podciągnęła kaftan nad głowę baronowej, która po chwili stała przed nami kompletnie naga, acz niewzruszona.

Widzowie zaczęli gwizdać z ożywieniem. Nie chciałem patrzeć, ale nie mogłem się powstrzymać. Malarka smarowała musztardą i pomidorami po brzuchu, tym płaskim, jędrnym brzuchu, którego tak bardzo pragnąłem, który wspominałem z furją, gdy kochałem się z La Janą.

– Ale malowanie rękami to żadna sztuka, każdy to potrafi. A ty jesteś wyjątkową, genialną artystką, musisz wprowadzać innowacje. Możesz na przykład wykorzystać język do stworzenia swojego dzieła – oznajmił magik. – Tak, właśnie, eksploruj, odkryj wszystkie zakamarki. – Baronowa zaczęła drzeć, patrząc na Hanussena. On z kolei popatrzył na mnie. I się uśmiechnął.

Nagle jednak przedstawienie zostało przerwane przez głośnie zamieszanie. Hrabia Helldorf, bez koszuli i czerwony na twarzy, wpadł na pokład, ciągnąc za rękę chłopaka, z którym wcześniej zniknął. Odepchnąwszy wszystkich, których napotkał po drodze, cisnął młodzieńcem na stół stojący na środku. Na szyi hrabiego widniały cztery cienkie czerwone kreski.

– Ten bydlak mnie podrapał! Trzymaj go, Ohst! – wrzeszczał, wyciągając bicz

z cholewy buta.

Jego towarzysz unieruchomił chłopaka, a hrabia zaczął chłostać go po plecach z coraz większą siłą i wściekłością. Usta Helldorfa pokryły się pianą, która kapiała na podłogę. Blizna Ohsta przypominała krwawy grymas. Wszyscy staliśmy jak sparaliżowani, niezdolni się ruszyć, jedynym dźwiękiem były okrzyki bólu. Hanussen uśmiechał się głupkowato, sącząc szampana. Chłopak stracił przytomność. Stojący obok mnie Peter Lorre zgiął się wpół i zwymiotował na jakąś roślinę. W końcu Dzino podszedł do Helldorfa i nie próbując nawet złapać go za ramię, poprosił, żeby przestał. Hrabia zadał jeszcze kilka razy i z furią cisnął pejcz na ziemię.

– Co się tak gapicie? – zapytał zaczepnie zgromadzonych gości. – Tak, jestem sadystą, przyznaję, i co z tego? Wszyscy jesteście sadystami, nie bądźcie hipokrytami! W tych nowych czasach powinniśmy zapomnieć o żalonym mieszczańskim współczuciu.

Nie wiem, czy przyjęcie toczyło się dalej – nie czekając na La Janę, popłynąłem na brzeg jedną z szalup, wsiadłem do samochodu i odjechałem. Jeszcze przez kilka nocy po imprezie słyszałem wrzaski chłopaka, w snach prześladował mnie złośliwy uśmieszek Hanussena, kiedy przyglądał się tej scenie, kiedy poniżał baronową. Ta zabawa stała się dla mnie zbyt poważna, zbyt dekadenccka, zbyt niebezpieczna. Może nieodpowiednio oceniłem swoje siły – byłem w końcu tylko zwyczajnym chłopakiem, wychowanym w tradycyjnej hiszpańskiej rodzinie, a nie światowcem, za którego próbowałem uchodzić. Powiniennem posłuchać Armesta i Xammara, porzucić fantazje i w pełni poświęcić dziennikarstwu, a świat rozrywki zostawić innym, o mocniejszych żołądkach i słabszych skrupułach. W Niemczech wiele się działo, więc jeśli dam sobie spokój z głupotami, na pewno nie zabraknie mi materiału do ciekawych artykułów.

PAPEN ODSUWA SOCJALISTÓW OD WŁADZY

20 lipca 1932 roku

Kronika telefoniczna naszego korespondenta Josego Ortegi z Berlina

Prezydent Hindenburg podpisał dziś decyzję o rozwiązaniu socjaldemokratycznego rządu sprawującego dotychczas władzę w Prusach, największym kraju związkowym Niemiec. Kompetencje rządu przejmie bezpośrednio kanclerz Papen. Jako oficjalny powód podjęcia tak wyjątkowych kroków podaje się niestabilną sytuację wywołaną krwawymi zamieszkami, do których doszło kilka dni temu w miejscowości Altona pod Hamburgiem. Manifestacja zorganizowana przez nazistowskie bojówki w dzielnicy robotniczej przerodziła się w regularną bitwę, w wyniku której zginęło osiemnaście osób. Nie zapominajmy jednak, że wkrótce odbędą się wybory, a kanclerz Papen próbuje upiec trzy pieczenie na jednym ogniu: wyeliminować ostatni wielki bastion wpływów socjalistycznych w Niemczech, przejąć kontrolę nad pruską policją (najlicniejszym organem bezpieczeństwa w kraju) i zyskać większe poparcie nacjonalistycznych wyborców poprzez pokaz siły. Wielu sądzi jednak, że ruch ten osłabia instytucjonalną i demokratyczną równowagę Niemiec, ułatwiając zadanie narodowym socjalistom, jeśli uda im się zwyciężyć w wyborach zaplanowanych na koniec lipca.

Na miejsce spotkania wyznaczono hotel Kaiserhof – na ostatnim piętrze znajdowała się kwatera główna nazistów. Hanussen bardziej niż zwykle zadbał o przyszykowanie się do spotkania. Wiedział, że Hitler nienawidzi tytoniu, więc sokiem z cytryny zmył nikotynowy nalot z palców wskazującego i środkowego. Poświęcił również sporo czasu na szczotkowanie zębów i płukanie gardła. Uczesał schludnie gęstą czarną grzywę i przyglądał krzaczaste brwi. Ani kropli wody kolońskiej, tylko zapach dobrego niemieckiego mydła. Poprosił Dzina o skromny szary garnitur z wąskimi klapami. Dobrał do niego koszulę i czarny krawat, bez spinki. Porządnie wyczyszczone czarne buty, ale nieprzesadnie nowe. Z satysfakcją przejrzał się w lustrze. Idealnie – właśnie o taki wizerunek mu chodziło. Czuł treść, co niemal nigdy mu się nie zdarzało, chętnie pociągnąłby z piersiówki schowanej w kieszeni, ale Hitler był też abstynentem. Co to za mężczyzna, który nie pije, nie pali i najwyraźniej nie ugania się za spódniczkami?

Helldorf, odpowiedzialny za zaaranżowanie rozmowy, przyszedł go odebrać. Wbrew oczekiwaniom Hanussena, hrabia nie udzielił mu żadnej rady, żadnej przestrogi. Mentalista próbował nawiązać niezobowiązującą pogawędkę, żeby się nieco rozluźnić, ale hrabia niemal całą drogę spędził w milczeniu, niczym pielgrzym zbliżający się do katedry. Kiedy dotarli do hotelu, ramiona wystrzeliły w obowiązkowym salucie powitalnym. Poddali się pierwszej kontroli bezpieczeństwa w westybulu recepcji, po czym wjechali na górę. Gdy otworzyły się drzwi windy, drogę zagroziła im ściana czarnych mundurów – to SS, pretorianie Hitlera. Rozstąpili się dopiero, kiedy rozpoznali hrabiego. Hanussen czuł się malutki przy tych blond olbrzymach, twardych jak pień sekwoi, którzy zaprowadzili go do niewielkiego pokoju. Helldorf odszedł, a mentalista usiadł w fotelu – już mu zapowiedziano, że prawdopodobnie będzie musiał poczekać. Dobrze, dzięki temu zdąży uporządkować myśli. Po wielu tygodniach niepewności wreszcie tego ranka otrzymał zaproszenie do Hitlera. Najwyraźniej zwykle tak właśnie działał, impulsywnie. Od czego miał zacząć rozmowę? Tak naprawdę wiele ich łączyło: przyszli na świat w tym samym kraju i w tym samym roku, obaj byli zodiakalnymi Bykami, obaj służyli na wojnie w stopniu kaprała i odnieśli rany. Co więcej, z tego, co wiedział, Hitler tak jak on spędził przed wojną kilka lat w Wiedniu, kiedy Hanussen zwał się jeszcze Steno i pracował w cyrku jako połykacz mieczy. Z całkiem sporą dozą prawdopodobieństwa można było założyć, że wpadli na siebie kiedyś w tramwaju czy kawiarni, dwaj z tysięcy wędrujących wówczas po Wiedniu. Nie, miał przeczucie, że takie sentymentalne paralelizmy nie zainteresują tego wielkiego człowieka, lepiej liczyć na spontaniczną inspirację. Minuty płynęły powoli. Hanussen uważnie przyglądał się swoim dłoniom. To ta część ciała sprawiała mu największą satysfakcję: długie, szczupłe, z ledwie zarysowanymi kłykciami oraz niemal idealnie owalnymi paznokciami. Wiele zawdzięczał tym dłoniom, niemal tyle co swojej niezawodnej pamięci. Ponownie zerknął na zegarek – czekanie się przeciągało. Pomyślał o klientach czekających na konsultację, którzy godzinami wysiadali pod jego gabinetem, choć on często nawet nie znajdował się za jego drzwiami, a w łóżku z jakąś dziewczyną, która nie mogła się oprzeć sile nieznanego.

Do salki wszedł jeden z esesmanów i z uśmiechem podał mu gazetę – „Die Hanussen Zeitung”, jego własne czasopismo. Bez większego entuzjazmu przekartkował wydanie, które jako redaktor naczelny znał przecież na pamięć. Zatrzymał się przy reklamie kremów erotycznych. Zdjęcie, na którym prezentował flakon, było intrygujące, dobrze oddawało aurę tajemnicy spowijającą produkt zdolny otworzyć wrota przyjemności, nawet jeśli w rzeczywistości zawierał on tylko glicerynę i kilka innych banalnych składników. Przydałby się jednak jeszcze bardziej sugestywnie zmysłowy obraz, może na przykład kobiety leżącej u stóp mężczyzny. Odłożył gazetę i znów zaczął przyglądać się dłoniom, na nowo opadła go trema. Jeśli zmuszenie do czekania stanowiło celową strategię, to musiał przyznać, że skuteczną.

Wreszcie kolejny ogromny blondyn z SS otworzył drzwi i zaprosił go dalej. Ciężkie czarne buty dudniły o parkiet, a Hanussen szedł za nim i wyobrażał sobie, że zmierza w kierunku sceny, przed którą czeka już na niego publiczność, sceptyczna, ale i zaciekawiona – nic nowego. Myśl ta pomogła mu odzyskać pewność i panowanie nad sobą: niezależnie od wszystkiego, to w końcu kolejny występ, jeden z wielu w jego życiu.

Zasłony były zaciągnięte i w salonie apartamentu panował półmrok, rozświetlany jedynie kilkoma słabymi lampkami. Nie zdążył usiąść – otworzyły się przesuwne drzwi i do pokoju wielkimi krokami wszedł Adolf Hitler, a za nim sekretarz Rudolf Hess. Führer odesłał go skinieniem głowy; zaskoczony Hess zerknął na mentalistę spod zmarszczonych brwi, ale posłusznie wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Nawet lepiej, pomyślał Hanussen.

– Proszę wybaczyć spóźnienie, ale właśnie przemawiałem, a niedługo czeka mnie kolejne wystąpienie, musiałem się odświeżyć. Niestety, mam taką możliwość wyłącznie w Berlinie, i to tylko kiedy jestem akurat w pobliżu hotelu. Sam pan wie, jak to jest z kampaniami wyborczymi – powiedział Hitler bez uśmiechu i wyciągnął ku niemu dłoń. W dotyku okazała się miękka i wilgotna. Wyglądał bardzo pospolicie: przetłuszczona grzywka, szerokie biodra, zwyczajny, nieco zadarty nos. Jego głos brzmiał delikatniej, przyjemniej niż w serwisach radiowych, ale całą uwagę skupiały na sobie te stalowoniebieskie oczy, zimne jak lód – trudno było oderwać od nich wzrok, dominowały nad resztą twarzy. Lśniły jak u osoby pozbawionej jakichkolwiek wątpliwości. Hanussen zamierzał odpowiedzieć, że jego również męczą występy, a podczas każdego traci jakies trzy–cztery kilogramy, ale zaraz dotarło do niego, że stoi przed kimś, przy kim lepiej zapomnieć o zwykłych szarlatańskich sztuczkach, człowiekiem nawykłym do budzenia posłuchu. Hitler mówił dalej o kampanii wyborczej, podróżach samolotem i samochodem do kolejnych miast, po to tylko, żeby wygłosić mowę i natychmiast udać się w dalszą drogę, bo gdzie indziej czekały już inne tłumy, oczekujące od niego odpowiedzi na pytania. Nagle przerwał wywód i przyjrzał mu się uważnie. Mentalista zmusił się, żeby wytrzymać to spojrzenie.

– Muszę panu coś wyjaśnić – powiedział Führer, odgarniając grzywkę z czoła. – Nie wierzę w jasnowidztwo ani astrologię. Sam jestem panem swojego losu, wyznaczam sobie cele i je realizuję. Sukces zależy tylko ode mnie, od mojego głębokiego przekonania, że Niemcy mnie potrzebują. To triumf woli nad zabobonem i materializmem. Wyjątkowo odrażająca wydaje mi się idea, jakoby dwie osoby urodzone tego samego dnia miało czekać to samo przeznaczenie. Miałoby to znaczyć, że ja i na

przykład jakiś Żyd czy Murzyn mielibyśmy być równi, bo kierują nami te same gwiazdy?

Hanussen próbował wytłumaczyć, że również inne szczegóły mają znaczący wpływ na osobisty horoskop, na przykład miejsce, godzina czy wpływ ascendentów rodziców, ale Hitler mu przerwał.

– Ogólnie rzecz biorąc, horoskopy, którym tak ufają Anglicy, to oszustwo. Jednocześnie uważam jednak, że nie należy zupełnie ich lekceważyć. Na przykład w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku, tuż przed naszym bohaterskim puczem w Monachium, jeden z moich współników bez mojej wiedzy przekazał karteczkę z datą i miejscem mojego urodzenia do niejakiej Frau Ebertin, podobno gwiazdy w waszych kręgach. Nie podał mojego nazwiska, ale na podstawie dostarczonych danych ta kobieta oznajmiła, że chodzi o człowieka czynu, urodzonego, by poświęcić się za Niemcy, który wkrótce dozna porażki, ale z kolejnych bitew wyjdzie zwycięsko i w końcu zatriumfuje. Niewykluczone więc, że pewne osoby w określonych okolicznościach mogą dostarczyć interesujących informacji.

Przez chwilę mentalista miał wrażenie, że spotkanie okaże się kurtuazyjną wizytą, długim monologiem, do jakich ten człowiek zdawał się mieć skłonność, ale dostrzegł pęknięcie w jego zbroi. Spokojnym, pewnym siebie tonem wyjaśnił, że to normalne, by człowiek taki jak on zajmował się wyłącznie sprawami praktycznymi, kwestiami politycznymi, ale nie należy zapominać, że sztuka jasnowidzenia jest stara jak świat, a stosowane przez niego metody wypracowali przed tysiącami lat pierwsi Aryjczycy w Indiach. Usiedli i Hanussen poprosił Hitlera o wyciągnięcie prawej dłoni. Była długa i wąska, choć o zaskakująco krótkim palcu wskazującym, niewiele dłuższym od małego palca. Zdradzało to tendencje do ukrywania się za wykreowaną personą oraz problemów z wyrażaniem prawdziwych uczuć i myśli, ale jasnowidz powstrzymał się przed komentarzem i zamiast tego oświadczył, że to cecha osób zdecydowanych, niebojących się ryzyka. Zmyślił też, że to znak człowieka obdarzonego naturalnym autorytetem, który nie potrzebuje narzucać innym swojego zdania. Potem przeszedł do analizy palca środkowego, lekko skrzywionego i nieprzeciętnie długiego, co świadczyło o znacznych zdolnościach analitycznych, wielkiej pewności siebie, przywiązywaniu dużej wagi do porządku oraz problemach z żołądkiem. Przy tej ostatniej uwadze Hanussen poczuł, że trafił w dziesiątkę: dolna warga rozmówcy drgnęła niemal niezauważalnie i Hitler przyłożył wolną rękę do brzucha. Następnie mentalista zajął się lewą dłonią. Wzgórek Merkurego znamionował myśliciela, a na wzgórkach Saturna wyraźnie rysowała się pętla, symbol władzy. Linia życia urywała się nagle, ale sporo jeszcze brakowało. Linia serca sugerowała – mniej więcej, wyszło to już w horoskopie przygotowanym do gazety, więc postanowił dorzucić – wystąpienie poważnych trudności pod koniec roku, ale zaraz potem miały się one rozwiązać. Wskazywała na to linia przeznaczenia, silnie zaznaczona, przecinając dłoń z góry na dół – symbol sukcesu. Hitler nieznacznym gestem wyraził aprobatę.

– A teraz zrobimy coś, co może się panu wydać dziwne, ale proszę postępować zgodnie z instrukcjami.

Hanussen ustawił krzesło na środku salonu, stanął za oparciem i poprosił gospodarza, żeby usiadł. Nadszedł decydujący moment. Jeśli Hitler bez pytania wypełni

połączenie, to znaczy, że udało się złamać hierarchię: nieświadomie ustawił się w pozycji uległej. Polityk zawahał się na chwilę i rozejrzał wokół. Na szczęście w pokoju nie było nikogo poza nimi. W końcu, mamrocząc pod nosem, usiadł na wskazanym miejscu. Między dłońmi Hanussena znajdowała się głowa jednego z najpotężniejszych ludzi w Niemczech. Zaczął masować skronie Hitlera, którego szyja stopniowo się rozluźniała. Przeniósł ręce na czoło, a potem zajął się resztą czaszki. Włosy, jak zauważył już wcześniej, były bardzo proste i nieco przetłuszczone. Zamknął oczy i zaczął badać dotykiem powierzchnię czaszki, wszystkie wgłębienia i wypukłości. Frenologia nie należała do jego specjalności, ale próbował się skoncentrować i coś poczuć. Jak już mu się to nieraz zdarzało, zdało mu się, że docierają do niego obrazy i uczucia: samotność, uraza, perfekcjonizm, ambicja, determinacja.

– Wyczuwam w panu osobliwą, może nawet niepowtarzalną mieszankę – oznajmił mentalista, starając się nie przeszarżować. – Jest pan samotnikiem, który ceni sobie towarzystwo tłumów, artystą uwielbiającym czyny, przywódcą gustującym w sztuce, filozofem działającym na bazie instynktu. Posiada pan – wymyślił to dokładnie w tej chwili – „znak wilka”.

Leciuteńkie poruszenie ramion klienta powiedziało Hanussenowi, że intuicja go nie zawiodła, znowu trafił. Z jakiegoś powodu Hitler identyfikował się z tym zwierzęciem.

– Zaskoczył mnie pan. – Odwrócił się i spojrzał mu w oczy.

Mentalista odniósł wrażenie, że to najwyższa pochwała z ust tego człowieka, i wykorzystał chwilę jego słabości, żeby podkreślić potrzebę odróżnienia szarlatanów od autentycznych mentalistów, uregulowania dyscyplin paranormalnych, umożliwienia kształcenia osobom, które mogą przydać się Niemcom. W końcu ujawnił swój wielki projekt: stworzenie Uniwersytetu Okultyzmu, instytucji unikatowej w skali świata, na której czele mógłby stanąć on, Hanussen, ale której działalność byłaby zawsze nierozzerwalnie związana z przyszłym rządem narodowych socjalistów.

Hitler słuchał słów jasnowidza w milczeniu, patrząc w stronę okna, aż nagle zerwał się na równe nogi jak na sprężynie. Widocznie tak zwykł kończyć spotkania. Hanussen podziękował za możliwość poznania go i napomknął, że przy następnej okazji będzie gotów udzielić pewnych porad, które mogą okazać się przydatne podczas mityngów. Oczy Hitlera zmieniły wyraz.

– Kiedy uda się panu sprawić, żeby pięćdziesiąt tysięcy osób siedziało jak na szpilkach, tak jak ja to robię, będzie pan mógł udzielać mi rad. – Hanussen uświadomił sobie swój błąd i próbował się wycofać.

– Miałem na myśli analizę i ocenę innych osób. Czasem drgnięcie jednego mięśnia może zdradzić więcej niż tysiąc słów, chociaż podejrzewam, że ktoś tak spostrzegawczy jak pan na pewno już o tym wie. – Hitler uśmiechnął się nieznacznie i wyciągnął dłoń na pożegnanie. Hanussen przytrzymał ją przez chwilę. – Są panu pisane wielkie rzeczy, mój Führerze, przyszłość Niemiec zależy od tej dłoni, którą właśnie trzymam. – Już mieli się pożegnać, kiedy mentalista rzucił jeszcze: – Wie pan, mamy wiele wspólnego: obaj wychowaliśmy się w Austrii, w młodości mieszkaliśmy w Wiedniu, zaczynaliśmy od samego dołu i dotarliśmy na szczyt. Obydwaj mamy też, każdy na swój sposób, moc przepowiadania przyszłości. – Twarz Hitlera przypominała kamienną maskę, ale

Hanussen ciągnął: – Trafnie przewidział pan wszystko, co dzieje się teraz w Niemczech: kryzys gospodarczy, bezrobocie, biedę, korupcję, rozkład republiki, rosnące powodzenie komunizmu, odrodzenie ducha narodowego.

Niebieskie oczy spojrzały w czarne jak węgiel.

– Ma pan trochę racji. Wielu śmieje się z moich przepowiedni, ale zapewniam pana, że wkrótce nie będzie im do śmiechu. – Potem niespokojnym gestem szarpnął wąs. – To była bardzo ciekawa rozmowa. Niewykluczone, że jeszcze się kiedyś spotkamy. – Nie czekając na odpowiedź, wykonał w tył zwrot i wyszedł z pokoju.

Choć już od kilku tygodni nie widziałem mentalisty, wystarczyło mi tylko zwrócić uwagę na pewne sygnały, żeby się upewnić, że doszło wreszcie do spotkania z Hitlerem: niczym wyznanie miłości, wielkie zdjęcie Adolfa Hitlera zajmowało pierwszą stronę „Die Hanussen Zeitung”, wraz z ponownym przedrukiem horoskopu namaszczonego go na następnego kanclerza Niemiec. Jeszcze bardziej znaczący był fakt, że gazeta Hanussena zmieniła zwykle używany krój pisma na gotyk, stosowany przez media nazistowskie. Z wnętrza zniknęły zapowiedzi spektakli, zastąpione konstelacjami swastyk, przepowiedniami dotyczącymi nowego parlamentu oraz podobiznami Ernsta Röhma i Gregora Strassera, lidera lewego skrzydła partii. Mało kto zauważył, że na ostatnich stronach wydrukowano także horoskop Erika. Podpisane przez jednego ze współpracowników proroctwo głosiło, że mentalistę czeka trudny okres z powodu błędu młodości, który zostanie ujawniony. Tym razem przepowiednia okazała się trafiona w dziesiątkę.

Pewnego wieczoru, kiedy siedziałem w swoim pokoju w pensjonacie i w pocie czoła pisałem nowy artykuł o zbliżających się wyborach, ktoś zapukał do drzwi. Armesto. Wbrew swojemu zwykłemu usposobieniu był bardzo poważny, zdawał się nawet dziwnie nieśmiały i skrępowany. Usiadł na łóżku i zaczął dywagować na różne tematy. Odniosłem wrażenie, że unika poruszenia kwestii, która go do mnie sprowadziła.

– Felipe, przyszedłeś pogadać o pogodzie czy chcesz mi coś powiedzieć? – przerwałem mu dość obcesowo. Miałem robotę i sam nie wiedziałem, czy bardziej denerwuje mnie jego owijanie w bawełnę, czy wizja powrotu przed maszynę i zmierzenia się z tekstem.

– No dobra... Sam wiesz, że w naszej pracy spotyka się ludzi tu i tam, ludzi z najróżniejszych klas...

– Do rzeczy, do rzeczy – powiedziałem i od razu wyobraziłem sobie reakcję naczelnego na pisany właśnie przeze mnie artykuł.

– Chodzi o to, że skontaktował się ze mną bardzo dziwny typ. Skądś się dowiedział, że cię znam, wie też o twoich związkach z Hanussenem.

– I czego chce?

– Opowiedział mi wszystko bardzo pobieżnie, ale wydaje mi się, że powinieneś się z nim spotkać.

Szukałem jakiejś wymówki, nie chciałem się mieszać w perypetie Erika. To na pewno jakiś zdradzony mąż, oszukany przedsiębiorca albo rozczarowany klient, a ja nie zamierzałem mieć nic wspólnego z tymi sprawami. Felipe zapewnił mnie jednak, że to nic z tych rzeczy, i obiecał mi towarzyszyć.

Umówiliśmy się na Alexanderplatz. Dla nas – burżujów mieszkających w reprezentacyjnej zachodniej części miasta, wśród rezydencji, teatrów i eleganckich kabaretów – miejsce to było niczym teksańska rzeka Pecos, granica cywilizacji. Ponury labirynt starych, chylących się ku upadkowi domów, królestwo band bezdomnych łobuzów, drobnych przestępców, włóczęgów, a przede wszystkim prostytutce, we

wszystkich formach i odmianach: mężczyźni oferowali swoje usługi nieco dyskretniej, w szaletach publicznych, w ciemnych zaułkach i na przystankach autobusowych; kobiety – zupełnie otwarcie, na rogach ulic i w barach, od czternastoletnich dziewczynek po baby po pięćdziesiątce, w towarzystwie sutenerów głośno zachwalających jakość towaru, w miejscowym żargonie zwanych alfonsami. Nie mówiło się tu nawet tym samym językiem co na zachodzie, a slangiem żulii z silnym akcentem brandenburskim.

Zeszliśmy do piwiarni w podziemiu przy kinie Ufa – koty i woń będąca mieszanką starego piwa, potu i trocin przesiąkniętych wymiocinami. Dwie grube dziwki podeszły poprosić nas o ogień. Już chciałem obrócić się na pięcie i wyjść, ale Felipe mnie powstrzymał i wskazał jeden ze stolików. Czekał tam na nas szczupły, niewysoki facet, z rzadkimi blond włosami i twarzą gryzonia. Przywitał się z moim przyjacielem, który nas przedstawił.

– Pepe, to Erich Juhn, przez wiele lat pracował jako sekretarz Hanussena.

Łajdak świetnie wiedział, o co chodziło, ale nie chciał mi wcześniej powiedzieć. Poczuję się jak w potrzasku, chciałem jak najszybciej się stamtąd wydostać. Nawet nie siadając, próbowałem wytłumaczyć, że jestem tylko znajomym mentalisty i nie mieszam się do jego spraw, ale mężczyzna położył dłoń na moim przedramieniu i spojrzał mi w oczy.

– Proszę się nie martwić, nie wplączę pana w żadne kłopoty, chcę tylko przekazać mu pewną wiadomość, a nie mogę tego zrobić za pośrednictwem innych kanałów.

Usiedliśmy i Juhn zaczął opowiadać nam swoją historię: poznał Erika w 1927 roku, kiedy pracował jako dziennikarz i impresario variétés. Hanussenowi dopiero co zakazano występów w Pradze i na Morawach, więc uciekł do Karlsbadu, uzdrowiska, które po wielkiej wojnie znalazło się w granicach Czechosłowacji. Nie miał pracy, był przybity i zrezygnowany. Juhn zaoferował, że jeszcze w tym samym tygodniu znajdzie mu jakieś zajęcie, i rzeczywiście – załatwił mu kontrakt na występy w prestiżowym hotelu z kasynem. Sztuczki prezentowane przez jasnowidza bardzo się już jednak opatrzyły i z braku zainteresowania ze strony publiczności kierownictwo odwołało spektakle. Wtedy, jak sam twierdził, Juhn wpadł na pomysł, który przerwał złą passę Hanussena: widzów przecież tak naprawdę interesują oni sami, ich własne życie, bołaczki, większe i mniejsze tragedie. Na tej podstawie wymyślili nowy numer, podczas którego mentalista prosił widzów o zapisanie dat i miejsc ważnych w ich życiu wydarzeń na karteczkach, włożenie ich do kopert i wręczenie sekretarzowi podczas antraktu przed występem. Oczywiście w swoim jasnowidzeniu nie polegali na siłach tajemnych ani na telepatii. Kiedy Juhn, pozornie bezinteresownie, pomagał wypełniać formularze, zapamiętywał wszystkie zauważone dane i pochwycone w locie rozmowy, a potem przekazywał to wszystko mentaliście za pomocą specjalnego szyfru. Na przykład jeśli sekretarz, zapowiadając kolejną karteczkę, zaczynał od słowa „proszę”, chodziło o narodziny; jeśli prosił o ciszę, chodziło o zabójstwo. Jeśli sprawa dotyczyła ślubu, trzymał kopertę w lewej ręce. Krzyżował ramiona na piersi, kiedy autorem karteczki był lekarz, a odwracał głowę, jeśli adwokat. Jeśli nie udawało im się zgadnąć, Hanussen zwał winę na niewyraźny charakter pisma albo za pomocą siły perswazji wzbudzał w autorze wątpliwość, czy rzeczywiście o tej dacie myślał w momencie pisania. Numer odniósł

zawrotny sukces i wkrótce musieli naprędce zorganizować tournée. Wymyślali coraz więcej trików i tak nawiązała się pomyślna współpraca, dzięki której przez dwa lata występowali w najlepszych lokalach Europy Środkowej.

– Wszystkie pokazy Erika to po prostu takie szwindle? – Pytanie to od dawna nie dawało mi spokoju.

Juhn wzruszył ramionami.

– To wie tylko Erik. Choć nasze występy opierały się na przeciwuczonych scenariuszach doprowadzonych do perfekcji, czasem mnie zaskakiwał, wychodził poza utartą rutynę, jak z rękawa wyciągał domysły. Czasem trafiał, czasem nie. Ale podstawę stanowiła nasza codzienna praca. – Juhn dopił już chyba trzecią czy czwartą szklankę. – Oprócz trików pomagałem mu też w wielu innych sprawach: jadł jak prosię, więc nauczyłem go odpowiedniego zachowania przy stole, używania sztuczków, picia jak dżentelmen. Zapewniałem mu też alibi przed żoną, żeby się nie dowiedziała, że wiele sesji prywatnych z młodymi dziewczynami kończyło się w łóżku.

Wszystko szło dobrze aż do procesu w Litomierzycach. Kiedy wezwano go przed sąd, Juhn łgał jak z nut, żeby ochronić szefa. Wyrok wszystko jednak zmienił: trybunał sprawiedliwości orzekł, że Erik Jan Hanussen dysponuje prawdziwymi mocami. A raczej nie zdołał dowieść, że takowych nie posiada, choć on sprzedał to mediom w takiej formie, jaka mu bardziej odpowiadała. Z dnia na dzień Hanussen zmienił się z jednego z setek jasnowidzów wykorzystujących łatwowierność widzów w jedynego mentalistę z oficjalnym atestem. Sukces szybko uderzył mu do głowy: samochody, jachty, mieszkania. I nowi przyjaciele – wierny sekretarz nie był mu już potrzebny i zaczął traktować go jak służącego. Kiedyś nawet skopał go i zwyzywał na środku ulicy, bo w jego bugatti zabrakło wody. Juhn uznał, że miarka się przebrała, i odszedł następnego dnia.

– To bardzo smutna historia, ale co mogę dla pana zrobić? – zapytałem.

– Uważam, że należy mi się rekompensata za moje usługi. Dzięki mnie dorobił się wielkiego majątku, a ja tymczasem zmagam się z problemami finansowymi, na które nie zasłużyłem.

– Możliwe, ale powinien pan zwrócić się bezpośrednio do niego.

– Pan nie zna prawdziwego Erika. W towarzystwie przywdziewa maskę sympatycznego, dowcipnego i hojnego, ale prywatnie ujawnia zupełnie inną twarz. Jest groźny, przepełnia go żal człowieka, który kiedyś nie miał niczego i boi się, że inni chcą mu odebrać to, co udało mu się osiągnąć. Jest zdolny do wszystkiego, żeby tego bronić. Ja jednak dysponuję dokumentami dotyczącymi jego przeszłości, które mogą poważnie mu zaszkodzić.

Oburzony Armesto walnął pięścią w stół i zerwał się na równe nogi.

– Nie taką historię mi pan przedstawił! Nie zamierzam brać udziału w szantażu. Nigdy nie zgodziłbym się na to spotkanie, gdybym znał pana prawdziwe intencje.

– Usiądź, Felipe, proszę – powiedziałem po hiszpańsku i złapałem go za ramię.

– Skoro już tu jesteśmy, możemy doprowadzić sprawę do końca.

W końcu dziennikarska ciekawość wzięła górę i Juhn, po wychyleniu następnej kolejki gorzałki, mówił dalej.

– Nie chodzi tylko o to, że Erik dorobił się fortuny dzięki wymyślonym przez nas wspólnie sztuczkom. Ma też wpływy polityczne i nowych przyjaciół, którzy wkrótce mogą dojść do władzy. Sądzę jednak, że nazistom nie spodobałyby się pewne informacje na jego temat.

– Na przykład? – Ta zabawa zaczynała mnie niepokoić.

– Na przykład że Erik Jan Hanussen to nie jest jego prawdziwe nazwisko, że nie jest synem żadnego duńskiego arystokraty, że urodził się w Ottakringu na przedmieściach Wiednia, a w rzeczywistości nazywa się Herschmann-Chaim Steinschneider¹. – Juhn urwał na chwilę, bo dostał ataku kaszlu. – Tak, jest Żydem, Żydem do szpiku kości.

W drodze do domu mentalisty nie mogłem przestać myśleć o tym, co przed chwilą usłyszałem. Jak mogłem wcześniej nie zdać sobie z tego sprawy? Nie chodziło już nawet o wygląd Hanussena – nos, wargi, południowy typ urody – ale o jego zachowanie, wyraźną niechęć do klasycznych antysemitycznych żartów nazistów. Przypomniałem sobie nawet, że słyszałem kiedyś, jak rozmawiał z jakimś znajomym w języku, którego nie byłem wtedy w stanie zidentyfikować, ale teraz dotarło do mnie, że musiał to być jidysz. Nie mogłem jednak uwierzyć, że nie zauważył tego wszystkiego hrabia Helldorf, który tak dobrze go znał, ani nawet sam Hitler, przechwalający się, że potrafi wywęszyć Żyda z odległości dziesięciu kilometrów. Najwyraźniej musiał być przeziębiony podczas spotkania z Erikiem. Tak czy inaczej ten sekret nie mógł się już długo utrzymać. Im sławniejszy stawał się Hanussen, tym więcej pojawiało się okazji, by prawda wyszła na jaw, co miałyby dla niego poważne konsekwencje. Nie zdołałem przebrnąć przez więcej niż kilka stron bełkotliwego tomiszca *Mein Kampf*, ale autor stawiał sprawę jasno: „Uosobienie diabła jako symbolu wszelkiego zła przybiera żywy kształt Żyda”.

Drzwi otworzył mi jeden z orientalnych lokajów mentalisty, wyraźnie zaskoczony moim widokiem.

– Mistrz jest teraz zajęty, nie będzie mógł pana przyjąć.

Było za późno na konsultacje, a w poniedziałki nie odbywały się przedstawienia, więc nalegałem tak długo, aż służący nie miał innego wyjścia i poszedł poszukać szefa. Z pokoju w głębi mieszkania dobiegł mnie wybuch śmiechu i głos jakiejś kobiety. To nie baronowa, co do tego miałem pewność. Fala wściekłości ścisnęła mi gardło. Jak ona mogła znosić fakt, że mentalista sypiał z każdą napotkaną kobietą, i tkwić u jego boku jak niewolnica? Nie miała żadnej godności? Atak zazdrości sprawił, że już miałem zrobić w tył zwrot i odejść, ale zostałem na miejscu. Kilka minut później pojawił się Hanussen, rozczochrany i w rozchełstany czarnym szlafroku, spod którego wystawały jego krzywe, żylaste nogi. Wyglądał na mocno wkurzonego.

– Można wiedzieć, o co chodzi? Mam nadzieję, że to coś ważnego, skoro tak mnie nachodzisz. – Nerwowo poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosa i uspokoił się dopiero, kiedy poczęstowałem go swoim.

Nie bawiąc się w przeprosiny, streściłem mu rozmowę z Juhnem, groźbę ujawnienia kompromitujących dokumentów i żądanie pieniędzy w zamian za milczenie. Mentalista wysłuchał mnie ze zmarszczonym czołem, krzaczaste brwi złączyły się w jedną długą, włochatą linię.

– Ile chce?

– Sto tysięcy marek.

Hanussen zaśmiał się gorzko.

– A czemu nie żąda pięciuset tysięcy? Albo miliona? Co za bydlę, wyciągnąłem go z rynsztoka, kiedy był przymierającym głodem dziennikarzyną, a teraz uważa mnie chyba za Reichsbank. Powiedział ci, dlaczego jest zrujnowany? Otóż jakiś rok po naszym rozstaniu Juhn wpadł na świetny pomysł napisania powieści. Jej tytuł brzmiał *Życie i dzieło jasnowidza Henrika Magnusa*. Zmienił imię głównego bohatera i postaci drugoplanowych, ale książka opowiadała o mnie, o rzeczach wiadomych tylko mnie, tajemnicach zawodowych i prywatnych, zniekształconych dla jego celów. Przedstawił mnie jako złowrogiego potwora, winnego niezliczonych oszustw i najgorszych aberracji seksualnych, a do tego czerpał informacje z moich dokumentów. Bo wierz mi lub nie, ale ten niewdzięcznik wraz z rodziną mieszka nadal w mojej willi w Warendorfie, gdzie zostało jeszcze sporo moich rzeczy. Jego brudne gierki nie przyniosły jednak spodziewanych efektów. Pozwałem go, a sędzia polecił wycofać i zniszczyć wszystkie egzemplarze „dzieła”. Do tego nakazał Juhnowi zapłacić mi dziesięć tysięcy „jajek” odszkodowania oraz pokryć koszty procesu. Nie miał potem innego wyjścia, musiał ogłosić bankructwo.

– Ale on utrzymuje, że ma na ciebie kompromitujące dokumenty, Eriku. W obecnej sytuacji może to być dla ciebie niebezpieczne, może powinieneś z nim porozmawiać.

– Mentalista utkwiał we mnie wzrok. Nie potrafiłem mu wyznać, że wiem o jego żydowskim pochodzeniu.

– Wiesz, co ci na to powiem? Niech idzie do diabła ze swoim szantażem! Jestem Erik Jan Hanussen! Mam znajomości, mam władzę, mam protekcję! Sam Hitler korzysta z moich usług. Jeśli ten marny karaluch stanie mi na drodze, zmiażdżę go bez chwili namysłu. Może mnie w dupę pocałować! Ty też, hiszpański śmieciu. Pewnie dogadałeś się z tym skurwysynem i chcesz ugrać coś dla siebie, gołodupcu. Zjeżdżaj stąd, zanim cię zabiję! – Udało mi się uciec w ostatniej chwili, zanim jego ciśnięty w furii pantofel trafił mnie w głowę.

Dalej w tekście prawdziwe nazwisko Hanussena będzie występowało w różnych formach. Wynika to z faktu, że w zachowanych dokumentach pojawiają się różne sposoby zapisu (przyp. aut.). [wróć]

Z całej siły cisnął gazetą o ścianę. Za kogo ten facet się uważa? Nie dość, że odważył się konkurować pod względem nakładu z „Der Angriff”, organem prasowym partii w Berlinie, założonym przez niego osobiście, i rywalizować o punkty sprzedaży, to teraz jeszcze umyślił sobie chyba, że zostanie kimś w rodzaju oficjalnego astrologa partii. Poświęcił Führerowi już czwartą okładkę z rzędu: Hitler w pozie zbawcy ojczyzny, Hitler wręczający flagę urzeczonemu chłopcu, Hitler dokonujący przeglądu SA. Zmienił nawet typografię w tym swoim szmatławcu, nadającym się do podcierania tyłków starych bab, i zaczął używać ich kroju pisma! Joseph Goebbels nalał sobie szklankę wody, żeby się uspokoić, ale ręce nadal drżały mu z wściekłości i w końcu rzucił ją na podłogę. Przez wiele lat walczył, by osiągnąć obecną pozycję, od kiedy Führer w 1926 roku wysłał go do tego siedliska komuchów, żeby zbudował tu partię. Prześladowany przez wrogów, pracując w żalonym dwupokojowym biurze, doprowadził do tego, że liche półtora procent głosów w 1928 roku urosło do ponad trzydziestu w ostatnich wyborach prezydenckich. Co więcej, jako szef propagandy NSDAP kształtował z apostołskim wręcz oddaniem wizerunek Hitlera, aby uczynić z niego lidera na skalę krajową. Niemcy ponad wszystko, a Hitler na ich czele – taki slogan wymyślił, parafrazując hymn narodowy. Niedzielne wybory zapowiadały się na kulminację tego długiego procesu, będą stanowić klucz do władzy po tylu latach walki. Wszystko zdawało się zwiastować historyczne zwycięstwo, więc oczywiście w ostatniej chwili zaczęli się pojawiać oportuniści i arywiści, jak ten półgłówek i oszust Hanussen, żeby okryć się chwałą, nie brudząc sobie przy tym rąk. Co gorsza, dawali też broń do ręki komunistom, dostarczali im niezbędnej amunicji, materiału do prześmiewczych nagłówków i zjadliwych karykatur: Hitler to nie lider o nadprzyrodzonych mocach, który rozwiąże ich problemy, ale austriacki wieśniak, głupi i zabobonny *Ausländer*, który pozwala się manipulować naśladowcy Rasputina. Jakby tego było mało, sam Führer zaprosił tego magika za dychę! Źródła donosiły też, że rozważał stworzenie Uniwersytetu Okultyzmu z Hanussenem jako rektorem. Bez porozumienia z nim, choć obiecał powierzyć mu zwierzchnictwo nad całym systemem edukacji Rzeszy, uczynić kamieniem węgielnym, na którym wzniosą się fundamenty nowych Niemiec! Pieprzony Uniwersytet Okultyzmu. Może jeszcze z katedrą klaunów cyrkowych? Goebbels czuł, że głowa mu pęka. Otarł czoło chusteczką. To mogły być pierwsze objawy tego, czego od dłuższego czasu się obawiał: kiedy dojdą do władzy, wrogowie dopadną go i osaczą w jakimś ciemnym gabinecie. Wielu członków partii uważało go za zbyt radykalnego, zbyt czerwonego, zbyt kulawego. Woleli sympatyczniejsze twarze, żeby nie odstraszyć mieszczańskich wyborców. Spojrzał na swoją wykrzywioną stopę w bucie ortopedycznym. Oddał Führerowi swoją duszę i niedoskonałe ciało, nikt nie stanie między nimi, a na pewno nie ten jarmarczny kuglarz. Na razie jednak lepiej zachować ostrożność i wyczekiwać odpowiedniej okazji do zadania ciosu.

NIEWYSTARCZAJĄCE ZWYCIĘSTWO HITLERA

1 sierpnia 1932 roku

Kronika telefoniczna naszego korespondenta Josego Ortegi z Berlina

Ani sukces, ani porażka. Wbrew powszechnym w Europie oczekiwaniom wczorajsze wybory nie zapewniły Adolfowi Hitlerowi stanowiska kanclerza, ale znacznie wzmocniły Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partię Robotników, na której czele on stoi, czyniąc z niej największe ugrupowanie w Reichstagu. Liczba miejsc w parlamencie wzrosła ze 107, po wyborach z 1930 roku, do 230 – więcej niż uzyskali łącznie zdobywcy dwóch kolejnych miejsc, socjaldemokraci Ottona Welsa i komuniści Ernsta Thälmana. Mimo to partii Hitlera wciąż sporo brakuje do uzyskania większości absolutnej, czyli 305 miejsc, którą mogliby osiągnąć wyłącznie dzięki koalicji z 75 posłami partii Centrum popierającej kanclerza Papena. Sojusz taki wydaje się wysoce nieprawdopodobny, jeśli wziąć pod uwagę opory prezydenta Hindenburga i ministra obrony Schleichera – faktycznej głowy rządu – przed przekazaniem władzy byłemu austriackiemu kapralowi. Teraz, gdy przed Hitlerem zatrzasnęły się drzwi do uzyskania tytułu kanclerza na zasadach określonych w konstytucji, w Berlinie zaczyna się plotkować o potencjalnym siłowym przejęciu władzy, co zdaje się potwierdzać skoncentrowanie bojówek SA na przedmieściach stolicy, a także w innych miastach, takich jak Hamburg, Monachium czy Breslau. Obecnie wydaje się jednak mało prawdopodobne, by miało dojść do powtórki z „marszu na Rzym”, dzięki któremu Mussolini został wodzem Włoch. Wojsko pilnuje najważniejszych punktów strategicznych, a rząd zachowuje spokój – do tego stopnia, że jutro kanclerz Papen udaje się na wakacje. Na dłuższą metę trudno jednak będzie zignorować siłę czternastu milionów głosów narodowych socjalistów.

Przez jakiś czas wydawało się, że naziści osiągną swój cel. Hitler spotkał się ze Schleicherem i po raz pierwszy zażądał władzy absolutnej: urzędu kanclerza, kluczowych ministerstw, a jakby tego było mało – kontroli nad pruskimi instytucjami odebranymi niedawno socjalistom. Sprytny generał dał mu do zrozumienia, że przystaje na propozycję, i Hitler dał się podejść – zaczął dzielić skórę na niedźwiedziu, zanim jeszcze go upolował. SA zaczęły się szykować do świętowania sukcesu, organizowano zwyczajne defilady bojówek, a część nazistów zaczęła czym prędzej wyrównywać rachunki z rywalami. Dzięki brutalnym zajściom Schleicherowi udało się osiągnąć to, do czego od początku dążył: przekonał prezydenta Hindenburga, że przekazanie władzy Hitlerowi to kiepski pomysł.

Niebezpieczeństwo minęło, napięcie polityczne spadło i Niemcy mogli cieszyć się krótkimi wakacjami letnimi. Kto mógł, wyjeżdżał z miasta, a pozostali – w tym ja – nudzili się jak mopsy. Xammar na kilka dni wrócił do Hiszpanii, Armesto robił jakiś reportaż w Bawarii, La Jana odbywała tournée po kraju. W akcie desperacji zadzwoniłem nawet do Belli Fromm, ale i jej nie zastałem. Mimo bujnych zielonych parków i letniej atmosfery Berlin jawił mi się jako wrogie, obce miasto, tak jak w tamten deszczowy listopadowy wieczór, gdy przyjechałem do niego po raz pierwszy. Poranki spędzałem w muzeach, których do tej pory nie chciało mi się odwiedzać, albo na brzegach Szprewy, gdzie leżałem i patrzyłem na przepływające statki. Wieczorami zabijałem czas grą w karty z Manuelem Olivarem i innymi gośćmi pensjonatu. Wcześniej kładłem się do łóżka. Żywot emeryta.

– Powinieneś się bawić, tak jak wcześniej. Gdybym ja miał dwadzieścia sześć lat, na pewno bym tu nie siedział, nawet gdyby mnie ktoś związał – mówił Manuel. Ja jednak wpadłem w ten dziwnie nerwowy nastrój, kiedy nie chce się ani wychodzić, ani zostać w domu. Nie miałem ochoty dzwonić do dawnych dziewczyn, zaniedbywanych od wielu miesięcy, ani opierać się o bar w jakiejś knajpie i zgrywać łowcy, żałośnie polując na nowe ofiary.

– Chłopcze, nawet jeśli raz spróbuje się kawioru, trzeba się przyzwyczaić do jedzenia sardynek – stwierdził Manuel któregoś wieczoru, kiedy wyjątkowo nie szła mi karta. Wciąż parowały mu okulary na wspomnienie wizyt baronowej w pensjonacie. Gdzie była? Pewnie gdzieś tam z Hanussenem. Nie miałem od nich żadnych wieści, odkąd mentalista prawie mnie zdekapitował ciosem pantofla. Czulem, że się duszę, musiałem wyjść i odetchnąć.

Przeciąłem Ku'damm, dotarłem do zoo i poszedłem dalej w stronę parku. Tęskniłem za baronową, to logiczne, ale zaskoczyło mnie poczucie pewnej nostalgii – Armesto użyłby galisyjskiego określenia *morrinha* – za chwilami spędzonymi z Hanussenem. Nie chodziło tylko o pieniądze i luksusowe restauracje, najlepsze stoliki w kabaretach ani kabriolety. Po prostu dobrze się bawiłem u boku tego nieprzewidywalnego człowieka, chochlika nieustannie wymyślającego absurdalne numery, imprezy, bajki, lubiłem tę energię, która pochłaniała go całego. Owszem,

nienawidziłem go za baronową, za incydent na statku, za samobójczą niemal lekkomyślność, ale życie bez niego straciło smak. Fritzi miała rację, kiedy ostrzegała mnie, że Hanussen wzbudzał pasje krótkie, ale intensywne.

Jakbym wezwał ją myślami, dokładnie w tej samej chwili zobaczyłem ją na przeciwległym chodniku. Prowadziła nie osiem psów, a zaledwie cztery, ale właśnie wdały się w drakę z jakimś innym, przechodzącym obok. Myślałem, że ogłuchnę od piekielnego ujadania, więc przeszedłem na drugą stronę ulicy i pomogłem jej rozdzielić zwierzęta. Fritzi świetnie pamiętała nasze poprzednie spotkanie: zagadnęła, co słyhać, a ja zapytałem, co robi w Berlinie w środku lata. Odparła, że nie cierpi plaży, a ja zażartowałem, że nie cierpię na nadmiar funduszy na wyjazd. Psy ciągle szalały, więc zaoferowałem, że ją odprowadzę. Gadaliśmy o tym i o owym. Miło się z nią gawędziło, jakbyśmy znali się od dawna. Wyglądała jakoś inaczej, młodziej – może to dzięki letniej sukience. Zamiast skierować się prosto do domu, wstąpiliśmy do parku.

– Pani też jest Żydówką? – wypaliłem bez zastanowienia i zreflektowałem się dopiero po fakcie.

Roześmiała się z zaskoczeniem.

– Już pan słyszał? Chociaż dziwne, że całe miasto jeszcze o tym nie wie. Nie wiem, jak to możliwe, że ludzie nie zauważają, jak Erik to robi. Stary numer prestidigitatora, przyciągnąć uwagę do jednej ręki, żeby drugą wyjąć monetę z rękawa: publiczność jest tak zaślepiona jego dziwactwami, że nie widzi, co ma przed oczami. Najśmieszniejsze, że ja od dziecka byłem luteranką, musiałam przejść na judaizm, żeby za niego wyjść. Teraz to ja jestem Żydówką, a Hanussen... kto to wie. Tym, kim akurat danego dnia postanowi być. Wie jednak, że nie mam długiego języka. A pan?

Rzuciła to pytanie równie bezceremonialnie jak ja wcześniej. Zapewniłem, że ani mi w głowie rozgłaszać tę wieść, i zrelacjonowałem rozmowę z mentalistą po spotkaniu z Juhnem.

– Niezłe ziółko z tego Juhna, nigdy nie miał wstydu. – Spojrzała mi w oczy. – Jest pan dobrym człowiekiem. Erik wspominał, że się pokłóciliście, rozmawiamy praktycznie codziennie. Ale na pewno mu przejdzie, wydaje mi się, że pana ceni.

Skoro mieliśmy najwyraźniej dzień zadawania niedyskretnych pytań, zagadnąłem, czy za nim tęskni. Znowu się zaśmiała i zapaliła papierosa.

– Trudno nie tęsknić za takim życiem, jakby każdy dzień był tym ostatnim, za czerpaniem z życia całymi garściami, za impulsywną gotowością postawienia wszystkiego na czarne albo czerwone. Jednak to ciągle napięcie, życie na krawędzi, niepewność, czy jutro wyląduje się w więzieniu czy dostanie medal, to nie dla mnie. – Wypuściła wielki kłęb dymu. Miała piękne palce. – Nie wspominając o okropnych huśtawkach nastroju. No i te dziewczyny, zawsze i wszędzie tłumy dziewczyn. Kiedyś znalazłam jedną zwiniętą w kłębek na szafie w moim pokoju! Nie, tysiąc razy bardziej wolę Erika jako przyjaciela niż męża.

Spacerowaliśmy aż do zmroku. Kiedy dotarliśmy pod jej dom, niemal bez namysłu ją pocałowałem. Odsunęła twarz.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł – powiedziała bez cienia skrępowania. – Po doświadczeniach z Erikiem mam już dość szaleństw. Nie jestem jedną z tych, co lubią

wciąż wtaczać pod górę ten sam kamień. Szukam kogoś dorosłego, rozsądnego, z piętnaście–dwadzieścia lat starszego ode mnie, może wojskowego, jak mój ojciec. – Uśmiechnęła się. Była naprawdę śliczna. – Proszę nie zrozumieć mnie źle, jest pan bardzo sympatyczny. Więcej, powiem Erikowi, żeby do pana zadzwonił, myślę, że może pan mieć na niego dobry wpływ. – Już miała zamknąć drzwi, ale wystawiła jeszcze głowę. – Aha, i proszę się nie martwić: nie powiem mu o pocałunku. Za bardzo by go ubawiła ta historia.

Wpatrywał się z uwagą w swojego rozmówcę i próbował ocenić jego wiarygodność. Tani garnitur, wygląd proletariusza i akcent z przedmieść Berlina budziły zaufanie, ale rozbiegany wzrok sugerował niepewność i zdenerwowanie. Bruno Frei pokręcił głową. Co za różnica, czy facet mówi prawdę, czy kłamie. Przynosił użyteczne informacje i to powinno wystarczyć. Od miesięcy bezskutecznie próbował skłonić Hanussena do reakcji na jego ataki, wejścia na jego teren, wniesienia oskarżenia przeciwko jego gazecie. W czasie kampanii wyborczej prowadził praktycznie codzienne bombardowanie, domagając się odpowiedzi od nazistów albo mentalisty, ale żadna prowokacja nie przyniosła efektu. Dziś wieczorem szef ma zajrzeć do redakcji, najlepiej będzie się z nim skonsultować. Miał już dość ciągłych reprimend w tym temacie.

Willi Münzenberg wpadł do jego gabinetu jak burza, kilka kartek ze stosów zalegających biurko naczelnego „Berlin am Morgen” wzbilo się w powietrze.

– Słyszałeś? Hindenburg spotkał się z Hitlerem, który przyszedł upomnieć się o władzę po wyborach, kwadrans po czwartej. Pożegnali się o szesnastej dwadzieścia osiem. Trzydzieści minut! Naziści nie dostaną urzędu kanclerza. Przynajmniej ten staruszek potrafił ich usadzić – wypalił, nie zdjawszy nawet skórzanej kurtki, którą miał na sobie mimo upału. Kiedy zauważył nieznanego, urwał gwałtownie. – A to kto?

– Ernst Neumann, pracuje w „Die Hanussen Zeitung”. A raczej pracował, w zeszłym tygodniu go zwolnili.

– I co nam masz do powiedzenia, towarzyszu? – zapytał Willi. Zdjął czapkę i rzucił ją wyraźnie spłoszonemu informatorowi. Wbrew pozorom wcale nie był w złym humorze. Jak zwykle miał włosy w nieładzie, jakby dopiero co wstał z łóżka. – Paskudne plotki o dziewczynach i narkotykach czy jakiś faktycznie apetyczny kąsek?

Onieśmielony człowieczek spojrzał na Freia, który gestem zachęcił go do mówienia.

– Pracowałem dla Erika Jana Hanussena przez prawie dwa lata, odkąd kupił gazetę. Recenzowałem spektakle, zwłaszcza rewie i tego typu rzeczy. Zarabiałem dość marnie, ale przynajmniej mogłem chodzić na premiery, a nawet dostawałem darmowe wejściówki, więc mogłem zapraszać...

– Streszczaj się, nie mam czasu.

Informator zawahał się na chwilę, ale kontynuował opowieść.

– W ostatnich tygodniach moja kolumna coraz bardziej się kurczyła. Erik redagował moje teksty i obcinał je niemal do zera, bo chciał ograniczać tradycyjne treści. Na co potrzebował miejsca? Nie mówił, ale to jasne: żeby przypodobać się nazistom, swoim nowym znajomym, drukować korzystne dla nich przepowiednie, publikować ich horoskopy na całą rozkładówkę, jakby chodziło o zwycięstwo Maxa Schmelinga w mistrzostwach świata wagi ciężkiej. Zaczynałem mieć tego dość, więc pewnego dnia, kiedy Erik był akurat w redakcji, zapytałem go, co się stało z jego wizją apolitycznego czasopisma rozrywkowego, bo zaczynamy powoli zmieniać się w drugi „Der Angriff”, „Völkischer Beobachter” czy inną brunatną szmatę. Erik bywa miły i sympatyczny, ale

kiedy traci nad sobą panowanie, gotów byłby zabić własną matkę. Złapał mnie za kłapy i popchnął na szafę w archiwum. Tym razem jednak zareagowałem i zapytałem, czy nie wstyd mu podlizywać się tym sukinsynom, i dodałem, że jego przodkowie przewracają się w grobach. Wtedy zupełnie mu odbiło, przyłożył mi z pięści, nazwał pieprzonym Żydem i zwolnił bez odprawy!

W miarę rozwoju opowieści mężczyzna wyzbywał się nieśmiałości i był coraz bardziej rozplómienny.

– „Pieprzonym Żydem!” Uwierzycie? Pewnie, że jestem Żydem, jak większość jego pracowników, jak on sam!

Willi spojrział na Freia z wyrazem zaskoczenia na twarzy, który upodabniał go nieco do Stana Laurela, chudego Flipa z amerykańskiego duetu komików.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Że Hanussen jest Żydem bardziej niż sam Mojżesz. Zdaje się, że ma nawet wujka rabina.

– Masz jakieś dowody?

– Nie, ale wszyscy o tym wiedzą. To Żyd z Ottakringu, naprawdę nazywa się Harschel Steinschneider.

Szeroki uśmiech przeciął w poprzek szczupłą twarz Münzenberga.

– Wyciągniemy to, nawet jeśli to tylko plotka. Chcę zobaczyć miny nazistów, kiedy to przeczytają.

Słońce już zachodziło, ale od jeziora wciąż wiała bardzo ciepła bryza. Niebieska toń była usiana bielą żagli małych statków, odcinającą się od tła ogromnych drzew porastających brzeg. Ostatnie promienie grzały moją skórę i uspokajały nerwy. W prawej ręce trzymałem szklaneczkę whisky, już nieco rozwodnionej, a w lewej zgaszone cygaro. Przyjemne kołysanie fal niemal mnie usypiało.

– Opowiadałem ci, jak kiedyś niemal wypadłem za burtę statku w samym środku sztormu?

Erik leżał na sąsiednim hamaku, z czapką kapitańską nasuniętą na oczy, niezwykle spokojny, wyjątkowo porzuciwszy swoje przytłaczające ożywienie, jak skromny urzędnik cieszący się wolnym wieczorem. W niczym nie przypominał człowieka, który kilka dni wcześniej zwyzywał byłego pracownika, co zaowocowało wysypem nagłówków w rodzaju: DZIWNY PRZYPADEK RASPUTINA HITLERA: ŻYD ANTYSEMITA na pierwszych stronach komunistycznych gazet. W końcu nie miał innego wyjścia, jak wypłacić Ernstowi Neumannowi odprawę i przystąpić do gry rozpoczętej przez przeciwników – wnieść pozew o oszczerstwo i zniesławienie przeciwko „BaM”. Proces miał się zacząć w grudniu. Na szczęście dzięki trwającym właśnie wakacjom i niestabilnej sytuacji politycznej naziści nie okazali przesadnego zainteresowania całą sprawą.

– Zdarzyło się to wiele lat temu, na greckim frachtowcu, starym i na pół zgniłym. Statek nazywał się *Isminia*, wsiadłem na niego w Atenach i płynąłem do Aleksandrii, gdzie zamierzałem poznawać tajemnice egipskich magów i występować nawet w najgorszej norze, jeśli mi pozwolili. W tamtym okresie kazałem się nazywać El Sah’r, brzmiało to nieźle po arabsku. – Słowa Hanussena pogrążyły mnie w przyjemnej drzemce. Potrafił opowiadać. – Jakieś dwieście mil od wybrzeża Krety rozpętała się straszliwa burza. W biały dzień niebo zaszło nagle atramentowoczarnymi chmurami, kadłub statku trzeszczał pod naporem fal, ani jeden talerz czy kubek na pokładzie nie uchwycił się w całości, a my, nieliczni członkowie załogi, ciągle na siebie wpadaliśmy. Mijały godziny, sztorm nie odpuszczał, woda wlewała się do żęzy, a marynarze, bogobojni Grecy i Albańczycy, rzucili się na kolana i zaczęli żarliwie modlić, łzy płynęły po ich ogorzałych twarzach. Szybko się zorientowali, że nie zamierzam dołączyć do ich modłów, a że na podstawie mojego pseudonimu artystycznego wzięli mnie za muzułmanina, zaczęli głośno pomstować. Wyjaśniłem, że nie jestem religijny, więc moje błagania na nic się nie dadzą, a że nie zamierzałem dać się zastraszyć tym ówkom, postanowiłem spróbować rozładować napięcie w najlepszy sposób, jaki przyszedł mi do głowy: poprosiłem o kieliszek szampana. – Roześmialiśmy się jednocześnie, nawet na siebie nie patrząc, wyciągnęci każdy w swoim hamaku. – Tak, wiem, głupi *boutade*, to największy minus pracy w tej branży, łatwo się pogrążyć dowcipem. W tym momencie błyskawica rozświetliła całą łódkę, a ogłuszający grom wstrząsnął nami niczym pudełkiem zapalek. Przesądni marynarze uznali to za znak: trzeba przebłagać bogów głębin, poświęcając kozła ofiarnego. Wszystko wskazywało, że to ja powinienem odegrać tę rolę, więc postanowili mnie zwięzać i wyrzucić za burtę. Umierałem ze strachu jak

jeszcze nigdy w życiu, ale jakimś cudem zebrałem się na odwagę i zacząłem nawijać, powiedziałem im, że popełniają straszny błąd, że jestem magiem i tylko moje moce mogą nas uratować. Po długich negocjacjach udało mi się ich przekonać, żeby pozwolili mi zamknąć się na pół godziny w kabinie i odprawić czary. Jeśli po tym czasie burza by się nie uspokoiła, mogli wyważyć drzwi i utopić mnie w morzu. Zaryglowałem drzwi, wyciągnąłem z walizki automatycznego browninga i zacząłem się modlić jak nigdy wcześniej ani później. Po jakichś dwudziestu minutach frachtowiec znieruchomiał i wyszedłem na pokład. Między chmurami świeciło piękne słońce, a marynarze mnie wyściskali, przekonani, że to naprawdę ja ich uratowałem. Tak sobie myślę, że może powinienem częściej się modlić.

Roześmialiśmy się, a potem znów pograżyliśmy w sennej ciszy. Dobiegały nas tylko wrzaski mew i jakieś śmiechy z oddali.

– Teraz sobie przypominam, że to właśnie wtedy postanowiłem mieć kiedyś własny statek.

– Żeby móc samemu decydować, kto ma trafić za burtę?

– Żeby móc zapraszać takich darmozjadów jak ty. – Hanussen uśmiechnął się błogo, wciąż z zamkniętymi oczami. – Po to właśnie są pieniądze, żeby z nich korzystać. Kiedy zacząłem porządnie zarabiać, czułem potrzebę gromadzenia majątku, obnoszenia się z nim. Nosilem tyle złotych sygnetów, ile mieściło mi się na tych kołkach – powiedział, pokazując jeden z palców, na których nie było już żadnego pierścionka. – Miałem łańcuchy wysadzane diamentami i wszędzie targałem ze sobą samorodek złota wielkości dziecięcej piąstki, wyciągałem go w kawiarniach tylko po to, żeby się pochwalić. Moja ówczesna żona Risa, poprzedniczka Fritzi, za każdym razem umierała ze wstydu. – Zaśmiał się pod nosem, ale potem jego głos przybrał głębszy, poważniejszy ton. – Znasz legendę o Liczyrzepie? – Odpowiedziałem przecząco. – No tak, czasem zapominam, że nie jesteś Niemcem. Według podań Liczyrzepa miał być duchem śląskich gór, który zakochał się w pięknej księżniczce, porwał ją i zabrał do swojej nory. Księżniczka była jednak smutna, nudziło jej się w samotni wśród wzgórz porośniętych rzepami, więc Duch Gór przy użyciu swoich niezwykłych mocy przekształcił warzywa w rzeczy, które mogłyby się spodobać dziewczynie: piękne suknie, biżuterię, przyjaciółki do pogawędek. Jego moce okazały się jednak ograniczone i po jakimś czasie czar prysł, a wszystko wróciło do naturalnego stanu i zmieniło się w zwykłe rzepy. Tak samo jest z pieniędzmi: z nieznanym robią przyjaciół, marzenia przekuwają w rzeczywistość, ale tylko na jakiś czas. Potem wszystko wraca do stanu wyjściowego: prochu niesionego przez wiatr. Prędzej czy później śmierć i tak przyjdzie.

Znów pograżyliśmy się w ciszy. Jego posępne słowa nie wpłynęły na mój nastrój. Śmierć była gdzieś daleko, a whisky i cygaro miałem pod ręką. Po raz pierwszy od dawna poczułem się dobrze sam ze sobą. Nie przeszkadzał mi nawet widok sylwetki baronowej na dziobie *Ursel IV*, w białej sukience powiewającej na wietrze.

Trzydziestego sierpnia odbyło się pierwsze posiedzenie nowego parlamentu. Nie udało mi się dostać akredytacji do Reichstagu – loża prasowa była raczej niewielka, wśród korespondentów obowiązywała zasada starszeństwa – więc postanowiłem przejść się pod Kaiserhof, żeby zobaczyć, co się święci. Dowiedziałem się bowiem, że Hitler zamierza wyjść wraz ze wszystkimi deputowanymi z hotelu, w którym znajdowała się ich kwatera główna – coś w rodzaju pokazu siły przed debiutem w niższej izbie parlamentu, gdzie miał wejść po raz pierwszy, bo jeszcze do lutego jako bezpaństwowiec nie mógł startować z list własnej partii.

Kaiserhof był pierwszym z wielkich hoteli zbudowanych w Berlinie, ale brakowało mu kosmopolitycznego czaru Adlona czy Esplanade. Solidny, szary budynek, przypominający gmach ministerstwa, odpowiadał pewnie potrzebom nazistów. Kiedy dotarłem na miejsce, pod drzwiami tłoczyli się gapie, ale dzięki międzynarodowej legitymacji prasowej udało mi się przepchnąć przez tłum. Ogromny westybul hotelu wypełniały brunatne koszule. Nie dostrzegłem wśród nich żadnego z prezentowanych w gazetach jako najbliżsi współpracownicy Hitlera, więc postanowiłem podejść do baru i się czegoś napić.

– Pssst, Pepe! Pepe! – Usłyszałem za plecami. Obróciłem się i ujrzałem znajomą twarz Belli Fromm.

Oddzwoniła do mnie po powrocie z wakacji nad Bałtykiem i spotkaliśmy się w sierpniu parę razy. Wyraźnie przypadłem do gustu koleżance piszącej do działów towarzyskich gazet grupy Ullstein, lubiła się pokazywać z młodym towarzyszem, więc czasem chodziłem z nią na różne wydarzenia. Raz nawet zabrała mnie na pełne arystokratów letnie wyścigi na hipodromie w Hoppegarten, gdzie musieliśmy sterczeć w mżawce pod Kavalierhaus w oczekiwaniu na przyjazd niebieskiej limuzyny prezydenta Hindenburga. Bella prawie się rozpląnęła, kiedy stary marszałek, nieco oszołomiony, ale wciąż wyniosły, pozdrowił ją ledwo dostrzegalnym skinięciem głowy.

– Frau Fromm, pani tutaj? – odparłem zaskoczony. Była ostatnią osobą, jaką spodziewałbym się tu spotkać. Wiedziałem o jej nienawiści do nazistów, wcale jej nie kryła.

– Tak się przypadkiem złożyło, że umówiłam się tu na herbatę z moją przyjaciółką Paulette. – Towarzyszka jej starsza pani, o długim nazwisku pełnym „zu” i „von”, miała koło osiemdziesiątki i nawet na mnie nie spojrzała, kiedy ucałowałem jej dłoń, trzaskając lekko obcasami, jak mnie nauczono. Wyglądała jak marmurowe popiersie, ignorowała otoczenie, odniosłem wrażenie, że Bella przyprowadziła ją tu wyłącznie jako alibi, żeby móc zaspokoić ciekawość bez zwracania na siebie uwagi. Nie odrywała wzroku od brunatnych koszul kłębiących się w holu. – Usiądź, to trochę potrwa – powiedziała, wskazując miejsce obok siebie. Najwyraźniej orientowała się w typowym przebiegu takich wydarzeń. Hitler podobno zwykł schodzić dopiero w ostatnim momencie, wołał dawkować swoją „boską obecność” wiernym wyznawcom. Najwyżej postawieni w hierarchii dobrze o tym wiedzieli i starali się pojawić w westybulu na kilka minut przed

szefem, żeby wspólnie zrobić wielkie wejście. – Niech pan sam powie, czy ta scena nie jest żalosna? I jak absurdalnie wyglądają te prostaki w mundurach z bryczesami! Mogę pana zapewnić, że większość z nich widziała konia najwyżej na karuzeli podczas wiejskiego festynu.

Hol stopniowo się zapełniał. Robiło się gorąco, więc pożegnałem Frau Fromm i jej zasuszoną przyjaciółkę, po czym podszedłem do baru zamówić coś do picia. Wpadłem na hrabiego Helldorfa, który wychylał właśnie szklaneczkę gorzałki w towarzystwie nieodłącznego Ohsta, tego o kubistycznym uśmiechu, i jakiegoś innego faceta, obwieszzonego koalicijkami i medalami. Odniosłem wrażenie, że niezbyt ucieszyło go spotkanie ze mną, robił wszystko, żeby udawać, że mnie nie zauważył, ale nie zamierzałem przepuścić jedynej szansy na kontakt z tym światkiem.

– Ach, Herr... Orrrtega, zgadza się? – powiedział, jakby przypominał sobie nazwisko jakiegoś kelnera, mimo że wielokrotnie widywaliśmy się podczas przyjęć Hanussena. Ohst powitał mnie zdawkowym skinieniem głowy. Obaj byli wyraźnie skępowani, jakby nie chcieli przedstawiać mi swojego towarzysza, na którego raz po raz ukradkiem zerkali. W końcu sam zrobił krok do przodu i przywitał się ze mną.

– August Wilhelm von Hohenzollern – powiedział, uniósł wyciągnięte prawe ramię, a potem uściśnął mi dłoń.

– Jego Cesarska Mość – dodał Helldorf, stając na baczność.

– To zupełnie zbędne między przyjaciółmi – odparł z uśmiechem czwarty syn kajzera, nazywany zdrobniale Auwim, znany sympatyk NSDAP. Dla nazistów stanowił użyteczny symbol związku między starymi a nowymi czasami. Wielu nostalgików wierzyło, że po dojściu do władzy Hitler przywróci monarchię i posadzi go na tronie. Kiedy dowiedział się, że jestem Hiszpanem, zaczął z żywym zainteresowaniem wypytywać o sytuację w kraju po „niefortunnym odejściu kuzyna Alfonsa”. – Proszę się nie martwić, wkrótce znajdziecie swojego Führera i imperium hiszpańskie odzyska dawną chwałę – stwierdził, klepiąc mnie krzepiąco po plecach. Wołałem nawet sobie nie wyobrażać, kogo może mieć na myśli, ale postanowiłem wykorzystać okazję i poskarżyć się, jaka to szkoda, że nie mogę pójść na historyczne otwarcie obrad Reichstagu z braku akredytacji. – Tak nie może być! Nie może pan przecież ominąć takiej uroczystości. Na pewno znajdzie się dla pana jakieś miejsce, prawda, panie hrabio? – Helldorf przeszył mnie wzrokiem jak kawałek kiełbasy wykałaczką, ale w tym momencie rozmowę przerwało narastające zamieszanie, przez salę przebiegła fala oczekiwania. – Wygląda na to, że Führer już idzie, pan wybaczy – oznajmił ksiączę i zniknął wraz z Helldorfem.

Przeklęty pech, już prawie zdobyłem to, czego chciałem! Nie mogłem jednak tracić czasu, musiałem znaleźć sobie dobry punkt obserwacyjny. Dotychczas widywałem Hitlera tylko na mityngach i jak wielu innych byłem ciekaw, jak wygląda z bliska. Westybul szalenie wypełniała zwarta brunatna masa, pulsująca, rozszerzająca się i kurcząca. Mimo to udało mi się przedrzeć przez tłum i zająć miejsce w pierwszym rzędzie. W głębi, tuż przy schodach, zauważyłem Göringa, napuszonego jak dumny wieloryb w mundurze obwieszonym odznaczeniami, z twarzą rozjaśnioną satysfakcją. W tej chwili otworzyły się drzwi windy i pojawił się on. Rozległy się ogłuszające okrzyki „*Sieg Heil!*” i Hitler ruszył powoli między rzędami członków SS, z prawym ramieniem

uniesionym do połowy masztu i dłonią odchyłoną do tyłu. Otaczały go największe szczy: mój znajomy Hermann; Goebbels, sprawnie radzący sobie z butem ortopedycznym; Rudolf Hess, z głęboko osadzonymi oczami pod gęstymi brwiami; Ernst Röhm o poharatanej nożem twarzy.

Kiedy cała świta dotarła mniej więcej na moją wysokość, zatrzymali się. Göring stał jakieś pół metra ode mnie. Wątpiłem, żeby rozpoznał mnie bez przebrania hinduskiego sługi, ale na wszelki wypadek unikałem jego wzroku i patrzyłem na Hitlera. Nie wyglądał wcale na tak niskiego, jak wydawało mi się wcześniej – na oko dawałem mu jakiś metr siedemdziesiąt z hakiem. Nie był ani smukły, ani krępy, o pospolitej aparycji, a z chaplinowskim wąsikiem prezentował się dość śmiesznie, ale oczy lśniły mu jak u wojownika tuż przed wstąpieniem na pole bitwy. Rozejrzał się wokół z wyzywająco uniesioną brodą. Tłum na moment wstrzymał oddech. Potem Führer wyprostował ramię w pełnym salucie i znów wybuchł harmider. Hitler uśmiechnął się z satysfakcją i wyszedł z hotelu. Wypchnięty przez podążającą za nim falę wylądowałem na ulicy. Wtedy ktoś złapał mnie za ramię.

– Za mną. – Twarz Ohsta wykrzywił grymas pogardy i irytacji.

NIEMIECKI PARLAMENT OTWIERA PODWOJE, ALE CHĘTNIE ZNÓW BY JE ZAMKNAŁ

31 sierpnia 1932 roku

Kronika telefoniczna naszego korespondenta Josego Ortegi z Berlina

Jeśli rzeczywiście, jak się czasem mówi, parlament stanowi wyznacznik zdrowia demokracji w danym kraju, to prognoza dla Niemiec nie wygląda różowo, a może jest wręcz czarna. Nasz korespondent miał zaszczyt obserwować pierwsze posiedzenie Reichstagu w składzie wybranym w lipcowych wyborach. Obrady okazały się pokazem koncertowej głupoty, podczas którego nieprzejednani wrogowie połączyli siły w jednym celu: obalić technokratyczny gabinet Papena, który z kolei zamierza rozwiązać izbę, żeby rządzić bez opozycji.

Na początku sesji wybrano członków tymczasowego prezydium opartego na zasadzie starszeństwa. Przewodniczącą została siedemdziesięciosześcioletnia posłanka Frau Clara Zetkin, jedna z założycielek partii komunistycznej. Ze względu na ciężki stan zdrowia musiała zostać przeniesiona na mównicę przez partyjnych towarzyszy. Mimo to zdołała wygłosić, z furią wymachując laską, trwającą ponad trzy kwadransy tyradę, w której całą winą za złą sytuację w kraju obarczyła nacjonalistów, socjalistów i burżujów, a także zażądała dymisji prezydenta Hindenburga. Na koniec dodała, że z pewnością dożyje czasów powstania związku socjalistycznych republik niemieckich. Dostała gorącą owację z wiwatami na cześć Rosji i leninizmu, przy całkowitej obojętności narodowych socjalistów, którym ich lider, pan Hitler, nakazał powściągliwość. Następnie wybrano pozostałych członków prezydium, między innymi nowego przewodniczącego Reichstagu, trzydziestodwuletniego Hermanna Göringa, narodowego socjalistę i bohatera wielkiej wojny. Koledzy z partii przyjęli tę nominację okrzykami: „Obudźcie się, Niemcy!” i „*Heil* Hitler!”.

Choć może się to wydać nietypowe jak na pierwsze posiedzenie, komuniści wykorzystali okazję, żeby zgłosić wotum nieufności dla rządu pana Papena. Kanclerz próbował ich przed tym powstrzymać, żywiłowo wymachując podpisanym przez prezydenta Hindenburga dokumentem, który dopuszcza natychmiastowe rozwiązanie parlamentu. Göring udawał jednak, że nie zauważa ostrzeżenia, i poddał wniosek pod głosowanie. Rezultat okazał się katastrofalny dla Papena, który otrzymał marne 43 głosy wobec 512 nieprawdopodobnego sojuszu komunistów, socjalistów i nazistów. Z uśmiechem satysfakcji Göring oznajmił Papenowi, że ten nie może rozwiązać parlamentu, gdyż nie jest już kanclerzem. Głosowanie to będzie miało przypuszczalnie wyłącznie wartość symboliczną, ponieważ ostateczna decyzja leży w rękach Hindenburga, zagorzałego zwolennika gabinetu z zapleczem prezydenckim, ale mało kto wróży obecnemu rządowi długą kadencję po takim upokorzeniu. Najbardziej prawdopodobnym scenariuszem są kolejne wybory w listopadzie. Jeżeli zmaltretowana demokracja niemiecka zdoła wytrwać do tego czasu.

Zamiast się z czasem kurczyć, moja obsesja na punkcie baronowej tylko puchła, chociaż nie wiem, czy to najtrafniej dobrana metafora. Czułem się jak głodne dziecko, sterczące każdego ranka przed witryną, w której na ruszcie piecze się wspaniały kurczak – złocisty, chrupiący, spływający pysznym sokiem, a chłopiec dałby sobie rękę uciąć, żeby móc zamoczyć w nim choć piętękę chleba. W jej obecności traciłem zmysły, a nieliczne słowa, jakimi mnie raczyła, były gorsze niż obojętność. Przypominały mi o moim miejscu, roli beznadziejnego wielbiciela. Świetnie zdawała sobie sprawę z tego, co do niej czuję. Nie nadużywała swojej władzy, nie bawiła się ze mną, ale od czasu do czasu, bardzo rzadko, nieoczekiwane spojrzenie potrafiło pozbawić mnie snu na całą noc. Próbowałem pocieszać się myślą, że chodzi o perwersyjny urok zakazanego owocu, że to tylko seks, niezaspokojony kaprys, ale leżąc w łóżku w pensjonacie, raz po raz wracałem do obrazów z naszej jedynej spędzonej wspólnie nocy. Dziecinna próba wywołania zazdrości przy pomocy La Jany nie tylko spetzła na niczym, ale wręcz odniosła skutek przeciwny do zamierzonego. Zawsze gdy widziała nas razem, przekłeta baronowa zaczynała z nią flirtować, doprowadzała mnie do białej gorączki – całowała ją w kącik ust, bawiła się dekoltem jej sukienki, gładziła ją po udach. Kiedy wracaliśmy do mieszkania La Jany, wyżywałem się na jej ciele, posiadałem ją brutalnie, niemal z nienawiścią. Z początku chyba nawet jej się to podobało, ale wkrótce podniecenie ustąpiło miejsca nieustannym awanturom, na które nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Jeśli podejrzewała, że pragnąłem jej tylko jako drogi dostępu do baronowej, to czemu po prostu mnie nie rzuciła? W końcu nie miałem innego wyjścia i sam to skończyłem, przez telefon, jak tchórz. Obrzuciła mnie wszelkimi możliwymi epitetami, ale jej wrzaski nie brzmiały zbyt przekonująco. Chyba już od dłuższego czasu zdawała sobie sprawę, że nic z tego nie będzie. A przynajmniej wolę tak myśleć dla spokoju sumienia.

Potrzebowałem oddechu, oddalenia się od nich obu, ale nie miałem ani pieniędzy, ani pomysłu, dokąd pojechać. Jak z nieba spadła mi więc propozycja Erika, żebym towarzyszył mu jako rzecznik prasowy w podróży do Kopenhagi, gdzie miał umówione występy. Parę dni z dala od Berlina pozwoli mi nabrać dystansu i spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. Przed wyjazdem postanowiłem jednak wyjaśnić kilka spraw.

– Powiedz mi, mówisz po duńsku? – Spojrzał na mnie tak, jakbym zapytał, czy zna suahili. – To nie takie dziwne pytanie. Twój pseudonim artystyczny to Erik Jan Hanussen, duńskie imiona i nazwisko. Dziennikarze pewnie się tym zainteresują, to naturalne.

Mentalista jak zwykle wybuchnął śmiechem.

– Nie łam sobie głowy, będziemy improwizować. – W tej chwili powinienem był pewnie przemyśleć całą sprawę, ale wiedziałem, że wynagrodzenie zaoferowane przez Erika pozwoli mi na pokrycie kilkumiesięcznych wydatków.

Hanussen postanowił przybyć do Kopenhagi z pompą. Zacumował swój ostentacyjny jacht *Ursel IV* w porcie i zarezerwował siedem pokoiów oraz apartament królewski w hotelu Dagmar, jednym z najlepszych w mieście, gdzie oprócz nas zakwaterował również Dzina i czterech hinduskich służących, którzy nadawali kolorytu

naszej świcie. Publiczność przyjęła go bardzo ciepło, bilety na spektakle popołudniowe i wieczorne w pałacu koncertowym wyprzedaly się na całe dwa tygodnie. Jak to jednak często bywa w przypadku krajów sąsiadujących ze sobą, ale bardzo różnych pod względem rozmiarów i znaczenia na arenie międzynarodowej, o ile Niemcy postrzegali Danię jako coś w rodzaju małej kolonii, która przez dziwny kaprys historii znalazła się poza granicami ich państwa, o tyle Duńczycy z jednej strony mieli do Niemiec dość nieufny stosunek, ale z drugiej potajemnie je podziwiali. Mimo kryzysu gospodarczego, który dotknął również Danię, panowała tu znacznie stabilniejsza sytuacja polityczna, a socjaldemokratyczny rząd podejrzliwie odnosił się do wszystkiego, co choć pachniało nazizmem. A mentalista zaczynał cuchnąć. Dlatego też prasa zareagowała dość chłodno. Choć udało mi się doprowadzić do opublikowania kilku tekstów wychwalających występy Hanussena jako najważniejsze wydarzenie rozrywkowe roku, pozostałe gazety skupiały się na jego kontrowersyjnych związkach z Hitlerem.

– Mogą mnie w dupę pocałować, i tak tylko napędzają mi więcej widzów – odpowiedział, kiedy zwróciłem mu na to uwagę. Był zajęty prywatnymi konsultacjami, praktycznie bardziej opłacalnymi niż występy.

Moja praca polegała głównie na odbieraniu telefonów od osób zainteresowanych tego typu usługami. Dzwoniły od rana do wieczora, więc musiałem pomagać Dzinowi w ustalaniu harmonogramu. Również i te konsultacje trafiły jednak pod lupę mediów: co innego pokaz sztuczek magicznych, kiedy wiadomo, że coś podejrzanego jest na rzeczy, a co innego nadużywanie zaufania naiwnych, którzy powierzają swoje problemy szarlatanowi, licząc na pomoc. Co gorsza, jeden z największych stołecznych dzienników opublikował artykuł podpisany przez sędziego Hellwiga, zapiekłego wroga Hanussena, który bezskutecznie próbował go skazać w procesie przed kilku laty. Twierdził on, że mentalista to zwykły oszust: nie ma mocy uzdrowicielskich, nie potrafi czytać przeszłości ani tym bardziej przewidywać przyszłości i nigdy nie rozwiązał żadnej sprawy kryminalnej. „Pierwszy z brzegu policjant z choć odrobiną rozumu ma lepszą intuicję niż Hanussen” – zawyrokował sędzia.

– A nawet nie próbowałem się przespać z jego żoną – stwierdził Hanussen ze śmiechem, kiedy przeczytał artykuł. – Niestety, jest tak stara i brzydka, że szkoda zachodu.

W dużym mieście, takim jak Berlin, podobny artykuł przemknąłby niezauważony, ale w Kopenhadze wywołał wielkie poruszenie. Temat Hanussena zdominował rozmowy przy kawie i zmobilizował inne media, które zaczęły drukować całe kolumny poświęcone ciemnym sprawkom mentalisty w Europie Środkowej w latach dwudziestych. Przekonałem go, że musimy przeprowadzić kontratak, przedstawić naszą wersję wydarzeń. Dzięki kontaktom załatwionym przez Xammara udało mi się umówić wywiad w „Politiken”, najważniejszej gazecie w Kopenhadze. Przed przybyciem dziennikarza palnąłem Erikowi kazanie, żeby trzymał się z dala od kwestii politycznych, ale on zbył mnie uśmiechem pełnym wyższości:

– Słuchaj, ty jeszcze robiłeś w pieluchy, kiedy ja już musiałem się chandryczyć z tymi szumowinami – oznajmił, zapominając chyba, że i ja należę do tego grona. – Nie martw się, wszystko się jakoś ułoży. Zawsze tak jest. – Podejrzewam, że przywykł do

znajdowania się w centrum polemiki i sprawiało mu to nawet przyjemność, ale ja nie miałem nerwów ze stali. Nie mogłem się opędnąć od wizji nadciągającej katastrofy.

Mentalista zaprezentował się jak paw przed groźnym dziennikarzem o twardej szyi i okrągłych okularach w drucianej oprawce: poczęstował go whisky, opowiedział kilka nieprzesadnie pikantnych dowcipów, a cały wywiad zaczął od przechwalania się swoim autorytetem, który zyskał dzięki wyrokowi z Litomierzyc, oficjalnie potwierdzającemu autentyczność jego mocy. W ostatnim wydaniu wielkiej encyklopedii Meyera, niemieckiego odpowiednika *Britanniki*, znalazł się nawet jego biogram. Już pocilem się ze strachu na myśl o kontrataku dziennikarza, który na pewno zauważy, że w wyroku stanowiącym podstawę reputacji Hanussena stwierdzono jedynie niemożliwość dowiedzenia nieprawdziwości jego mocy, ale jak się okazało, interesowały go inne rzeczy. Jasnowidz kontynuował opowieść o swoich wyczynach, ale kiedy zawyżył do pięciu milionów liczbę członków towarzystwa Hanussena – w rzeczywistości było to dwieście tysięcy nieszczęsnych prenumeratorów wydawanych przez niego gazet, którzy dostawali rabaty na jego produkty i inne podobne bzdury – reporter wtrącił się i skierował rozmowę na inne tory:

– Jak pan myśli, ile z tych osób głośuje na Hitlera? Sądzi pan, że wywiera na nich jakiś wpływ za pośrednictwem nazistowskiej propagandy publikowanej w pańskich mediach?

Ignorując moje rozpaczliwe sygnały, żeby nie dał się złapać na przynętę, Hanussen powtórzył, że jako profesjonalista w dziedzinie okultyzmu pozostaje apolityczny, ale jako człowiek interesu uważa, że komuniści nieznośnie się panoszą w społeczeństwie niemieckim. Następnie wymienił wszystkie przymioty Hitlera i przypomniał, że gwiazdy wskazują na niego jako następnego przywódcę kraju. Postąpił dokładnie wbrew moim prośbom i zaleceniom.

– Zna pan osobiście pana Hitlera? – Tego pytania najbardziej się obawiałem, a mentalista odpowiedział z wszystko mówiącym uśmiechem.

– Nie mam w zwyczaju opowiadać o prywatnych spotkaniach. – W rzeczywistości opowiadał wszystkim, którzy chcieli słuchać, swoją wersję rozmowy w hotelu Kaiserhof, jak to Hitler potraktował go bardzo przyjacielsko i pokornie poprosił o radę. Śmiał nawet rzucić Ohstowi, którego traktował zawsze z pewną pogardą, na jaką nie pozwalał sobie w stosunku do Helldorfa, że jego szef przypominał raczej bezrobotnego krawca niż cesarza. Blizna przy ustach rozciągnęła się, ukazując kły. – Mogę jednak zapewnić, że Hitler jest porządnym człowiekiem, który pragnie jedynie dobra Niemiec.

Jako zwieńczenie wywiadu dziennikarz zapytał żartobliwie, czy Erik każe swoim zwolennikom witać się zwrotem: „*Heil Hanussen!*”.

– Na razie nie, ale wszystko jest możliwe – odparł mentalista, śmiejąc się do rozpuku.

Pierwsza strona następnego wydania „*Politiken*” nie mogła więc wyglądać inaczej: HANUSSEN – MRO CZNY CIENŃ HITLERA. Główny bohater był jednak tak zajęty zarabianiem pieniędzy, że kiedy przyniosłem mu gazetę, nawet nie rzucił na nią okiem. Wcisnął mi parę banknotów stukoronowych i kazał wziąć sobie jedną z dyskretnych dam do towarzystwa przesiadujących w hotelowym barze, żebym się nieco rozluźnił, bo

sprawiałem wrażenie bardzo spiętego.

– A jeśli znajdziesz jakąś naprawdę ładną, przyślij ją do mojego pokoju. Już co najmniej od paru dni nie próbowałem ludzkiego mięsa – oznajmił, wymownie poruszając krzaczastymi brwiami.

Mnie jednak nie w głowie były dziewczyny, miałem zszargane nerwy. Musiałem się przewietrzyć, więc wyszedłem z pokoju i przespacerowałem się nad jeden z kanałów. Siedziałem w Kopenhadze już od ładnych paru dni, a praktycznie nie widziałem jeszcze miasta, nawet słynnego pomnika Małej Syrenki.

– Zwiedzanie zostaw na inną okazję, jak przyjedziesz tu z dziewczyną. Teraz mamy pracować, zarabiać pieniądze. – Trzeba przyznać, że Erik brał sobie własne słowa do serca. Tryskał niewyczerpaną energią, nie przewidywał nawet minuty na odpoczynek.

W trakcie spaceru wciąż powtarzałem w głowie jedno pytanie: co ja tutaj robię? Owszem, nieźle zarabiałem, ale miałem być przecież dziennikarzem, nie cyrkowcem. Jeśli potrzebowałem dodatkowych dochodów, powinienem poszukać bardziej szlachetnego zajęcia, tak jak moi znajomi z Berlina: tłumaczyć, współpracować z hiszpańskimi instytucjami handlowymi, redagować przewodniki turystyczne. Ale szczerze mówiąc, nie widziałem się w roli tłumacza niemieckich klasyków ani organizatora targów, a już samo pisanie kroniki przychodziło mi z trudem. Wszedłem do jakiejś szemranej speluny koło portu i strzeliłem sobie parę piw, a potem kilka kolejek. Później z powrotem przerzuciłem się na piwo. Siedzący obok marynarz popchnął mnie i zrzucił mój kufel. Wdaliśmy się w awanturę, choć żaden nie rozumiał języka drugiego. Walnął mnie z pięści, więc odpowiedziałem tym samym. Wywiązała się bójka. Znudziło nam się bicie, więc pogodziliśmy się i piliśmy razem jeszcze przez kilka godzin. Wychodząc z baru, czułem się już dużo lepiej. Czemu traktowałem wszystko tak poważnie? Przejmowałem się, że nie jestem wybitny na żadnym polu? I co z tego! Miałem dwadzieścia sześć lat, najlepiej było cieszyć się życiem i nie martwić tak bardzo o przyszłość. Jeśli powinienem się czegoś nauczyć od Erika, to jego umiejętności śmiania się ze wszystkiego, życia chwilą i lekceważenia tego, co będzie później.

– Gdzieś ty, do cholery, polazł, debilu? – powitał mnie, chwytając za klapy i pchając na ścianę. Kiedy wróciłem do hotelowego apartamentu, Hanussen kpiął z wściekłości.

Podłoga była usłana okruchami szkła i kawałkami roztrzaskanych przedmiotów. Jak zdołałem zrozumieć z jego wrzasków, pod moją nieobecność odwiedziła go dwójka reporterów z brukowca „Ekstra Bladet”, podając się za klientów zainteresowanych prywatną konsultacją. Dzino nie połapał się w oszustwie i sprzedał im tę samą śpiewkę co wszystkim:

– Proszę pamiętać, że nie możemy dać żadnej gwarancji, czasem występują interferencje mentalne, które są poza naszą kontrolą – zapowiedział – ale moce mistrza zostały zweryfikowane przez najwybitniejszych niemieckich naukowców. – Zapytany o stawki, Dzino przedstawił cały cennik: – Zwykła konsultacja kosztuje sto pięćdziesiąt koron. Jeśli chodzi o poszukiwanie zaginionej osoby albo cennego przedmiotu, dwieście pięćdziesiąt. Za doradztwo giełdowe należy się pięćset koron, a w przypadku poważnych operacji handlowych, tysiąc. – Jakby tego było mało, dziennikarze zobaczyli, jak Dzino

przeliczał gruby plik pieniędzy z poprzednich wizyt.

– Dwa bezużyteczne śmiecie! Powinienem kazać was wychłostać! – wrzeszczał Hanussen na całe gardło.

Gdybym nie był pijany, chybabym się posrał ze strachu. Nigdy jeszcze nie widziałem go w takim stanie, czerwonego jak burak, z wytrzeszczonymi oczami, wściekle wymachującego rękami.

– Nie dość, że naślą na nas gliny, to jeszcze inspektorów z fiskusa! Jeśli jest na świecie coś gorszego od policji, to właśnie poborcy podatkowi! – Złapał mnie za ramię i zaciągnął do drzwi. – Więc teraz, zaszary Hiszpanie, leć w podskokach do tej gazety i zrób wszystko, żeby nie opublikowali artykułu. Nie obchodzi mnie, czy będziesz musiał ich przekupić, zabić czy spalić całą redakcję! – wrzasnął, wypychając mnie z apartamentu.

Przez chwilę stałem jak sparaliżowany na środku korytarza, nie mając pojęcia, co robić. Wydało mi się oczywiste, że wizytą w redakcji nic nie zdziałam, mogłem wręcz pogorszyć sytuację, gdybym próbował przekupić reporterów. Byłem zresztą wykończony po awanturze, miałem podartą marynarkę i zaczynała mnie boleć głowa od mieszanki piwa i okowity. Bez dłuższego namysłu poszedłem do swojego pokoju i walnąłem się na łóżko.

– Pobudka, pierdolony toreadorze! – Łomotanie w drzwi odbijało mi się echem w głowie. Spojrzałem na zegarek: było po dwudziestej trzeciej.

Hanussen skończył już pewnie występ. Otworzyłem drzwi, próbując sklecić jakąś sensowną wymówkę.

– Wiedziałem, że nic nie zrobisz. – Erik stał na progu ze zmarszczonym czołem i wbijał we mnie obezwładniające spojrzenie. Na chwilę jego wzrok przybił mnie do ściany jak komara. Potem jasnowidz poklepał mnie po ramieniu. – Dobrze zrobiłeś. Nigdy nie należy wypełniać głupich rozkazów. No, włóż coś na siebie, pójdziemy się napić.

Tej nocy odwiedziliśmy wszystkie restauracje, bary, kabarety i burdele w Kopenhadze. Kiedy opuszczaliśmy ostatni lokal, „Ekstra Bladet” leżał już na ulicach. Karykatura zajmująca część pierwszej strony przedstawiała Hanussena, który z zawiązanymi oczami próbuje odgadnąć zawartość dwóch kopert. „Myślę, że pierwsza jest od policji, a druga zapewne od urzędu skarbowego” – głosił podpis pod rysunkiem.

Erik się uśmiechnął.

– Nie podejrzewałem Duńczyków o poczucie humoru – stwierdził i wyrzucił gazetę do kosza.

Kiedy przed południem obudziłem się na kanapie w salonie apartamentu Hanussena, policja już tam była, na czele z nadinspektorem – mężczyzną wysokim, przeraźliwie chudym, siwiejącym i bardzo poważnym. Erik przyjął go nienagannie wystrojony w smoking na popołudniowy spektakl, świeżo wykąpany i z miną niewiniątka. Odpowiedział na kilka pytań, a potem poprosił o chwilę na osobności z nadinspektorem. Ja tymczasem postanowiłem trochę się ogarnąć przed spotkaniem z prasą, która zasypywała nas prośbami o wywiad, ale mogę się domyślić, że sięgnął po swoje zwykłe sztuczki, żeby zrobić wrażenie na policjancie. Na koniec mentalista zaprosił

wszystkich na występ w pałacu koncertowym. Musiał być naprawdę niezły, bo po przedstawieniu nadinspektor podszedł do niego i osobiście pogratulował.

Gdy jedliśmy tego wieczoru kolację w hotelowej restauracji, Hanussen sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Widzisz, że wszystko zawsze dobrze się kończy? Na razie powstrzymaliśmy pierwszy atak. A jutro o wszystkim dowiedzą się twoi koledzy dziennikarze.

– Co ty knujesz? Nie szalej za bardzo, wciąż stąpamy po cienkim lodzie – ostrzegłem, ale wiedziałem, że na nic się zdadzą moje dobre rady: on zawsze robił to, na co miał ochotę.

Nawet w najbardziej delirycznych snach nie mógłbym wymyślić, co zaplanował. Następnego ranka wszystkie największe kopenhaskie gazety opublikowały wielkie na całą stronę ogłoszenie opłacone przez mentalistę – zdjęcie, na którym rozmawia z szefem policji, a pod spodem olbrzymi podpis: NADINSPEKTOR OZNAJMIA: HANUSSEN NIE MOŻE BYĆ OSZUSTEM.

Oczywiście szefowi kopenhaskiej policji wcale się nie spodobało, podobnie jak mnie, że mentalista wykorzystał go do celów reklamowych, i jeszcze tego samego ranka wydał oficjalne oświadczenie:

– Mogę potwierdzić, że pan Hanussen nie znał wcześniej osób, w których myślach czytał podczas występu. Bardziej jednak niepokoją mnie konsultacje prywatne. Wiele wskazuje na to, że człowiek ten oszukał wiele nieostrożnych osób, doradzając im w sprawach o kluczowym dla nich znaczeniu.

Czyli w tłumaczeniu na nasze: weźmiemy się do niego.

Przyszła pora zwinąć interes. Nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, wróciłem do Niemiec na własną rękę. Dość już miałem przejść z mentalistą, który teraz z kolei wystąpił o wizę do Norwegii. Na odpowiedź tamtejszej policji nie trzeba było długo czekać: odrzucili wniosek, ponieważ uznali występy jasnowidza za przeznaczone dla osób o słabej psychice, które mogły dać się oszukać szkodliwym trikom.

O wszystkim dowiedziałem się już w Berlinie. Choć właśnie spędziłem dwa tygodnie w luksusowym hotelu, od dawna nie czułem się tak dobrze jak w starym dobrym pensjonacie. Manuel Olivar wyszedł zza długiej lady recepcji i uściśnął mnie serdecznie, jakbym wrócił z ekspedycji do Amazonii.

– Pewnie strasznie tam głodowałeś. Na Północy karmią jeszcze gorzej niż tutaj – oznajmił i zaciągnął mnie do jadalni, choć nie wybiła jeszcze nawet osiemnasta. Już po chwili jego żona przyniosła wazę i po brzegi wyładowała mi talerz fasolką. Manuel usiadł obok mnie przy stole, a wkrótce pojawił się Felipe Fernández Armesto. Bałem się, że zaraz wyskoczy z kąśliwymi uwagami, ale interesowało go raczej, co mówi się za granicą o sytuacji w Niemczech. Zacząłem mu opowiadać o podejrzliwości Duńczyków wobec triumfu nazizmu.

– Siedzę tu od ładnych paru lat i widziałem już wszystko – przerwał mi Olivar, przeczesując palcami gęstą białą czuprynę. – Hiperinflację w dwudziestym trzecim, kiedy bochenek chleba kosztował dwieście miliardów marek! Także łatwe pieniądze, które przyszły później, kryzys, politykę zaciskania pasa, sześć milionów bezrobotnych, głód, przemoc na ulicach. Nigdy jednak nie widziałem ludzi tak zmęczonych politykowaniem jak teraz. Mają już dość zastanawiania się, jak przeżyć do pierwszego. Niemcy lubią porządek i w tej sytuacji gotowi są uwierzyć każdemu, kto im go obieca.

– Może komunistom? Nigdzie nie ma takiego porządku jak w Związku Radzieckim – wtrącił Armesto z ironicznym uśmiechem.

– *¡Toca fusta!*¹ – odparł Katalończyk, stukając palcami w stół. – Żeby mi odebrali interes? Po moim trupie! Prędzej wrócę do Badalony.

– W Hiszpanii też nie najlepiej się dzieje.

Faktycznie – miesiąc wcześniej generał Sanjurjo powstał zbrojnie w Sewilli przeciwko młodziutkiej republice, której sam zaledwie przed rokiem pomógł się narodzić. Mimo porażki rebelii sytuacja nadal była niestabilna.

– Jeśli nie będzie nam się układało, zawsze możemy spróbować szczęścia

w widowiskach – stwierdził Felipe i szturchnął mnie łokciem. – Bo chyba nauczyłeś się ostatnio czegoś o magii, co? Z tego, co czytałem, podczas tournée wiele się działo.

Na szczęście dla Hanussena, kiedy wrócił do Berlina, w polityce panował taki zamęt, że nikt nie zwracał uwagi na doniesienia o jego skandynawskich przygodach. Rząd Papena zwołał nowe wybory na listopad, grając na czas, żeby zdążyć przepchnąć reformy gospodarcze, ale najświeższy skandal dotyczył ujawnienia tajemnicy poliszyneła: Theodor Duesterberg, jeden z kandydatów w wyborach prezydenckich z wiosny 1932 roku, miał dziadka Żyda. Jego partia Stahlhelm, czyli „stalowe hełmy”, złożona z nacjonalistów, monarchistów i tradycjonalistów, sprzeciwiała się rewolucyjnym zapędom Hitlera, ale podzielała jego antysemityzm. Duesterberg wyraził zaskoczenie po ujawnieniu wyznania dziadka i podał się do dymisji. Nie mógł jednak tolerować kampanii obelg ze strony nazistów, zwłaszcza Goebbelsa i specjalisty do spraw rasowych w SS Richarda Darrégo, którego wyzwał publicznie na pojedynek. Ten jednak odmówił, tłumacząc, że nie może walczyć z Żydem.

W tym przypadku Hanussen wstawił się za swoimi. Bronił Duesterberga na łamach gazety: kwestia pochodzenia nie grała roli, chodziło bowiem o prawdziwego niemieckiego patriotę, żołnierza, który udowodnił swoją odwagę w wielkiej wojnie, o czym świadczyły liczne ordery i odznaczenia. Po raz pierwszy prasa nazistowska skoczyła Hanussenowi do gardła i nie odwołując się co prawda do pogłosek o jego korzeniach, oskarżyła go o słabe zaangażowanie w kwestie rasowe, komuniści zaś wykorzystali całą sprawę, by zwrócić uwagę na niekonsekwentne poglądy żydowskiego astrologa Hitlera. Całe to zamieszanie musiało mieć wpływ na decyzję Erika o ponownej ucieczce, tym razem do Paryża. Zamieszanie i inny drobiazg, o którym Dzino wspomniał mi, kiedy przyniósł zaległą wypłatę od magika za moją pracę w Danii: niejaka Lizzie Bogner, tancerka kabaretowa i dawna kochanka mentalisty, zaczęła opowiadać na prawo i lewo, że Erik jest obrzezany. Nie miałyby to większego znaczenia, gdyby nie to, że wśród jej licznych znajomych znalazło się kilku wysoko postawionych nazistów. Dzino osobiście wynegocjował (niemałą) cenę za jej milczenie, odprowadził ją na dworzec i odesłał do rodzinnego Wiednia, ale plotka nadal krążyła.

– Jedziemy jutro pociągiem o dziesiątej. Aha, mam ci jeszcze przekazać to. Liczę na twoją dyskrecję – powiedział Dzino i puścił do mnie oko. Perfumowana koperta nie mogła pochodzić od Hanussena.

¡Toca fusta! (kat.) – Odpukaj! (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Przez cały dzień łamałem sobie głowę, dlaczego baronowa chce się ze mną spotkać w tak dziwnym miejscu – El Dorado, najsłynniejszym lokalu dla transwestytów w Berlinie. Niezbyt adekwatnie jak na randkę. Gdybym powiedział o tym Armestowi, podałbym mu żart jak na tacy: „Po tylu przejściach może się okazać, że twoja przyjaciółeczka kryje niespodziankę między nogami!”. Jeśli jednak mogłem być czegokolwiek pewien, to tego, że jest kobietą w każdym calu. Ze dwa czy trzy razy miałem już okazję odwiedzić El Dorado. To jeden z tych charakterystycznych lokali, gdzie prowadziło się nowo przybyłych do Berlina, żeby zaznajomić ich z libertyńską atmosferą miasta, gdzie ciekawscy i poszukiwacze okazji bawili się w zgadywanki, do którego obozu należą wątpliwe damy i olśniewające królowe nocy.

Baronowa wyznaczyła spotkanie na dziewiętnastą, jakbyśmy umawiali się do kawiarni, więc oblegane zwykle wejście do kabaretu oczywiście świeciło pustkami. Hol wejściowy udekorowano serią karteczek z hasłami, w założeniu błyskotliwymi i pikantnymi – „Nie przejmuj się zimą i mrozem, u nas ogrzejesz sobie dłonie” – i erotycznymi pseudofreskami ze scenami z mitologii, które pamiętałem z poprzednich wizyt. Włosko-amerykański maître z fryzurą na Valentina zaprowadził mnie do stolika. Zespół grał melancholijny utwór, a na parkiecie dwie czy trzy pary dziewczyn – albo chłopaków, w takim miejscu trudno to stwierdzić – tańczyły z wyraźnym znudzeniem. Przy stolikach kilka zagubionych dusz nieobecny wzrokiem obserwowało spektakl, jakby siedziały w kinie. Typowa atmosfera końca imprezy o szóstej czy siódmej rano, dość deprymująca popołudniową porą. W kącie, ukryta przed spojrzeciami nielicznych gości krążących po lokalu, z czarną woalką zasłaniającą oczy, siedziała baronowa. Prawdziwa *femme fatale*, pomyślałem, kontemplując, jak pali papierosa w srebrnej cygarniczce. Była jak jabłko z błyszczącą czerwoną skórką – nie można się było oprzeć przed spróbowaniem kęsa, choćby nawet miało się połamać na nim wszystkie zęby.

– Pewnie się zastanawiasz, dlaczego umówiliśmy się tutaj – powiedziała, wyciągając na powitanie dłoń obleczoną czarną rękawiczką. – Wiem, że to nie jest typowy lokal na tego rodzaju spotkania, spodziewałeś się pewnie czegoś bardziej intymnego i dyskretnego. Ale właśnie w takich miejscach o tej porze można liczyć na pełną dyskrecję. Poza tym jest coś, czego o mnie nie wiesz: jestem bardzo sentymentalna. El Dorado to część mojego życia, część tego Berlina, który kocham. Odwiedziłam to miejsce podczas pierwszej wizyty w tym mieście i naprawdę otworzyło mój umysł, poczułam się wolna i zrozumiałam, że wszyscy możemy tacy być. Dlatego jestem do niego przywiązana.

Nie wiedziałem o niej praktycznie nic, więc poczułem się jeszcze bardziej niepewnie. Czy to jeden z jej sprawdzianów? Ściągnęła mnie tu z myślą o jakiejś perwersyjnej grze? Z baronową nigdy nie wiadomo, co myśleć.

– Pociąga cię ta niejednoznaczność? – Tak, wiem, kolejny głupi tekst, ale próbowałem symulować pewność siebie. Nie miałem zresztą w tej kwestii przesadnych wątpliwości: na moich oczach całowała niejedną kobietę, w tym La Janę.

Uśmiechnęła się pod woalką kątem ust.

– I tak, i nie. – Te jej enigmatyczne odpowiedzi jeszcze bardziej mnie podniecały. Nagle jej usta skrzywiły się w gorzkim grymasie. – Ale nie z tego powodu chciałam tu przyjść. Słyszałam, że w przyszłym tygodniu policja ma pozamykać wszystkie, jak mówią, „siedliska rozpusty”, czyli lokale dla transwestytów, gejów i lesbijek. Również El Dorado. To kolejny genialny pomysł tego kretyna Papena, żeby podliznąć się jednocześnie nazistom i katolikom.

– Jakże mi przykro. – Rzucałem jeden głupi tekst za drugim.

Zdjęła rękawiczki i drobnymi, delikatnymi palcami zaczęła gładzić brudny aksamit kanapy, na której siedziała.

– To koniec jakiejś epoki, prawdopodobnie najszcześniejszej w moim życiu. Wesole, beztroskie miasto, które wszyscy znamy, umiera na naszych oczach. W przyszłym roku na masztach budynków publicznych zawisną albo swastyki, albo sierpy i młoty, i wszystko się zmieni. – W jej głosie pobrzmiwały smutek i melancholia, jeszcze nigdy jej takiej nie widziałem. Próbując ją pocieszyć, pogłaskałem baronową po dłoni, ale ona niespodziewanie wyrwała mi ją gwałtownie. Odwróciła głowę, żebym nie widział jej twarzy, chyba się rozplakała. – Nie chcę patrzeć na gasnące światła, niedługo wyjadę z Berlina. Dokąd? Nie wiem. Ale nie chcę wyjeżdżać sama. Chciałbyś mi towarzyszyć?

Serce zabiło mi mocniej, zalała mnie fala radości i zaskoczenia. Czuję się tak, jakbym stał na krawędzi przepaści, do której chciałem wskoczyć. Obsypałem ją pocałunkami i oświadczyłem, że oczywiście, jestem gotów pójść za nią nawet na koniec świata, jeśli będzie trzeba. Ścisnąłem ją z całej siły, mając nadzieję, że nie zniknie, że to nie żart, że nie wymknie mi się z objęć jak już tyle razy wcześniej.

– A Erik? – zapytałem z nutką nieufności. Zawsze w końcu stawał między nami. Tym razem jednak, kiedy baronowa zaczęła o nim mówić, na jej twarzy pojawił się nostalgiczny uśmiech.

– Mistrz przewidział, że porzucę męża i zostanę jego kochanką. Przepowiedział też, że nasz związek potrwa trzy lata, a okres ten właśnie dobiega końca. Nikt tak jak on nie rozumie prawidłowości rządzących przeznaczeniem, nieraz mówił mi, że nie mamy żadnego wpływu na kaprysy losu. Zresztą wydaje mi się, że nie miałby nic przeciwko mojej decyzji. Docenia cię w większym stopniu, niż myślisz. – Nawet nie wyznała mi miłości, zdawała się po prostu sądzić, że nasz związek jest nieunikniony, jak zderzenie dwóch pociągów jadących po tym samym torze, ale w tamtej chwili nie chciałem roztrząsać, jakim cudem udało mi się w końcu zdobyć serce kobiety, na której punkcie miałem obsesję od wielu miesięcy.

– Kiedy? – Oszołomienie ścisnęło mi gardło. Jeśli powiedziałaaby „jutro”, pobiegłbym za nią jak piesek za panią, ale myśl o opuszczeniu Berlina z dnia na dzień okazała się trudniejsza, niż się spodziewałem. Poza tym potrzebowałem czasu, żeby się zastanowić, jak zdołam utrzymywać kobietę przywykłą do wszystkiego, co najlepsze. Prawdę mówiąc, nie wyobrażałem jej sobie nad talerzem potrawy w kuchni mojej matki. To jakby dostać najnowszy model bugatti i nie mieć pieniędzy na benzynę. W tamtej chwili byłem jednak gotów skoczyć dla niej z piątego piętra.

– Jeszcze nie, za parę miesięcy. Muszę pozatwierać parę spraw, chciałabym też porozmawiać z mistrzem po jego powrocie i wyjaśnić mu sytuację. Tymczasem możemy zacząć lepiej się poznawać.

Objąłem ją z całej siły i ucałowałem w usta. Sam nie wiedziałem, co bardziej podniosło mnie na duchu: obietnica zamykająca ostatnie zdanie czy wyznaczenie terminu na pozбиeranie mojego życia do kupy.

Paryż ma chyba lepszych propagandzistów niż Goebbels, pomyślał Hanussen. Z filmów i powieści wydawało się, że w mieście panuje wieczna wiosna: świeciło słońce, ciepły wiaterek podwiewał lekkie sukienki dziewcząt, a w zawsze pełnych ogródkach kawiarni przyjaciele raczyli się winem przy dźwiękach akordeonu ulicznego grajka. Jednak gdy on tam trafiał, pogoda zawsze była pod psem, ziąb, nieustanny deszcz, a przechodnie emanowali wilgotnym znużeniem, aż człowiek tęsknił za śnieżnymi berlińskimi zimami. Po drodze zatrzymał się jeszcze w Bazylei, praktycznie wiosce, gdzie wygłosił wykład dla Szwajcarskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Oczywiście znalazł niezawodny sposób na rozgrzanie się w nocy: płomienny *ménage à trois* z belgijską hrabiną i jej kochanką, z którego musiał się dość gwałtownie ewakuować. Ale panująca w Paryżu ciemność wsączała się do duszy mentalisty. Zamiast szukać schronienia w swoim naturalnym środowisku – kawiarniach, restauracjach, kasynach, kabaretach – włóczył się samotnie ulicami. Obszedł całe miasto tak dokładnie, jak jeszcze nigdy podczas wcześniejszych wizyt, ale szerokie bulwary, gotyckie kościoły i pałace ze szlachetnego kamienia do niego nie przemawiały. Choć nie miał natury melancholika, przez ładnych kilka dni nie mógł wyrwać się z obezwładniającej prostracji. W końcu jednak przypomniał sobie, że nie przyjechał na wakacje. Théâtre de l'Empire reklamował jego spektakl na wielkich afiszach jako *Les Merveilles de la Télépathie*. Teatr był jednym z najważniejszych lokali widowiskowych w Paryżu, na olbrzymiej sali mieściło się trzy tysiące widzów, a na scenie często występowały najjaśniejsze gwiazdy firmamentu muzyki francuskiej, jak Maurice Chevalier, Félix Mayol czy Ray Ventura. Dzięki sukcesom w Berlinie Hanussenowi udało się podpisać umowę na niezłych warunkach: pięć tysięcy franków dziennie podstawy plus trzydzieści procent wpływów z biletów, do maksymalnego pułapu trzydziestu tysięcy franków, ale mentalista czuł niepokój. Kiedy Dzino znalazł go w garderobie przed występem, szef sprawiał wrażenie przybitego, nie było śladu po jego zwykłej nadpobudliwości.

– Mam złe przecucie – stwierdził, sącząc niechętnie koniak podany przez sekretarza. – A może się starzeję.

Tym razem intuicja nie zawiodła Hanussena. Podczas spektaklu słowa mentalisty przekładał na francuski tłumacz o monotonnym głosie, tak że nawet na chwilę nie udało się nawiązać porozumienia z widownią, co bez trudu osiągał w innych miejscach. Zamiast emocji, strachu i zaciekawienia, w powietrzu l'Empire wisiała aura obojętności i pewnego znudzenia, a w ciszy dałoby się usłyszeć przelatującą muchę. Krytycy prasowi wbili ostatni gwóźdź do trumny i spektakl zdjęto z afisza po zaledwie trzech dniach.

Dzino sądził, że od razu wróci do Berlina, ale ku jego zaskoczeniu szef nie zdradzał chęci wyjazdu. Wałęsał się bez celu po bulwarach, czytał gazety i zagadywał nieznanym staruszki w hotelowym holu. Kiedy siedział tam pewnego ranka, do budynku wszedł dżentelmen w średnim wieku, niezbyt wysoki, ale obdarzony naturalną elegancją, która przyciągała uwagę. W całym westybulu rozległy się szmery.

*C'est le roi d'Espagne!*¹, szeptały starsze panie z mieszanką podziwu

i niestosownej kokieterii. Hanussen przyglądał się wspaniałemu dwurzędowemu garniturowi, butom od angielskiego szewca, trzymanemu w dłoni kapeluszuwi z ostrożnie złożonym rondem, mądrym i spokojnemu spojrzeniu, jakim Alfons XIII wodził dookoła. Zauważył też gorzki grymas pod zaczynającym siwieć wąsem.

Widok ten jeszcze bardziej go przygnębił. Nie ma nic smutniejszego niż król na wygnaniu, pomyślał, to jak niemodny wazon, z którym nie wiadomo, co zrobić. Nielicznym, którzy nie odwracali się plecami, zależało tylko na zachowaniu suweniru w postaci odblasku przebrzmiałej sławy, która już nigdy nie wróci. Czy jego czeka to samo? Czy za kilka lat wejdzie do innego hotelu, a jakaś staruszka powie do wnuczki: „Popatrz, to Hanussen. Nie znasz go, ale za moich czasów był wielką gwiazdą”?

Z apatii wyrwał go dopiero telefon – poproszono go o wygłoszenie wykładu w Club du Faubourg. Tym razem nie chodziło więc o teatr rewiowy ani kabaret, lecz o prestiżowy salon dyskusyjny, w którym debatowano zwykle na tematy związane z polityką, filozofią czy literaturą. Szansa zaprezentowania swoich idei wzbudziła w Hanussenie entuzjazm. Już od jakiegoś czasu uważał się za coś więcej niż festynową atrakcję czy worek z przepowiedniami: widział się jako kogoś w rodzaju współczesnego myśliciela, niezwiązanego z akademicką filozofią, ale na wskroś znającego ludzką duszę. Świat stanął w obliczu radykalnych zmian, z którymi nie mógł sobie poradzić kartezjanizm – jedynie nowy sposób rozumienia rzeczywistości, szersza, bardziej transgresywna perspektywa, bez tabu i uprzedzeń, mogła pomóc ludzkości stawić czoło nadchodzącym wyzwaniom. W głowie naszkicował już zarys podstawowych założeń myśli futurystycznej i chętnie podzieliłby się nimi z innymi wielkimi umysłami, które mogłyby go zrozumieć.

Następne kilka dni spędził w bibliotece publicznej: czytał jak szalony, sprawdzał daty, robił notatki, wyrzucał je i zapisywał kolejne dziesiątki stron. Próbował przypomnieć też sobie, żeby móc oprzeć wykład na solidnym fundamencie psychoanalitycznym, rozmowę z Zygmuntem Freudem w jednym z praskich hoteli pewnej deszczowej nocy 1914 roku. Mimo jednak że opowiadał tę anegdotę setki razy i na rozmaite sposoby, tak naprawdę grali tylko w bilard, a słowa „dziewiątka do tylnej luzy” raczej nie zasługiwały na zapisanie się w annałach historii. No nic, coś się wymyśli.

W końcu stawiał się w Club du Faubourg o wyznaczonej godzinie z teczką pełną notatek, chętny do podzielenia się swoimi przemyśleniami. Okazało się jednak, że forma spotkania nie ma nic wspólnego z jego wyobrażeniami. Léo Poldés, przewodniczący klubu, był zdeklarowanym socjalistą i zaplanował na ten wieczór debatę na temat nieuczciwości praktyk okultystycznych. Przez chwilę Hanussen chciał nawet odwrócić się na pięcie i wyjść, ale było już za późno. Skonsternowany mentalista znalazł się na scenie, skąd odpierał ataki publiczności złożonej z brodatych erudyków wyzywających go od oszustów i szarlatanów. Choć krew się w nim gotowała, starał się nie tracić opanowania i całkiem długo odpowiadał, jak umiał najlepiej, na oskarżenia i obelgi, zachowując przy tym jak najbardziej naukowy ton.

– Być może tak to wygląda z pana punktu widzenia. Jednak według ostatnich badań przeprowadzonych na Uniwersytecie w Heidelbergu... Nie wiem, czy słyszał pan o pracy doktora Paula Schildera na temat psychopatologii zjawisk telepatycznych, ale... – mówił,

z trudem się powstrzymując, żeby nie przywalić któremuś z tych bufonów i dać nogę.

Kiedy Léo Poldés postanowił łatwo zabawić się jego kosztem i z szyderczym uśmiechem poprosił o wrózenie z ręki, Hanussen nie wytrzymał. Ujął ostrożnie lewą dłoń przeciwnika i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Była nudna, nijaka, z dość długą linią życia.

– Przykro mi, nie mogę powiedzieć, co widzę – oznajmił w końcu z dobrze markowanym zmartwieniem.

– Czyli nie odważy się pan okłamać mnie na oczach wszystkich tu zgromadzonych – odparł Poldés z wyraźną satysfakcją.

– Nie, nie o to chodzi. Po prostu wydaje mi się niestosownym mówić o tym publicznie.

Wśród członków klubu rozległy się okrzyki, buczenie, nawet gwizdy.

– Pff, co za bzdura. Boi się pan, że go zdemaskujemy.

– Ja się nie boję, ale pan powinien – powiedział mentalista cicho, ale tak żeby cała publiczność świetnie go usłyszała.

– Proszę mi natychmiast powiedzieć, co pan zobaczył. – Poldés sprawiał wrażenie lekko zaniepokojonego.

– Pozwala mi pan powiedzieć to przed wszystkimi tymi panami?

– Oczywiście, niestraszne mi pańskie bajeczki.

– Ma pan czarny automobil, prawda? – Nie trzeba geniusza, żeby się domyślić, że taki typ może mieć samochód wyłącznie w tym kolorze. Poldés przytaknął. – Niebawem, prawdopodobnie w ciągu najbliższych kilku tygodni, wybierze się pan tym pojazdem w samotną podróż i dozna strasznego wypadku. – Na sali zapadła cisza jak makiem zasiał. – Reszta pańskiego ciała nie dozna żadnych urazów, ale jakiś ostry przedmiot, prawdopodobnie odłamek szkła z przedniej szyby, rozpląta panu szyję od prawej do lewej. Wykrwawi się pan powoli i boleśnie, zanim pomoc zdąży dotrzeć na miejsce. Radzę jak najszybciej pozłatwić swoje sprawy.

W auli rozpętał się piekielny zgiełk, wszyscy krzyčili jeden przez drugiego, przewracali krzesła. Léo Poldés, czerwony jak burak, nie mógł wydusić z siebie słowa. W końcu udało mu się powiedzieć:

– Mój panie, nie muszę być prorokiem, żeby wiedzieć, że pan zginie od strzału w głowę! – Hanussen, nie próbując zdusić śmiechu, zabrał teczkę i opuścił audytorium.

C'est le roi d'Espagne (fr.) – To król Hiszpanii (przyp. tłum.). [wróć]

ROZMOWA – WZGLĘDNA – Z DOKTOREM EINSTEINEM

Kronika naszego korespondenta Josego Ortegi z Berlina

„Względność”! Słowo to pojawia się ostatnio wszędzie: w audycjach radiowych, nagłówkach gazet, kronikach filmowych, nawet w kawiarniach i bulwarowych czasopismach. Autor tego odkrycia, sławą dorównujący Charlesowi Chaplinowi i Grecie Garbo, choć z wyglądu podobny raczej do ulicznego grajka, siedzi przede mną w pantoflach i odpala jednego papierosa od drugiego. W jego gabinecie w mieszkaniu przy Haberlandstrasse, spokojnej uliczce w berlińskiej dzielnicy Schöneberg, nie zainstalowano skomplikowanego laboratorium pełnego probówek czy groźnie wyglądających urządzeń o niewiadomym przeznaczeniu. Nie widać nawet zbyt wielu książek. Doktor Albert Einstein, uważany za największego rewolucjonistę w dziejach nauki od czasu Galileusza, potrzebuje tylko notatnika, ołówka i wybitnego umysłu, żeby zadziwić świat. A jednak laureat Nagrody Nobla z dziedziny fizyki nie tylko unika wszelkich pochwał, lecz jest wręcz zaskakująco skromny, kiedy zapyta go o wielkie dokonania: „Część społeczeństwa próbuje dojrzeć w teorii względności nową filozofię, która rzuciłaby światło na największe tajemnice ludzkiej egzystencji. Też chciałbym je odkryć! Teoria ta głosi jedynie, że pewne fakty naukowe, uważane dotychczas za stałe i niezmiennie, są względne, jeśli weźmie się pod uwagę inne elementy fizyki i mechaniki”.

Prosimy uczonego, żeby wyjaśnił, na czym polega ten słynny czwarty wymiar, o którym tyle się ostatnio mówi. Przed udzieleniem odpowiedzi nieco przeziębiony pan Einstein wydmuchuje nos.

„Proszę pomyśleć o obrazie przedstawiającym człowieka pod drzewem na plaży: mielibyśmy tu dwa wymiary. Teraz proszę sobie wyobrazić, że ta scena ożywa, że to pan jest tym człowiekiem i może dotknąć wody albo liści drzewa: doszedł nam trzeci wymiar. A teraz proszę wyobrazić sobie, że inna osoba zajmuje pana miejsce w tej scenie. Nie znajduje się ani kawałek dalej, ani obok, a dokładnie na pana miejscu. Skoro dwa przedmioty nie mogą dzielić tej samej przestrzeni fizycznej, należy wprowadzić nową zmienną: czas. Ten osobnik znajdował się w tym miejscu przed panem albo będzie w nim później. Na tej samej zasadzie można zdefiniować również piąty czy szósty wymiar”. Doktor próbuje je wytłumaczyć, ale wasz biedny korespondent przyznaje, że nie jest w stanie pojąć tylu wymiarów.

Do pokoju wchodzi pani Einstein i częstuje nas wyborynym sokiem truskawkowym. Fizyczne podobieństwo między małżonkami jest zaskakujące. Uczony wyjaśnia, że są kuzynami w obu liniach.

„Nasi ojcowie byli braćmi, a nasze matki siostrami. Nie moglibyśmy być bliżej spokrewnieni!” – oznajmia doktor z uśmiechem, oblizując wąsy z soku. Pytamy panią Einstein, jak zachowuje się mąż, kiedy wpadnie na jakiś pomysł.

„Zwykle przychodzi mu do głowy tuż przed zaśnięciem albo zaraz po przebudzeniu. Tego ranka, gdy miał przecucie, które zawiodło go do odkrycia teorii

względności, zszedł na śniadanie jak lunatyk. Nie wziął do ust ani kęsa, wypił tylko kawę, usiadł przy fortepianie i zaczął grać. Co jakiś czas przerywał nagle, coś zapisywał i grał dalej. Po jakiejś półgodzinie wszedł do gabinetu i przez dwa tygodnie nie wyściubił nosa. Może mi pan wierzyć, że niełatwo żyć z kimś takim!”

Naukowiec uśmiecha się na te słowa. Pytamy o nowe odkrycia, nad którymi obecnie pracuje.

„W tej chwili zajmuję się teorią dowodzącą, że grawitacja i elektryczność to jedno i to samo. Na razie to tylko hipoteza, którą trzeba jeszcze udowodnić, ale poczyniłem obiecujące postępy”.

Kolejne pytanie dotyczy roli naukowca w społeczeństwie. Czy może odizolować się w swoim laboratorium jak w wieży z kości słoniowej, czy powinien interesować się wydarzeniami zachodzącymi w otaczającym go świecie?

„My, Żydzi, wierzymy w wolną wolę, ale ja wyznaję raczej determinizm, uważam, że każda przyczyna ma swój skutek” – odpowiada, wicherząc już i tak rozczochraną czupryną. Mimo to nie potrafię odciąć się od problemów bliźnich. Obecnie moim największym zmartwieniem jest potencjalny wybuch nowej wojny. Poprzednia zasiała tak straszliwe zniszczenie, że po nowym konflikcie możemy wszyscy wrócić do jaskiń”.

„Jest jakiś sposób, żeby tego uniknąć?”

„Jak napisałem niedawno w liście do doktora Zygmunta Freuda, jeśli chcemy bezpieczeństwa międzynarodowego, wszystkie narody muszą bezwarunkowo zrzec się prawa do wolności działania i suwerenności. Żadna inna droga nie zaprowadzi do pokoju. Tymczasem żądza władzy, charakteryzująca klasy rządzące wszystkich krajów świata, wrogo odnosi się do każdej propozycji ograniczenia suwerenności. Mam na myśli zwłaszcza te niewielkie, ale zdeterminowane grupki, obecne we wszystkich państwach, które nie bacząc na kwestie społeczne, postrzegają wojnę oraz produkcję i sprzedaż uzbrojenia jako kolejną okazję do wspierania własnych interesów oraz poszerzania zakresu osobistej władzy”. „Pije pan między innymi do pana Hitlera?” Uczony z uśmiechem zapala nowego papierosa. „Nacjonalizm to choroba wieku dziecięcego, coś jak odra ludzkości. Hitler wykorzystuje do własnych celów setki lat niemieckiego wychowania, w którym zupełnie niesłusznie kładzie się nacisk na ślepe posłuszeństwo, okrucieństwo i nienawiść do inności, do wszystkiego, co brzmi lub wygląda obco, a przede wszystkim do nas, Żydów. Tymczasem, jeśli, tak jak najwyraźniej zamierza, zdoła nas stąd wypędzić, z naszego własnego kraju, Niemcy doświadczą intelektualnego i duchowego zubożenia, którego nie uda się odrobić przez wiele pokoleń”.

To oraz wiele innych rzeczy opowiedział nam doktor Einstein. W najbliższych dniach zamieścimy drugą część niniejszego wywiadu.

– Myślicie, że w ciągu najbliższych paru lat wybuchnie następna wojna? – zagadnąłem znajomych przy piwie. Słowa Einsteina nie dawały mi spokoju. Choć sam nie do końca w to wierzyłem, wiele osób uważało, że w Niemczech decydują się nie tylko losy kraju, lecz prawdopodobnie także całej Europy.

– Może tak, może nie. Kto wie. – Felipe miał jeden ze swoich gorszych dni. Podobnie jak pogoda w jego ojczystym kraju, on także od czasu do czasu nachmurzał się

i pograżał w nieokreślonej nostalgii.

– Dobrze wiesz, że ja osobiście jestem raczej zwolennikiem produkcji masła niż karabinów, ale Niemcy, niezależnie od ideologii i poglądów politycznych, nie przetrwali jeszcze porażki z tysiąc dziewięćset osiemnastego – odparł Xammar, składając na pół czytana właśnie gazetę. – Porażki, której doznali, choć ani jeden obcy żołnierz nie wszedł na ich terytorium. To dziwny naród: kiedy używają głowy, potrafią naprawdę bystro myśleć. Problem się zaczyna, kiedy dają się ponieść emocjom, kiedy myślą własne interesy z cudzymi. Jak mówi niemieckie przysłowie, „nie ma to jak nowe gruzy, żeby porządnie coś odgruzować”.

– Wystarczy jeden Hitler, żeby ich wszystkich zmobilizować. – Armesto nadal siedział ze wzrokiem utkwionym w kuflu z piwem.

– Właśnie – przytaknął Eugeni. – Teorie gospodarcze i rasowe nazistów są absurdalne, ale wizja odzyskania wysokiej pozycji na arenie międzynarodowej i odrobienia strat rozpała serca Niemców. Nawet jeśli sami nie zdają sobie z tego sprawy.

Wojna. Należałem do pokolenia, które dorastając, słuchało opowieści o wojennych przygodach, ale samo na szczęście nie musiało doświadczyć konfliktu zbrojnego. Tak jak wielu innych, i mnie do głębi poruszyła książka *Na Zachodzie bez zmian* Ericha Marii Remarque’a, przerażający zapis bezgranicznie okrutnej walki w okopach wielkiej wojny. Przewracając drżącymi rękami kartki powieści, próbowałem wyobrazić sobie siebie samego wśród błota, krwi i śmierci, wybuchów bomb dniem i nocą rozbrzmiewających mi w uszach. Choćbym jednak nie wiem jak próbował, nie potrafiłem zobaczyć się w takiej sytuacji, nie uważałem się za zdolnego zabijać ani umierać za żadną sprawę. Może byłem tchórzem, a może miałem zbyt silny instynkt samozachowawczy.

– Co byście zrobili, gdyby dopadła was wojna?

– Ja zapłaciłem, żeby nie trafić do Maroka, więc możesz się domyślić mojej opinii – odparł Xammar. – Ludzie powinni przyswoić sobie, że wojna nie jest jedynym sposobem rozładowywania wewnętrznych napięć w kraju, trzeba szukać innych metod rozwiązywania problemów.

– Kiedy dopadnie cię wojna, nie masz jak się uwolnić. Musisz opowiedzieć się za jedną stroną albo za drugą, inaczej oni sami do którejś cię przyporządkują. Tym na środku zawsze najbardziej się obrywa. To nieuniknione, jak w greckich tragediach – oznajmił Felipe, ze wzrokiem chmurnym jak galisyjskie niebo.

– W wojnach zawsze giną ci sami, żołnierzyki piechoty, którzy nawet nie wiedzą, skąd się tam wzięli i po co. – Nawet nie zauważyliśmy, kiedy podszedł do nas Manuel Olivar. – Ci, co wywołują całe zamieszanie, generałowie i politycy, nadal przekładają papiery w wygodnych gabinetach. Dla nich jesteś tylko numerkiem, kolejną owcą wysłaną na rzeź. Wszystko im jedno, czy wyrzną ich dziesięć, sto czy tysiąc. – Nalał nam po kropelce anyżówki i wychyliliśmy do dna. – No dobrze, koniec już tych przygnębiających rozmów, żadnego z nich pożytku. A właśnie, mówiłem wam, jak wciągnęli mnie do armii, żebym walczył w wojnie o Chaco?

Na szczęście nie miałem zbyt wiele czasu na ponure rozmyślenia: romans z baronową pochłaniał całą moją energię. Była dziwną kobietą, nigdy do końca nie wiedziałem, o czym myśli, co się dzieje za tymi zielonkawymi oczami, i ogromnie mnie

to fascynowało. Niczego nie planowała, żyła z dnia na dzień, choć wiedziałem, że coraz bardziej niepokoi się przyszłością. Nie zależało jej na zobowiązaniach ani trwałych więziach, ale bała się samotności. Domyśliłem się tego po jej pytaniu: „Pepe, będziesz mnie ciągle kochał, kiedy będę już pomarszczoną staruszką?”. To były najbardziej czułe słowa, jakie od niej słyszałem, powtarzała je często podczas długich godzin, które spędzaliśmy wśród skotłowanej pościeli w jej domku na wsi pod Poczdamem. Wiedziałem, że to wyraz nie tyle miłości, ile strachu przed samotnością, ale nie dbałem o to. Czułem się, jakbym opuścił własne ciało, ogarnięty elektryzującą namiętnością, jakiej nigdy wcześniej nie zaznałem. Ta kobieta, o tyle ode mnie lepsza, należała do mnie. Potrafiłem przez cały wieczór podziwiać giętką linię jej szyi, otoczki sutków na drobnych piersiach, palcem obrysowywać kontury uszu, zanurzać się w delikatnej woni pach, mierzwić krótkie blond włosy. Potem zaczynałem snuć wizje naszego wspólnego życia, mówiłem o krajach, które zwiedzimy, i przygodach, jakie na nas czekają: spływ kajakowy Amazonką, widok lodowych stepów z okna pociągu Kolei Transsyberyjskiej, lot balonem nad piramidami egipskimi, przeprawa przez Andy na grzbietach lam. Opowiadałem jej też o Hiszpanii, nawet o miejscach, których sam nigdy nie odwiedziłem: ze szczegółami opisywałem dźwięk deszczu padającego na dach katedry w Santiago de Compostela i zapach kwiatów pomarańczy przepajający wiosenne powietrze w Sewilli. Z uśmiechem na tych swoich lekko skrzywionych wargach patrzyła na mnie jak matka na syna marzyciela.

Niemal codziennie, z punktualnością godną widma pojawiającego się wraz z wybiciem północy, do naszych rozmów wkradał się Hanussen. Nieważne, jak bardzo starałbym się tego uniknąć, coś zawsze przypominało baronowej o mistrzu, jak zawsze go nazywała, i opowiadała mi jakąś anegdotę czy historię z nim związaną. Dzięki temu poznałem łzawą opowieść o tym, jak Hanussen odkrył swoje moce. W tamtych czasach, przed wojną, wybrał się w podróż do Berlina z żoną – okazało się, że był żonaty trzykrotnie: z niejaką Risą, z Fritzi i z tą właśnie, pierwszą, imieniem Betty – która poważnie się rozchorowała i musiała pójść do szpitala. Żeby zapłacić rachunek za leczenie, Erik zatrudnił się jako iluzjonista w barze na przedmieściach. Nigdy wcześniej nie występował jako magik i musiał szybko nauczyć się paru trików, ale był jeszcze młody i niedoświadczony: podczas pierwszego pokazu próbował zaprezentować sztuczkę z talią kart, z której ochotnik miał wyciągnąć jedną bez pokazywania ani zdradzania jaką. Na ścianie naprzeciwko powinno wisieć lustro, w którym Hanussen zobaczyłby odbicie karty. Kiedy spojrzał w tamtym kierunku, okazało się, że zapomniano je tam umieścić. Ogarnęła go panika, miał pustkę w głowie, nie potrafił zareagować. W tej chwili przez głowę zaczęły mu przelatywać różne obrazy. Widział jednak nie karty, a Betty w szpitalu: próbowała wstać, w koszuli przesiąkniętej potem, i wzywała go słabym głosem, ale w końcu opadła bezsilnie na łóżko. Hanussen wrócił do rzeczywistości, nieliczni widzowie zgromadzeni w speluncie patrzyli na niego wyczekująco, nie rozumiejąc, co się dzieje. On zaś nagle, w sposób, którego nie potrafił wytłumaczyć, zaczął dostrzegać różne rzeczy, informacje na ich temat: ten pan z wąsami cierpi na chorobę weneryczną, ta pani jest matką bliźniąt, ten z tyłu to policjant. Wybiegł z baru, potykając się o krzesła, i pobiegł do szpitala. Kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że jego żona przed chwilą

zmarła. Niezwykle smutna i romantyczna historia, idealna na zaloty do dziewczyny, tyle że mnie opowiedział zupełnie inną wersję: pierwsze „przecucie”, jak sam je nazywał, nawiedziło go podobno podczas wojny, kiedy ukazała mu się wizja wybuchu mostu, po którym miał przejechać pociąg wiozący żołnierzy jego pułku. Nie zamierzałem jednak wyprowadzać baronowej z błędu ani nastawiać jej przeciwko mistrzowi. Choć jego nieustanna obecność w naszych rozmowach, w naszym życiu doprowadzała mnie do szału, byłem pewny, że to tylko ostatnie iskry dawno wypalonego ognia, że po naszym wyjeździe zacznie stopniowo o nim zapominać. A jednak wciąż się zastanawiałem, jak ta kobieta mogła wytrzymać tyle czasu z Hanussenem, jak mogła pozwolić mu pieścić się tymi dłońmi o długich palcach, całować się ustami pełnymi krzywych, żółtych zębów i zionącymi kwaśnym oddechem. Chodziło o pieniądze czy faktycznie posiadał zdolność kontroli umysłów? Mimo tych nawracających myśli z każdym dniem czułem się bardziej pewny siebie, wierzyłem, że jestem ważny dla baronowej, że budowany przez nas związek okaże się na tyle silny, by bez trudu przetrwać powrót mentalisty do Berlina.

Przed powrotem do Berlina Hanussena czekał jeszcze jeden przystanek. Już od ośmiu lat nie widział Eriki, córki z drugiego małżeństwa, z Risą. Aż do tej pory nie czuł potrzeby takiego spotkania. Wysyłał pieniądze, dostawał zdjęcia dziewczynki o wielkich piwnych oczach i wiadomości, że dobrze się uczy, więc miał czyste sumienie. W Paryżu jednak natknął się między papierami na list od małej, prostą relację z codziennego życia dziecka, i poczuł mieszaną z ciekawieniem oraz czegoś niezidentyfikowanego, potrzebę przekonania się, że w jego życiu jest coś stałego, niezatarty ślad jego bytności na tym świecie. Erika skończyła już chyba dwanaście lat, mieszkała z matką i jej nowym mężem w Merano, niemieckojęzycznym miasteczku na północy Włoch. Mentalista odesłał Dżina do Niemiec, a sam pewnego popołudnia pod koniec października zjawił się niezapowiedziany pod adresem z listów. Przed trzypiętrowym, pomalowanym na łososiowo domem patykowała dziewczynka w sukience z kokardkami, wystającej spod nieco przykrótkiego płaszczyka, grała w klasy z koleżanką. Nagle podniosła głowę i popatrzyła na niego, a jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Podbiegła i rzuciła mu się na szyję. Hanussen otrząsnął się z początkowego zaskoczenia i tulił ją mocno w ramionach, całował, wdychał czystą woń włosów. I płakał, szlochał jak jeszcze nigdy w życiu.

Hanussen spędził w Merano osiem dni i przez cały ten czas nie odstępował jej nawet na krok. Spacerowali nad brzegiem rzeki spływającej po stokach gór, Erika pokazywała mu swoje ulubione kryjówki, ale przede wszystkim – rozmawiali. Dziewczynka opowiadała o szkole, o marzeniach, by zostać mniszką, i o koleżankach, których imiona jej ojciec od razu zapamiętał. Hanussen oczarowywał ją historiami tysiąca i jednej przygody, od których oczy Eriki rosły jak spodki: o połykaniu mieczy, o poskramianiu lwów, o latających dywanach. Dzieje jego życia same w sobie były dość niewiarygodne, ale entuzjazm dziewczynki zachęcał go do przesuwania granic, wymyślania fantastycznych, niemożliwych zdarzeń. Nie potrafił się powstrzymać w obliczu tak przychylniej publiki. Erice najbardziej przypadły jednak do gustu proste sztuczki magiczne improwizowane przez ojca – moneta znaleziona w uchu, jedwabna chusteczka materializująca się znikąd. Uwielbiała również słuchać relacji z występów, na przykład o tym, jak hipnotyzował widzów.

– Poprosiłem jedną panią, żeby weszła na scenę. Była słusznych rozmiarów, wystrojona w futro, cała obwieszona biżuterią – opowiadał mentalista, wymownymi gestami rysując w powietrzu piersi matrony i naśladując jej ruchy. – Spojrzałem jej głęboko w oczy, zrobiłem kilka passów i... voilà! Zmieniłem ją w kicię. – Po czym Hanussen zaczął się tarzać po podłodze i mrużyć jak kotek, ku uciechu pękającej ze śmiechu córki.

Zaskarbiał sobie sympatię dziewczynki również w najbardziej typowy dla siebie sposób: obsypywał ją zabawkami i sukienkami, kupił jej aparat fotograficzny i piękny rower z różowymi frędzlami na kierownicy, na którym wspólnie przemierzali ulice miasteczka, wprawiając biednych przechodniów w przerażenie swoimi krzykami. Któregoś wieczoru, w drodze powrotnej do hotelu, Hanussen zatrzymał się nagle jak

wryty na środku ulicy. Od wielu dni nie napił się nawet piwa, prawie nie palił, nie zaglądał do barów ani kabaretów, a mimo to czuł spokój i harmonię.

Codziennie widywał też była żoną Therese – czy też Rise, jak zwykł ją nazywać. Ładnie wyglądała, dobrze jej robiło górskie powietrze. Wysoka, miała szerokie plecy, długie nogi i kasztanowe włosy – z krótkimi było jej bardzo do twarzy. Wciąż pamiętał dzień, w którym się poznali. Próbowwała wsiąść do tramwaju, ale długa spódnica przeszkadzała jej wdrapać się na schodek. Niewiele myśląc, Erik złapał ją w pasie i podniósł. Choć w tamtych czasach cieszył się już popularnością w Wiedniu, ona go nie rozpoznała. Prawie się o to obraził.

– Jeśli chce się pani dowiedzieć, kim jestem, proszę przyjść do teatru Apollo – rzucił, kiedy Risa miała już wsiąść na swoim przystanku.

– Niech pan lepiej przyjdzie do Burgtheater, to przekona się, kim ja jestem! – odparła z wyższością.

Risa okazała się mezzosopranistką występującą w odnoszącej sukcesy operetce. Hanussen nie omieszkiał skorzystać z zaproszenia – przyszedł i tego wieczoru, i przez wiele kolejnych. Ona z początku opierała się zalotom, ale w końcu poddała się czarowi i elokwencji mentalisty. Szybko jednak pojawiły się przeszkody: ojciec Risy, wysoki urzędnik i zagorzały katolik, sprzeciwiał się małżeństwu córki z komediantem, a do tego Żydem z Ottakringu. Musieli poczekać i dopiero po jego śmierci wzięli ślub w synagodze przy Seitenstetengasse, wcześniej Risa przeszła na judaizm. Po miesiącu urodziła się Erika, a wkrótce potem Hanussen wyjechał do Aten. Krótka wycieczka przedłużyła się do dwóch lat.

Teraz Hanussen patrzył na Rise z córką i poczuł przyływ tęsknoty za tym, czego nigdy nie miał i nigdy nie pragnął: szczęśliwą mieszczańską rodziną jak z obrazka, przyjemną monotonią przerywaną jedynie urodzinami córki, małymi świętami, sporadycznymi sprzeczkami bez większego znaczenia. Miał czterdzieści trzy lata. Jak długo jeszcze będzie krążył od jednej sceny do drugiej?

– Wiesz co? – zagadnął któregoś deszczowego popołudnia, kiedy była żona zaprosiła go na herbatę, a dziewczynka siedziała na podłodze i malowała obrazek. – Miałem wiele kobiet, więcej, niż mogę spamiętać, ale była tylko jedna Risa.

Wybuchnęła śmiechem.

– Nic się nie zmieniłeś, Eriku – odparła.

W umyśle mentalisty zaczął kiełkować pewien pomysł. Czuł, że to może być wyjście, którego tak potrzebował, droga ucieczki od prześladowającego go ostatnio strachu i niepokoju, nieokreślonych przeczuc budzących go w nocy. Wiedział jednak, że nie mógłby tam z nimi zostać – Merano może i jest bardzo przyjemne, ale to zapomniane górskie miasteczko, jego miejsce zaś było wśród światła i zgiełku metropolii. Poza tym Fuchs, mąż Risy, właściciel wielkiego browaru, pełnił funkcję kogoś w rodzaju lokalnego kacyka i zatruwał mu życie. Któregoś ranka, gdy zostali sami, Hanussen poprosił, żeby rzuciła Fuchsa i uciekła do Nowego Jorku z nim i Eriką, jak na rodzinę przystało. Risa spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– No widzisz, Eriku, nic się nie zmieniłeś. Nadal pożądasz żony bliźniego swego, nawet jeśli to twoja eks!

Hanussen uruchomił wszystkie środki perswazji, opisał wspaniałe życie, jakie czekało na nich w Ameryce: śliczny domek z ogródkiem, jak w hollywoodzkich filmach, o rzut kamieniem od broadwayowskich teatrów, wspaniałych muzeów, najlepszych uczelni dla Eriki. Próbował się też przedstawić jako nowy człowiek, wierny, wolny od nieokiełznanego popędu, gotowy znów ożenić się z Risą, kiedy tylko dostanie rozwód od Fritzi, trzeciej żony, z którą od kilku lat pozostawał w separacji.

– Wiesz, że twoja córka chce zostać zakonnica? – odparła. Uśmiech zniknął z jej twarzy. – Wiem, wszystkie dziewczynki tak mówią, ale ona jest teraz katoliczką, chodzi do szkoły sióstr miłosierdzia. Nie pozwolę, żeby znowu musiała przechodzić przez proces nawracania na judaizm. – Hanussen obiecywał, przysięgał i klął się, że to żaden problem, że sam przejdzie na katolicyzm, że co niedzielę będzie chodził z córką na mszę, że będzie jej czytał Ewangelię i kupi najpiękniejszą, najdroższą suknię na bierzmowanie.

– Zresztą nie wiem w ogóle, o czym tu dyskutować – rzuciła Risa z irytacją, zapalając papierosa, choć już wiele lat temu rzuciła palenie. – Mój mąż to dobry człowiek, kocha Erikę, dobrze nas traktuje. Szaleństwem byłoby porzucić to wszystko, co udało nam się zbudować, dla twojego głupiego kaprysu, który minie ci, gdy tylko zobaczysz pierwszą spódniczkę.

Mentalista odczuł te słowa jak siarczasty policzek. Nie przywykł do tak kategorycznych odmów ani afrontów ze strony żadnej kobiety, zwłaszcza byłej ukochanej.

– Fuchs cię zdradza – rzucił z wściekłością.

Zauważył to przy pierwszym i jedynym spotkaniu, wystarczyło popatrzeć na tego typa, przebranego za tyrolskiego dandysa, opływającego w samozadowolenie. Zbyt dobrze znał ten błysk w oku, próżność mężczyzny świadomego, że w domu ma oddaną żonę, a w dyskretnym mieszkaniu – kochankę.

– Wiem – odparła Risa obojętnie, wydmuchując dym. – Ma swoje sprawy, jak każdy mężczyzna, ale jest solidnym, konsekwentnym człowiekiem. Już dawno przestałam wierzyć w bajki.

– Zostawi cię dla innej przed upływem dwóch miesięcy.

Musiał postawić wszystko na jedną kartę, osaczyć ją, postawić pod ścianą. Risa zawahała się na chwilę. Żyjąc z mentalistą, zbyt wiele widziała, żeby nie wierzyć choć trochę w jego rzekome moce. Kiedyś w restauracji zaczął się denerwować bez wyraźnego powodu, w końcu kazał jej się przesiąść. Wkrótce potem zjawiała się jakaś szalona kobieta, wyjęła z torebki pistolet i zaczęła strzelać do byłego kochanka siedzącego przy pobliskim stoliku. Pierwsza kula utkwiała w ramieniu mężczyzny, dwie kolejne wbiły się w ścianę, o którą Risa jeszcze kilka minut wcześniej opierała głowę. Z drugiej strony znała jednak sztuczki byłego męża.

– Słuchaj, Eriku, myślę, że dla dobra nas wszystkich powinieneś wyjechać i zostawić nas w spokoju.

Hanussen się wściekł i nazajutrz opuścił Merano, obiecawszy wcześniej córce, że niedługo zabierze ją do Berlina, będą razem podróżować, przemierzać morza jego jachtem, któremu zamierzał zmienić nazwę na *Erika*. Dziewczynka się uśmiechnęła, ale sprawiała wrażenie nieco wystraszonej.

- Mówią, że zmiana nazwy statku przynosi pecha.
- Hanussen objął ją i pogładził po kasztanowych włosach.
- Bzdury, ja nie wierzę w takie rzeczy.

HITLER TRACI NIE TYLKO MANDATY

7 listopada 1932 roku

Kronika telefoniczna naszego korespondenta Josego Ortegi z Berlina

Wielu podejrzewało, również w samych szeregach partii, że drugie wybory parlamentarne w ciągu niespełna czterech miesięcy mogą się okazać ryzykowne dla Hitlera, i rzeczywiście. Choć naziści spodziewali się zbliżyć do większości absolutnej, nie tylko nie udało im się tego osiągnąć, ale stracili dwa miliony wyborców i 34 mandaty. Znowu uzyskali najwięcej głosów ze wszystkich partii, ogłoszone wczoraj wyniki nie pozostawiają jednak wątpliwości: nie udałooby im się zbudować większości nawet przy zawiązaniu hipotetycznego – i jak do tej pory niemożliwego – sojuszu z innymi partiami nacjonalistycznymi i centrowymi. Przyczyn tego regresu należy upatrywać w decyzji pana Hitlera, który odmówił wejścia do rządu, jeśli nie dostanie stanowiska kanclerza i pełnej władzy, ale również w aktach przemocy, z jakimi mieliśmy do czynienia w ostatnich miesiącach, oraz w zaskakującej współpracy nazistów z komunistami przy okazji strajku berlińskich pracowników transportu zainspirowanego przez doktora Goebbelsa. Obraz członków SA i tak zwanego Czerwonego Frontu niszczących autobusy łamistrajków okazał się nie do zaakceptowania dla mieszczan, którzy obawiali się, że najbardziej radykalne skrzydło NSDAP przeforsuje w końcu swoje postulaty.

Największymi beneficjentami tej strategii okazali się komuniści, którym przybyło jedenaście mandatów, a w obliczu równie słabszego wyniku socjaldemokratów coraz bardziej zbliżają się do pozycji lidera lewicy. Obie partie mają łącznie więcej miejsc w Reichstagu niż naziści, ale współpraca między nimi wydaje się niemożliwa z uwagi na wytyczne z Moskwy, zabraniające jakichkolwiek związków z socjalistami, nazywanych „socjalfaszystami”.

Część mandatów straciła również partia Centrum, jedyna otwarcie popierająca kanclerza. Mimo tych wyników pan Papen, którzy przeliczył się, jeśli myślał, że zjedna sobie wyborców dzięki powolnej odbudowie gospodarki, jest najwyraźniej gotów do dalszych samodzielnych rządów przy wsparciu prezydenta Hindenburga. Ambicjom tym sprzyja postępująca atomizacja parlamentu, uniemożliwiająca zawiązywanie trwałych koalicji. Największym przegranym tych wyborów jest więc znowu naród niemiecki, którego głosy przyczyniają się tylko do dalszych cyrków i zamieszania. Jakby tego było mało, dziś rano Hitler wydał oświadczenie, w którym zadeklarował swoim zwolennikom gotowość do negocjacji wyłącznie w przypadku odwołania obecnego rządu i wspierających go partii. Pozycja lidera nazistów wygląda jednak obecnie na dużo słabszą niż przed wyborami.

– Zdechły pies nie kąsa! – Münzenberg podniósł kufel i stuknął się z Brunonem Freiem. Nie posiadał się z radości.

Partia komunistyczna zawdzięczała swój spektakularny sukces w dużej mierze jego

działaniom propagandowym, a wiedzieli o tym nie tylko sekretarz generalny Thälmann i członkowie Komitetu Centralnego – wieść ta dotarła na sam Kreml, skąd przysłano telegram z gratulacjami w związku z coraz bliższym zwycięstwem nad faszyzmem. Z partyjnych analiz wynikało, że utrata głosów przez nazistów oznacza dla Hitlera polityczną śmierć.

– W sytuacjach kryzysowych gównie zawsze wypływa na wierzch – stwierdził Willi z uśmiechem, wspierając się na ramieniu Freia. – Teraz jak grzyby po deszczu wyrosną Austriakowi przeciwnicy wewnątrz partii, krytykujący jego upór i odmowę przyjęcia stanowiska w rządzie, ludzie tacy jak Gregor Strasser, bardziej podatni na wpływy oligarchów. Naziści podzielą się na podgrupki i to będzie nasza wielka szansa. Poza tym zobaczysz, że teraz, kiedy stracili wiatr w żaglach i etykietkę partii władzy, na łeb na szyję spadną dotacje od wielkiego przemysłu. A to na pewno zaboli nazistów, już teraz są w pół drogi do bankructwa. Daję Hitlerowi góra dwa miesiące, zanim wyciągną mu stołek spod tyłka!

– Może powinniśmy pisać dalej o Hanussenie, żeby jeszcze bardziej osłabić jego pozycję wewnątrz partii, rozumiesz: podkreślać, że daje się sterować żydowskiemu Rasputinowi...

Z twarzy Willego Münzenberga zniknął uśmiech.

– Nie wystarczy ci już użerania się z tym naciągaczem? Mam tego tematu po dziurki w nosie!

– Skontaktował się ze mną niejaki Erich Juhn, dawny sekretarz Hanussena. Ma na niego całą masę kompromitujących dokumentów. Żąda za to niemałej sumki, ale wydaje mi się, że warto.

Przez chwilę zdawało się, że Willi jak zwykle wpadnie w nieokiełznaną furję, ale zamiast tego ujął czule twarz Freia w obie dłonie.

– Bruno, Bruno... Daj sobie spokój z szantażystami za dychę i z tym całym magikiem. Pisaliśmy już o tym typie, co z nim pracował i twierdził, że Hanussen jest Żydem, i wszyscy mieli to w dupie. Naziści zaczną wygryzać się nawzajem, a my dzięki temu możemy skupić wszystkie siły na walce z prawdziwym wrogiem: socjaldemokratami, zdrajcami klasy robotniczej, którzy zawsze dogadują się z burżuazją, żeby nas zniszczyć. Musimy wytoczyć przeciw nim wszystkie działa, atakować bez litości, chcę codziennie widzieć wybuchowe nagłówki, zarzucimy ich gównem, nawet jeśli to będą te same oszczerstwa co zawsze. Nasz cel uświęca wszystkie środki. Wiesz przecież, co mówi towarzysz Stalin: „Faszyzm i socjaldemokracja to dwie strony tej samej monety”. Kiedy wykończymy je obie, uwolnimy drogę dla dyktatury proletariatu. – Willi znów uniósł kufel i się stuknęli, ale Bruno Frei nie pociągnął ani łyka piwa.

Komuniści pięli się w górę, notowania nazistów spadały, a Hanussen wrócił do Berlina. Kiedy dowiedziałem się, że mentalista jest znów na miejscu, w pierwszej chwili chciałem biec powiedzieć mu o moim związku z baronową. Ona jednak powstrzymała moje żalosne zapędy hiszpańskiego dżentelmena. Powiedziała, że woli porozmawiać z nim na spokojnie, poczekać na odpowiednią chwilę. Odstawiłem straszną scenę: nigdy nie należałem do zazdrośników, ale oczekiwanie oznaczało, że przez jakiś nieokreślony czas wszystko będzie jak dawniej – ona nadal będzie jego kochanką, a ja będę musiał zadowolić się rolą cierpliwego rogowca, któremu raz na jakiś czas dostają się okruszki z pańskiego stołu. Najbardziej upokorzony poczułem się, kiedy spojrzała na mnie z pełnym litości uśmiechem, w którym wyczytałem coś w rodzaju: „biedaczek, tak się zakochał”. Zanim poznałem baronową, zawsze tylko brałem, przywykłem, że kochano mnie i nie oczekiwano niczego w zamian. Buntowałem się przeciw roli zbitego psa, czekającego, aż to ona zdecyduje, kiedy i w jakiej formie nastąpi dalszy ciąg naszego... sam już nawet nie wiedziałem, jak to nazwać: romansu? Związku? Flirtu? Narzeczeństwa?

– Będiesz z nim sypiać? – wyrzeszczałem jej z wściekłością.

Czułem się przy tym śmiesznie, jak kiepski aktor występujący w romantycznym wodewilu trzeciej kategorii. Jej oczy przybrały teraz twardy wyraz – robiłem jej wyrzuty, które ona uważała na pewno za głupie mieszczkańskie skrupuły. Zaczęła się chyba zastanawiać, czy na pewno dobrze wybrała towarzysza podróży.

– Zrobię to, co będę musiała. Jeśli naprawdę tak mnie kochasz, poczekaś tyle, ile będzie trzeba. Jeśli nie, możesz odejść, droga wolna.

Zrozumiałem, że jedną ręką rozdaje karty, a drugą trzyma mnie za jaja. Kochałem ją, kochałem do szaleństwa, choć zupełnie jej nie rozumiałem, choć nie czułem wzajemności. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko pokrzyzczeć jeszcze chwilę bez większego przekonania i dać jej miesiąc na załatwienie swoich spraw. Zaakceptowała moje warunki, ale kazała mi obiecać, że od tej pory nie będę robił niczego podejrzanego, miałem zachowywać się tak jak zwykle.

Pierwszą gorzką pigułką, jaką musiałem przełknąć, była wizyta u mentalisty, który wysłał mi list z prośbą o spotkanie. Wolałbym raczej dać się zamknąć w klatce z rozjuszoną panterą.

Nacisnąłem dzwonek u drzwi mieszkania Hanussena i spojrzałem w lusterko na półpiętrze. Wyglądałem, jakbym szedł na pogrzeb, więc zmusiłem się do uśmiechu, ale natychmiast z niego zrezygnowałem. Nie dość, że rogowca, to jeszcze głupio wyszczerzony – nic z tego. Tego mi tylko brakowało, żebym musiał udawać pogodny nastrój.

– *Was wollen Sie?* – ze strachu prawie spadłem ze schodów. Drzwi otworzył mi nie jeden z hinduskich służących, lecz niemal dwumetrowy facet w brunatnym mundurze, z koalicyjkami i w czarnych oficerkach SA. Nieśmiało wytłumaczyłem, kim jestem i co tu robię. Bez słowa zamknął mi drzwi przed nosem, zostawiając mnie na wycieraczce. Po

kilku długich chwilach oczekiwania drzwi otworzyły się ponownie, ale tym razem na progu stał Dzino.

– Wybacz, Pepe – powiedział i zaprosił mnie do środka. – Mistrz dostawał ostatnio pogróżki, więc hrabia Helldorf był tak miły, że przysłał nam paru swoich ludzi do ochrony. – Zamiast do któregoś z salonów, zaprowadził mnie do sypialni Hanussena. Ten leżał w łóżku z zapalonym cygarem, w piżamie i czarnym jedwabnym szlafroku, otoczony stertą gazet. Serce załomotało mi w piersi, kiedy zauważyłem baronową – siedziała z podwiniętymi nogami na szezlongu i czytała jakiś magazyn. Na szczęście nie była ubrana w koszulę nocną. Nawet nie podniosła wzroku, żeby się ze mną przywitać.

– Ach, Pepe, mój kochany druhu! – Kazał mi się schylić i złożyć mu na policzku mokry, klejący całus. – Ależ tęskniłem za powrotem do Berlina! Wieś to może i świetne miejsce dla krów, ale ja potrzebuję zapachu benzyny, mieszanki dymu z fabryk i kwaśnej woni kiszzonej kapusty. Widziałeś, jakie powitanie mi zgotowali? – zapytał, biorąc do ręki jeden z dzienników.

Oczywiście jak zwykle nawet nie zapytał, co u mnie słychać.

– Powrót kanalii, niebezpiecznego oszusta, Cagliostra nazistów. Całe szczęście, że nie było mnie tutaj w czasie wyborów!

Komuniści najwyraźniej zapomnieli o kampanii przeciwko Hanussenowi, ale pałeczkę przejęły organy prasowe konserwatystów i socjaldemokratów, próbujące tą nieco okrężną drogą zaatakować Hitlera. Mentalista przesunął obgryzione cygareto z jednego kącika ust do drugiego, rozbawiony, niemal zaszczyczony, że wrogowie o nim nie zapomnieli. Potem zaczął opowiadać różne anegdoty z podróży i chwalić się wielkimi sukcesami, jakie podobno odniósł za granicą, aż nagle urwał i zwrócił ku mnie tą swoją twarzą fauna.

– Kochanie, mogłabyś zabrać te gazety? – poprosił baronową. – Chciałbym zamienić parę słów na osobności z naszym przyjacielem.

Gestem zaprosił mnie, żebym usiadł na łóżku. Wcześniej jednak nalałem sobie kieliszek, żeby ukryć zdenerwowanie – nie byłem pewny, czy Hanussen rzeczywiście potrafi czytać w myślach, ale znałem jego niezwykłą umiejętność obserwacji, dzięki której, na podstawie nawet najbardziej subtelnych wskazówek, potrafił odgadnąć stan ducha każdego, kto znalazł się w pobliżu. Chcąc nie chcąc, wzdrygnąłem się, kiedy położył mi rękę na udzie.

– Spokojnie, wiesz przecież, że nie uganiam się za spodniami – powiedział ze śmiechem, ale jeszcze przez chwilę bawił się moim kolanem, a ja z całych sił starałem się nie siedzieć sztywno jak panienka tuż przed utratą cnoty. – Mam wielkie plany, Pepe, nowe projekty. Ta podróż wiele mi dała, pomogła nabrać dystansu i spojrzeć na sprawy z innej perspektywy. Jak wiesz, Adolf obiecał stworzyć Uniwersytet Okultyzmu specjalnie dla mnie, ale może się to trochę opóźnić. – Jak już wspominałem, Hanussen uwielbiał przechwalać się swoją znajomością z Hitlerem. – Tymczasem powinienem chyba nieco zmienić ścieżkę kariery, nie chcę tak często pokazywać się na scenie. Dobrze wiesz, że ludziom prędzej czy później wszystko się nudzi, zwłaszcza w Berlinie, nie mogę wiecznie robić tego samego. Dlatego obmyśliłem nowy rodzaj spektaklu, dla mniejszych grup, w nieco bardziej, powiedzmy, ekskluzywnej i stymulującej atmosferze. Dosłownie

wczoraj kupiłem pewien *petit palais*, żeby zaadaptować go do tych celów. Zamierzam nazwać go Pałacem Okultyzmu, ma to być miejsce zupełnie inne niż to, do czego przywykli widzowie. Będą się tam działy rzeczy niezwykle i każdy będzie chciał się tam dostać, ale tylko nieliczni dostąpią tego zaszczytu. Zapewniam cię, to będzie bomba. Z drugiej strony, chciałbym też poszerzyć działalność, zwłaszcza jeśli chodzi o prasę, zdywersyfikować źródła dochodu. Jak jednak wiesz, mam wielu wrogów, zarówno po prawej, jak i po lewej stronie sceny politycznej, muszę działać szybko i sprytnie, żeby osiągnąć swój cel, znaleźć się w odpowiednim miejscu o odpowiednim czasie. Najbliższe miesiące będą miały decydujące znaczenie i dlatego potrzebuję wsparcia swoich ludzi.

Popatrzył na mnie z tak dobrze mi znanym ogniem. Hanussen należał do nielicznych osób zdolnych nieustannie zaskakiwać – kiedy spodziewasz się ich w jednych drzwiach, zawsze pojawiają się w innych, których wcześniej nawet nie zauważyłeś. A co z jego pomysłem wyjazdu z Niemiec? Może podczas ostatniej podróży zdał sobie sprawę, że z dala od Berlina czuje się jak ryba wyrzucona na suchy ląd. Czy ten plan był tylko jednym z wielu pomysłów, jakie wpadały mu na chwilę do głowy? A może stanowił część jakiejś większej strategii, której nie chciał mi zdradzić?

– Mogę polegać na bardzo nielicznej grupce osób, Pepe: ty, Dzino, baronowa... Wiem, że każdy ma własne cele, własne interesy, ale proszę, żebyś na jakiś czas odłożył je na bok i towarzyszył mi w tej przygodzie.

– Mam przestać pisać do gazety?

– Dobrze wiesz, że nie to mam na myśli – powiedział, spoglądając na miejsce, gdzie jeszcze niedawno siedziała ona. A więc o to chodziło. – Ale, jak już powiedziałem, nie potrwa to długo. Mam jakieś dziwne przeczucie, mroczna intuicja podpowiada mi, że mój czas dobiega końca. Czuję to już od kilku miesięcy, a podczas podróży do Paryża tylko się utwierdziłem w tym przekonaniu. W klepsydrze przesypują się już ostatnie ziarenka piasku, dlatego muszę działać szybko i dlatego potrzebuję waszej pomocy. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak przewiduję, twoja cierpliwość zostanie wynagrodzona zawiązką, Pepe, gwarantuję ci.

Kiedy wyszedłem od Hanussena, czułem, jakby głowa miała mi zaraz wybuchnąć. Domyślił się sprawy z baronową? A może tylko coś podejrzewał i się ze mną drażnił? Nie dość, że żądał, żebym nie robił mu problemów i pomógł w realizacji Bóg jeden wie jak szalonych planów zawodowych, to jeszcze szantażował mnie swoją rychłą śmiercią, a na dokładkę dyndał przed nosem finansową marchewką. Absurd. Nie trzeba kryształowej kuli, żeby zauważyć, że zawsze podobała mi się baronowa, a podczas jego nieobecności mieliśmy romans, ale pomyślałem, że gra w pokera z mentalistą, który ma pełno asów w rękawie, to dla mnie za wiele. Wszystko coraz bardziej się komplikowało. Gdybym miał choć odrobinę oleju w głowie, jeszcze tego samego wieczoru wyniosłbym się z Berlina. Oczywiście tego nie zrobiłem.

Próbowałem wytłumaczyć naczelnemu, jak ważna jest najnowsza zmiana rządu, ale nawrzeszczał na mnie, że ma już tego po dziurki w nosie, to już trzeci kanclerz w tym roku, a do tego co chwilę jakieś wybory do Reichstagu, prezydenckie czy lokalne. Według niego hiszpańscy czytelnicy nie mogli się połapać w tym szaleństwie. Jak słusznie stwierdził Xammar, w Niemczech właściwie się nie zdarzało, żeby to, co rano było prawdą, pozostało nią do wieczora, a wieczorna prawda była nieaktualna już następnego ranka. Szef wyznaczył mi limit dwustu słów i nie zagwarantował publikacji na pierwszych stronach działu międzynarodowego.

NOWY KANCLERZ NA ZIMĘ

3 grudnia 1932 roku

Kronika telegraficzna naszego korespondenta Josego Ortegi z Berlina

Od czasu ogłoszenia wyników listopadowych wyborów wydawało się jasne, że dni rządu Franza von Papena są policzone. Przyczyna tkwiła nie tylko w kiepskim rezultacie głosowania, lecz także w niezbyt widocznych skutkach planu odbudowy gospodarki, w ramach którego udało się co prawda nieco poprawić sytuację w kraju, ale nie zmniejszono potężnej liczby sześciu milionów bezrobotnych. Hindenburg najwyraźniej nie wierzył w umiejętności kanclerza w obliczu kryzysu politycznego i społecznego, więc postanowił tymczasowo powierzyć misję utworzenia rządu generałowi Kurtowi von Schleicherowi, pozostającemu dotychczas w cieniu mentora Papena. Minister obrony i twarz niemieckiej armii próbuje ponownie dogadywać się z nazistami, ale Hitler trzyma się strategii „wszystko albo nic” i odmawia wejścia do koalicji rządzącej. Zarówno narodowi socjaliści, jak i komuniści grożą zgłoszeniem wotum nieufności, a Papen wydaje się gotów do walki o odzyskanie stanowiska. Zapowiada się wyjątkowo długa, zimna i ciężka zima dla Schleichera i dla całych Niemiec.

Joseph Goebbels czytał list i czuł, jakby cebulki włosów wbijały mu się w czaszkę niczym ostre szpilki. Jak ten typek w ogóle śmiał do niego pisać? Jakby tego było mało, zwracał się do niego per „szanowny kolego” i proponował mu – tak, jemu! – wywiad na wyłączność. Najchętniej wysłałby swoich ludzi, żeby zastrzelili tego całego Freia, wrzucili ciało do rzeki i spalili redakcję „BaM”, tego wstrętnego szmatławca. Poprzednim razem, gdy wpadł na pomysł układania się z komunistami – przy okazji strajku pracowników transportu w Berlinie – omal nie przypłacił tego posadą. Po wyborach Führer, choć wyraził zgodę na negocjacje, nie odbierał od niego telefonów przez tydzień, tydzień cierpienia i niepewności, czy zdoła na powrót wkupić się w łaski swojego wodza i przewodnika. Na szczęście po tym okresie niepokoju odbyło się spotkanie szefów regionalnych, podczas którego Hitler położył dłoń na ramieniu Goebbelsa i usadził go po swojej prawicy. Jak świetnie Führer opanował sztukę ekspresji za pomocą gestów! Tyle mógł się jeszcze od niego nauczyć.

Jeszcze raz uważnie przeczytał list. Już kilka miesięcy temu w czerwonej prasie huczało od plotek o żydowskim pochodzeniu Hanussena. Bruno Frei dorzucał teraz tylko jedną nową informację: wujem mentalisty miał być rabin cudotwórca z getta w Prościejowie, a dziennikarz spodziewał się wkrótce wejść w posiadanie dokumentów, które definitywnie by to potwierdziły. Goebbels już od jakiegoś czasu wyglądał okazji, by raz na zawsze skończyć z wpływami Hanussena w partii. Nie chodziło już tylko o spotkanie z Hitlerem i obietnicę stworzenia Uniwersytetu Okultyzmu, wiedział też, że Göring się z nim konsultował, a Röhm dostawał od niego pieniądze. W normalnych warunkach nie przejmowałby się sprawkami grubasa i szefa SA, których z całego serca nienawidził, ale po stracie części mandatów w ostatnich wyborach partia znalazła się w wyjątkowo delikatnym położeniu, nie mogła sobie pozwolić na żadne wpadki: sprawa była teraz na pierwszym miejscu. Co więcej, może nawet będzie miał możliwość pozbycia się uprzykrzonego magika bez większego hałasu. Nie trzeba czołówki „Der Angriff”, berlińskiego organu prasowego nazistów; wystarczy artykułik na piątej stronie, gdzie łatwo znajdzie go każdy, kto powinien, ale nie wywoła się przy tym nadmiernego skandalu. Nieważne, czy facet rzeczywiście jest tym Żydem czy nie, skutki publikacji takich oskarżeń w oficjalnej gazecie partii będą piorunujące.

Telefon nie przestawał dzwonić, ale Bruno Frei dobrze wiedział, kto znajduje się po drugiej stronie linii, i próbował jak najbardziej opóźnić nieuniknione, ponapawać się jeszcze choć przez chwilę wywiniętym numerem, zanim dostanie reprimendę, czy co tam go czekało. W końcu wziął głęboki wdech i podniósł słuchawkę.

– Powiedz mi tylko jedno: to prawda, co tam piszą? – usłyszał błagalny głos Münzenberga.

Chociaż wiedział, że szefa niełatwo oszukać, Frei próbował odpowiadać zdawkowo i owijać w bawełnę, ale przyciśnięty przez Willego przyznał się w końcu do wysłania listu. Trudno, stało się, najprawdopodobniej go zwolnią albo wyślą jako reportera do

którejs z prowincjonalnych gazet za złamanie dyscypliny partyjnej. Odsunął słuchawkę od ucha, żeby nie ogłuchnąć od wrzasku wściekłości, ale zamiast niego usłyszał donośny wybuch śmiechu.

– Dobra robota, chłopcze! Mistrzowskie zagranie! Podrzucić wiadomość do „Der Angriff”! Według zaufanych źródeł rzekomy mentalista znany jako Erik Jan Hanussen jest czeskim Żydem, blisko spokrewnionym z tajemniczym rabinem z Prościejowa, bla, bla bla... – Śmiech Münzenberga dudnił w słuchawce. – Dzięki tobie Goebbels odwalił za nas brudną robotę! Wilk pożre własne szczenięta, naziści odetną się od swojego żydowskiego magika. To właśnie najbardziej cenię w dziennikarzach: inicjatywę, gotowość do podejmowania ryzyka i zagrania *va banque*, kiedy są o czymś przekonani. Teraz musimy tylko dokończyć dzieła. Masz jeszcze jakąś oliwę, którą moglibyśmy dolać do ognia?

– Pamiętasz, jak mówiłem ci, że przyszedł do mnie niejaki Ernst Juhn i oferował nam informacje?

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. – Niesamowicie, z jak zawrotną prędkością umysł Willego potrafił się pozbywać informacji, które go nie interesowały.

– Juhn, ten facet, który robił u niego za sekretarza. Ma podobno całe skrzynie kompromitujących papierów na Hanussena – wyjaśnił Frei – ale zaśpiewał sobie za to niemało, a ty zawsze powtarzasz, że nie powinniśmy płacić informatorom.

– Ile chce? Nie potrzebujemy tysięcy stron akt, wystarczą nam trzy czy cztery najciekawsze. Potarguj się z nim trochę, a ja ci wysłę czek. – Bruno miał już się rozłączyć, ale w słuchawce znów rozległy się wrzaski Willego: – Ale pamiętaj, że najważniejsze to zrobić miazgę z socjaldemokratów! Jeśli o tym zapomnisz, ześlę cię na Syberię! – Frei odniósł wrażenie, że szef nie rzuca słów na wiatr.

Musieliśmy zapomnieć o domku pod Poczdamem, dotychczasowym miejscu naszych miłosnych schadzek. Baronowa przyznała, że to „mistrz” płacił czynsz, a jej wydawało się nie w porządku korzystać z lokum po jego powrocie do Berlina, więc zaczęliśmy się spotykać w moim pensjonacie. Manuel Olivar był tak miły, że przeniósł mnie do innego pokoju, na końcu korytarza, po sąsiedzku z głuchą jak pień starą Argentynką.

– Żebyście mieli spokój i nie budzili ludzi po nocy miauczeniem tej twojej kotki – powiedział z porozumiewawczym mrugnięciem.

Mimo to nie czułem się tam z nią swobodnie, wśród dekoracji rodem częściowo z andaluzyjskiego burdelu, a częściowo z sypialni berlińskiej staruszki. Baronowa sprawiała wrażenie jeszcze bardziej nie w swoim żywiole, naturalnym miejscem romantycznych spotkań byłby dla niej raczej apartament w Adlonie czy Esplanade, a ten pokój był zbyt mały i żałosny dla naszej trójki. Tak, trójki, bo duch mentalisty unosił się między nami w jeszcze większym stopniu niż wcześniej, niczym złośliwy chochlik, natrętny jak mucha. W zachowaniu baronowej zaszła wyraźna zmiana: zrobiła się znacznie troskliwsza, czulsza, powiedziałbym nawet, że oddana, gdybym nie wiedział, że było praktycznie niemożliwe, żeby zrzuciła ochronny pancerz. Pewnej nocy, po wybitnie dzikiej i ognistej sesji, spocona i wycieńczona wyszeptała mi słowa, na które tak długo czekałem: „kocham cię”. Jakby ktoś wrzucił zapalniczkę do kanistra z benzyną podgrzanego długimi miesiącami oczekiwania, pasja zapłonęła żywym ogniem, a z moich ust jak z karabinu maszynowego wystrzeliła seria obietnic i deklaracji. Powiedziałem jej, że po tych słowach jestem gotów stawić czoło każdemu, żeby zapewnić jej wszystko, na co zasługuje, że nikt nas nigdy nie rozdzieli i inne tego rodzaju bzdury, jakie mówi się w takich sytuacjach. Baronowa próbowała pocałunkami przerwać emocjonalną lawinę, a potem znów powiedziała coś, co wyprowadziło mnie z równowagi: nie mogliśmy zawieść mentalisty w tak trudnych chwilach.

– Przedwczoraj, kiedy byłem u mistrza, przyszedł tam ten okropny Helldorf – powiedziała, gładząc mnie po brzuchu, chyba po to, żeby pomóc mi łatwiej przetrwać jej ciągłą obecność u boku Hanussena. – Był wściekły, machał egzemplarzem „Der Angriff” i głośno domagał się wyjaśnień w związku z artykułem oskarżającym mistrza o żydostwo. Wpadł w szal, złapał go za kłapy marynarki i zaczął potrząsać. Potem chwycił desperacko butelkę koniaku i zaczął pić z gwinta, wrzeszcząc przy tym, że jest już skończony, martwy i pogrzebany, że strzela mu w łeb za to, że samemu Führerowi, zbawcy Niemiec, przedstawił „parszywego czeskiego Żyda”, zakałę ziemi, najgorszy odpad rasy ludzkiej. Mistrz nie stracił panowania nad sobą i nie podnosząc nawet głosu, zdołał nieco uspokoić hrabiego. Potem, wciąż najzupełniej spokojnie, przyznał, że wszystko, co pisano, jest prawdą, a jego prawdziwe imię i nazwisko to Herschmann Steinschneider.

– Nie mógł tego powiedzieć! – Na samą myśl o przyznaniu się do żydowskich korzeni przed nazistą pokroju hrabiego oblał mnie zimny pot i musiałem się przykryć.

– Było dokładnie tak, jak słyszysz. – Baronowa, może dla podtrzymania napięcia, zapaliła papierosa i przyjrzała mi się uważnie oczami o barwie akwamaryny. Zdawało mi się, że dostrzegam w nich podziw. – Twarz Helldorfa wyglądała już nawet nie jak burak, ale jak bakłażan. Przez chwilę się bałam, że dobiedzie lugera z kabury przy pasie, ale mistrz uspokoił go jednym gestem i zaczął opowiadać o biologicznych rodzicach, młodej parze duńskich arystokratów, oczywiście Aryjczyków, którzy zginęli podczas wspinaczki na Pradziada, szczyt na Morawach. On, kilkuletnie wówczas dziecko, został adoptowany przez parę starych Żydów z pobliskiego Prościejowa i wychowany w ich wierze. To dlatego mówi w jidysz i ma tyłu żydowskich znajomych.

Zapytałem, czy Helldorf uwierzył. Wiedziałem, jak przekonujący potrafi być mentalista, ale ta historyjka, którą słyszałem już zresztą wcześniej, nie brzmiała zbyt wiarygodnie. Duńscy arystokraci nie mieli żadnej rodziny, która zaopiekowałaby się małym Erikiem, zamiast oddać go obcym?

– Mistrz wyjął z biurka papiery adopcyjne i w miarę jak hrabia je przeglądał, jego twarz odzyskiwała normalny kolor. Kiedy już uważnie je przestudiował, spływając potem, stokrotnie przeprosił mistrza i błagał o wybaczenie, a w ramach zadośćuczynienia zadzwonił od razu do Goebbelsa i poinformował go, że jest stuprocentowo pewny aryjskiego pochodzenia Hanussena.

Baronowa pokazała mi najnowsze wydanie „Der Angriff” – w malutkiej ramce na trzeciej stronie zamieszczono sprostowanie: „W wyniku wprowadzenia w błąd jednego z naszych młodych redaktorów komunistyczną, wywrotową dezinformacją, opublikowaliśmy niedawno na naszych łamach pogłoskę o semickim pochodzeniu Erika Jana Hanussena. Po przeprowadzeniu szczegółowego dochodzenia możemy oświadczyć, że pan Hanussen to człowiek o udokumentowanym pochodzeniu aryjskim, godny najwyższego zaufania i przedstawiający wielką wartość dla nadchodzących nowych Niemiec”.

– Ale przecież oboje dobrze wiemy, że te papiery to fałszywka, a on naprawdę jest Żydem! – Pomyślałem o obrzezanym penisie mentalisty, który baronowa знаła na pewno dużo lepiej niż mój, o tym olbrzymim, kolosalnym fiucie, twardym jak skała, z którym nie mogłem konkurować. Zrobiło mi się słabo od mieszanki zazdrości i obrzydzenia.

– To nie ma najmniejszego znaczenia, on potrafi panować nad takimi plotkami. Sam jednak widzisz, jak się sprawy mają: nie możemy go porzucić w tak groźnych czasach. – Patrzyła na poły czule, na poły szelmowsko. – Ale wystarczy już tych poważnych tematów. – Baronowa zaczęła całować mnie w szyję, a jej dłoń znów ześliznęła się między moje nogi. Opuściły mnie już nawet te nędzne resztki zdrowego rozsądku.

Nie mogłem znieść wspólnych wyjść z baronową i mentalistą. Kilka razy się na nie zdecydowałem, ale czułem taką mieszankę furii, zazdrości i upokorzenia, że unikałem ich jak ognia. Woląłem napić się piwa z Felipem, zjeść dziwną paellę pani Xammar albo towarzyszyć Belli Fromm podczas niezliczonych spotkań wypełniających jej kalendarz. Nie mogłem wyjść z podziwu, że potrafiła jednego dnia pójść na trzy obiady, dwa podwieczorki, cztery bankiety i jeszcze mieć czas na napisanie kilku kolumn tekstu. Pamiętam, jak kiedyś poszliśmy na charytatywną herbatkę, po której nastąpił koktajl w ambasadzie szwajcarskiej i bankiet na rzecz sierot zorganizowany przez żonę kronprinza, następczynię tronu, w Esplanade.

Pod drzwiami hotelu stał tłum włóczęgów, którzy przemierzali ulice miasta w poszukiwaniu czegoś na żąb albo darmowego drinka, ale obwieszane biżuterią damy i udekorowani orderami dżentelmeni zdawali się ich nie zauważać. Przy tej okazji nie stawiała się typowa dla Berlina zbieranina: na przyjęcie zaproszono wyłącznie najbardziej dystyngowanych przedstawicieli socjety. Skłamałbym, gdybym nie przyznał, że przyjemność sprawiało mi przebywanie w elitarnym gronie pruskiej arystokracji. Ja, chłopak z Pensión Latina, teraz obracałem się wśród największych postaci ze świata polityki i przemysłu. Również i tutaj dotarły brunatne mundury, a księżę Auwi – syn kajzera, którego poznałem kilka miesięcy wcześniej – przechadzał się między grupkami tworzącymi się w salonie pod rękę z jednym z nazistów. Bella była oburzona, nie rozumiała, jak można przyjść w takim stroju na bankiet wydawany przez rodzinę cesarską, lecz kiedy księżę podszedł się z nią przywitać, prawie się rozplęnęła z zachwytu. Nie mogła jednak przełknąć konieczności ustawienia się w kolejce, żeby pozdrowić cesarzową. „Porządne towarzystwo” uważało drugą żonę Wilhelma II za niegodną królewskiego traktowania. Frau Fromm opisywała ją jako arywistkę młodszą od cesarza o trzydzieści lat, która, gdy tylko ten owdowiał, upolowała go jak przepiórkę.

Z tego, co udało mi się wyłowić z rozmów, wielu gości upatrywało w przywróceniu monarchii jedyną szansę na rozwiązanie problemów Niemiec, jakby wszystko dało się naprawić za pomocą powrotu do starych czasów, kiedy kajzer wszystkim rozkazywał. Zapominali chyba, że to właśnie doprowadziło do wojny, która na zawsze pogrzebała dawny porządek. Inni nadal wierzyli, że naziści przywrócą ład i harmonię. Mimo wyników ostatnich wyborów, postać Hitlera – który wówczas nie pojawiał się na spotkaniach „socjety” – pozostawała głównym tematem większości rozmów. Pogardzanego austriackiego kaprała spowijała aura tajemnicy, która w równiej mierze fascynowała i odrzucała wielu obecnych gości.

- Mój mąż spotkał się z nim niedawno i mówił, że jego spojrzenie może zmrozić.
- Pewnie dlatego, że nie przekazał pieniędzy na partię. Przed ostatnimi wyborami zaprosiliśmy go na podwieczorek połączony ze zbieraniem funduszy i był czarujący.
- Dlaczego nie zadzwoniliście? Chętnie bym go poznała!
- W rozmowach prywatnych też mówi z tym pospolitym austriackim akcentem?
- To prawda, że nie potrafi korzystać ze sztucców?

– Znajoma mówiła mi, że kiedyś podczas kolacji dosłodził sobie białe wino.

– Bzdura, przecież on nie pije. Poza tym Putzi Hanfstaengl podobno uczy go zachowania w towarzystwie.

Ernst „Putzi” Hanfstaengl, kręcący się wśród gości jak głupawy niedźwiedź, był jednym z „nich”. Pochodził z arystokratycznego rodu i należał do kręgu najbliższych przyjaciół Führera, był jednym z jego łączników ze „starymi rodzinami”. Lepiej poinformowani spisywali już jednak Hitlera na straty.

– Przegapił okazję – oznajmiali wszystkowiedzącym tonem, jakby mieli dostęp do tajnych informacji, które tak naprawdę można było przeczytać w każdej gazecie. – Uparł się, że nie wejdzie do rządu, i teraz za to płaci. Schleicher zaoferował stanowisko wicekanclerza Gregorowi Strasserowi, też naziście, ale znacznie rozsądniejszemu. Wygląda na to, że Strasser przyjmie propozycję, a poprze go co najmniej siedemdziesięciu deputowanych z jego partii.

Rozmowy ucichły: wysoka, atrakcyjna blondynka, ubrana w prostą czarną sukienkę ozdobioną jedynie naszyjnikiem z pereł, torowała sobie drogę przez tłum zebranych, witając się z gośćmi.

– Droga Bello, co za przyjemność znowu cię widzieć – powiedziała, kiedy dotarła do naszej grupki. Moja znajoma, pogrążona w dyskusji na tematy polityczne, aż podskoczyła na dźwięk tych słów.

– Witaj, Magdo – odparła z nutką pogardy. Nie wiedząc, co powiedzieć, przedstawiłem się jako znajomy z Hiszpanii. Nowo przybyła uśmiechnęła się do mnie, ale jej oczy nie wyrażały żadnych emocji. Moja towarzyszką po początkowym zaskoczeniu odzyskała cięty język. – Moja droga, bardzo ci ładnie bez makijażu. To jakiś partyjny przykaz?

Blondynka oblała się rumieńcem.

– Führer nie przepada za makijażem, a że często pojawia się u nas bez zapowiedzi... – Wymieniły jeszcze kilka kurtuazyjnych uwag i szybko się pożegnały.

– To Magda Quandt, a raczej powinnam powiedzieć: nowa pani Goebbelsowa – wyjaśniła, kiedy blondynka się nieco oddaliła.

Bella poznała ją jeszcze jako żonę Günthera Quandta, ważnego przemysłowca, z którym Magda miała dziecko. Pewnego dnia poszła na mityng Goebbelsa, zachwyciła się i zapisała do NSDAP. Niepoprawny kobieciarz uwiódł ją i przekonał do porzucenia męża, a pod koniec 1931 roku wzięli ślub.

– Ta cała Magda zawsze była trochę szurnięta – oznajmiła Bella podniesionym głosem, nie przejmując się, czy ktoś ją słyszy. – W czasach naszej znajomości bardzo się interesowała syjonizmem. Drugi mąż jej matki był Żydem, nazwiskiem bodajże Friedländer, więc dziewczyna wychowała się w naszej religii. Jest jedną z tych, którzy zawsze muszą się znajdować w centrum uwagi, doprowadzała Quandta do szału swoimi kapryсами. Gdyby nie poznała Goebbelsa, skończyłaby pewnie jako strażniczka w jakimś palestyńskim kibucu, z karabinem na ramieniu i Torą w plecaku. – Oboje zaśmialiśmy się z żartu, ale Bella sprawiała wrażenie zmieszanej. – Powietrze się tu zepsuło. Znajomi organizują niewielkie, dyskretne przyjęcie na cześć pewnej osoby, którą na pewno chciałby pan poznać. Będzie tam oczywiście zupełnie inna atmosfera niż tutaj, znacznie

bardziej intelektualna. Sam pan wie, że lubię podtrzymywać najróżniejsze znajomości. Chce mi pan towarzyszyć?

Wyszliśmy na ulicę i złapaliśmy starą, zdezelowaną taksówkę. Silnik strasznie hałasował, tak że kierowca nie mógł nas słyszeć.

– Znamy się już od jakiegoś czasu, Pepe, a intuicja podpowiada mi, że mogę ci zaufać w pewnej bardzo ważnej sprawie – oznajmiła Bella, patrząc mi głęboko w oczy, i złapała mnie za rękę. Przestraszyłem się na myśl, że zbiera jej się na amory, nigdy nie wiedziałem, jak się zachować w takich sytuacjach. Frau Fromm była dla mnie bardzo miła, czułem do niej wdzięczność, ale była też ode mnie piętnaście lat starsza i chyba nigdy nie dałem jej do zrozumienia, że interesuje mnie jako kobieta. Po chwili niezręcznej ciszy zapytała mnie w końcu: – Ciągłe ma pan kontakt ze swoim przyjacielem mentalistą, prawda? – Z ulgą odpowiedziałem twierdząco, choć wcale nie podobał mi się jej konspiracyjny ton. – Jak może pan sobie wyobrazić, zarówno mnie, jak i innych Żydów martwi retoryka gróźb stosowana przez pana Hitlera. – Popatrzyła na mnie tak, jakby uważała mnie za wystarczająco bystrego, żebym domyślił się dalszego ciągu. – Sytuacja polityczna jest niestabilna, ale nadal nie można odrzucić możliwości, że naziści dojdą do władzy. Niektórzy prominentni członkowie mojej społeczności uważają, że należy podtrzymywać mosty, łagodzić zadrażnienia, nawiązywać z nimi nowe kontakty. Dlatego prosili mnie, oczywiście zupełnie nieoficjalnie, żebym się dowiedziała, czy Żyd tak blisko związany z Hitlerem jak pan Hanussen nie mógłby pełnić roli pośrednika, przedstawić naszego punktu widzenia i postulatów. Co pan sądzi o takiej koncepcji?

Nigdy w życiu nie słyszałem bardziej niedorzecznego pomysłu. Wizja Erika występującego przed Hitlerem w charakterze adwokata Żydów wydała mi się tak absurdalna jak sugestia, by przebrany za jamnika udał się na zlot rottweilerów. Frau Fromm musiała zauważyć moje zaskoczenie, ale nalegała na odpowiedź.

– Szczerze mówiąc, nic mi nie wiadomo, jakoby pan Hanussen miał być Żydem – odparłem, kiedy udało mi się już pozbierać myśli.

– Drogi przyjacielu, jeśli Żydzi na czymś się znają, to na wynajdywaniu swoich, nieważne, jak bardzo są zasymilowani czy jakie pozory próbują stwarzać – stwierdziła z przekąsem. Próbowałem jeszcze się ratować, tłumacząc, że co prawda znam mentalistę zaledwie od kilku miesięcy, ale nie sądzę, żeby chciał występować w obronie kogokolwiek poza sobą samym. – Nieważne, proszę tylko, żeby przekazał mu pan tę wiadomość. Proszę mi to obiecać – powiedziała Bella tonem ucinającym dyskusję.

Do naszych uszu dobiegły dźwięki muzyki: dotarliśmy do celu. Niewielkie, dyskretne przyjęcie okazało się bankietem ku czci reżysera Ernsta Lubitscha, święcącego wówczas triumfy w Stanach Zjednoczonych. Mieszkanie było tak nabite, że ludzie praktycznie wysypywali się przez okna, a przez gęste kłęby dymu papierosowego nie dało się dojrzeć przeciwległej ściany. Zespół jazzowy grał wciśnięty do wanny, fortepian służył za bar, a z wielkiego żyrandola w holu zwisały krawaty. Zapusciliśmy się w dżunglę ramion i nóg, a ludzka masa rzucała nami z jednej strony na drugą. W pewnej chwili, kiedy zorientowaliśmy się, że nie uda nam się przepchnąć przez tłum, próbowaliśmy się wycofać, ale okazało się to niemożliwe. Niemal pół godziny zajęło nam dotarcie do Lubitscha, który był już wówczas pijany w sztok i przytulał się do fikusa,

próbując poczęstować go koktajlem. Jak na profesjonalnego dziennikarza przystało, zapytałem, czy planuje nakręcić jeszcze kiedyś coś w Berlinie.

– Nigdy, nawet gdybym był trzeźwy. Tu się nie da żyć – odparł, bezskutecznie próbując skupić spojrzenie wielkich czarnych oczu.

– Przez Hitlera? Jego groźby pod adresem Żydów? – Reżyser pochodził z rodziny aszkenazyjczyków.

– Co pan mi tu o jakichś nazistach? – powiedział, gestykulując gwałtownie, jakby próbował odpędzić jakąś niewidzialną muchę. – Nie wie pan, jak tu jest cholernie zimno? Jak nie pada śnieg, to leje jak z cebra albo wieje, jakby się ktoś powiesił. Niech pan mi wierzy, coś o tym wiem, urodziłem się tutaj. Za to w Hollywoodzie zawsze jest lato, mogę przez cały rok kąpać się w basenie. Dam panu dobrą radę, niech pan sobie kupi dom w Beverly Hills. – W tej chwili tłum odciągnął mnie od niego, przez dłuższą chwilę objął mną o mokre plecy i cudze pachy, a w końcu odstawił w okolice wyjścia.

Zdecydowanie nie nadawałem się do odgrywania roli posłańca. Nadal nie rozumiem, czemu dałem się w to wplątać. Tak jak się spodziewałem, Hanussen nie tylko nie wyraził najmniejszego zainteresowania propozycją Belli Fromm, ale wręcz się wściekł, kiedy kilka dni później przy okazji wizyty w jego domu przekazałem mu wiadomość.

– A co ci wszyscy bogaci Żydzi zrobili dla mnie? Nic! Przez lata obrzucali mnie kalumniami, wyzywali od kuglarzy i szarlatanów. Czy ci, którzy odziedziczyli w spadkach miliony i pomnażają je na robionych między sobą interesach, mogą wiedzieć, jak to jest urodzić się w biedzie, występować po zabitych dechami wioskach za kawałek chleba, wciąż napotykać na drzwi zatrzaśnięte przed nosem? Gardzili mną, próbowali pograżyć, a teraz chcą, żebym pomógł im uratować tyłki i miliony.

Dzino opowiedział mi kiedyś o rywalizacji z Breitbartem, gigantem z Polski, przedstawiającym się jako najsilniejszy człowiek świata i wielbionym przez Żydów, semickim nadczołowiekiem rozprawiającym się z mitem aryjskiej supremacji. Przeciwwstawiając się mu i wystawiając na pośmiewisko poprzez skonfrontowanie ze słabą kobietą, Hanussen zraził do siebie wielu liderów swojej społeczności, którzy organizowali przeciw niemu kampanie prasowe i protesty. Breitbart zmarł podczas występu w 1925 roku, ale Hanussen niełatwo zapominał urazy. Nie zapominał też, że właścicielami wielkich gazet, które regularnie go prześladowały, byli Żydzi, choć już nie przeszkadzało mu, że to samo dotyczyło wielu jego znajomych oraz impresariów variétés, zatrudniających go na milionowych kontraktach.

Baronowa patrzyła na mnie ze złością. Nie wspominałem jej o rozmowie z Bellą Fromm i teraz wyraźnie się denerwowała, że zawracam głowę jej świętego mistrza takimi sprawami.

– Jakbyśmy nie dość mieli własnych zmartwień, żeby jeszcze przejmować się problemami bogaczy! – oznajmiła z oburzeniem. Kogo miała na myśli, mówiąc „my”? Ciebie i Hanussena? Atak zazdrości pozbawił mnie tchu. Czy to ta sama kobieta spała ze mną poprzedniej nocy? Wyznawała mi miłość? Wydawało się oczywiste, komu tak naprawdę jest lojalna, kogo gotowa jest bronić do ostatniej kropli krwi.

– No właśnie. Wiesz, ile mam w tej chwili wytoczonych procesów? – ciągnął mentalista, idealnie dostrajając się do jej tonu. – Dwadzieścia jeden! A większość z powództwa Żydów, którzy chcą mnie wykończyć, jak ten cały Bruno Frei z „BaM” czy tamten niewdzięczny sukinsyn Erich Juhn. Ten gołodupiec nie miał grosza przy duszy, dopóki nie dałem mu pracy.

Kilka dni wcześniej Juhn złożył do sądu akt notarialny – przedrukowany w prasie komunistycznej – w którym oświadczał, że jako sekretarz mentalisty uczestniczył w przygotowywaniu numerów i podsuwał mu pomysły na oszukiwanie publiczności za pomocą specjalnego systemu sygnałów i rozmaitych trików, a także że Hanussen oczywiście nie dysponuje żadnymi mocami.

– Nie martwisz się, co się stanie z Żydami, jeśli Hitler dojdzie do władzy?

– Czekałem na jego reakcję. Nigdy wcześniej nie rzuciłem mu w twarz, że wiem o jego pochodzeniu, ale zaczynałem mieć już serdecznie dość szopek i udawania. On jednak podniósł rękawicę zupełnie nonszalancko.

– Niemcy zawsze traktowali nas, Żydów, jak kozły ofiarne, kiedy coś szło nie tak. Jest nas zaledwie pięćset tysięcy w sześćdziesięciomilionowym kraju, ale za bardzo się wyróżniamy: najlepsi artyści, najwybitniejsi naukowcy, najwięksi przemysłowcy. Naziści wiedzą, że prześladując nas, zapewnią sobie głosy, ale nie ma co się oszukiwać: potrzebują nas do sprawnego funkcjonowania kraju, wyjścia z kryzysu, stworzenia obiecanych miejsc pracy. I mnie, i tych siedzących na forsie przyjaciół twojej znajomej. Sam zobacz, co się stało w Hiszpanii po wypędzeniu Żydów przez królów katolickich: utknęliście w mrokach średniowiecza.

Wkurzało mnie ciągle przypominanie o Izabeli i Ferdynandzie, jakby byli moimi dziadkami albo jakby to przy mnie podpisali edykt o wygnaniu.

– Zresztą czym oni się tak przejmują? Przecież wszyscy powtarzają, że Hitler już się skończył – dorzuciła baronowa. Wydawała mi się coraz bardziej obca, jak bliska niegdyś osoba, której od dawna się nie widziało i teraz zaskakuje nas zapomnianymi reakcjami.

– Ech, gdyby tylko wiedzieli... – Mentalista próbował zmienić temat, ale ta historia była zbyt ciekawa, żeby mógł zachować ją dla siebie: poprzedniego dnia odwiedził go Helldorf. Według niego Hitler był zrozpaczony wizją możliwego podziału w szeregach nazistów, gdyby Gregor Strasser dał się skusić syrenim śpiewom kanclerza Schleichera i zabrał ze sobą sporą grupę posłów. Podczas spotkania kręgu zaufanych zagroził: „Jeśli partia się rozpadnie, tego samego dnia się zastrzelę”.

W ataku hysterii wyrwał sobie nawet podobno garść włosów z głowy. Sytuacja wyglądała tak ponuro, że Helldorf przyszedł do mentalisty z prośbą o odczytanie przyszłości i wskazanie właściwej drogi. „Wiadomo przecież, że szczury jako pierwsze opuszczają tonący statek” – powiedział z grymasem pogardy na twarzy.

Wiadomość niewątpliwie nadawała się na pierwszą stronę, a wizja Hitlera rwącego sobie włosy z głowy mogłaby zaowocować niejednym artykułem, ale mentalista wymógł na mnie dochowanie tajemnicy, a muszę z bólem przyznać, że potrzebowałem pieniędzy, które od niego dostawałem. Zapytałem, co by się stało, gdyby nie spełniła się jego przepowiednia o zdobyciu przez nazistów stanowiska kanclerza w ciągu najbliższych kilku miesięcy, czy nie wystawi się na pośmiewisko po tym, jak odtrąbił nieuchronny triumf Führera. Zdawał się jednak zupełnie nie przejmować taką możliwością.

– Będziemy się martwić, jeśli rzeczywiście do tego dojdzie, jasnowidztwo zostawmy na występy – stwierdził. Potem poprosił, żebyśmy zostawili go samego: był zmęczony, a czekał na ważny telefon. W tej samej chwili zaterkotał dzwonek i baronowa odebrała. Zbladła i podała słuchawkę Hanussenowi.

– Mówią, że dzwoni Adolf Hitler. – Hanussen wyszczerzył w uśmiechu żółte od nikotyny zęby. – Widzicie? Wiedziałem, że zadzwoni raczej prędzej niż później.

Odłożyłem słuchawkę i poczułem gułę w gardle. Czułem się jak ostatni łajdak. Mama zareagowała pozornie spokojnie i wyrozumiale, ale na pewno pękało jej serce, że nie przyjadę do Hiszpanii na Boże Narodzenie, choć jej to obiecałem. Nie byłem w domu od ponad roku. Problem w tym, że sama podróż pociągiem do Madrytu zajęłaby mi przeszło trzy dni, a mentalista, walczący obecnie na wielu frontach, zaoferował mi hojne wynagrodzenie za pomoc w kontaktach z prasą w trakcie zbliżających się procesów sądowych. Dwudziestego trzeciego grudnia zaczynały się rozprawy w pierwszej sprawie o zniesławienie przeciwko grupie czasopism komunistycznych – w tym przypadku chodziło o redaktora jednej z ich popołudniówek, który oskarżył Hanussena o mniej lub bardziej bezpośrednie przyczynienie się do tragicznego wypadku księcia Lobkowicza podczas wyścigów automobilowych w maju.

Po jednej stronie procesu reprezentanci strony przeciwnej: spory zespół prawników, pozwany, Willi Münzenberg (partyjny szef propagandy) i Bruno Frei – redaktor „BaM”, porannego dziennika grupy. W drugim rogu ringu: mentalista, jego adwokat – jeden z najbardziej renomowanych w Berlinie – i ja, wciąż zastanawiający się, co właściwie tam robię. Hanussen zadbał o nienaganny wygląd – stawiał się przed sądem ze schludną fryzurą, w nowym garniturze w prążki i z melonikiem. Bardziej niż magika przypominał bankiera. Sprawy przybrały jednak fatalny obrót. Na samym początku adwokaci komunistów kazali mu udowodnić swoją tożsamość, więc Hanussen musiał przedstawić – ku uciesze przeciwników – czeski paszport wystawiony na żydowskie nazwisko: Herschmann-Chaim Steinschneider. Wybuchy tubalnego śmiechu Williiego Münzenberga dało się słyszeć chyba aż na ulicy, ale jeszcze głośniejsze żarty zaczęły się, kiedy pozwany redaktor rozpoczął swój wywód od zaskakującego oświadczenia: to nie on zatwierdził do druku artykuł będący przedmiotem sporu, oznajmił, zerkając ukradkiem na Brunona Freia. Na dowód przedstawił dokumentację potwierdzającą niepodważalnie, że w rzeczonych dniach przebywał na kongresie prasy proletariackiej w Moskwie. Sędzia zadał mu więc dość logiczne pytanie, dlaczego nie przedstawił tych dowodów przed rozpoczęciem procesu. Redaktor uśmiechnął się od ucha do ucha i oznajmił, że w ten sposób chciał pokazać, że skoro Hanussen nie potrafił przewidzieć, że pozywa nieodpowiednią osobę, to raczej nie dysponuje żadną mocą jasnowidzenia. Mentaliście puściły nerwy i zaczął się bronić podniesionym głosem: gwarancją jego zdolności miał być fakt, że „najwyższe instancje w państwie” zwracają się do niego o radę. Nie wymienił nazwiska Hitlera, ale niewiele brakowało. Nie zrobiło to jednak wrażenia na sędzi, który oddalił powództwo Hanussena. Następnego dnia na pierwszej stronie „BaM” widniał olbrzymi nagłówek: **MAGIK HITLERA ZNOWU WYSTAWIA SIĘ NA POŚMIEWISKO**, a w samym artykule można było przeczytać: „Jak już pisaliśmy, naprawdę nazywa się Herschmann...”. Na szczęście dla mentalisty w Wigilię ludzie używają gazet wyłącznie do zawijania ryb.

Po tym spektakularnym fiasku naburmuszony Hanussen oznajmił, że nie chce mnie widzieć przez święta, choć podejrzewałem, że w ten sposób chciał po prostu dać mi kilka

dni urlopu, co zresztą przewidziałem. Zamierzałem spędzić święta z baronową, spróbować skrócić nieco dystans, który ostatnimi czasy się pomiędzy nami pojawił, odzyskać złudzenia – a może nawet pewność – że coś dla niej znaczę. W wigilijny poranek dostałem jednak bardzo niemiły prezent: baronowa zadzwoniła do pensjonatu i oświadczyła, że wyjeżdża z Berlina na kilka dni. Beze mnie. Powinienem był wcześniej się zorientować po jej dość wymijających odpowiedziach na moje mniej lub bardziej szalone propozycje, na przykład wynajęcia pokoju w Adlonie, gdzie przez całą noc moglibyśmy się kochać i pić szampana, ale ta wiadomość wprawiła mnie w zupełne osłupienie. Co gorsza, nie chciała się przyznać, dokąd jedzie, a to mogło oznaczać tylko jedno: Hanussen. Do tamtej pory próbowałem, z różnym powodzeniem, panować nad zazdrością, ale teraz wybuchłem. Wygarnąłem jej całą hipokryzję, obłudę, niezdolność do zaangażowania się w związek, chciwość, przez którą potrafiła kochać wyłącznie pieniądze mentalisty. W milczeniu wysłuchiwała moich oskarżeń i wyzwisk, a potem odłożyła słuchawkę.

Z korytarza dobiegały śmiechy i brzęk kieliszków. Lekarze i pielęgniarki wznosili pewnie toasty. Dziwne jest to życie, myślał, patrząc na skromne dekoracje zawieszane nad drzwiami. Mieli spędzić Boże Narodzenie z Führerem w Berchtesgaden, a wylądowali tutaj. Goebbels spojrzął znowu na swoją żonę Magdę – jej twarz znów była złana potem. Wilgotną chusteczką otarł jej czoło i szyję. Chociaż tyle, że wyglądała spokojnie – przez cały wieczór była bardzo pobudzona, mamrotała coś niezrozumiale i majaczyła. Ujął ją za nadgarstek i zbadał tętno: regularniejsze. Wszystko wydarzyło się tak szybko – w nocy dwudziestego trzeciego, po powrocie do domu z przyjęcia dla szefów regionalnych partii, żona nagle bardzo źle się poczuła, więc zadzwonił do ginekologa, bo Magda przed kilkoma miesiącami urodziła dziecko. Doktor Stoeckel zdiagnozował wyczerpanie spowodowane intensywnym życiem towarzyskim i politycznym podjętym wkrótce po porodzie i zalecił na wszelki wypadek położyć się w uniwersyteckiej klinice chorób kobiecych. Następnego dnia stan pacjentki się pogorszył – cierpiała na skurcze tętnic wieńcowych, podobnie jak przed kilku laty, kiedy poroniła w trakcie pierwszego małżeństwa.

Potaął powieki. Przez całą noc nie zmrużył oka. Rozważał drzemkę, ale nie mógłby zasnąć. Musiał się czymś zająć, żeby nie zwariować, więc sięgnął po stos gazet przyniesionych przez adiutanta. W normalnych okolicznościach błyskawicznie przeczytałby je od deski do deski, ale teraz z trudem przewracał strony, a wszystkie wiadomości zlewały mu się w jedno. To był okropny rok, wszystko poszło nie tak: przegrane wybory, stracone głosy, zaprzepaszczone szanse. Na początku 1932 roku byli przekonani, że władzę mają w zasięgu ręki, a teraz wyglądało na to, że cel jest dalej niż kiedykolwiek. Hindenburg zamknął przed nimi drzwi, kanclerz von Schleicher próbował do spółki ze zdrajcą Strasserem i socjaldemokratami stworzyć rząd większości parlamentarnej, a partii ledwo wystarczało środków na dalszą działalność. Nadal pokładał w Führerze niezmaconą wiarę, ale zauważył, że wódz po raz pierwszy stracił ducha i pewność siebie. Goebbels zerknął na profil Magdy i przeraził się na widok zapadniętych policzków i cery pokrytej jakby warstewką wosku. Przypomniał mu się obraz grubego Göringa, kiedy w ubiegłym roku siedział zdruzgotany przy zwłokach swojej żony, i przebiegł go dreszcz. Energicznie otarł wysokie czoło ukochanej i próbował opędzić się od ponurych myśli. Potem znowu otworzył gazetę, przypadkiem trafił akurat na „Berlin am Morgen”. „Jak już pisaliśmy, naprawdę nazywa się Herschmann...”. Czytał artykuł, próbując zmusić serce do pompowania gorącej krwi, której tak mu teraz brakowało. Doszły go słuchy, że ten łajdak znowu spotkał się z Hitlerem, chociaż mimo wysiłków nie udało mu się potwierdzić tej plotki. Ten Żyd manipulował Führerem i nikt nie próbował go powstrzymać. Bo niezależnie od tego, jak usilnie by zaprzeczali, Hanussen na pewno był Żydem. Tak uporczywe pogłoski o wątpliwym pochodzeniu niemal zawsze okazywały się prawdą. Goebbels czuł, że wściekłość stopniowo przywraca mu utracone siły. Eliminacja tych pasożytów stanowiła sens nie tylko jego pracy, lecz także nadciągającej wielkiej narodowej rewolucji. Nie mógł się teraz poddać, musiał dalej

pracować, walczyć, nie bacząc na problemy osobiste. Wyjął notes i zaczął gorączkowo zapisywać pomysły. Tyle miał do zrobienia: po pierwsze przygotować uroczystość w hołdzie ostatnim członkom SA, którzy zginęli z rąk komunistów – to będzie wspaniałe rozpoczęcie kampanii przed wyborami w Lippe, od których mogła zależeć ich przyszłość. To niby niewielki powiat, ale jeśli uda im się tam zwyciężyć, wrócą do gry, muszą więc dać z siebie wszystko. Zawsze dobrze im wychodziły pogrzebowe scenografie, potrafiły rozpaść w sercach narodu żywy ogień patriotyzmu. Przerwał na chwilę i ujął dłoń żony, próbując przelać w nią elektryczną siłę przepływającą przez jego ciało.

– Tak, Magdo, musisz wydobrzeć. Sama wiesz, jak Hitler ceni twoje towarzystwo, potrzebuje cię... Potrzebujemy cię.

Jak łatwo można się domyślić, Boże Narodzenie upłynęło mi w raczej ponurej atmosferze. Zamiast podlewanego szampanem seksu w Adlonie, musiałem zadowolić się sangrią i migdałami w cukrze w Pensión Latina. Większość hiszpańskich korespondentów wróciła do domów, a Xammar pojechał z żoną na święta do jej rodziny w Hamburgu, więc na miejscu oprócz mnie zostało tylko paru Latynosów, Felipe i dwie znajome Niemki, które przyjaciel zaprosił, żeby nieco ożywić atmosferę, a przy okazji mnie. Założyliśmy papierowe czapeczki, dmuchaliśmy w papierowe piszczałki i śpiewaliśmy kolędy, ale powietrze było aż gęste od nostalgii emigrantów. Wszyscy z melancholią wspominali rodzinne święta, małe tradycje: dziadka krojącego indyka, którego nikt nie potrafił przyrządzić tak dobrze jak mama, poncz wujka Carlosa, siostrę grającą na pianinie, nawet drobne sprzeczki przy stole. Na zadowolonych wyglądali tylko Manuel Olivar i jego żona, bo po tylu latach tułaczki po świecie nauczyli się cieszyć towarzystwem, które podaruje im los. Przy tej okazji to wyjątkowo Manuel przywdział fartuch kucharza i kiedy przyniósł do stołu apetycznie wyglądającą prosię, upieczone według własnego tajemnego przepisu, w końcu udzieliła nam się jego wesołość. Kiedy nakładaliśmy sobie jedzenie, Felipe zaczął jak zwykle żartować:

– Manolo, to prawda, że kiedy mieszkałeś w Kolumbii, zjadałeś dzieci? – zagadnął po niemiecku, żeby zrozumieli go także zaproszone koleżanki.

– Oczywiście, zwłaszcza w Boże Narodzenie – odparł gospodarz, podchwytyjąc żart. – To wyborne mięso, nieco podobne do tego, które jemy teraz, ale znacznie delikatniejsze, praktycznie rozplywa się w ustach. Najlepiej smakują cztero- pięcioletniocienne maluchy, takie podkarmione są już za bardzo żyłaste.

Siedzącej po mojej prawicy Niemce chyba przewróciło się w żołądku od wszystkich uprzedzeń, jakie żywiła pod adresem Hiszpanów, i popędziła w kierunku łazienki przy akompaniamencie chóralnego śmiechu pozostałych. Odwróciłem się do koleżanki po lewej, żeby jej wyjaśnić, że to tylko żart, ale ona zmiotła już swoją porcję i poprosiła o dokładkę.

– Dziecko czy prosiak, w Niemczech tradycja nakazuje zakończyć ten wieczór *vollgefressen*, z pełnym żołądkiem – oznajmiła z dziarskim uśmiechem wiejskiej mleczarki. Po raz pierwszy od wielu dni zacząłem się szczerze śmiać. Nie wiem nawet, jak ta dziewczyna miała na imię, ale przypadła mi do gustu i zaczęliśmy gadać oraz pić bez umiaru.

Obudziłem się u jej boku w pokoju, którego z początku nie rozpoznawałem, dopiero później uświadomiłem sobie, że jestem u Felipego, który spał zresztą z otwartymi ustami na podłodze, przykryty narzutą. Zauważyłem też, że jestem ubrany, i z niemałym wysiłkiem zdołałem sobie przypomnieć, że poprzedniego wieczoru, zataczając się ze śmiechu, próbowaliśmy z dziewczyną się wzajemnie rozebrać, ale pijani daliśmy sobie spokój i zamiast tego zaczęliśmy śpiewać piosenki patriotyczne, aż usnęliśmy. Wstałem po cichutku i poszedłem do swojego pokoju.

Koło południa, po porządnej kąpieli, zszedłem na parter w poszukiwaniu kawy i czegoś, co pomogłoby mi zabić paskudny smak trocin, jaki czułem w ustach. Kiedy zobaczyłem baronową opartą o ladę recepcji, przez chwilę zdawało mi się, że nadal śnię. Była prawie nieumalowana i ubrana w prosty czarny płaszcz.

– Cześć, Pepe, wesółych świąt – powiedziała z nieznaną mi dotąd nieśmiałością. – Chciałabym ci przedstawić pewną wyjątkową osobę, z którą spędziłam Boże Narodzenie. – Odsunęła się i wtedy zobaczyłem chudziutkiego chłopca z dużą głową, może sześciolatniego. Jedną ręką trzymał baronową, a drugą dłuwał w nosie. – Zobacz, Lexi, to mój przyjaciel Pepe. Pepe, to mój syn Alexander. – W tym momencie za jej plecami przemknęli na palcach Felipe i mleczarka, umierając ze śmiechu. Tak, na pewno nadal spałem, to musiał być jakiś surrealistyczny koszmar.

Tak naprawdę nie wiem, czemu aż tak mnie zaskoczyło, że baronowa ma dziecko. Praktycznie nic o niej nie wiedziałem, mogłaby nawet napadać na banki albo szpiegować dla Japonii, a ja nie miałbym zielonego pojęcia. Powiedziała mi, że ojcem jest jej eksmąż, pan baron, a mały mieszka u dziadków w wiejskiej posiadłości na północy Węgier. Wcześniej mi o nim nie mówiła, bo syn stanowił dla niej jedyną świętość w życiu, nawet mistrz nie wiedział o jego istnieniu. Kiepski z niego jasnowidz, skoro przez dwa lata nie zorientował się, że jego kochanka ma dziecko. Byłem jednak zbyt szczęśliwy, żeby wyskakiwać z głupimi uwagami. To, że mi go przedstawiła, mogło oznaczać tylko jedno: naprawdę mnie kocha.

Nigdy nie myślałem o ojcostwie, zwłaszcza tak nagłym i niespodziewanym, ale dla baronowej gotów byłbym skoczyć w przepaść, więc zaakceptowałem nową rolę nawet dość entuzjastycznie: wybraliśmy się do zoo, gdzie wprawiłem chłopca w zachwyt opowieściami o żyjących w Hiszpanii lwach i tygrysach; popołudniami chadzaliśmy do kina na koszmarnie musicale dla dzieci, nauczyłem też Lexiego jazdy na kucyku na wybiegu w Tiergarten, pod czujnym okiem matki. Postronny obserwator na pewno uznałby nas za szczęśliwą rodzinę, bo choć baronowa starała się trochę hamować przy synu, nigdy wcześniej nie traktowała mnie tak czule i troskliwie.

Zaplanowaliśmy też wspólną kolację sylwestrową i oglądanie pokazu fajerwerków pod Bramą Brandenburską z tarasu hotelu Adlon. Seks i szampana zamieniłem na rolę niańki, ale intuicja podpowiadała mi, że jeśli mój związek z baronową ma mieć jakąś przyszłość, dziecko będzie stanowić jej nieodłączny element. Los postanowił jednak, że nie dane nam było razem wejść w rok 1933: kiedy trzydziestego grudnia po południu wyszedłem z pensjonatu, żeby pojechać po swoją nową rodzinę i zabrać ją na przedstawienie kukiełkowe, pod drzwiami czekał na mnie niebieski cadillac Hanussena.

Mentalista pilnie mnie potrzebował i choć z całych sił próbowałem się wymigać, wymawiając się wcześniejszymi zobowiązaniami, on nie chciał przyjąć odmowy do wiadomości. Przekonał mnie ten argument co zawsze: spora sumka pieniędzy. Musiałem zgromadzić ich jak najwięcej dla baronowej. Hanussen kazał mi szybko wrzucić parę rzeczy do walizki: wybieraliśmy się na wycieczkę. Dokąd? Najwyraźniej uparł się, żeby zachować w tajemnicy cel podróży, ale miała potrwać tylko parę dni. Jeśli będzie trzeba, będziemy jechać nawet całą noc, zmieniając się za kierownicą: ja, Hanussen i Dzino. Ledwie zdążyłem poinformować baronową o zmianie planów. Okazała pełne zrozumienie, nie wydawała się nawet szczególnie zła. To chyba jedna z nielicznych zalet dzielenia kobiety z innym mężczyzną – nie może się obrazić, kiedy musisz wyjechać z tym drugim.

Już po zmroku wyjechaliśmy z Berlina i skierowaliśmy się na południe. Mentalista jak zwykle dość szybko stracił zapał i przestał się upierać przy jak najszybszym dotarciu do celu po jakichś trzech czy czterech godzinach telepania się drogami mającymi niewiele wspólnego z autostradami, które miały zacząć powstawać dopiero kilka lat później. Zatrzymaliśmy się na kolację w niewielkim zajeździe i we trójkę rozpiiliśmy pięć butelek białego wina reńskiego. Rozgrzany winem Hanussen powiedział nam w końcu, dokąd się udajemy, choć nadal nie chciał podać przyczyny podróży.

– Dawno już nie byłem w Austrii, od czasu gdy policja uwzięła się na mnie przez tę sprawę z Bankiem Narodowym.

Oczywiście nie musieliśmy go długo namawiać, żeby opowiedział całą historię: pod koniec 1919 roku z kasy pancерnej austriackiej wytwórni papierów wartościowych zginęła znaczna liczba nierozciętych arkuszy banknotów tysiąckoronowych. Policja przez trzy miesiące nie zdołała posunąć śledztwa do przodu, więc dyrektor banku zwrócił się o pomoc do najpopularniejszego wówczas w Wiedniu mentalisty – Hanussena. Erik, beczelnie jak zwykle, zapowiedział bankierom, że następnego poranka przyjdzie z asystentem i rozwiąże sprawę w mniej niż dwie godziny bez żadnej pomocy policji. Kiedy o dziesiątej stawił się na miejscu w towarzystwie Alego, służącego ze Wschodu, czekał już na niego komendant główny we własnej osobie, w bardzo złym humorze. Hanussen zignorował jego obecność i zaczął obchód po kolejnych pomieszczeniach banku, rzucając przy tym groźne spojrzenia na pracowników. Już po kilku minutach oznajmił, że rabunku dokonał któryś z nich. Skoro przeszukiwano ich przy wyjściu z pracy, pieniądze musiały znajdować się gdzieś na terenie budynku. Znów przeszedł przez wszystkie pomieszczenia, tym razem z różdżką radiestezyjną, aż nagle zatrzymał się przed jednym z pracowników. Policjanci przeszukali jego szafkę i znaleźli tam skradzione arkusze. Nie upłynęły nawet dwie godziny, które Hanussen dał sobie na rozwiązanie zagadki. Komendant nie przypisał jednak zasług mentaliście i oświadczył, że jego ludzie już od dłuższego czasu śledzili podejrzanego.

– Komendant nigdy mi tego nie wybaczył. Kilka lat później, w dwudziestym czwartym, przez jakąś bzdurę udało mu się dopiąć swego i przegonił mnie z miasta. Do

dziś czuję niesmak, kiedy to wspominam – powiedział Hanussen i zgasił cygaro.

Postanowiliśmy przenocować w zajeździe, żeby przetrwać wino, ale Hanussen obudził nas już po czterech godzinach. Od Dzina dowiedziałem się, że nigdy nie sypia dłużej. O szóstej znów jechaliśmy szosą, a o jedenastej dotarliśmy do granicy z Austrią. Mentalista zatrzymał samochód na wzniesieniu i z uśmiechem zapatrzył się na szczyty gór ziemi ojczystej. Byłem zmęczony, zacząłem podejrzewać, że wyciągnął nas w podróż sentymentalną, więc straciłem panowanie nad sobą i wykrzychałem mu, że mam już dość jego kaprysów – nieważne, ile mi płaci, też mam swoje życie. Zamiast się bronić, Hanussen wybuchnął tubalnym śmiechem.

– Ach, mój porywczy Hiszpanie! Cóż za niecierpliwość! – powiedział i objął mnie.

Potem wyznał nam wreszcie, dlaczego tam przyjechaliśmy: podczas ich niedawnego spotkania Hitler wydał mu się przygnębiony, pozbawiony zwykłego wigoru, zaniepokojony kiepskimi kartami, jakie rozdawał mu ostatnio los.

– Nie twierdzę, że mi go żal, ale musiałem spróbować go jakoś pocieszyć – dodał.

Za najlepsze rozwiązanie uznał przekonanie Führera, że przyczyną problemów z dojściem do władzy jest jakiś negatywny wpływ blokujący jego energię. Jedynym sposobem wyzwolenia się od niego miało być odnalezienie korzenia mandragory, rośliny już od czasów biblijnych uznawanej za obdarzoną magicznymi właściwościami, a rosnącej podobno na dziedzińcu jego rodzinnego domu w miasteczku Braunau am Inn, blisko granicy z Niemcami. Żeby zaklęcie zadziało, należało wyrwać korzeń w noc sylwestrową. Jeśli operacji dokona się zgodnie ze znaną mu tajemną metodą, Hitler dojdzie do władzy w ciągu kilku miesięcy, może nawet szybciej. Z Dzinem patrzyliśmy na niego w osłupieniu. Hanussen znów zaczął się gromko śmiać.

– Drodzy przyjaciele, czasem chyba zapominacie o potędze desperacji. Hitler jest zbyt pewny siebie, żeby wierzyć w zabobony, ale sprawy nie układają się dla niego najlepiej. Mówiłem wam już, że według Helldorfa Führer groził nawet samobójstwem. Złapie się choćby brzytwy, jeśli ktoś go przekona, że jeszcze nie wszystko stracone. Wybór między strzałem w skroń a głupim korzeniem mandragory wydaje mi się dość oczywisty.

– Jeśli nazistom tak źle się powodzi, to czemu im pomagasz? – zapytałem.

– Bo wierzę, że mogą wygrać. Nie pamiętasz, że wyczytałem to w gwiazdach?

– odparł, szczerząc żółte zęby w uśmiechu.

– Coś do oclenia?

Przejęcie graniczne znajdowało się na wąskiej drodze nad rzeką. Mimo panującego zimna – w końcu był ostatni dzień grudnia – w miarę jak zbliżaliśmy się do budki austriackich strażników, zacząłem topić się we własnym pocie. Mentalista właśnie wyznał nam, że komendant główny wiedeńskiej policji, podobno w ramach zemsty za tamtą sprawę z banknotami, zakazał mu wstępu nie tylko do miasta, ale do całego kraju, i to na dziesięć lat. Taki malutki, nieistotny szczegół, który przed nami ukrył, żebyśmy się nie martwili i nie przejmowali za bardzo faktem, że musimy przesznuć go do obcego państwa. Podczas gdy my rozmawialiśmy z celnikami, Hanussen tkwił w bagażniku cadillaca, zwinięty jak kontorsjonista.

– Proszę o paszporty.

Nieuprzejme spojrzenie austriackiego strażnika wprawiło mnie w jeszcze większe zdenerwowanie. Czuję się jak przemytnik broni czy narkotyków. Od dziecka wpadałem w panikę podczas kontroli granicznej, kiedy cały nasz los zdaje się zależeć od widzimisie celnika, jego „tak” albo „nie”. Jaką karę przewidziano dla kontrabandzistów magików? Pewnie wydalą mnie z kraju i wlepią słony mandat, odeślą do Hiszpanii w więźniarce czy coś w tym rodzaju.

– Hiszpan? Co pan robi tak daleko od ojczyzny?

Czuję pustkę w głowie. Jeśli powiem, że podróżuję w interesach, będą chcieli wiedzieć, czym się zajmuję. Jeśli będę udawał turystę, zapytają o planowaną trasę, a w tej chwili nie potrafiłem przypomnieć sobie nazwy żadnego miasta w Austrii. No poza jednym.

– Jedziemy do Wiednia spróbować autentycznego sznycla wiedeńskiego. Uwielbiam kotlety cielęce. – Koniec, zaraz mnie aresztują za wygadywanie głupot. Celnik oddał mi jednak paszport i zaczął przeglądać dokumenty mojego towarzysza.

– Nazywa się pan Izmet, jest pan muzułmaninem? – Spojrzałem na Dzina, który zachowywał całkowity spokój, jakby na co dzień zajmował się przemytem ludzi.

– Jestem Bośniakiem, obywatelem dawnego Cesarstwa, jak pan pewnie wie – oświadczył z dumnym uśmiechem. Nie zrobił jednak oczekiwanego wrażenia na urzędniku.

– Mógłby pan otworzyć bagażnik? – zapytał, zapisując numer rejestracyjny.

– Oczywiście – odparł Dzino, otworzył drzwi i jednym susem wyskoczył z samochodu. Nie mogłem ruszyć ani jednym mięśniem. Co się teraz stanie? Jak wytłumaczymy, dlaczego przewozimy po kryjomu jakiegoś faceta? Jak zareaguje sekretarz Hanussena? Zastrzelili policjanta i uciekniemy z piskiem opon? Spróbuje go przekupić? W mojej głowie pojawiło się więzienne liczydło, na którym sumowałem lata przewidywanej kary.

– Słyszałem, że niedaleko stąd leży miasteczko, w którym urodził się Adolf Hitler. To prawda? – zapytał Dzino strażnika.

– Zgadza się, Braunau am Inn jest parę kilometrów stąd – odparł ten z uśmiechem.

– Chcielibyśmy zajrzeć tam po drodze, złożyć w ten sposób hołd temu wielkiemu człowiekowi. Zna pan dokładny adres domu?

Strażnik uśmiechał się już od ucha do ucha.

– Salzburger Vorstadt 15. Skromne gniazdko jak na mesjasza, tak jak stajenka w Betlejem – odpowiedział półgłosem.

– *Heil* Hitler – wyszeptał Dzino nabożnym tonem.

Strażnik odparł tymi samymi słowami i stanął na baczność. Tak skończyły się nasze problemy na granicy – nie muszę chyba dodawać, że nie przeszukali bagażnika. Kiedy oddalaliśmy się od posterunku, zapytałem Dzina, jak zgadł, że celnik sympatyzuje z Hitlerem. Rząd Austrii stanowczo sprzeciwiał się wówczas nazizmowi, postrzeganemu jako zagrożenie dla niepodległości kraju, a pomyłka mogła zaprowadzić nas wprost do więzienia.

– Nie miałem pojęcia, ale nie zaszkodziło spróbować. Moje pytanie nie było

przecież zbyt kontrowersyjne: kiedy się uśmiechnął, wiedziałem, że jest jego zwolennikiem.

– A gdyby próbował cię podpuścić?

– Najwyraźniej nie grywasz w pokera. Poza tym gdyby nawet, to coś bym wymyślił – odparł Dzino, nieco zirytowany, jakbym pytał o oczywistości. Widocznie przejął takie podejście od swojego szefa.

Po kilku minutach jazdy zatrzymaliśmy samochód i wyciągnęliśmy z bagażnika Hanussena, zmarzniętego na kość i wkurzonego, że tak długo nie mógł sobie zapalić. Potem ruszyliśmy w dalszą drogę do Braunau. Rodzinne miasteczko Führera nie wyróżniało się niczym szczególnym. Pomijając rynek i kościół parafialny, była to dość smutna miejscina licząca może z pięć tysięcy mieszkańców. Mentalista uznał ją za niegodną nawet cygańskich kuglarzy.

– Co za wstrętni ludzie! Założę się, że od stuleci żenią się między sobą – stwierdził z arogancją, reagując na podejrzliwe spojrzenia, jakimi miejscowi powitali obcych przybyszów. – Drogi Adolf powinien wymyślić sobie porządniejsze miejsce urodzenia. Chociażby Ottakring, moją dzielnicę, ona przynajmniej ma klasę. – Wybuch śmiechu zmieszał się z chmurą dymu, wydobywającą się z jego ust niczym spaliny z rury wydechowej cadillaca.

Jedna myśl nie dawała mi spokoju i w końcu zapytałem, czy nie mógł poszukać korzenia mandragory bliżej Berlina, zmyślić, że wyrwał go w Braunau, i tym samym oszczędzić nam wszystkim wycieczki.

– Hitler jest cholernie nieufnym wieśniakiem – odparł z grymasem obrzydzenia.

– Przekazał mi list od swojego sekretarza Rudolfa Hessa do szefa lokalnego oddziału partii, pewnie wyłącznie po to, żeby się upewnić, że rzeczywiście tu przyjadę.

Było jeszcze wcześniej, a nie mogliśmy zacząć wyrywać roślinek w biały dzień, więc postanowiliśmy załatwić zleczone zadanie i dostarczyć list. Pan Schulz mieszkał niedaleko rynku, ale kiedy zapukaliśmy do drzwi, jego żona – duża, tęga kobieta, mocno po sześćdziesiątce – oznajmiła, że mąż wyszedł i wróci dopiero za parę godzin. Uprzejmie zaprosiła nas na podwieczorek, a że zgłodnieliśmy i nie mieliśmy nic lepszego do roboty, przystaliśmy na propozycję. Kobieta z wyraźnym entuzjazmem usadziła nas przy stoliku nakrytym długim obrusem i poczęstowała plackiem jeżynowym oraz nalewką z jabłek. Widocznie nieczęsto miewała gości.

– Czyli pracują panowie dla małego Adolfa? – zagadnęła, a w jej głosie pobrzmiwała satysfakcja, że ktoś z jej miasteczka zdołał tak daleko zajść. Próbowaliśmy tłumaczyć, że to nie do końca tak, ale jej zależało na posłusznej publice gotowej wysłuchać jej opowieści. – Biedulek, to było takie chorowite dziecko, wiecznie coś mu dolegało, matka ciągle musiała się nim opiekować, strasznie go rozpieszczała. Może dlatego ojciec za nim nie przepadał. Stary Alois miał paskudny charakter. Zawsze jak wracał z oberży po paru piwach, a możecie mi wierzyć, że często mu się to zdarzało, spuszczał dzieciom tęgie lanie, tłukł je przez cały wieczór. Z wiekiem zrobił się jeszcze gorszy. Przeszedł na emeryturę po latach pracy w urzędzie celnym, kupił sobie pasiekę, ale hodowla nie szła mu za dobrze, a pszczeliska ciągle go żądliły, więc strach było się

w ogóle do niego zbliżyć. Alo, najstarszy syn, uciekł z domu, bo miał już dość ciągłego bicia. Mieszka teraz chyba w Irlandii czy gdzieś tam. Biedna Klara była kompletnie zastraszona, dwadzieścia trzy lata młodsza od męża, do którego zwracała się zawsze „wujku”, choć w zasadzie byli kuzynami, musieli nawet załatwić sobie dyspensę, żeby móc wziąć ślub. Pewnie, w tych stronach to nic dziwnego. – Hanussen poruszył gęstymi brwiami i uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo, ale nasza gospodyni ani myślała przerywać. – Chociaż stary Alois też nie miał łatwego dzieciństwa. Jego matka, Maria Anna, urodziła go bez ślubu, więc mały nosił jej panieńskie nazwisko: Schicklgruber. Potem wyszła za Johanna Georga Hiedlera, który wiele lat później przekazał dorosłemu już Aloisowi swoje nazwisko, tyle że urzędnik się pomylił i zapisał go jako Hitlera. Niektórzy gadają, że jego ojcem był tak naprawdę Johann Nepomuk Hiedler, ale że ten miał już żonę, to jego brat wziął na siebie ciężar wychowania małego. Oczywiście krążą też plotki, że Maria Anna zaszła w ciążę z Żydem, niejakim Frankenbergerem z Grazu, w którego domu pracowała jako służąca, ale sami panowie wiecie, jacy ludzie bywają okrutni... Chociaż trzeba przyznać, że z Aloisa był straszny pies na baby: trzy razy się żenił, a do tego romansował z co drugą dziewczyną w okolicy. A wszyscy wiedzą, jacy ci Żydzi są napaleni. No ale tu oczywiście nikt nie wątpi, że w żyłach naszego Führera płynie czysta aryjska krew.

Mentalista ze wszystkich sił starał się nie wybuchnąć śmiechem. W końcu do domu wrócił pan Schulz – krzepki jak na swój wiek, o kwadratowej głowie i, w przeciwieństwie do żony, bardzo małomówny. Wręczyliśmy mu kopertę i zamieniliśmy z nim może ze trzy zdania. Po wyjściu na ulicę Hanussen zaniósł się szaleńczym śmiechem:

– Schicklgruber! Co za plebejskie nazwisko! A to mnie się czepiają, że zmieniłem imię! I niech się cieszy, że tej sprawy z Frankenbergerem nie można udowodnić, to by dopiero był niezły numer.

Zapadła noc i ulice się wyludniły, więc wyruszyliśmy na poszukiwanie domu rodzinnego Hitlera. Była to niezbyt urodziwa kamienica czynszowa pozbawiona ogrodu. Skąd my tu wytrzaśniemy tę pieprzoną mandragorę? Szybko jednak dotarło do nas, że przecież nikt nam nie każe szukać tego korzenia dokładnie w tym miejscu. Wsiedliśmy do samochodu, pojechaliśmy nad rzekę i zeszlismy z narzędziami zapakowanymi przez Dzina: dwiema łopatami i motyką.

– Jak wygląda mandragora? – zapytałem, niosąc na ramieniu łopatę. Mentalista podszedł i pokazał mi zdjęcie.

– Szczerze mówiąc, ja też nie miałem pojęcia, jak toto wygląda. Musiałem wyrwać stronę z encyklopedii. Podobno jeden gatunek, *officinarum*, rośnie w tych stronach, w pobliżu strumieni. – Nie czekałem na dalsze wyjaśnienia, zaczęliśmy kopać. Każde uderzenie łopatą w zamarzną glebę było jak walenie w hartowaną stal. Po dwóch godzinach mieliśmy ziemi aż po brwi, a nadal niczego nie znaleźliśmy.

– Mam już dość! Wracajmy do domu i kupmy jakąś bulwę w warzywniaku! – zawołałem, wykończony, z dłońmi pokrytymi odciskami.

Hanussen stwierdził jednak, że to niemożliwe, bo nie mamy czasu szukać mandragory w Berlinie. Zrobiliśmy sobie przerwę i pociągnęliśmy parę łyków z butelki koniaku, żeby przegonić chłód.

– Pokaż no mi jeszcze raz to zdjęcie – powiedział Dzino, przytupując dla rozgrzewki. Mentalista podał mu wycinek. – To cholerstwo jest całkiem podobne do tych wielkich rzep, które niedawno wykopałem, nie możemy ich po prostu pomalować czy coś?

Hanussen poprosił go, żeby pokazał mu swoje znalezisko. Dzino poszukał bulw i pokazał mu je w świetle reflektorów samochodu. Mentalista wziął je do ręki i porównał z ilustracją. Potem odczytał na głos: „Korzenie mandragory są podobne do marchewki, mają mniej więcej pół metra długości, rozdwajają się i w pewnym stopniu przypominają postać ludzką”. W dłoni trzymał coś bardzo podobnego. Zaśmiał się triumfalnie i uniósł korzeń nad głowę.

– *Heil Schicklgruber!* – zawołał, prostując drugą rękę w geście nazistowskiego pozdrowienia.

BRUTALNA OFENSYWA NAZISTÓW ODPARTA.

„Frankfurter Zeitung”

REPUBLIKA PRZETRWA.

„Vossische Zeitung”

WZLOT I UPADEK ADOLFA HITLERA.

„Vorwärts”

TAK JAK PRZEWIDYWALIŚMY, HITLER NIE PRZEJMIE WŁADZY.

„Kölnische Volkszeitung”

Noworoczne wydania najważniejszych liberalnych i lewicowych gazet były jednomyślne. Jeden z najślynniejszych dziennikarzy „Berliner Tageblatt” żartował sobie nawet z całej sprawy i fantazjował, jak opowie swoim wnukom o wydarzeniach ostatnich miesięcy: „W tamtych czasach cały świat mówił tylko o jednym człowieku... Jak on się nazywał? Adalbert Hitler. Co się z nim stało? Przepadł, słuch po nim zaginął”.

Joseph Goebbels z uśmiechem przeglądał wycinki prasowe. Jeszcze kilka dni, nawet kilka godzin wcześniej wpadłby w szal, podarł wszystkie te szmatławce na strzępy, groziłby śmiercią redaktorom naczelnym. Pozbył się jednak lęku, niepokoju, wszelkich wątpliwości. Pierwszego dnia 1933 roku Führer wyglądał na zupełnie odmienionego – a raczej, po raz pierwszy od dawna, sprawiał wrażenie takiego jak dawniej: pewnego siebie, zdeterminowanego, pełnego energii. Co więcej, był w świetnym humorze, pozwalał sobie nawet na życzliwe gesty w stosunku do współpracowników, o których niemal zapomniał w ostatnich czasach. Istniał też inny powód zadowolenia Goebbelsa: zmiana nastroju Hitlera zdawała się pokrywać z jego własnym przybyciem do Berchtesgaden. Niełatwo przyszło mu zostawić w szpitalu Magdę, nadal w ciężkim stanie, żeby tu przyjechać, ale był głęboko przekonany, że w tej sytuacji Führer potrzebuje go bardziej niż kogokolwiek innego. Razem wyprowadzali psy na spacer, przemierzając szlaki w górach otaczających rezydencję Berghof. Wędrówki te wywoływały co prawda ból w jego kulawej stopie, ale wiedział, że szefowi pozwalają się odprężyć. Omawiali bieżące sprawy, kampanię wyborczą w malutkim Lippe, ale Goebbelsowi udawało się przemycić do rozmowy plotki i anegdoty, zawsze tak bawiące Hitlera. Potem pojechali samochodami do Monachium na noworoczną inscenizację *Śpiewaków norymberskich*. Ależ Führer ubóstwia Wagnera! Podczas spektakli na jego twarzy malowały się rozkosz

i spokój, zdawał się smakować każdą nutę, chwycić je w locie, by żadnej nie stracić. Po operze poszli na kolację do tego nudziarza Putziego Hanfstaengla, lizusa z wyższych sfer, który zrobił karierę dzięki przygrywaniu szefowi na pianinie. Führer bawił się z jego synem, dopóki chłopiec nie poszedł spać. Wieczór upłynął we wspaniałej atmosferze, a na odchodnym Hitler oznajmił wszystkim zgromadzonym, z błyskiem emocji w oku: „Panowie, ten rok należy do nas”.

Tak, nie ulegało wątpliwości, że sytuacja się zmieniła, czuł to w kościach. Pod wodzą Führera, który odzyskał dawną siłę, będą niewzycięzeni: 1933 to będzie rok, na który tak długo czekali, rok, w którym wreszcie sięgną po władzę. W tej chwili zadzwieczał telefon. Dzwoniła jego siostra: z Magdą wszystko w porządku, niebezpieczeństwo minęło. Oczy Josepha Goebbelsa wypełniły się łzami.

Kilka dni po powrocie z Austrii ponownie wezwano go do hotelu Kaiserhof. Siedząc w znajomej poczekalni, Hanussen wspominał wyprawę do Braunau, ale postarał się wymazać ją z pamięci. Musiał zachować powagę, kiedy uroczyście wręczy Hitlerowi korzeń, skrupulatnie wyszorowany przez Dzina. To spotkanie było tylko spektaklem, ale gra toczyła się o wysoką stawkę. Od Helldorfa dowiedział się, że jego wysłany w Nowy Rok telegram z wiadomością, że zdobył to, co obiecał, wprowadził Hitlera w świetny nastrój: w tym momencie umocnił swój wpływ na Hitlera, zapewnił sobie silną pozycję po jego dojściu do władzy. Przyrzeczony Uniwersytet Okultyzmu stanowił zaledwie pierwszy krok. A jeśli naziści nie osiągną celu? To tylko zakład, ale koło ruletki wprowadzono już w ruch, a coś mówiło mu, że postawił słusznie.

Intuicja znalazła potwierdzenie, kiedy wszedł w końcu do apartamentu. Adolf Hitler stał przy oknie ze skrzyżowanymi rękami, ubrany w mundur SA, z Krzyżem Żelaznym na piersi i jaskrawoczerwoną opaską partyjną na lewym ramieniu. Białe światła uliczne odbijały się w lodowato błękitnych oczach. Hanussen wyczuł, że wątpliwości, gniew i desperacja, które zauważył podczas poprzedniej wizyty w święta Bożego Narodzenia i które wzbudziły w nim pewną pogardę, wyparowały bez śladu. Znow stał przed nim mężczyzna wykuty z granitu, niezniszczalny, przekonany o historycznej doniosłości swojej misji. Wyciągając ramię w geście pozdrowienia, Hanussen znow poczuł się onieśmielony.

Po krótkim wstępie, w którym przypomniał gospodarzowi o właściwościach magicznej bulwy, Hanussen wręczył korzeń mandragory Hitlerowi, a ten przyjrzał mu się z ciekawością pacjenta kontemplującego umieszczony w słoiku wycięty właśnie guz. Mentalista wyjaśnił, że – jak wyczytał w encyklopedii – rozdwojony korzeń znacznie lepiej posłuży ich celom, gdyż symbolizuje władzę i dostatek. Hitler ponownie podkreślił, że nie wierzy w takie zabobony, ale od Nowego Roku sytuacja faktycznie zaczęła się zmieniać. Czuł się wyraźnie niezręcznie z bulwą w dłoni i zapytał, co powinien z nią zrobić. Hanussen kazał mu ją przechowywać w bezpiecznym miejscu i zawsze mieć pod ręką. Nie zapytał, o jakiej zmianie mowa: czytał w gazetach, że Hitler spotkał się niedawno z byłym kanclerzem Papenem, więc domyślał się, że pewnie prowadzą negocjacje. Potem mentalista poprosił go, żeby usiadł, i stanął za nim, jak podczas pierwszej rozmowy. Musiał odzyskać dominującą pozycję, narzucić pacjentowi swoją wolę. Położył dłonie na głowie Hitlera. Tak samo jak poprzednim razem poczuł się tak, jakby trzymał między palcami garnek, którego gęsta i ciemna zawartość w każdej chwili może wykipieć, ale utrzymuje stałą temperaturę, tuż poniżej wrzenia.

– Czuję, że wydarzy się coś wielkiego. Wkrótce osiągnie pan swój cel – oznajmił Hanussen z półprzymkniętymi oczami.

Powiedział już jednak coś podobnego, kiedy się poznali, a to nie wystarczy, żeby zaimponować klientowi tego formatu – musiał zagrać odważniej. Hrabia Helldorf zdradził mu, że Hitler interesował się przepowiedniami Nostradamusa i interpretacją jego wieloznacznych czterowierszy. Zasyмуляwał trans: wprowadził ciało w drzenie, przewrócił

oczami, tak że widoczne były tylko białka. Potem chwycił ołówek i zaczął pośpiesznie zapisywać coś na kartce, pozornie bezwiednie. W rzeczywistości cały tekst ułożył w domu i zapamiętał; Hitler z konsternacją przyglądał się temu pokazowi. Kiedy skończył pisać, osunął się na fotel, jakby zupełnie opadł z sił, i podał zabazgraną stronę Hitlerowi, żeby ten na głos przeczytał jej treść. Führer otaksował ją wzrokiem i po chwili wahania wziął do ręki.

– Droga do... – Zatrzymał się i zapytał, co jest napisane w pierwszej linijce. Mentalista wytłumaczył mu zawilości swojego charakteru pisma. – Na Boga! Mógłby pan pisać nieco czytelniej! – krzyknął z irytacją. Potem odchrząknął i czytał dalej metalicznym głosem:

*Droga do celu jest nadal zablokowana,
wyznaczeni wspólnicy jeszcze się nie zebrali.
Za trzy dni wszystko się jednak zmieni,
a na dzień przed końcem nowiu
staniesz w obliczu swojego celu i momentu zwrotnego.
Wszystko nagle się zmienia,
żaden orzeł nie poprowadzi cię szlakiem,
lecz to termity otworzą ci drogę.
Padnie to, co zgniłe i zwiędłe.
Nic tego nie powstrzyma.*

Hanussen ledwie śmiał oddychać, kiedy Führer w całkowitym milczeniu ponownie czytał utwór. Potem zerwał się na nogi, nagle, jednym susem. Oczy lśniły mu szczerem, niemal ciepłym blaskiem. Złapał mentalistę za ramiona i potrząsnął nim podniecony.

– Właśnie tak, przed końcem miesiąca! Dokładnie tak, jak myślałem! Już są nasi, termity zwyciężą! – Potem się uspokoił i opuścił jedną rękę, drugą pozostawiając na ramieniu mentalisty w męskim, nazistowskim geście uznania. – Serdecznie dziękuję, towarzyszu Hanussen, nigdy nie zapomnę, co pan dla mnie zrobił. Przysięgam panu. – Po tych słowach obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Hanussen zastygł na chwilę w bezruchu, próbując ocenić sytuację: Hitler nazwał go towarzyszem i obiecał wynagrodzić. Odniósł zwycięstwo, przy następnej okazji spróbuje ustalić konkrety w związku z Uniwersytetem Okultyzmu. Jakaś wątpliwość uwierała go jednak niczym twardy gruzel: pisząc swoją przepowiednię, miał na myśli jakikolwiek nów, niekoniecznie ten styczniowy. A co jeśli naziści nie osiągną założonego celu przed początkiem lutego? W złą godzinę wpadł mu do głowy ten pomysł. Oczywiście możliwe też, że to wcale nie był przypadek. Silne oddziaływanie tego człowieka, który uważał się za wybrańca losu, mogło odbić się i na nim. Może to nagły przypływ weny? Czy tak jak już czasem mu się zdarzało, udało mu się niechcący trafić? Zabiłby teraz za papierosa. Tak czy inaczej, nie było już odwrotu. *Les jeux sont faits! Rien ne va plus!*

CZĘŚĆ DRUGA

To w styczniu wszystko się zaczęło. Albo skończyło. Albo nastąpił początek końca. Wszystkie wydarzenia prowadziły niemal nieuchronnie do trzydziestego, przedostatniego dnia miesiąca. Giełda zwyżkowała, kursy obligacji rosły, ale sześć milionów bezrobotnych nawet nie poczuło poprawy koniunktury. Połowa niezatrudnionych berlińczyków wyczerpała już zasiłki i teraz musieli godzinami wystawać w kolejkach do garkuchni, żeby załapać się na parę ziemniaków i pajdę czarnego chleba. Tymczasem jedna intryga polityczna goniła drugą. Czwartego stycznia odbyła się pierwsza tajna narada Papena, dawnego kanclerza, z Hitlerem, ujawniona nazajutrz przez prasę. Schleicher odpowiedział na to spotkaniem najpierw z Gregorem Strasserem, odpowiedzialnym za rozłam w NSDAP, a potem z socjaldemokratami i centrowymi katolikami, próbując zbudować niemożliwą koalicję parlamentarną, która poparłaby go podczas posiedzenia Reichstagu zaplanowanego na koniec miesiąca. Tymczasem naziści zadłużali się i wydawali fortunę na kampanię wyborczą w niewielkim powiecie Lippe, liczącym niespełna pół miliona mieszkańców, na dowód, że nadal są partią, którą trzeba brać pod uwagę w kontekście rządzenia. Hitler odwiedził każdą najmniejszą wioskę i odtrąbił zwycięstwo, kiedy piętnastego ogłoszono wyniki: NSDAP wygrała, zdobywając blisko czterdzieści procent mandatów. Choć stanowiło to zaledwie o pięć tysięcy głosów więcej niż w poprzednich wyborach, naziści potrafili dobrze sprzedać mizerny sukces – odwrócił się negatywny trend, a oni pozostawiali jedyną alternatywą dla władzy. W końcu, dwudziestego drugiego stycznia, Hitler spotkał się z Papenem – który zdołał już przekonać bankierów i partie prawicowe, że bez problemu będzie sterował Austriakiem – oraz z pułkownikiem Oskarem von Hindenburgiem, synem prezydenta i jedyną osobą, która zapewniała do niego dostęp. Jak opowiedział mi oburzony Xammar, zwykle dobrze poinformowany w tych sprawach, spotkanie sprowadzało się do pospolitych targów, godnych republiki bananowej: pułkownik miał wyperswadować staremu ojcu niechęć do austriackiego kaprała, a w zamian otrzymać wspaniałą posiadłość o powierzchni dwóch tysięcy hektarów w Neudeck oraz awans wojskowy. Aby zwrócić uwagę opinii publicznej, komuniści zorganizowali w Berlinie wielką manifestację antyfaszystowską, na której stawiło się ponad trzydzieści tysięcy oburzonych uczestników. Jednak kiedy dwudziestego ósmego Schleicher – który chyba jako jedyny nie zorientował się jeszcze, że już po herbacie – zwrócił się do prezydenta Hindenburga z wnioskiem o rozwiązanie parlamentu, ten odmówił i powierzył misję tworzenia rządu Papenowi. Staroświecki arystokrata musiał pękać z dumy ze swoich zdolności negocjacyjnych: oddał Hitlerowi stanowisko kanclerza, ale sam objął urząd wicekanclerza i premiera Prus, największego kraju związkowego Niemiec. Co więcej, naziści dostali tylko dwa ministerstwa, zaś pozostałe osiem obsadzono konserwatystami z kręgów bliskich Papenowi. Związał Hitlerowi ręce i nogi, tak że ten nie mógł zrobić bez niego ani kroku. Mistrzowska zagrywka.

Podniecenie panujące pod wejściem do hotelu Kaiserhof osiągało poziom hysterii. Choć było zimno, a on nie miał płaszcza, postanowił czekać na zewnątrz – chciał jako pierwszy zobaczyć nowego kanclerza. Goebbels wiedział, że na razie nie ma najmniejszych szans na urząd ministra, gdyż prawica uważała jego poglądy za zbyt skrajne, ale nie dbał o to: wreszcie udało im się osiągnąć to, o co tak długo zabiegali, co obiecał im Führer. A jednak warto było walczyć, znosić porażki i zdrady.

Wrzawa zaczęła narastać, aż w końcu stała się ogłuszająca. Przyjechał. Kiedy automobil zatrzymał się przed hotelem, esesmani ze straży przybocznej ledwie zdołali opanować ciźbę. Hitler stanął na odkrytym tylnym siedzeniu i uśmiechnął się triumfalnie. Goebbels poczuł, że jeszcze chwila, a nie zdoła pohamować silnego wzruszenia. Jakże kochał tego człowieka! Ale to nie był zwykły człowiek, miał w sobie jakąś nadprzyrodzoną, magiczną cząstkę. Goebbels przypomniał sobie, jak kilka dni wcześniej Führer towarzyszył mu podczas wizyty u żony, nadal przebywającej w szpitalu. Gdy tylko wszedł do sali, temperatura Magdy spadła, po raz pierwszy od wielu tygodni do normalnego poziomu. Lekarz, który się nią zajmował, stwierdził: „Herr Hitler, jeśli ma pan taki sam wpływ na sytuację w kraju jak na pacjentów, to możemy być pewni, że Niemcy już wkrótce zostaną uzdrowione”.

Führer wysiadł z samochodu, podszedł do niego i uściśnął mu dłoń z wyrazem satysfakcji na twarzy:

– *Jetzt sind wir so weit!* – „Jesteśmy gotowi”, oznajmił.

Goebbels poczuł, że to najszczęśliwszy dzień w jego życiu.

Poświęcił całe popołudnie na przygotowanie widowiska powitalnego dla Hitlera, kiedy ten zajmie wreszcie gabinet w kancelarii. Po zmroku dziesiątki tysięcy mężczyzn – w każdym wieku i ze wszystkich klas społecznych – wystrojonych w nazistowskie mundury zebrały się w Tiergarten. O wyznaczonej godzinie zapalili otrzymane wcześniej pochodnie i rozpoczęli defiladę pod Bramą Brandenburską. Na czele niesiono dumnie flagę, splamioną krwią tyłu towarzyszy, i wspaniałe sztandary, przy akompaniamencie bębnow. Dalej, w idealnym szyku, podzielona na kompanie rzeka wrzącej lawy wypełniała Wilhelmstrasse, przepływając pod balkonami pałacu prezydenckiego oraz kancelarii. W jednym oknie stary Hindenburg, którego – jak żartowali jego współpracownicy – zaskoczyła liczba rosyjskich żołnierzy wziętych jako jeńców po bitwie pod Tannenbergiem. W drugim Adolf Hitler, ubrany po cywilnemu w ciemnoszary garnitur, pławił się w chwale, dość powściągliwie pozdrawiając tłum śpiewający *Horst-Wessel-Lied*, hymn nazistów: „Więc wolny szlak brunatnym batalionom./Więc wolny szlak przed tym, co niesie grom!/Na hakenkreuz z nadzieją patrzą już miliony/I dzień wolności wstaje nad nasz dom!”¹. W gardle ściska, serce wali jak młotem, na twarzach starych bojowników pojawiają się łzy. Goebbels wcisnął się między Hessa i grubasa Göringa, żeby lepiej widzieć szefa. Czy to nie cud, że zwykły kapral, zaledwie czterdziestoczteroletni, zdołał zająć tak wysoko? Czy ten wyczyn nie był najlepszym dowodem, że los wybrał sobie tego człowieka? Przejmująco głośny tłum zaintonował

teraz hymn Niemiec: *Deutschland, Deutschland über alles*. „Kiedy przejmemy władzę – zapowiedział Führer – nigdy jej nie oddamy”. Obserwując zastępy maszerujące ramię w ramię, wzruszony Goebbels był absolutnie przekonany, że tak będzie.

Tłum. Andrzej Lam (przyp. red.). [\[wróć\]](#)

Wraz z Felipem i Xammarem obejrzelismy defiladę z pochodniami – demonstracja umundurowanego entuzjazmu wzbudziła w nas mieszankę smutku i przerażenia. Xammar wspominał, jak niemal dokładnie w tym samym miejscu przed dwoma laty podobny tłum oklaskiwał żydowskiego aktora Chaplina. Teraz można było odnieść wrażenie, że świętuje się wybuch wojny albo pożegnanie żołnierzy maszerujących na front pod okiem znacznie mniej zabawnego artysty.

– Naziści powołują się na demokrację, podkreślają, że to na ich partię oddano najwięcej głosów, żeby uzasadnić przejęcie władzy, ale zobaczycie, że wkrótce zaczną lekceważyć wolę wyborców, kiedy nie będzie im to pasowało – oznajmił, gdy obserwowaliśmy widowisko z zaimprovizowanej trybuny prasowej. – Najgorsze, że wiadomo, jak to jest z polityczną modą: nowe wzbudza entuzjazm, a stare nudzi. Niedługo wszystkie kraje będą chciały mieć swojego Hitlera.

Felipe martwił się ewentualnymi represjami przeciwko partiom lewicowym i niebawem okazało się, że bardzo się nie pomylił. Po defiladzie jeden z batalionów SA, ogarnięty patriotyczną gorączką, udał się w rejon kojarzonej z komunistami ulicy Wallstrasse w Charlottenburgu – doszły nas pogłoski o ofiarach śmiertelnych. Armesto poszedł tam, żeby się dowiedzieć, co się dzieje, ale Xammar stwierdził, że jest już za stary na mieszanie się w takie afery, a ja marzyłem tylko o powrocie do pensjonatu, wysłaniu kroniki do redakcji i wypiciu butelki anyżówki przed snem. Mimo skromnego doświadczenia, niefrasobliwości i początkowo niewielkiego zainteresowania polityką, nawet ja czułem, że to kolejna porażka demokracji, która na całym kontynencie zdawała się w odwrocie. Przez ostatnie miesiące byłem świadkiem rozpaczliwej walki o przetrwanie republiki dysponującej jedną z najbardziej zaawansowanych konstytucji na świecie, a teraz wychodziło na to, że uda im się ją dobić. Nie potrafiłem sympatyzować z żadną partią ani politykiem, odnosiłem wrażenie, że wszyscy dbają wyłącznie o własny interes, nie oglądając się na konsekwencje. Jednak spośród postaci, które miałem okazję poznać osobiście, najgorzej wypadali naziści, zgraja złożona z pozbawionych skrupułów awanturników i wizjonerów, dumnych wyznawców pangermanizmu i wojowniczego mesjanizmu – wszystkiego, co najgorsze ze starych i nowych idei. Jeśli przyszłość Europy leżała w rękach osobników pokroju Göringa, Helldorfa czy Ohsta, to nie mogliśmy się spodziewać niczego dobrego po odradzającej się Rzeszy.

Nie zawarłem jednak tych uwag w swoim artykule. Od nowicjusza oczekiwano obiektywnej relacji, analizą i oceną wydarzeń zajmą się bardziej doświadczeni. Dokonywałem właśnie ostatnich poprawek w tekście, kiedy Manuel Olivar zawołał mnie do telefonu. Dzwonił Hanussen:

– Drogi Pepe! Rozbiliśmy bank! A tak się śmiałeś z korzeni mandragory! – W słuchawce jego śmiech brzmiał pusto i odlegle. – Wiesz, co to oznacza? Międzynarodową, światową sławę, nikt już nie odważy się kwestionować moich proroctw! Rok temu zapowiedziałem, że Hitler zostanie kanclerzem, a kilka dni temu, że obejmie władzę przed końcem miesiąca. I trafiłem! Naprawdę jestem tym, który nigdy się

nie myli! – Sprawiał wrażenie pijanego. – Co robisz, czemu nie ma cię u mnie? Zorganizowałem na szybko małe przyjętko. Co ja mówię, wielkie przyjęcie! Dwa zespoły jazzowe, najładniejsze dziewczyny w Berlinie, najważniejsze osobistości. Rzuć wszystko i przyjeżdżaj. To historyczny dzień, a ty też miałeś udział w tym sukcesie!

Nigdy nie przychodziło mi łatwo odmawiać czegokolwiek mentaliście, a zwłaszcza kiedy ogarniała go taka euforia, ale wcale nie miałem ochoty świętować zwycięstwa. Wymówiłem się pracą, zmyśliłem, że kilka gazet z Ameryki Południowej zamówiło u mnie specjalne artykuły w związku z tym wyjątkowym wydarzeniem. W końcu dał mi spokój, ale musiałem przysiąc na wszystkie świętości, że wpadnę do niego, jak tylko skończę pisać. Nie, nie musi przysyłać samochodu, przejdę się spacerem.

Odłożyłem słuchawkę i nagle poczułem się bardzo zmęczony. Przejrzałem artykuł, wysłałem go do redakcji i padłem na łóżko. Nie mogłem jednak zasnąć. Słowa Hanussena odbijały się echem w mojej głowie. „Też miałeś udział w tym sukcesie!” Przyczyniłem się do defilady z pochodniami, do wojennych hymnów, do ramion wyprostowanych w salucie, do okrzyków pełnych nienawiści. Próbowałem się uspokoić: nie ma sensu się obwiniać tylko dlatego, że pomogłem wykopać jakąś bulwę, nawet mentalista nie wierzył w takie bzdury. Hitler doszedł do władzy nie tyle dzięki swoim przymiotom czy magicznym właściwościom mandragory, ile dzięki ambicji i głupocie innych ludzi. Ale co jeśli zakłęcie, nawet udawane, dodało mu pewności siebie, siły, przekonania? Kto mi kazał się bawić w ucznia czarnoksiężnika? Tylko udawałem prawdziwego dziennikarza, byłem oszustem, zerem. Nie myślałem o skutkach swoich czynów, naiwnie próbowałem aspirować do lepszego życia, pozostającego poza moim zasięgiem, niczym głupiec wierzyłem, że kobieta taka jak baronowa kocha mnie za ładną buzię, sympatyczne usposobienie czy żarty dukane w kiepskim niemieckim. Ona i Hanussen należeli do tego samego świata, świata zwycięzców, którzy zawsze spadają na cztery łapy i nie zważają na konsekwencje. Najlepszym wyjściem z mojej sytuacji byłby powrót do Madrytu, do rodzinnego domu. Powinienem poszukać jakiejś banalnej pracy i wyjść za nudną, kościółkową dziewczynę, która będzie uważała mnie za wielkiego kosmopolitę, choć nigdy nim nie zostanę.

Zapadłem w niespokojny, lepki półsen, pełen mieszających się ze sobą groteskowych wizji. Nie pamiętam, co mi się śniło, ale moje ręce, nogi i głowa ważyły chyba z tonę – choćbym zebrał wszystkie siły, nie zdołałbym poruszyć nawet małym palcem.

Obudziłem się gwałtownie, łapczywie nabierając powietrza, ale usłyszałem śmiech. Baronowa siedziała na łóżku i patrzyła na mnie z rozbawieniem. Mocno mnie uścisnęła i zasypała pocałunkami, ale ja, wciąż przerażony, odrzuciłem jej czułości. Próbowałem się uspokoić, a tymczasem zapytałem o przyjęcie mentalisty, głównie po to, żeby uwolnić się z jej objęć.

– Ach, *herrlich!* Wspaniale, kochanie. Wiesz, że mistrz nigdy nie szczędzi grosza, ale to chyba było najlepsze przyjęcie, jakie kiedykolwiek urządził: olbrzymie srebrne półmiski pełne kawioru, tysiące skrzynek Veuve Clicquot z dwudziestego szóstego, homary świeżo złowione w Bałtyku, dzikie łososie... Członkowie rodziny królewskiej, wysoko postawieni przedstawiciele NSDAP, zagraniczni dyplomaci, najmodniejsi

artyści, prawdziwy hołd dla gwiazdy dnia. A przynajmniej dla drugiego na liście, za nowym kanclerzem, tyle że znacznie bardziej rozrywkowego: króla nocy i okultyzmu.

Miałem okazję uczestniczyć w wystarczająco wielu bankietach mentalisty, żeby wiedzieć, jak się wykosztowywał. Jak zwykle nie brakowało też smakowitych anegdot. Tym razem Hanussen uwiecznił na zdjęciu swojego przyjaciela Helldorfa, jak kompletnie pijany bardzo serdecznie (delikatnie mówiąc) zachowywał się w stosunku do znanej żydowskiej aktorki. To jednak żadna nowość: mentalista musiał dysponować już chyba całymi albumami fotografii przedstawiających hrabiego w towarzystwie w towarzystwie chłopaków i dziewczyn w każdym wieku i najróżniejszych wyznań.

– Zdarzyło się coś jeszcze – dodała baronowa, przygryzając dolną wargę. Spodziewałem się opowieści o kolejnym skandalu, może i z jej udziałem. Byłem przygotowany na wszystko, tylko nie na to, co miała mi powiedzieć: – Powiedziałam mistrzowi, że cię kocham. – Nie mogłem uwierzyć własnym uszom, poprosiłem, żeby powtórzyła. – Kocham cię, kocham... Był tak zadowolony, w takiej euforii, że musiał przyjąć to dobrze.

Nie tylko się nie obraził, ale wręcz udzielił nam błogosławieństwa. Poprosił tylko baronową, żeby pomogła mu dokończyć urządzenie Pałacu Okultyzmu, w który przekształcał kupioną niedawno willę przy Lietzenburger Strasse.

– Będziesz musiała nadal z nim sypiać? – zapytałem, wciąż nie dowierzając.

Pokręciła głową z pięknym uśmiechem, pocałowała mnie w usta i zaczęła się rozbierać.

– Widzisz? Mówiłam, żebyś mi zaufał, wiedziałam, że znajdę odpowiedni moment na przekazanie mu tej wiadomości.

Nigdy wcześniej nie kochaliśmy się tak jak tamtej nocy: rozumieliśmy się bez słów, jakbyśmy stali się jednością, a jednocześnie czuliśmy się całkowicie wolni. Nawet nie przyszło mi do głowy, że w gruncie rzeczy to zwycięstwo Adolfa Hitlera odpowiadało za moje szczęście.

Ponownie przejrzał ostatnie numery gazety Hanussena: *Hitler w ofensywie, Niemcy u władzy, Hitler przygotowuje się do wielkiej decyzji* – głosiły nagłówki przed trzydziestym stycznia. Kulminacja nastąpiła w dniach po ogłoszeniu nowego kanclerza: *Hitler na szczycie* i cytat z wielkiego przywódcy: „Będę miał nieograniczoną władzę”.

W liście otwartym do Führera mentalista podkreślał swoją lojalność i przypominał o udziale, jaki sam miał w zwycięstwie: „Nie jestem nazistą ani komunistą, nie jestem antysemitą ani – mimo pogłosek – wręcz przeciwnie. Szanuję wszystkie uczciwe poglądy polityczne, wszystkie kraje, wszystkie wyznania i religie. Żydzi są mi obojętni, tak jak ja jestem obojętny im. Moją jedyną misją było przekazanie tego, co podpowiedziały mi moje moce. Byłem z tego powodu szykanowany i prześladowany, nazywano mnie «prorokiem nazistów». Jedynym pocieszeniem była dla mnie świadomość, że jestem w dobrym towarzystwie: w Waszym! Nie ma zbiegów okoliczności, los został zapisany w gwiazdach. Pochodnie niesione w berlińskiej defiladzie nie tylko oświetlały pańską szlachetną, spokojną twarz; grzeją również miliony niemieckich serc uznających Pana za swojego lidera. Pochodnie te pomagają odkupić honor każdego Niemca, który zginął w wielkiej wojnie, puszczają z dymem groźby docierające z Moskwy i przynoszą nadzieję milionom głodnych i bezrobotnych. Dlatego pozostaje mi tylko złożyć na Pana ręce, Szanowny Panie Kanclerzu, wyrazy szacunku i wdzięczności. To właśnie czuję i nieważne, czy moim ciotecznym dziadkiem był rabin z Prościejowa czy arcybiskup Kolonii. Wyjąwszy marksistowskich wrogów, dziś całe Niemcy radują się tym cudownym zdarzeniem. Moja misja dobiegła końca w chwili, gdy szczęśliwie został Pan kanclerzem, a nasz naród wreszcie jest w dobrych rękach”.

Niemcy trafiły w końcu w ręce plutokratów, militarystów o dłoniach splamionych krwią, imperialistów, junkrów – właścicieli ziemskich. Hitler zwołał nowe wybory na piątego marca, licząc na umocnienie władzy, i wielu partyjnych kolegów Brunona Freia, od zawsze tchórzów, uciekało gdzie pieprz rośnie: wymyślali podróże służbowe do Pragi, Wiednia, Moskwy czy Paryża, żeby poczekać na dalszy rozwój wydarzeń. On jednak był pewny, że jest jeszcze czas na reakcję, że zdążą zniszczyć nazistowskiego węża, zanim zacznie pociągać za wszystkie sznurki w państwie. Najpierw trzeba skończyć z jego lokajami. Frei wziął do ręki papiery leżące na biurku. Juhn twardo negocjował i długo zajęło uzyskanie od niego dokumentów, ale w końcu udało mu się zdobyć to, o czym marzył: broń, dzięki której pokona Erika Jana Hanussena, a przy okazji zakwestionuje wiarygodność Adolfa Hitlera.

Mentalista był przygotowany na pierwszą okładkę „BaM”. Komunistyczna gazeta w końcu nieraz pisała już o jego pochodzeniu, więc publikacja oficjalnego aktu urodzenia nie wносиła nic nowego do dyskusji. On sam dysponował zresztą fałszywymi dokumentami adopcyjnymi, wedle których miał być synem duńskich arystokratów, więc mógł odeprzeć zarzuty. Problem pojawił się jednak kilka dni później, ósmego lutego, kiedy na pierwszej stronie „BaM” przedrukowano zaświadczenie wystawione przez rabina Fraenkla z Rumburku, zgodnie z którym Erik Jan Hanussen zawarł związek małżeński w obrządku żydowskim z Elfriede Charlotte Rühle (dla przyjaciół: Fritzi) w synagodze centralnej miasta w 1928 roku. Mentalista wciąż cieszył się dużymi wpływami wśród nazistów, dzięki czemu żadna z gazet powiązanych z NSDAP nie podchwyciła informacji, a nawet na jakiś czas zakazano dystrybucji „BaM”, ale nie miał wyjścia – musiał oficjalnie ogłosić wniesienie pozwu przeciwko Brunonowi Freiowi, mimo że wcale nie palił się do kolejnego procesu. Z powodu rozbieżności nazwisk figurujących w dwóch dokumentach opublikowanych przez „BaM” (Herschmann-Chaim Steinschneider w metryce i Hermann Steinschneider w zaświadczeniu od rabina), udało się załatwić odroczenie, ale sędzia wyznaczył datę pierwszej rozprawy na dwudziestego czwartego marca.

Aby zapomnieć o problemach, mentalista w pełni poświęcił się swojemu wielkiemu projektowi: każdą wolną chwilę spędzali z baronową na nadzorowaniu robót budowlanych i wykończeniowych w Pałacu Okultyzmu, którego wielkie otwarcie zaplanowano na dwudziestego szóstego lutego. Nie bacząc na dodatkowe koszty, Hanussen nie dopuszczał możliwości ukończenia remontu nawet dzień po wyznaczonym terminie, więc ekipa pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie pozwolił mi obejrzeć powstającego dzieła, bo miało stanowić niespodziankę dla wszystkich bez wyjątku. Zdradził mi jednak inny ważny aspekt przemeblowania swojego życia, najpilniej strzeżony sekret: w połowie lutego poprosił mnie, żebym pojechał z nim do niewielkiego, dyskretnego kościółka w północnej części Berlina i został jego ojcem chrzestnym. Nie muszę nawet wspominać, jak mocno wzruszył mnie fakt, że to mnie powierzył tę zaszczytną rolę, choć jednocześnie bardzo mnie to zdziwiło.

– Wiesz przecież, że jesteś jedną z niewielu osób, którym mogę zaufać. No i jedynym katolikiem! – odpowiedział na moje pytanie o motywy jego decyzji, kiedy wczesnym rankiem przyjechał po mnie do pensjonatu samochodem Dzina, skromnym oplem, w którym nie zwracalibyśmy na siebie uwagi. W najprostszym ze swoich garniturów, w wyglansowanych butach i z włosami bez śladu brylantyny przypominał małego chłopca szykującego się do pierwszej komunii. Zapytałem też, dlaczego postanowił nawrócić się akurat na katolicyzm, a nie na protestantyzm, wyznawany przez większość mieszkańców północnych Niemiec.

– Może dlatego, że Jezus Chrystus był Żydem, tak jak ja, a Luter to antysemita wieśniak z Saksonii – odparł z uśmiechem. Potem spoważniał. – To ze względu na moją Erikę. Chodzi do szkoły katolickiej w północnych Włoszech i podobno chce zostać

zakonnica, wiesz? – To był chyba jakiś dzień zwierzeń. Nigdy wcześniej nie opowiadał mi o córce, co bardzo mnie zaskoczyło, biorąc pod uwagę jego nieposkromioną gadatliwość. Czy baronowa wiedziała, że mistrz ukrywa taką samą tajemnicę jak ona? – Dziwnie się w życiu układa. Trzy razy się żeniłem, za każdym razem z gojkami, którym kazałem przechodzić na judaizm. Jeśli któraś się dowie, że postanowiłem zostać katolikiem, to mnie zabije! – Hanussen wybuchnął śmiechem i zapalił papierosa trzymanego w pośliskach od nikotyny palcach. Potem jednak uśmiech znów zniknął mu z twarzy. – Moi przodkowie będą się w grobach przewracać. Wiesz, że naziści wymagają od kandydatów do partii udokumentowania czystości krwi sto pięćdziesiąt lat wstecz? Ja mój żydowski rodowód mogę prześledzić przynajmniej przez sto osiemdziesiąt, do rabina Arona Daniela z Prościełowa, eksperta od kabały i słynnego uzdrowiciela, który żył w Czechach w połowie osiemnastego wieku.

Hanussen pogрузił się w myślach – powiedziałbym nawet, że w smutku, gdyby nie fakt, że nie pasowało to do jego charakteru.

– Jakim imieniem zamierzasz się ochrzcić? – zapytałem, żeby przywołać go do rzeczywistości.

Mentalista znowu zaniósł się żywiołowym śmiechem, przerwany dopiero przez atak kaszlu.

– Niezły z ciebie numer, Pepe! Znacznie dłużej noszę miano Erika Jana Hanussena niż to drugie, o którym piszą gazety. To Erik Jan wyciągnął Herschmanna z rynsztoka, zapewnił mi niepospolite życie, uczynił sławnym i bogatym. Wiesz, co oznacza imię Erik w języku staronordyjskim? Jedyny, unikatowy! Sprawdziłem kiedyś w encyklopedii. Nie sądzisz, że pasuje jak ulał? – Mentalista zaciągnął się kolejnym papierosem. – Za imię człowieka powinno uważać się to widniejące na jego nagrobku, a nie to wybrane przez rodziców zupełnie bez sensu.

Mentalista zachował pełną powagę i godność, kiedy wyrzekął się szatana i wszelkiej pychy jego, i potem, gdy namaszczone go olejem, podano mu sól, polano głowę wodą i wręczono gromnicę. Zachował milczenie nawet po wyjściu z kościoła i przez całą drogę powrotną do centrum Berlina.

– Wpaść po ciebie w niedzielę w drodze na mszę? – zażartowałem, kiedy wysadzał mnie pod pensjonatem.

– *Leszana habaa b'jeruszalaim*. Na przyszły rok w Jerozolimie! – odpowiedział cicho z uśmiechem, przywołując starą żydowską modlitwę.

Mentalista nie wyznał mi jednak wszystkiego – został mu jeszcze jeden krok do osiągnięcia pełnej transformacji, a zrobić mógł go wyłącznie z pomocą hrabiego Helldorfa. Przejęcie władzy przez Hitlera doprowadziło do wybuchu zbiorowego obłędu, wszyscy chcieli zapisywać się do partii nazistowskiej, więc kierownictwo postanowiło do odwołania wstrzymać przyjmowanie nowych członków, żeby odsiać karierowiczów oraz wyrazić uznanie dla zasług weteranów z czasów heroicznej walki. Za pośrednictwem hrabiego Hanussenowi udało się jednak uzyskać legitymację potwierdzającą jego przynależność do NSDAP oraz czyste aryjskie pochodzenie. Ze względu na jego wpływy działacze nie zawracali sobie głowy proszeniem o dostarczenie drzewa genealogicznego. Wręczono mu również mundur SA – w którym nigdy go nie widziałem – a nawet

chorągiewkę ze swastyką do umieszczenia na cadillacu. Tym sprytnym manewrem mentalista domknął ochronny krąg, który sobie obmyślił, żeby zabezpieczyć się przed wszelkimi niefortunnymi wypadkami i ewentualnymi niepowodzeniami.

Była ciemna, bezgwiezdna noc. Działa przestały już rzygać ogniem, ale ziemia wciąż trzeszczała, jakby szukała ukojenia po wszystkich tych wstrząsach. Sanitariusze zabrali rannych, na polu bitwy zostały już tylko martwe ciała. Wiedział, że przyszedł czas na niego, musiał wykonać swoje zadanie: pozbierać trupy, nogi i ręce rozrzucone na wszystkie strony. Wziął wózek i ruszył przed siebie, starając się omijać leje wyrwane przez moździerze. Miał już opracowany sposób działania: pourywane członki na tył wózka, a korpusy i całe ciała w przedniej części. Przyświecając sobie latarnią, zaczął badać teren. Musiał uważać, żeby nie wpaść w leje po pociskach. Wkrótce trafił na pierwsze zwłoki. Kiedy je odwrócił, doznał wstrząsu na widok nienaruszonej twarzy. Stłumił atak torsji, złapał nieboszczyka pod pachy, wrzucił go na wózek i ruszył dalej. Następne ciało nieco dalej, jak zepsuta lalka, z nogami wygiętymi pod niemożliwym kątem. Leżało na plecach, na twarzy również nie miało żadnych ran. I te same rysy co poprzedni trup. Dokładnie te same. Od stóp do głów przebiegł go silny dreszcz. Podeszedł do kolejnych szczątków: ta sama twarz. Sprawdził inne ciała, wszystkie miały te same rysy.

Hanussen obudził się z krzykiem, zlany potem. Ten koszmar prześladował go od wielu lat, odkąd na początku wielkiej wojny za symulowanie choroby wcielono go do kompanii karnej odpowiedzialnej za sprzątanie pola walki po okropnej bitwie pod Gorlicami, w której życie straciło ponad osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy austro-węgierskich, niemieckich i rosyjskich. Tym razem jednak sen różnił się od poprzednich, twarze wszystkich poległych wyglądały identycznie. Tym razem wszystkie trupy miały jego rysy, rysy samego Hanussena.

Zaraz po objęciu urzędu kanclerza Hitler zwołał wybory na piątego marca i cały kraj znowu pogrążył się w znanym już szale wyborczym: kolejne plakaty, kolejne przemówienia, kolejne potyczki, jak zwykle. Tym razem jednak równowaga została zachwiana: naziści dysponowali narzędziami niezbędnymi do ograniczenia wolności prasy i zgromadzeń, więc używali ich do woli, zgodnie z własnym widzimisię. Za cel postawili sobie zdobycie większości pozwalającej na rządzenie dekrétami, bez oglądania się na pozostałe partie.

Przez cały luty Hanussen praktycznie nie występował na scenie, ale nieustannie działał: kupił kolejną gazetę, „Die Kritik”, specjalizującą się w wiadomościach gospodarczych i politycznych. Jak powiedziała mi baronowa, czas dzielił między spotkania z Helldorfem – mające na celu, jak podejrzewaliśmy, umocnienie pozycji w partii – oraz gorączkowe wykańczanie robót w Pałacu Okultyzmu. W piątek dwudziestego czwartego w „Die Hanussen Zeitung” ogłoszono wreszcie uroczystą inaugurację – w następną niedzielę miało się odbyć wielkie przyjęcie, na które zaproszono śmietankę towarzyską Berlina. Ta wiadomość, a także najnowsze doniesienia polityczne, zepchnęły pozostałe artykuły na dalsze strony. Jeden z tytułów brzmiał: „Horoskop dla nowego Reichstagu”. W tekście autorstwa samego mentalisty opisywano układy planet w ciągu najbliższych dni: Jowisz, Uran, Merkury, a przede wszystkim Mars miały dokonać tragicznej w skutkach inwazji na inne domy astrologiczne. Mogło to oznaczać tylko jedno: spiski komunistów, które pociągną za sobą represje ze strony narodowych socjalistów. Przepowiednia nie pozostawiała wątpliwości: śmierć parlamentu jest nieunikniona.

W dniu inauguracji stawiłem się w Pałacu Okultyzmu przed wyznaczoną godziną. Jak wspominałem, mentalista nie pozwalał mi na odwiedziny podczas remontu, ale baronowa obiecała mnie oprowadzić przed przybyciem gości.

Hanussen wybrał odpowiednią dzielnicę na lokalizację swojej nowej świątyni. Lietzenburger Strasse biegła wśród solidnych mieszczańskich domów i małych willi zamożnych rodzin. Takie sąsiedztwo przydawało nowemu cyrkowi szacownej aury, do której przyczyniały się także dyskretny wygląd i imperialny styl pałacyku: na zewnątrz nie było ani jednego plakatu, który w jakikolwiek sposób odróżniałby ten budynek od innych. Kiedy dotarłem na miejsce, baronowa stała w futrze na zewnątrz i wskazywała jednemu z ogrodników, jakie ostatnie poprawki należy wprowadzić na grządkach. Chcąc pochwalić pracę, która pochłaniała ją przez ostatni miesiąc, stwierdziłem, że odnowiona fasada wygląda nieskazitelnie.

– Cóż, nie widziałeś jeszcze wnętrza. Nie jest to, jak by to powiedzieć, *mon genre de beauté*, w moim guście, ale myślę, że idealnie nadaje się do celów mistrza – odparła z mieszanką zmęczenia i rezygnacji.

Powinienem był potraktować jej słowa jako ostrzeżenie, ale chyba nic nie mogło przygotować mnie na to, co zobaczyłem po przekroczeniu progu wielkich dębowych wrót: ogromny westybul w stylu rzymskim, z marmurową podłogą i ścianami, otoczony

kolumnami w porządku jońskim i z trzema olbrzymimi posągami w centrum. Zatkalo mnie na widok twarzy postaci umieszczonej w środku. Trzymetrowy Hanussen w stroju rzymskiego cesarza i z wieńcem laurowym na głowie witał gości z ramieniem wyprostowanym w charakterystycznym salucie.

– Nie wiem, co mistrzowi odbiło z tą rzeźbą, ale nie dało się mu przetłumaczyć, żeby jej tu nie stawiał – stwierdziła baronowa, po czym wyjaśniła, że pozostałe posągi przedstawiają Pytię z wyroczni delfickiej oraz wieszczkę Sybillę z Kume.

Z holu przechodziło się do trzech sal, do których prowadziły poślacane wrota oznaczone hieroglifami egipskimi. Za pierwszymi znajdowała się cieplarnia z palmami, egzotycznymi roślinami i zamontowanymi na stałe klatkami dla węży, jaszczurek i innych równie odrażających stworzeń, które z niewyjaśnionych przyczyn nie dusiły się w kłębach dymu kadzideł wydobywającego się z piecyków i spowijającego całe pomieszczenie. Podobno była to Sala Oczyszczenia, w której gość miał się pozbyć negatywnej energii i otworzyć na nowe doświadczenia. Drugi pokój okazał się głównym pomieszczeniem pałacu: potężny salon zwieńczony przeszkloną kopułą, o ścianach pokrytych płatkami złota, ozdobiony wielkimi kulami zmieniającymi barwę, z oświetleniem pośrednim i wypełniony delikatnymi dźwiękami muzyki orientalnej. W tym skrzyżowaniu palarni opium i restauracji indyjskiej – Sali Ciszy – miały się odbywać pokazy dla dużych grup. Ostatni pokój, najmniejszy, stanowił *sancta sanctorum* zwane Salą Szklaną ze względu na stojący na środku wielki stół z matowego szkła. Był on okrągły, ozdobiony znakami zodiaku, podświetlony od dołu, a dookoła mogło się zmieścić dwanaście osób. W środku znajdowała się okrągła przestrzeń, gdzie Hanussen siedziałby podczas sesji z mniejszymi grupami. Pod sufitem zamontowano szklany ekran w stylu art déco, na którym miały być wyświetlane symbole kabalistyczne interpretowane przez mentalistę. Podświetlony blat, subtelna iluminacja i posążki pulchnego Buddy – całość przypominałaby wyrafinowany nocny bar dla par, gdyby nie znowu te przytwierdzone do ściany klatki z przeklętymi gadami.

– Jak ci się podoba? – zapytała baronowa bez cienia złości, kiedy skończyliśmy zwiedzanie.

Całość sprawiała wrażenie arcydrogiego wesołego miasteczka zaprojektowanego przez elfa narkomana, ale postanowiłem wyrazić swoją opinię nieco mniej dosadnie.

– Piramida, o jakiej marzy każdy faraon. Erik na pewno jest zachwycony.

Roześmiała się po raz pierwszy tego popołudnia i pocałowała mnie w policzek.

– Nie martw się, jeśli kiedyś razem zamieszkamy, kupię wyposażenie w innym sklepie, obiecuję.

Dźwięki sonaty Bacha wygrywanej na niewidocznych organach przyciągnęły nas do wejścia: zaczęli przybywać goście zaproszeni na wielką uroczystość. Niektórym wyraźnie zbierało się na śmiech na widok takiego popisu ostentacyjnego luksusu z papier *mâché*, ale powstrzymywał ich zabobonny lęk – to przecież dom wielkiego Hanussena, człowieka, który nigdy się nie myli. Wkrótce czekała ich kolejna niespodzianka: orientalni służący, w białych turbanach i zielonych koszulach z surowego jedwabiu, zakładali gościom na buty filcowe pantofle, jak przy wejściu do jakiegoś sanktuarium. Przypomniało mi się, że to samo moja babcia kazała robić wnukom, kiedy do niej

przychodziliśmy – dzięki temu mieliśmy nie tylko nie porysować parkietów, ale przy okazji, podczas zabawy, wypucować je na błysk. Tutaj zabawa skończyła się jednak wraz z przybyciem pierwszego nazistowskiego oficjela. Sturmbannführer Ohst, kumpel hrabiego Helldorfa, ani myślał pozwolić sobie założyć bamboszy na wyglansowane oficerki i zaczął wrzeszczeć na służącego, który próbował go obuć. Okazało się, że co innego maszerować gęsiego w defiladzie, a co innego dreptać jak kaczka na salonach, więc kiedy Dzino zorientował się, że to nie najlepszy pomysł, kazał pozostałym Hindusom dać sobie spokój z tym elementem scenografii. Sekretarz Hanussena podjął słuszną decyzję: wkrótce pojawił się Helldorf w towarzystwie Ludwika Ferdynanda, księcia Prus, i wolę nawet nie myśleć, jaką awanturę zrobiliby hrabia służącemu, który ośmieliłby się dotknąć jego buta.

Baronowa zostawiła mnie samego i zajęła się obowiązkami gospodyni, więc zacząłem krążyć między gośćmi przybyłymi na inaugurację, starannie wybranymi osobistościami z rozmaitych środowisk i kręgów, w których obracał się mentalista: z jednej strony naziści, arystokraci i przedsiębiorcy, z drugiej aktorzy, pisarze, dziennikarze i malarze. Dało się również wyróżnić dwie nieco mniej oczywiste grupy: Żydów i Aryjczyków; mimo bowiem ostatnich wydarzeń politycznych Hanussen nie zważał na podziały rasowe, kiedy zapraszał przyjaciół ze świata rozrywki. W pierwszych miesiącach 1933 roku nie przywiązywano jeszcze takiej wagi do genealogii i po kilku kieliszkach szampana wszyscy zdawali się czuć swobodnie. Brakowało tylko przezornych, którzy na wszelki wypadek woleli wyjechać z kraju, jak Peter Lorre i Conrad Veidt – ten drugi niedawno ożenił się z aktorką żydowskiego pochodzenia.

Poczułem czyjąś dłoń na ramieniu, obróciłem się i Dzino powitał mnie zupełnie niegermańskim uściskiem. Kiedy pogratulowałem mu udziału w wielkim dziele, uśmiechnął się z satysfakcją. To był szalony miesiąc, ale udało im się zdążyć w terminie wyznaczonym przez mistrza. Zaoferował mi zwiedzanie przybytku, ale wyjaśniłem, że baronowa już mnie oprowadziła.

– Założę się, że nie pokazała ci wszystkiego – odparł i puścił do mnie oko.

Otworzył drzwi ukryte w ścianie i poprowadził mnie schodami w dół do maleńkiego pokoju o ścianach obwieszonych głośnikami. Dzino włączył jeden z nich i usłyszałem całkiem wyraźnie głos, który wydał mi się znajomy.

– Nie, nie, towarzyszko, za wcześnie na gratulacje! Führer nie dysponuje jeszcze pełnią władzy, ale zapewniam, że już wkrótce powierzy mi stanowisko. – Poznałem hrabiego Helldorfa.

– Jak to możliwe?

Dzino zaśmiał się na widok mojej zdziwionej miny.

– Spędziłeś z nami już sporo czasu, więc chyba wiesz, że mistrz potrzebuje czasem... pomocy w swoich spektaklach. W teatrze mamy asystentów, którzy krążą wśród widzów i podsłuchują rozmowy. Tutaj udało nam się pójść o krok dalej. Cuda techniki!

– A skąd wiadomo, który głos do kogo należy?

– Podzieliliśmy salon na pola, jak widzisz na tej siatce, i podglądamy publiczność przez peryskop ukryty w dekoracjach. – Dzino znów uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Oczywiście czasem jedni goście zasłaniają drugich, wtedy trzeba posiłkować się intuicją, pamięcią i logiką. To także wielka sztuka, nie uważasz?

Nigdy nie przepadałem za plotkami, ale chyba każdego zafascynowałby taki dar wszechobecności umożliwiony przez wynalazki radioelektryczne. Z nazistowskiego arystokraty można było przerzucić się na żydowskiego przedsiębiorcę, kupującego aktywa w Genewie, żeby się zabezpieczyć w obliczu niepewnej sytuacji politycznej, albo na dziewczynę przedstawianą jako wielka księżna Anastazja, która rzekomo przeżyła mord Romanowów. Mógłbym spędzić tam całą noc, ale Dzino zwrócił mi uwagę, że wkrótce zacznie się przedstawienie, a moje miejsce jest na górze.

Pod moją nieobecność hałas przybrał na sile. Dało się zauważyć mieszankę podlanej alkoholem euforii oraz niecierpliwego wyczekiwania na Hanussena, który nie raczył się jeszcze pojawić. Nagle jednak służący kazali się odsunąć gościom stojącym na środku sali, a światła nieco przygasły. Niewidoczny organista z mocą zaintonował uwerturę *Tannhäusera*, a podłoga się rozstąpiła, ukazując czarną otchłań. Nastrój oczekiwania uciszył nawet największe gaduły. W kulminacyjnym momencie utworu Hanussen, siedzący na tronie w purpurowej pelerynie, wynurzył się z czeluści piwnicy i – dzięki zastosowaniu podnośnika hydraulicznego – wzniósł się wysoko ponad głowy publiki, która powitała go żywiołowym aplauzem. Nie mogłem wyjść z podziwu nad jego wrodzonym talentem do widowisk, zdolnością olśniewania i zadziwiania publiki. Mentalista trzymał szklaną kulę, emitującą pomarańczowe i niebieskie błyski oświetlające mu twarz. Przez chwilę milczał, a potem zaczął przemawiać metalicznym, chrapliwym głosem.

– Drodzy wielbicielu nieznanego, witajcie w swoim nowym domu.

Początek mowy poświęcił na prezentację Pałacu Okultyzmu i jego poszczególnych pomieszczeń. Następnie podkreślił, że on sam jest tylko zapowiedzią przyszłości, że za pięćdziesiąt lat wszyscy będziemy jasnowidzami, i inne rzeczy, które nieraz już od niego słyszałem. Rozejrzałem się za baronową i wkrótce zauważyłem ją przycupniętą na brzeżku krzesła, jakby próbowała dosięgnąć swojego mistrza, z wyrazem podziwu na rozpromienionej twarzy. Na mnie nigdy tak nie patrzyła, ani razu. Ogarnięty zazdrością niemal nie słyszałem reszty długiego wystąpienia mentalisty, ale dotarły do mnie jakieś ogólne przepowiednie: czas nowej chwały Niemiec, krwawe czystki, pomyślny okres, wojna. Nie wiem, jak długo przemawiał, dwadzieścia minut, może pół godziny, ale mnie ten czas ciągnął się jak kąpiel w kotle ustawionym na ogniu. Cierpiałem i nic nie mogłem na to poradzić: tamta kobieta zdawała się żywić moją energią.

Gdy ta część spektaklu dobiegła wreszcie końca, tron opuścił się przy aplauzie widzów, a Hanussen, już bez peleryny, dołączył do przyjęcia. Ja jednak nie miałem nastroju do zabawy – jak w piosence *Antonio Vargas Heredia* przekłeta zazdrość zamgliła mi wzrok, a ja niczym rozjuszony byk ruszyłem na baronową i złapałem ją za ramię.

– Nadal jesteś w nim zakochana! Zawsze byłaś! Widzę to w twoich oczach!
– wrzeszczałem, ciągnąc ją do kąta. Nie dała się jednak osaczyć i z całej siły wbiła mi paznokcie w dłoń, żeby się oswobodzić.

– Jesteś żaloszny, nigdy niczego nie rozumiałeś – odparła, patrząc na mnie z okrutną pogardą, a może nawet wstrętem.

Odepchnęła mnie gwałtownie i wróciła do gości. Zostałem sam w swoim kącie, oszołomiony, porażony, zszokowany. Czułem się mały, malusieńki, jak mysi bobek albo kupka muchy, którą lada chwila mógł porwać wiatr. Zabrzmiało to jak pożegnanie, a nawet gorzej: jakby nigdy mnie nie kochała.

Następną godzinę pamiętam jak przez mgłę. „J-e-s-t-e-ś ż-a-ł-o-s-n-y, n-i-g-d-y n-i-c-z-e-g-o n-i-e r-o-z-u-m-i-a-ł-e-ś”: wyraz po wyrazie, sylaba po sylabie, głoska po głosce analizowałem słowa baronowej. Nie czułem się pewny swojej znajomości niemieckiego, chciałem wyjaśnić wątpliwości, więc zdesperowany postanowiłem zwrócić się o pomoc do jakiegoś rodzimego użytkownika języka. Padło na jednego z orientalnych służących Hanussena, który tak naprawdę miał na imię Helmut i był Cyganem z Lichtenbergu. W końcu jeśli ktokolwiek wiedział, co właściwie się tu wyprawia, to służba. Helmut, porządny człowiek, stwierdził, że o ile pierwsza część wypowiedzi nie zostawia pola do interpretacji, o tyle druga wpuszcza mały promyk nadziei: ona zawsze mnie kochała, ale ja tego nie rozumiałem. Niestety, Fritz, inny z udawanych Hindusów, miał diametralnie odmienną opinię: ona zawsze zdradzała mnie z mentalistą, jednocześnie zdradzając go ze mną. Paskudny typ z tego Fritza.

Przed wybiciem północy Dzino zaczął zapraszać najbardziej szacownych gości na prywatną sesję w Sali Szklanej. Uznałem, że czas się z godnością wycofać, pójść lizać rany gdzie indziej. Mógłbym jeszcze pewnie zgarnąć Felipego z pensjonatu i namówić go na rundkę po barach, żebym tam próbować zapomnieć, jaki jestem żaloszny. W ostatniej chwili przyszło mi do głowy, że tak jak poprzednie sesje, również i na tę zaplanowano być może jakiś erotyczny występ baronowej. Masochistyczne uzalanie się nad sobą, potrzeba dalszego upokarzania się, a może nadzieja na wyjście z błędu – coś pociągnęło mnie w stronę tamtej sali. Udało mi się przekonać Dzina, żeby mnie wpuścił tuż przed zamknięciem drzwi.

Mentalista zajmował miejsce w centrum stołu, wokół którego dwanaście osób siedziało z dłońmi wyciągniętymi na matowym szkłe; podświetleni od dołu wyglądali jak duchy. Hanussenowi udało się osiągnąć idealnie zaplanowany efekt wizualny: krąg tworzył atmosferę ezoterycznego nabożeństwa, siedzący wokół stołu zachowywali pełne napięcia milczenie, a pozostali goście, stojąc pod ścianami, odważali się co najwyżej szeptać, dopóki i ich mentalista nie uciszył.

– Moje pokazy w teatrze to rozrywka dla mas, podatnych na sugestię – oznajmił.
– Prawdziwe przepowiednie, najwyraźniejsze wizje, powstają w wyniku bliskiego kontaktu w małych grupach, takich jak ta.

Dalej tłumaczył, że choć potrafi co prawda bezpośrednio czytać w myślach, tym razem, aby uniknąć podejrzeń, postanowił zrobić to za pośrednictwem cieszącej się dużym prestiżem osoby spoza swojego kręgu. Dzięki temu nikt nie będzie mógł powiedzieć, że to ustawiona sztuczka. Poprosił o ochotnika, ale nikt się nie wrywał, więc mentalista sam wybrał bardzo atrakcyjną blondynkę. Odetchnąłem z ulgą, że to nie baronowa – ona stała oparta o kolumnę w drugim końcu pokoju – ale Maria Paudler, znana aktorka, która przyjechała tu prosto z teatru i nie załapała się na pierwszą część przyjęcia. Hanussen kazał jej wejść do środka kręgu, usadził na swoim krześle i stanął za nią. Potem zaczął poruszać dłońmi nad głową zaskoczony aktorki, której nie udało się

powstrzymać śmiechu. To nie spodobało się mentaliście: obrócił krzesło i przeszył kobietę czarnymi reflektorami oczu. Potem, pewnie żeby pomóc jej się odprężyć, zaczął masować jej skronie. Z początku jej mina zdradzała niepokój, może nawet niezadowolenie, ale stopniowo się rozluźniała i wkrótce kobieta wpadła w trans.

Mentalista zaczął od prostych sztuczek: pytał aktorkę, co ten czy inny z obecnych ma w kieszeni albo portfelu, a ona odpowiadała monotonnym głosem, bez problemu trafiając. Potem Dzino rozdał zgromadzonym papier i ołówki, a Hanussen kazał im zapisać pytania o niepokojące ich sprawy z przyszłości, włożyć je do udostępnionych kopert i starannie zakleić. Aktorka kładła dłoń na zamkniętej kopercie i wygłaszała proroctwo: znanemu bankierowi przepowiedziała, że zapowiadająca się korzystnie transakcja może doprowadzić go do ruiny; Helldorfowi, rzecz jasna, wywróżyła nominację na wysokie stanowisko w ciągu najbliższych tygodni, co hrabia przyjął z pomrukiem zadowolenia; niepozornej dziewczynie o udreżonej twarzy, której nawet nie zauważyłem, choć stała tuż obok – że wkrótce zostaną uznane jej prawa do tronu Rosji. Wszyscy obecni zdawali się pod dużym wrażeniem i usatysfakcjonowani wróżbami. Hanussen zapytał medium, czy dobrze się czuje, czy nie jest jej za ciepło. Dziewczyna zaczęła się denerwować:

– Tak, jest mi gorąco, okropnie gorąco.

– Gdzie jest źródło tego ciepła?

– Widzę nad sobą czerwone kręgi. – Wszyscy odruchowo spojrzeli na sufit.

Mentalista znów zaczął masować jej skronie.

– Co to za kręgi? To ogień?

– Tak, płomienie! – wrzasnęła aktorka z przerażeniem.

– Jesteś pewna?

– Płomienie nade mną, płomienie ze wszystkich stron, otaczają mnie niszczycielskie płomienie! – Niektórzy goście zaczęli niespokojnie rozglądać się wokół, wypatrując oznak pożaru.

– Gdzie jesteś? Gdzie doszło do tego pożaru? – Głos mentalisty brzmiał niezwykle spokojnie.

– Wszystko się pali! Płomienie trawią wielki dom! Nie, jest ogromny, to pałac! Pałac ludu! Płoną zasłony, palą się gobeliny, obrazy. Płomienie pożerają wszystko.

– Spokojnie, wszystko jest w porządku.

– Ogień jest wszędzie! To sygnał do rewolty! Wszystko staje się czerwone, czerwone jak krew! Tam, gdzie jest ogień, wkrótce popłyną rzeki krwi!

Tak brzmiały ostatnie słowa z ust Marii Paudler, zanim zemdląca. Wśród skonsternowanych gości zapadła cisza. Hanussen próbował ich uspokoić, tłumaczył, że aktorce nic się nie stało, że podczas sesji takie sytuacje często się zdarzają. Poprosił też o zachowanie w tajemnicy tej „nieprzyjemnej przepowiedni pozbawionej jakiegokolwiek znaczenia” i zaprosił uczestników seansu z powrotem do głównego salonu, a za nimi podążyła reszta gości, żeby kieliszkiem szampana spróbować ukoić zszargane nerwy. Wkrótce większość obecnych zapomniała o całym zajściu. Przynajmniej do następnej nocy.

Nieprzyjemny dźwięk telefonu wyrwał ich z zaszuchania wytrącił z oczarowania głosem przywodzącym na myśl okno na nowe jutro, na lepszą, czystą przyszłość. Zwykle zignorowałyby dzwonek i pozwolił odebrać służbie, ale kiedy był u niego szef, Joseph Goebbels zawsze osobiście podnosił słuchawkę, żeby zrobić na nim dobre wrażenie.

– Muszę natychmiast porozmawiać z Führerem! – Usłyszał głos Putziego Hanfstaengla, nadwornego błazna.

– O co chodzi? Mogę przekazać wiadomość – rzucił ostro.

Mając na uwadze fakt, że Hitler przepadał za tym, jak Putzi grał na fortepianie jego ulubione utwory, Goebbels niechętnie zaprosił go na wieczorne spotkanie, ale Hanfstaengl miał czelność wymówić się chorobą. Niewdzięcznik nie zmienił zdania, nawet kiedy Magda osobiście do niego zadzwoniła, nalegając na wizytę. Za kogo ten pętał się uważał, żeby wystawić Führera, no i jego samego, z powodu głupiej grypy?

– Powiedz mu, że Reichstag stoi w płomieniach, widzę to z okna swojego pokoju!

– Hanfstaengl, znowu żarty się ciebie trzymają? – zapytał Goebbels szorstko. Rozmówca sprawiał wrażenie wzburzonego, ale on nigdy nie ufał temu typowi, który zawsze chciał znajdować się w centrum uwagi.

– Jeśli chcesz, możesz tu przyjechać i zobaczyć to na własne oczy! – odparł Putzi gniewnie i się rozłączył.

Hitler, który przysłuchiwał się rozmowie, zapytał, co się dzieje. Goebbels zamierzał zbagatelizować całą sprawę i rzucić jakiś złośliwy żart o Putzim i jego nazistowskich mundurach szytych na miarę u jednego z najlepszych krawców w Londynie – zawsze bardzo bawiły one Führera – ale intuicja podpowiadała mu, że może się mylić. Dobrze znał stosunek swojego szefa do pomyłek, więc postanowił oddzwonić.

– Hanfstaengl, Führer chciałby się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje. Tylko bez głupot.

– Powtarzam wam, że w Reichstagu wybuchł pożar!

Kiedy Hitler i Goebbels przybyli na miejsce zdarzenia, policja otaczała teren kordonem, ale funkcjonariusze utorowali im drogę między tłumem, który zaczął się już gromadzić. Napadało śniegu, więc idealnie biały plac przed parlamentem lśnił w blasku płomieni. Przeskakując nad wężami, omijając uganiających się strażaków i uchylając się od strumieni wody tryskających z barek na rzece, skąd próbowano ugasić pożar, poszukiwali odpowiedniego punktu, z którego mogliby obserwować przebieg wydarzeń: wszystkie okna były rozświetlone niczym podczas jakiegoś upiornego balu, a płonące zasłony powiewały na wieczornym wietrze. Nagle z głośnym trzaskiem zapadła się olbrzymia kopuła ze stali i szkła, zostawiając po sobie olbrzymi komin buchający w niebo tysiącami iskier. Goebbels cofnął się o krok – czuł na twarzy parzące ciepło płomieni, a dym przyniesiony przez silny podmuch wiatru wywołał atak kaszlu – ale bez żalu patrzył na upadek Reichstagu. Nigdy szczególnie nie przepadał za tym budynkiem, kiczowatym tortem weselnym, ani za wymową tego symbolu zepsutej, zgniłej demokracji, w której głos niemieckiego patrioty wart był tyle samo co głos zdrajcy

narodu. Jego zniszczenie nie będzie żadną stratą; wręcz przeciwnie, może się nawet okazać wspaniałą szansą.

Wkrótce wypatrzili wśród służb ratunkowych Göringa, wywrzaskującego rozkazy, których nikt nie słuchał. Czerwony i zlany potem wyjaśnił Führerowi z całym dramatyzmem, na jaki było go stać – a stać go było na niemało – że przybył na miejsce, gdy tylko dowiedział się o pożarze, i wpadł do budynku, żeby uratować gobeliny. Kiedy wszedł do sali obrad, podmuch gorącego powietrza gwałtownie pchnął go w płomienie. Na szczęście zaczepił pasem o jakąś poręcz, dzięki czemu nie poleciał w samo serce pożaru. Nie miał wątpliwości, że to dzieło komunistów: kilku posłów tej partii opuściło Reichstag jako ostatni, zaledwie dwadzieścia minut przed wybuchem pożaru, a przed chwilą zatrzymano jednego z ich działaczy wewnątrz budynku, bez koszuli – wykorzystał ją jako lont – i z puszkami środków łatwopalnych w rękach.

– To początek rewolucji komunistycznej! – wołał podniecony. – Musimy raz na zawsze wyeliminować czerwonych! Nie ma chwili do stracenia!

– To znak od Boga! Bez litości zmiażdżymy to mordercze robactwo naszą żelazną pięścią! – zawtórował mu Hitler. Zapienił się ze złości, a oczy niemal wyszły mu z orbit.

Goebbels milczał, ale to on odczuwał największą wściekłość. Udało mu się złożyć wszystkie fragmenty układanki: komuniści to nie idioci, nie popełniliby przecież politycznego samobójstwa. Odpowiedzialność spoczywała więc na pewno na tym grubym sukinsynu, znalazł sobie sposób, żeby wyrwać się do przodu w wyścigu o względy Führera, wręczyć Hitlerowi w prezencie całą lewicę ze związanymi rękami i nogami. Zacisnął pięści ukryte w kieszeniach płaszcza. Najchętniej wrzuciłby Göringa w płomienie i z lubością patrzył, jak ogień trawi jego ubranie i wytapia się lśniący tłuszcz, słuchał jego zniewieściałych pisków. Jednak nie pora na to, znajdzie jeszcze lepszą okazję. Teraz należało uruchomić maszynę propagandową, żeby dokończyć dzieła i wykorzystać szansę na umocnienie władzy absolutnej Führera. W głowie zaczął już układać nagłówki artykułów. Jeśli komuniści i tak mieli zginąć, to lepiej wcześniej niż później.

– Jesteśmy świadkami narodzin nowej ery w historii Niemiec – oznajmił Hitler już nieco spokojniej i omiół budynek szerokim gestem miękkiej dłoni. – Te płomienie to długo wyczekiwane przez nas światła jutrzeńki.

W opustoszałej redakcji dwóch mężczyzn patrzyło na siebie z rozpaczą i oszołomieniem. Nie wiedzieli, co robić. Telefon dzwonił uporczywie, aż w końcu jeden z nich postanowił wstać i podnieść słuchawkę. Miał już jak zwykle rzucić: „Frei, słucham”, ale intuicja podpowiedziała mu, że lepiej się nie przedstawiać.

– Halo, Bruno? – rzucił głos na drugim końcu linii. Należał do redaktora liberalnej gazety „12-Uhr Blatt”, starego przyjaciela, choć z innego obozu politycznego. – Słyszałeś już o pożarze Reichstagu? – Lakonicznie potwierdził. Wieść zdążyła już obiec cały Berlin. – To prawda, że to wy za tym stoicie? Komuniści?

Frei zabalgotał z oburzeniem.

– Jak możesz w to wierzyć? Nie rozumiesz, że to nam najbardziej zaszkodził ten zamach, że to prowokacja mająca na celu zniszczenie naszej partii? – Odkąd naziści doszli

do władzy, nieustannie atakowali komunistów. Zorganizowali nawet rewizje w kilku siedzibach partii zaledwie pięć dni przed pożarem, w szczycie kampanii wyborczej.

– Jesteś pewny? Słyszałem plotki, że złapali jednego z waszych w samym Reichstagu.

– To by był najbardziej kretyński sposób wywołania rewolucji, nie sądzisz? Podpalić budynek, i tyle? Bez całościowej akcji, bez wyprowadzenia mas na ulice, bez próby przejścia newralgicznych ośrodków władzy? Zresztą, jeśli mi nie wierzysz, jest tu ze mną Willi Münzenberg, czyli, jak ci wiadomo, członek biura politycznego partii. Osobiście może zaświadczyć, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego. – Willi machnął ręką na znak, że nie ma ochoty z nikim rozmawiać.

– Wszystkie znaki wskazują na was – powtórzył redaktor „12-Uhr Blatt”. – Dzwonił do mnie nawet Hanussen i potwierdził te plotki, a wiesz, że on ma niezłe koneksje.

Freia tak to zaskoczyło, że przez dłuższą chwilę nie mógł zrozumieć, co ma mentalista do całej tej afery. W końcu udało mu się wydusić:

– O której do ciebie dzwonił?

– O wpół do dziesiątej.

– Jesteś pewny?

– Absolutnie, spojrzałem na zegarek.

Frei walnął wściekle pięścią w stół.

– Nie dociera do ciebie, że zadzwonił zaledwie kwadrans po stwierdzeniu pożaru? – zapytał. – A on już wtedy wiedział, że to wina komunistów? Ha, ładne mi jasnowidztwo! Musieli to zorganizować jego kumple naziści, a ten gaduła o wszystkim wiedział i nie potrafił trzymać gęby na kłódkę!

– No może, nie wiem... – Usłyszał w słuchawce westchnienie rozmówcy. – Ale takie teorie spiskowe to stara śpiewka. Jesteś pewny, że nie chodzi o jakiś niekontrolowany element w waszej partii?

Frei uznał, że nie ma czasu na takie bzdury, i odłożył słuchawkę. Przygnębiony potarł twarz.

– To sprawka Helldorfa, na pewno wykonywał rozkazy Goebbelsa albo Göringa, decyzje tej rangi podejmuje się na wysokim szczeblu. Ale ten sukinsyn Hanussen też jest w to zamieszany. Na pewno. Nie mogę uwierzyć, że po tylu miesiącach prób zwalczania tego łajdaka, teraz to on jest górą i kończy z nami. „Człowiek, który nigdy się nie myli”, co za pierdoły. Teraz rzeczywiście nikt go nie powstrzyma. Ani jego, ani jego wąsatego szefunia.

Willi zerwał się na równe nogi, przeczesał ręką włosy i zaczął zbierać papiery.

– Nie myśl już o tym, zniszcz tyle poufnych dokumentów, ile zdołasz. Jeśli się pośpieszymy i dopisze nam szczęście, jutro rano możemy być w Pradze. Mimo wszystko nie zazdroścę temu twojemu Hanussenowi. Zadawanie się z nazistami to jak wejście do klatki tygrysa bengalskiego: cuchną, a w końcu i tak pewnie użyją twoich kości jako wykałaczek.

PO POŻARZE PARLAMENTU: KONIEC REPUBLIKI?

Berlin, 6 marca 1933 roku

Kronika telefoniczna naszego korespondenta Josego Ortegi z Berlina

Według oficjalnych źródeł pożar Reichstagu, do którego doszło w ostatni wtorek i w którym nikt na szczęście nie ucierpiał, stanowił pierwszy akt nowej rewolucji w stylu radzieckim. Zatrzymanie Marinusa van der Lubbeego, dwudziestoczteroletniego komunisty z Holandii, pociągnęło za sobą zawieszenie działalności Komunistycznej Partii Niemiec, prasy lewicowej oraz licznych swobód obywatelskich, takich jak wolność zgromadzeń, wolność słowa i prawo do prywatności w procesie komunikacji. To wszystko, w połączeniu z zatrzymaniem ponad czterech tysięcy komunistów oraz notorycznym wykorzystywaniem oficjalnych środków przekazu do celów propagandowych, miało zapewnić narodowym socjalistom łatwe zwycięstwo w wyborach parlamentarnych, które odbyły się w ostatnią niedzielę. Jednak ku ogólnemu zaskoczeniu wyniki nie okazały się tak rozstrzygające, jak się spodziewano w niektórych kręgach: partia Hitlera zdobyła kolejne 92 miejsca, co w sumie daje 288 mandatów, ale to zaledwie 44 procent głosów, czyli wciąż daleko do większości (326 posłów), a NSDAP nie zdołała osiągnąć przewagi w kluczowych ośrodkach miejskich, takich jak Berlin czy Kolonia. Z kolei Komunistyczna Partia Niemiec, mimo represji, jakim poddano ją w ostatnim czasie, straciła zaledwie milion głosów i pozostaje trzecią siłą w niższej izbie parlamentu, za socjaldemokratami, którzy osiągnęli praktycznie identyczny rezultat co w poprzednich wyborach. Mało kto ma jednak złudzenia co do przyszłości nowego parlamentu: po wyeliminowaniu komunistów naziści muszą zdobyć już tylko poparcie innych ugrupowań nacjonalistycznych oraz centrum, żeby osiągnąć większość dwóch trzecich, co pozwoli im przyjąć ustawę umożliwiającą rządy dyktatorskie. Choć 56 procent Niemców głosowało na inne partie, obecnie nie ma już chyba żadnej poważnej przeszkody, która uniemożliwiłaby Adolfowi Hitlerowi zdobycie władzy absolutnej.

Wiadomość o pożarze Reichstagu zaskoczyła mnie, Xammara i Felipego podczas kolacji w Ratskeller, piwiarni sąsiadującej z Pensión Latina. Właśnie skończyłem opowiadać o tym, co się działo poprzedniego wieczoru w Pałacu Okultyzmu i o przepowiedni mentalisty, kiedy usłyszeliśmy syreny wozów wyjeżdżających z remizy strażackiej, usytuowanej przy Rankestrasse, zaledwie kilka domów od miejsca, w którym siedzieliśmy. Od stolika do stolika zaczęły krążyć plotki, aż w końcu jeden z kelnerów włączył radio, co potwierdziło nasze domysły. Przez lokal przebiegł szmer zaskoczenia i oburzenia.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Zwłaszcza gdy sprawa dotyczy twoich kumpli nazistów. Wczorajsza przepowiednia twojego drogiego Hanussena była nieprzypadkowa – stwierdził Xammar z wściekłością, jakiej jeszcze u niego nie widziałem.

Próbowałem się bronić, wypierać jakichkolwiek związków z tymi ludźmi, ale

Felipe nie pozwolił mi się nawet wytłumaczyć.

– A nie mówiłem? Sam widzisz! Zacząłeś igrzać z ogniem i w końcu się sparzyłeś. W tym wypadku dosłownie! Pieprzony sukinsyn! – wrzeszczał na mnie. – To przez ciebie i tego twojego koleżkę moi towarzysze skończą w więzieniach albo na wygnaniu, albo w ogóle jako trupy. Oni i większość przyzwoitych ludzi w tym kraju. Naziści potrzebowali tylko pretekstu, żeby wszystko rozwalić, a wy podaliście go im na tacy!

Na próżno próbowałem wyjaśniać, że nic o tym wszystkim nie wiedziałem, nie znałem planów mentalisty. Nigdy nie widziałem go w takim stanie, przez chwilę bałem się wręcz, że mnie uderzy, ale ostatecznie wypadł z piwiarni, krzyząc: „Pierdołę tych wszystkich uczniów *feiticeiro*!”

Każdy z naszej trójki osobno udał się do Reichstagu, żeby przygotować relację z pożaru. Mogłem nieco podkoloryzować reportaż, napisać, że widziałem, jak Hitler i jego świta przyglądali się unicestwieniu parlamentu, zmyślić jakąś barwną anegdotę, ale tak naprawdę, kiedy dotarłem na miejsce, było tam już mnóstwo ludzi, a trudno kogokolwiek zidentyfikować wśród tłumu i kłębow dymu. Strażacy bezowocnie walczyli z wysokimi na ponad dwadzieścia metrów płomieniami, które trawiły budynek. Nie ulegało wątpliwości, że to celowe podpalenie: ogień miał pięć niezależnych źródeł, co pozwoliło mu szybciej się rozprzestrzeniać.

Obserwując, jak płonie stary pałac, czułem, że coś jeszcze się za mną pali. Miałem rację: Xammar zaczął mnie unikać, nie podchodził do telefonu, kiedy dzwoniłem, nie zaglądał do pensjonatu. Z kolei Felipe nawet się ze mną nie witał, gdy mijaliśmy się na korytarzu. Pocieszałem się myślą, że niedługo im przejdzie, i zatopiłem w pracy, której teraz na szczęście miałem pod dostatkiem.

Cały świat z zapartym tchem czekał na doniesienia z Berlina, więc redakcja nieustannie domagała się informacji o najnowszych wydarzeniach. Naziści za pomocą kija (na socjalistów i komunistów) i marchewki (dla partii Centrum i nacjonalistów) próbowali zebrać poparcie dla Ustawy o pełnomocnictwach, która zapewniłaby Hitlerowi władzę absolutną, a tymczasem zwołali kolejne wybory, tym razem do władz miejskich i krajów związkowych, żeby umocnić swoją pozycję na szczeblu lokalnym. Pożar Reichstagu na zawsze odmienił oblicze Niemiec. Mimo rezultatu wyborów obywatele, w obliczu rzekomego zagrożenia komunistycznym zamachem stanu, zwarli szeregi z rządem, a cały kraj zalała brunatna fala, która nie dopuszczała jakichkolwiek dyskusji ani pluralizmu poglądów. Na balkonach i w oknach zawisły flagi ze swastyką, z dnia na dzień rozwiązano lewicowe bojówki, a ci z ich członków, którzy zdołali umknąć policji, teraz dołączali do SA – powodowani czy to oportunistycznym, czy instynktem przetrwania. Po męczącej kakofonii ostatnich lat teraz wszystkich wzmacniała melodia marsza: tarabanie hitlerowskich bębnow. Równie nagle zmieniło się życie w czerwonych dzielnicach Berlina: bez śladu zniknęły skandalizujące widowiska, wcześniej opierające się zakazom wprowadzonym przed rokiem, i kluby, za których drzwiami wszystko mogło się zdarzyć, a w kinach i teatrach zaroilo się od patriotycznych sloganów. Przez tę nagłą uniformizację czułem się jeszcze bardziej samotny: miasto jawiło mi się jako obce, przyjaciele zniknęli, a kochanka/narzeczon/niewiadomoco nie dawała znaków życia. Nie zawiodła mnie tylko Bella Fromm. Bardzo ucieszył mnie telefon z zaproszeniem na

koktajl u niej w domu. Przynajmniej ktoś jeszcze o mnie pamiętał. Wiedziałem, że będzie to typowe spotkanie plotkujących dyplomatów, ale zobaczę kilka znajomych twarzy, wychylę parę kieliszków i chociaż na chwilę zapomnę o wszystkich problemach.

Kiedy dotarłem na spokojne zwykle przedmieście, gdzie mieszkała moja znajoma, zdziwił mnie widok zgromadzonego tłumu uniemożliwiającego taksówce podjechanie pod drzwi. Śpiewano antysemickie piosenki i deptano czarno-czerwono-złotą flagę Republiki Weimarskiej. Rzadko już widywało się te flagi, musieli znaleźć ją w jakimś szpitalu, w którym nie wiadomo, że do niedawna oficjalny symbol narodowy został zakazany w nowych czasach. Udało mi się przedrzeć przez ciżbę i już miałem wspiąć się po schodach, kiedy przed domem zatrzymał się samochód z flagą Belgii należący do barona Grubena, chargé d'affaires ambasady tego kraju. Protestujący ignoranci uznali jednak barwy narodowe za tożsame z tymi, które właśnie bezcześcili, zaś wydatny nos żony dyplomaty świadczył dla nich o niewłaściwym pochodzeniu. Z okrzykami *Juden, Juden!* ruszyli groźnie na Belgów, którzy niemal mnie stratowali, próbując dopaść do drzwi.

– *Mon Dieu, ils sont des barbares!* – stwierdziła kobieta, kiedy udało nam się schronić w środku.

Goście skupiali się w małych grupkach w sali muzycznej zajmującej niemal cały parter budynku i z jednej strony wychodzącej na taras. Kelnerzy nawigowali z jednego końca na drugi niczym statki zaopatrzeniowe, dostarczając biesiadnikom kanapki i szampana.

– Ach, *mon cher ami* Pepe!

Pocałunek Belli wylądował tuż przy kąciu moich ust, pozostawiając karminowy ślad, którego nie śmiałem zetrzeć. Wyraźną przyjemność sprawiało jej podtrzymywanie pewnej dwuznaczności naszych stosunków w oczach innych. Tak jak się spodziewałem, złapała mnie pod ramię i zaczęła paradować od jednej grupki do drugiej: poznałem żonę ambasadora Włoch, Żydówkę; wymieniłem kilka żartów z ministrem pełnomocnym Egiptu, którego miałem okazję już kilkakrotnie spotkać, i wysłuchałem błyskotliwych uwag ambasadora Francji na temat nóg Niemek. Potem zaczęły się plotki ze świata polityki: Göring zamierzał podobno mianować szefa Deutsche Luft Hansy sekretarzem stanu; jako że kandydat był synem Żyda, nazista doradził mu przerobić nieco biografię i biologicznym ojcem uczynić czystej krwi Aryjczyka, z którym matka prezesa przedsiębiorstwa lotniczego miała rzekomo zdradzić męża. Wszyscy śmialiśmy się do rozpuku z tej opowieści, ale twarz Frau Fromm zmieniła się nagle, kiedy dotarła do niej treść wiadomości przekazanej na ucho przez majordomusa.

– Coś się stało? – zapytałem półgłosem.

– Nie, nic takiego, po prostu jakieś zamieszanie pod drzwiami. Zaraz się tym zajmę, proszę się nie przejmować i dobrze bawić.

– Nie ma mowy, pójdę z panią. Dama musi mieć u boku dzielnego rycerza – oznajmiłem, próbując uśmiechem dodać jej otuchy.

Okazało się, że zgromadzony przed domem tłum, który widziałem po przyjeździe, niebezpiecznie się powiększył. Większość stanowili młodzi ludzie, często wręcz dzieci: rozchelstane koszule, czerwone twarze, ogień w błękitnych oczach. Dołączył do nich

oddział SA.

– O co chodzi, panowie? Czym mogę służyć? – zapytała Bella z bladą, poważną twarzą. Z tłumu wystąpił niechlujny typ w mundurze, wypisz wymaluj alfons z najgorszych dzielnic w okolicy Alexanderplatz.

– Wezwali nas tu ci porządni obywatele – odparł SA-man, wskazując na ciżbę. – Podobno byli świadkami, jak w tym żydowskim domu ktoś strzelał z broni palnej. Donieśli nam również o przybyciu zagranicznych szpiegów, musimy natychmiast wejść do środka i ich aresztować.

Frau Fromm na próżno próbowała wytłumaczyć tym oszołomom, że jej goście to dyplomaci chronieni immunitetem, że mogą sami to sprawdzić na najbliższym posterunku policji, podając numery rejestracyjne samochodów. Gawiedź, wśród której dojrzałem teraz kilka pochodni, wrzeszczała coraz głośniejsze. Wtedy pojawił się kolejny oddział SA i próbował siłą wdrzeć się do domu.

– Mógłby pan tu chwilę poczekać? Muszę zadzwonić do kilku osób – poprosiła Bella, mocno ściskając mnie za ramię.

Odetchnąłem głęboko i starałem się zachować spokój, ale czułem, że drżą mi dłonie i zawodzi głos. Jakie szanse mieliśmy ze starym majordomusem w starciu z takimi szumowinami? Próbowałem pogadać z szefem nowo przybyłego oddziału, może on będzie bardziej wyrozumiały. Spojrzał na mnie ze wstrętem i zapytał, skąd pochodzę. Odparłem, że jestem hiszpańskim dziennikarzem.

– A w tej Hiszpanii to nie macie komunistycznej republiki? – Nim zdążyłem zaprzeczyć, odepchnął mnie na bok.

Sytuacja robiła się dramatyczna, ale nagle pojawił się patrol policji. Niczym rozbitek na morzu targanym sztormem zacząłem rozpaczliwie do nich machać, ale resztki mojej nadziei przysły, kiedy stanął przede mną dowódca.

– Mam rozkazy, żeby nie przeszkadzać SA – oświadczył. Z jego twarzy wyczytałem, że wolałby przyłączyć się do napastników niż ich aresztować.

Tłumaczyłem, że dom jest pełen dyptomatów, że cała sytuacja może skończyć się dla ich rządu poważnym konfliktem międzynarodowym. Policjant po raz pierwszy się zawahał. W tej chwili wróciła Frau Fromm, a na jej twarzy wyraźnie malowała się ulga.

– Rozmawiałam z wicekanclerzem Papenem. Zapowiedział, że przyśle oddział policji konnej i natychmiast poinformuje pana Hitlera, co się tu dzieje. Mogą panowie podpalić dom, kiedy goście już sobie pójdą, ale ja na panów miejscu poczekałabym na rozkazy z góry.

Przez tłum przetoczył się szmer konsternacji. Papen był tylko marionetką, ale moja znajoma wymieniła święte nazwisko. Niektórzy okazali się jednak zbyt rozochoceni, żeby dać się powstrzymać słowom.

– Każdy może powiedzieć, że rozmawiał z Führerem. Zwykle żydowskie kłamstwa! Nie dajmy się znowu oszukać, towarzysze! – wrzasnął jakiś chudzielec w urzędniczym garniturze stojący na masce jednego z samochodów. – Dorwać zagranicznych szpiegów! – Następnie zeskoczył z prowizorycznej mównicy i zaczął wyrywać chorągiewki z pojazdów dyptomatów. Jakiś szofer rzucił się na prowokatora i zaczęli się kotłować na ziemi. Tłum ruszył w naszym kierunku z groźnym pomrukiem,

niczym potwór o tysiącu głów. Chciałem rzucić się do ucieczki, ale nawet do tego nie starczyło mi odwagi. W tym samym momencie zawyły syreny i pod dom podjechały cztery czarne automobile. Nasi wybawcy należeli jednak nie do oddziału kawalerii Papena, a do SS, osobistej straży Hitlera. Kapitan – dwa na dwa metry czarnego munduru – strzelił obcasami i stanął na baczność przed Bellą. Chudzielec, który powyrywał chorągiewki z samochodów, zaczął skakać wokół przybysza i wrzeszczeć, że to gniazdo szpiegów i trzeba ich wszystkich pozamykać. Kapitan chwycił go za kark, uniósł w powietrze, po czym cisnął na ziemię jak szmatę. Zaskoczony tłum zadrzał z przerażenia, po czym zaczął się rozpierzchać.

– Najmocniej panią przepraszam w imieniu Führera. Bardzo mi przykro, te prostaki w ogóle nie potrafią się zachować – powiedział kapitan i już miał ująć dłoń mojej przyjaciółki do ucałowania, ale nie dokończył gestu. Pewnie w ostatniej chwili przypomniał sobie, że stoi przed nim nie-Aryjka. Nie mogłem oderwać wzroku od czaszki i skrzyżowanych piszczeli zdobiących jego czapkę. – Proszę nie opowiadać o tym niefortunnym wydarzeniu zagranicznym gościom. Nie chcielibyśmy, żeby odnieśli błędne wrażenie co do nowych Niemiec. – W tej chwili pojawiła się policja konna Papena: stare Niemcy jak zwykle się spóźniły.

Kiedy weszliśmy z powrotem do holu, Bella zasłabła; na szczęście udało mi się ją podtrzymać, zanim upadła.

– Tym razem nas uratowali – stwierdziła, szukając w torebce soli trzeźwiących. – Miejmy nadzieję, że następnym razem ten sam kapitan nie przyjedzie mnie aresztować.

Wróciliśmy do salonu. Goście nie mieli zielonego pojęcia, jak mało brakowało, żeby wszyscy spłonęli jak w piecu; sączyli sobie spokojnie szampana, jakby na świecie nic się nie zmieniło.

Feiticeiro (gal.) – czarnoksiężnik (przyp. tłum.). [wróc]

Frau Fromm okazała się niezmordowanym zwierzęciem towarzyskim – jeszcze przez dłuższy czas zabawiała gości, a potem się przebrała i zaczęła zbierać na pożegnalną kolację jakiegoś ambasadora. Poprosiła, żebym jej towarzyszył, ale przeprosiłem, tłumacząc, że miałem już dość przeżyć jak na jeden wieczór i wolę wrócić do domu.

Wyszedłem na ulicę; temperatura znacznie spadła i musiałem podnieść kołnierz płaszcza. Wydarzenia tego wieczoru świetnie nadawałyby się do mojej kroniki, ale gospodyni przyjęcia poprosiła, żebym nic na ten temat nie pisał: najprawdopodobniej tylko pogorszyłbym sytuację. Ku własnemu zaskoczeniu wciąż jednak łamałem sobie głowę, próbując znaleźć taką perspektywę, która nie zaszkodziłaby Belli. Może wreszcie staję się prawdziwym dziennikarzem, pomyślałem z uśmiechem. Tak naprawdę jednak miałem ochotę opowiedzieć o całym zajściu komuś zaufanemu, przyjacielowi. Wiedziałem, że nie mam co próbować z Xammarem ani Felipem. A co z nią? Nie widziałem jej od czasu przyjęcia w Pałacu Okultyzmu i choć wiedziałem, że z tego związku nie będzie niczego dobrego, tęskniłem za nią i nie mogłem nic na to poradzić. Byłem całkiem niedaleko mieszkania mentalisty. Mógłbym do niej zadzwonić z jakiegoś baru, może nie ma go w domu.

Nie musiałem długo czekać. Ubrana wyjściowo, piękna jak zawsze, ale spod makijażu przebijały wory pod oczami, których zwykle u niej nie widywałem. Spodziewałem się chłodnego, nieco sztywnego powitania, ale kiedy stanęliśmy twarzą w twarz, mocno mnie uścisnęła. Zapytałem, czy wszystko w porządku, a ona uśmiechnęła się, jednocześnie ocierając nieposłuszną łzę; tak, po prostu ucieszył ją mój widok.

Usiedliśmy w małej kawiarence i ująłem jej dłonie. Czulem, że kawałek po kawałku opada ze mnie zbroja, ale nie chciałem opuszczać gardy. Nieraz już kończyłem poturbowany po jej gwałtownych huśtawkach nastroju. Gadaliśmy o głupotach, opowiedziałem jej, co zaszło u Frau Fromm, odmalowując swoje zachowanie w nieco bardziej heroicznym barwach. Baronowa nadal tylko się uśmiechała, wyraźnie nie miała ochoty mówić o sobie. Ścisnąłem jej dłonie.

– Wszystko w porządku?

Próbowała się powstrzymać, ale w końcu wybuchnęła szlochem.

– Pepe, Erik zupełnie oszalał! – Dostała czkawki, ciekło jej z nosa.

Nigdy nie widziałem jej w takim stanie, przerażonej, zgnębionej, bezbronnej. Fala współczucia załapała mi serce, wciąż tak mocno ją kochałem. Usiadłem obok i ją objąłem.

– Od czasu tej historii z Reichstagiem, kiedy został oficjalnie uznany za człowieka, który nigdy się nie myli, uważa się za niezwyciężonego, nieśmiertelnego. Co gorsza, wszystko wokół zdaje się potwierdzać jego mniemanie: gazety przynoszą mu większe dochody niż kiedykolwiek wcześniej, Pałac Okultyzmu codziennie pęka w szwach od najbardziej elitarnej klienteli Berlina, załatwił sobie dwukrotnie wyższą stawkę w Scali, do tego wynegocjował świetny kontrakt na występy w Pradze w kwietniu i maju, a potem jeszcze inny na północy Włoch, za zawrotnie wysoką gażę.

Próbowałem ją uspokoić, w końcu oboje dobrze znaliśmy mentalistę.

W przyływie euforii ego zwykle rosło mu niebotycznie i potrzebował dłuższego czasu, żeby wrócić na ziemię. Baronowa wyswobodziła się niezręcznie z moich objęć.

– Nic nie rozumiesz, jest zupełnie inaczej niż dawniej, kiedy potrafił zrobić mi karczemną awanturę o jakieś głupstwo, a potem podarować futro z norek. Teraz uważa się za istotę, której wszystko wolno, stojącą ponad dobrem i złem. Jak sam mówi, jest panem i władcą ponad potulnymi masami. Udało mu się wyciąć w pień konkurencję, a ci, którzy jeszcze nie puciekali, są zupełnie sterroryzowani. Żeby daleko nie szukać, parę dni temu Max Moecke, najbardziej zażarty rywal od początku jego występów na berlińskich scenach, wyśmiewał go podczas swojego spektaklu jako „niedomytego Semity”. Nazajutrz patrol SA dorwał Maxa na środku Romanisches Café i wychłostał, prawie obdarli go ze skóry na oczach wszystkich znajomych. Zaczął się zachowywać jak mafioso, jak jeden z nich. Jakby zapomniał, że sam jest Żydem!

Przyniesiono nam do stołu zamówiony koniak. Kelner spojrział na zapłakaną baronową, po czym z dezaprobatą pokręcił głową w moim kierunku. Roztrzęsiona wysączyła swój trunek, po czym rozpaczliwie ułapiła moją dłoń.

– A to tylko przykład, jest cała masa rzeczy, o których nie mogę ci opowiedzieć, ale sytuacja jest znacznie poważniejsza. Musisz z nim porozmawiać! Wyjaśnić, że bawi się nabitym rewolwerem. Ciebie wysłucha, wiesz przecież, że ceni cię i szanuje.

Przypomniałem jej nikłe powodzenie, jakim kończyły się podobne misje w przeszłości, ale nie przestała, dopóki nie wydarła ze mnie obietnicy, że pójde się spotkać z mentalistą. Te oczy o barwie akwamaryny miały nade mną całkowitą władzę.

– *Raus, Eintritt verboten!*

W przeszłości wielokrotnie bywałem w garderobie Scali, ale funkcjonariusze SA, którzy jak zwykle ostatnimi czasy, pilnowali drzwi i trzymali wielbicieli na dystans, nie robili wyjątków, więc brutalnie odepchnęli mnie na ścianę. Na szczęście Dzino, mój niezawodny wybawiciel, wyłowił mnie z tłumu i razem weszliśmy do jaskini mentalisty. Pomieszczenie było pełne bukietów i prezentów, musiałem zdjąć z jednego krzesła całą szynkę westfalską, żeby mieć gdzie usiąść. Hanussen rozmawiał przez telefon, przeglądając się w lustrze. Choć tego wieczoru miał dwa występy, wyglądał na odprężonego i rześkiego. Poczucie władzy mu służyło. Gestem dłoni zachęcił mnie, żebym poczęstował się czym chcę ze świetnie zaopatrzonego barku. Skorzystałem z oferty i nalałem sobie whisky. Jak powinienem zacząć temat? Co mam mu powiedzieć? Nareszcie zdobył wszystko, o czym marzył: pieniądze, władzę, niezmierną sławę. Że ma to wszystko porzucić? Nie wychylać się za bardzo, żeby nie wystawić się na strzał? Uświadomić sobie, że jest Żydem podszywającym się pod Aryjczyka w kraju, w którym już wkrótce wszystko będzie mogło być tylko czarne albo białe? Znałem Erika na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie dba o to w najmniejszym stopniu. Już wcześniej próbowałem mu przemówić do rozsądku i nieraz się sparzyłem.

Odłożył słuchawkę i powitał mnie wylewnie, nawet bardziej niż zwykle. Sprawiał wrażenie wyjątkowo podekscytowanego, nawet jak na niego, pijanego sukcesem, tryskał energią.

– Opuściłeś mnie. A ja mam ci tyle do opowiedzenia! To nowe czasy, czasy dla odważnych, budujemy wielki kraj. Moi wrogowie wreszcie upadli pod ciężarem własnych kłamstw, w końcu mogę odetchnąć pełną piersią. Te komunistyczne sukinsyny, które mnie oczerniały, musiały uciec z podkulonym ogonem. A ci, którzy zostali, muszą ze mną wytrzymać, czy tego chcą czy nie – oznajmił i zapalił kolejnego papierosa, chociaż poprzedni wciąż tlił się jeszcze w popielniczce. – Nie wiem, czy słyszałeś, ale rząd zbudował specjalny obóz dla tych szumowin w miasteczku Dachau pod Monachium, nazywają go „obozem koncentracyjnym”. No i jedyne gazety, jakie tam dopuszczono, to „Völkischer Beobachter”, oficjalny organ prasowy partii, i... Domyślasz się? „Die Hanussen Zeitung”! Świetnie to wymyślono, teraz nie mają wyjścia, muszą przełknąć każde paskudztwo, jakie im zaserwuję! – Jego tubalny śmiech odbił się echem od ścian. – A interes kręci się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie uwierzysz, musiałem zatrudnić asystentów do Pałacu Okultyzmu. Nie wyrabiam się z konsultacjami, więc oni zajmują się mniej ważnymi klientami, a ja mogę się skupić na grubych rybach przynoszących „jajka”, porządne pieniądze. Sam się dziwię, że wcześniej na to nie wpadłem! Oczekiwanie, że co pięć minut będziesz wpadał w trans, to jakiś absurd. Może się człowiek wykończyć. Korzyści skali, mój drogi, oto cała tajemnica. – Chyba niedawno poznał ten termin, bo kilkakrotnie powtórzył go podczas naszego spotkania. Usiłowałem sprowadzić rozmowę na inne tory, ale równie dobrze mógłbym próbować gołymi rękami zatrzymać olbrzymią falę. Wyrzucał z siebie słowa z taką prędkością, że ledwo

nadażalem. – Tyle się ostatnio działo, że zapomniałem do ciebie zadzwonić, ale chcę z tobą omówić pewną sprawę: jak pewnie wiesz, nowy rząd chce zaprowadzić porządek w mediach. Część prasy reprezentuje przestarzałe ideologie, na które nie ma miejsca w nowych Niemczech i które powinny zniknąć. – Nagle spoważniał i zaczął przemawiać tak podniosłym tonem, jakby został jednym z nowych spikerów w oficjalnej rozgłośni radiowej. – Jeśli jednak odpowiednio nimi pokierujemy, niektóre tytuły z długimi tradycjami mogą się nam przydać. Kierownictwo partii chciało na przykład zlikwidować „12-Uhr Blatt”, tradycyjnie nieprzychylną im gazetę, na której sprzeczanie drukuje się „Die Hanussen Zeitung”. Przekonałem ich jednak, że nowy naczelny to rozsądny człowiek i na pewno uda nam się wypracować odpowiednią perspektywę w przedstawianiu wiadomości. Przy okazji udało mi się też załatwić umorzenie niewielkiego długu, który miałem w drukarni. Korzyści skali, pamiętaj. – Mrugnięcie i szelmowski uśmieszek przywróciły na chwilę starego mentalistę; po chwili jednak znów zaczął przemawiać człowiek interesu. – Ale to tylko okruszki, tyle co nic. Kojarzysz grupę Mosse? „Berliner Tageblatt”?

To tak jakby zapytał, czy kojarzę „The Times”, „New York Timesa” czy „Le Figaro”. „Berliner”, obok „Frankfurter Zeitung”, był najważniejszym dziennikiem liberalnym w Niemczech. Sama zaś rodzina Mosse stanowiła kwintesencję żydowskiej arystokracji: wykształceni, mecenas sztuki, niewiarygodnie bogaci, właściciele fantastycznej kolekcji dzieł sztuki oraz licznych posiadłości, między innymi barokowego pałacu zajmującego niemal połowę Leipziger Platz, najelegantszego placu w mieście.

– Zamierzasz...? – Pierwszy raz udało mi się wcisnąć do rozmowy więcej niż monosylabę, ale byłem w takim szoku, że nie zdołałem dokończyć zdania.

– Mosse symbolizują wszystko, czego naziści nienawidzą. Tysiąc razy wolą ortodoksyjnego rabina z pejsami czy lichwiarza z wielkim nochem, którym straszy się dzieci, niż Żyda kosmopolitę, zasymilowanego, kolekcjonera pierwszych wydań Goethego, pod każdym względem przypominającego germańskiego intelektualistę. Są zdeterminowani, żeby za wszelką cenę ich wykończyć, a Hans Mosse nie jest głupi i już od kilku tygodni siedzi w Paryżu. Przekazał stery Karlowi Vetterowi, zaufanemu współpracownikowi. Tak to się czasem dziwnie w życiu plecie, że Karl jest moim starym znajomym i poprosił mnie o pomoc w uratowaniu „Berliner Tageblatt”.

– Ty miałbyś stanąć na czele gazety? – Ciągle nie mogłem dojść do siebie. To tak jakby pchła postanowiła pożreć lwa.

– Zgadza się, ale najpierw Mosse muszą zrzec się własności wydawnictwa. Dopiero wtedy będziemy mogli wprowadzać różne kreatywne rozwiązania. Na pewno się zastanawiasz, dlaczego ci to wszystko opowiadam, poza tym, że chcę się poprzehwalać, a wiesz, jak bardzo to lubię. – Wybuchnął śmiechem, a ja naprężyłem się jak struna. Domyślałem się, do czego zmierza. Położył mi rękę na kolanie, jak tyle razy wcześniej. – Nie będę cię oszukiwał, mógłbym sam zająć się tą sprawą, praktycznie zawsze tak wszystko załatwiałem. Starzeję się jednak, nudzą mnie te wszystkie negocjacje, przydałoby mi się towarzystwo kogoś młodszego, bystrego, orientującego się w branży.

– Jestem korespondentem. Nigdy nie widziałem gazety od środka – odparłem, próbując uniknąć wciągnięcia w nową aferę.

– Nieważne, teraz jesteś już przecież dziennikarzem z krwi i kości. Do tego obcokrajowcem, to przysporzy wiarygodności całemu przedsięwzięciu. Poza tym wiesz, że darzę cię zaufaniem. Jak się pewnie domyślasz, jeśli wszystko dobrze pójdzie, zarobisz sporo pieniędzy, więcej niż ci się kiedykolwiek śniło.

– Pieniądze nie są dla mnie tak ważne, jak mogłoby ci się wydawać. – I znów prestidigitator wyciągał mi zza ucha złotą monetę. Dobrze wiedziałem, co zamierza mi zaoferować, więc przygotowałem sobie odpowiedź, ale nie brzmiała ona zbyt przekonująco.

– To tylko jeden z ciekawych aspektów tej sprawy. – Niczym w partii szachów mentalista przewidział moje posunięcie. Jak zwykle planował dwadzieścia ruchów do przodu. – Będziesz miał okazję współpracować z najlepszymi dziennikarzami, prawdziwymi legendami. Żeby daleko nie szukać, kiedy już przejrzymy „BT”, do twoich zadań będzie należało przekonanie Wolffa, żeby wrócił na stanowisko naczelnego. – Serce zabiło mi szybciej na dźwięk tego nazwiska. Theodor Wolff był gwiazdą dziennikarstwa, podziwianą nie tylko w Niemczech, ale w całej Europie. Stał na czele „Berliner Tageblatt” od 1906 roku, ale kiedy w noc po pożarze Reichstagu dowiedział się, że trafił na czarną listę SA, uciekł do Szwajcarii. Mentalista potrafił u każdego znaleźć słaby punkt.

– Twoje kreatywne rozwiązania mają jakiś związek z nazistami? – zapytałem.

– Pewnie już wiesz, że hrabia Helldorf został mianowany szefem berlińskiej policji, a to tylko jeden z moich przyjaciół zajmujących wysokie stanowiska w nowym rządzie. Wiem, że nie przepadasz za nazistami, ale nie mogę nie wykorzystać wpływów, jakie mam w ich środowisku.

– Skąd przekonanie, że zamienią Żydów z Leipziger Platz na Żyda z Ottakringu? Czy nie ryzykujesz zbyt wiele? Może powinieneś postawić teraz na dyskrecję, przynajmniej dopóki nie wyjaśnią się zamiary Hitlera. – Wreszcie udało mi się wyrzucić z siebie to, po co naprawdę tu przyszedłem.

– Rozmawiałeś z nią, prawda? – Znów to rozbawione spojrzenie fauna.

Nie było sensu wypierać się oczywistości. Odparłem, że to normalne, iż się o niego martwimy. Prędzej czy później wypłyną niepodważalne dowody na jego żydowskie pochodzenie, a jeśli naziści zyskają pełnię władzy dzięki Ustawie o pełnomocnictwach, co wydawało się już niemal pewne, to praktycznie nic nie stanie im na przeszkodzie, żeby wyrównać rachunki z kim tylko będą chcieli.

– Ta dziewczyna będzie świetną matką dla twoich małych toreadorów. Albo puści cię z torbami i ucieknie z pierwszym lepszym połykaczem mieczy, z kobietami nigdy nie wiadomo. – Spodziewałem się rehotu i zaniepokoiłem się, kiedy ten nie nastąpił. – Nazistami się nie przejmuj, są mi winni tyle pieniędzy, a ja mam na nich tyle kompromitujących dokumentów, że bez przesady można uznać mnie za jedyne go człowieka w Niemczech, który może spać spokojnie.

Tym razem jego tubalny śmiech wypełnił garderobę. Wyszedłem na miękkich nogach, z zawrotami głowy. Ponownie nie tylko nie udało mi się odwieść Erika od mieszania się w podejrzone sprawy, ale dałem mu się wciągnąć w jeszcze większą aferę. Jak zwykle z Hanussenem, trafiałeś do cylindra jako gołąb, a wychodziłeś przemieniony

w szczura.

Pomysł był prosty: zachować niezależny wizerunek „Berliner Tageblatt”, ale tylko pozornie. Dzięki temu naziści mogliby udawać, że szanują wolność prasy, choć treści pozostawałyby pod ich kontrolą. Tak, wiem, teraz brzmi to odrażająco, żeby dziennikarz, w ogóle jakikolwiek porządny człowiek dał się wciągnąć w tak plugawy interes, ale mentalista sprzedał mi to, w co sam wierzył: Hitler zaczął z grubej rury, ale wkrótce odpuści. Najprawdopodobniej, kiedy już postawi gospodarke na nogi, cofnie się o krok i pozwoli na pewien pluralizm. W tamtych czasach bynajmniej nie tylko on szczerze wierzył w taką możliwość. Uważał, że tymczasem należy koniecznie podtrzymać płomień myśli krytycznej, który będzie utrzymywał reżim w ryzach i pomoże ułatwić bezbolesną transformację.

Pewnego ranka w połowie marca udaliśmy się do siedziby grupy Mosse, imponującego budynku z betonu i szkła projektu Mendelsohna, autora najważniejszych dzieł awangardowych w mieście. Mentalista nieszczególnie przepadał za nowoczesną architekturą, gustował raczej w stylu barokowym, ale kiedy wysiedliśmy z samochodu, z podziwem uniósł gęste brwi. Ogromny gmach, słynący jako najwyższy budynek niesakralny w Berlinie i zajmujący niemal cały kwartał w najlepszej dzielnicy miasta, już wkrótce mógł należeć do niego.

Dozorca otworzył nam drzwi, potem inny stróż zaprowadził nas przez puste korytarze do windy. Kilka tygodni temu rząd kazał zamknąć dziennik, więc w budynku panowała widmowa atmosfera, gabinety wyglądały na porzucone w połowie wykonywanego zadania. Na najwyższym piętrze czekał już na nas Karl Vetter zarządzający wydawnictwami rodziny Mosse. Miał na karku trzydzieści parę lat wyraźnie ciężkiej pracy, był niziutki i bardzo nerwowy, należał do ludzi, którzy wyglądają, jakby w każdej chwili mieli zerwać się z krzesła. Mentalista przedstawił mnie jako swojego doradcę, przedstawiciela prasy zagranicznej. Vetter, wyłącznie z uprzejmości – bo ewidentnie chciał jak najszybciej przejść do meritum – pokrótce wyjaśnił mi, że jako syn murarza z Neukölln ufa Hanussenowi, który również sam doszedł do wszystkiego w życiu, nie mógł liczyć na niczyją pomoc. W młodości, po wojnie, Vetter pracował w jednej z gazet wydawanych przez rodzinę Mosse. Dziesięć lat później wrócił jako dyrektor zarządzający grupą, a stanowisko zawdzięczał własnym zasługom.

– Problem w tym, czym zajmował się pan w międzyczasie – stwierdził mentalista, próbując znaleźć coś, do czego mógłby strzepnąć popiół, który koniec końców wylądował na dywanie.

Faktycznie, w latach dwudziestych Vetter założył „Nigdy więcej wojny”, pierwszy niemiecki ruch pacyfistyczny, i z antywojennym programem wystartował do wyborów parlamentarnych, w których poniósł sromotną porażkę. Czarna lista nazistów była bardzo długa, ale tuż za Żydami widnieli na niej właśnie pacyfiści, uważani za tchórzów, którzy wbili sztylet w serce narodu i zmusili go do kapitulacji, choć nie został on – tak przynajmniej twierdzili – pokonany na polu bitwy. Z tego powodu Vetter nie mógł negocjować bezpośrednio z nazistami. Tu właśnie Hanussen upatrywał swojej wielkiej

szansy. Zamierzał przedstawić swój plan przejęcia dziennika Helldorfowi, a za jego pośrednictwem uzyskać zielone światło od Goebbelsa, nowego ministra propagandy, a więc odpowiedzialnego za prasę. Hrabia, mianowany niedawno szefem berlińskiej policji, pozostawał w świetnych stosunkach z dawnym przełożonym. Za prowizję, która pomogłaby mu nieco poprawić jak zwykle kiepską sytuację finansową, Helldorf podjąłby się załatwienia pomyślnego przebiegu operacji.

Zamiary mentalisty były oczywiste. Vetter nieco dłużej utrzymywał na twarzy maskę.

– Mimo niesprzyjających okoliczności dla przedstawicieli ich rasy uważam, że rodzinie Mosse należy się jakaś rozsądna kwota w tej transakcji – oznajmił, nieustannie bębniąc palcami w blat stołu.

– Co powiesz na dwa miliony marek? Oczywiście miałbyś spory udział w spółce.

– Mentalista wyraźnie znacznie trafniej niż ja zinterpretował intencje tego typka.

– Dwa miliony! Dobrze wiesz, że „Berliner” jest wart co najmniej dziewięć.

– Na razie możemy wyłączyć z transakcji prawo własności budynku. I tym nie wciskaj mi kitu. Wiem, że od czasu kryzysu dochody z reklam spadły wam przynajmniej o czterdzieści procent. – Mentaliście nawet nie drgnęła powieka. Negocjacje zaczęły przypominać pokerową rozgrywkę. – Dwa miliony, to moje ostatnie słowo. A i tak będę musiał zastawić wszystkie nieruchomości. Uważam, że to całkiem niezła sumka, biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej znajduje się rodzina Mosse. Lepiej dostać tyle, niż stracić gazetę w ramach wywłaszczenia i nie zobaczyć ani grosza.

Vetter zerwał się na równe nogi i zaczął niespokojnie krążyć z jednego końca pokoju w drugi.

– Dwadzieścia procent udziałów dla mnie – oznajmił w końcu.

– Dziesięć. Nie zapominaj, że to ja wykładam pieniądze i załatwiam sprawę z nazistami.

– Piętnaście.

– Dwanaście i koniec tematu – odparł mentalista, wyciągając rękę.

Vetter zawahał się na chwilę, ale w końcu uściśnął mu dłoń.

Zaskoczyło mnie, jak karłowaty okazał się na żywo. Nie chodziło tylko o niski wzrost i kulawą nogę: ledwo podtrzymywana przez kruche ciało wielka głowa z wydatnym czołem nadawała trupiego wyglądu wąskiej twarzy zakończonej ostrym podbródkiem. Kołnierz koszuli mocno wrzynał mu się w szyję, miał też na sobie nieco za duży i znoszony płaszcz.

Kiedy Helldorf zadzwonił do mnie i zlecił przeprowadzenie wywiadu z Josephem Goebbelsem, nie posiadałem się ze zdumienia. Od czasu do czasu widywaliśmy się z hrabią u mentalisty, ale za każdym razem traktował mnie jak natrętnego owada. Kilka dni temu jednak w madryckiej gazecie „El Socialista” ukazał się napastliwy artykuł donoszący o rzekomym zamordowaniu Ernsta Thälmana, lidera Komunistycznej Partii Niemiec (którego pamiętałem z ubiegłorocznego przyjęcia w naszej ambasadzie), przez nazistowskich strażników w więzieniu. Wybuchł poważny konflikt między Hiszpanią i Niemcami, a Goebbels uznał za słuszną odpowiedź na zarzuty za pośrednictwem prasy mojego kraju. Temat wypłynął podobno w jakiejś rozmowie z Helldorfem, który – o dziwo – pamiętał moje nazwisko, co z jednej strony mnie cieszyło, ale z drugiej martwiło. Naczelny będzie niewątpliwie zachwycony możliwością publikacji wywiadu z nowym ministrem propagandy Rzeszy, to temat na pierwszą stronę. Z drugiej strony fakt, że to właśnie mnie wybrali, zdawał się sugerować, za jakiego dziennikarza uważają mnie naziści: „miękkiego”, mniej konfliktowego niż Felipe czy Xammar. Najbardziej podekscytowany był oczywiście mentalista; uznał to za magiczny niemal zbieg okoliczności, wspaniałą okazję, żeby nieformalnie poinformować o swojej transakcji – „naszej transakcji”, poprawił się – ministra, który musiał ją zatwierdzić jako ostatnia instancja. Próbowałem go przekonać, że wykorzystywanie wywiadu do załatwiania interesów wydaje się raczej niepoważne, ale on machnął ręką na moje obiekcje.

– Zawsze jest dobra pora na rozmowę o sprawach, które służą dobru Niemiec – oznajmił takim tonem, jakby naprawdę w to wierzył.

Czarne, drapieżne oczy nie zachęcały do luźnej pogawędki. Goebbels przywitał mnie bez uśmiechu, ale szczerzył swoje krzywe, ostre kły.

– Proszę wybaczyć, remontujemy gabinety. Potrzebuję światła do pracy – powiedział zamiast powitania, omiatając gestem dłoni olbrzymie pomieszczenie, utrzymane w nieskazitelnym porządku, jeśli nie liczyć teczek zalegających na biurku. Za olbrzymimi oknami widać było wielki zegar na Wilhelmplatz, niczym symbol nadchodzących nowych czasów. W pozostałych pomieszczeniach pałacu Leopolda, osiemnastowiecznego budynku wybranego na siedzibę ministerstwa, oddziały SA z zawrotną prędkością burzyły kolejne ściany. – Tylko pięć pytań, przypominam.

Zostałem już ostrzeżony, że wywiad będzie krótki, musiałem też wysłać pytania z wyprzedzeniem, gdyż, jak wspomniano, Herr Doktor nie przepada za „spontanicznością”.

– Jaką funkcję pełni nowe ministerstwo, na którego czele pan stoi?

– Jesteśmy pierwszym ministerstwem, które jest z urodzenia

narodowosocjalistyczne, jeśli mogę tak to ująć. Młode duchem, ale i wiekiem pracowników: trudno znaleźć wśród personelu kogokolwiek po trzydziestce. Nowi ludzie do wykonania nowego zadania: nie wierzymy w demokrację i jesteśmy przekonani o swojej prawdzie, ale pięćdziesiąt dwa procent Niemców nie może narzucić swojej woli pozostałym czterdziestu ośmiu wyłącznie za pomocą siły. Musimy podbić prawdziwie germańskie serca i dusze. Naszą misją jest przekonywać, indoktrynować, przeciągnąć na swoją stronę tę część populacji, która do tej pory nie miała jeszcze okazji otwarcie wyrazić swojego poparcia dla Führera. Wykorzystamy w tym celu wszelkie środki oferowane przez współczesną technikę: prasę, radio, kino. Nie możemy jednak pozwolić sobie na wielogłos, na żadne dysonanse: przesłanie musi być spójne, bezpośrednie, jednoznaczne.

Brzmiało mi to jak epitafium dla wolnej prasy. Czy operacja „Berliner Tageblatt” pasowała do tego planu? Jego głos był dźwięczny, wyraźny, o znakomitej dykcji – nie bez kozery uważano go za najlepszego mówcę NSDAP. Nie odważyłem się zwrócić mu uwagi, że w ostatnich wyborach zdobyli zaledwie czterdzieści cztery procent głosów, i przeszedłem do kolejnego pytania.

– Proponują państwo zmianę czy rewolucję?

– Głównym celem naszego rządu jest ni mniej, ni więcej, tylko zapewnienie pracy sześciu milionom osób, które obecnie jej nie mają, i przywrócenie im godności. Nie możemy ich zawieść, jesteśmy ich ostatnią nadzieją, a żeby odwrócić tak ekstremalną sytuację, trzeba sięgnąć po ekstremalne, nawet rewolucyjne środki. Zmieniamy samą esencję polityki, odrzuciliśmy stare, zgniłe metody i korupcję, żeby wprowadzić kompleksowy plan reform, który całkowicie odmieni ten kraj. Mamy przywódcę, mamy misję, nie możemy się zatrzymać przed żadną przeszkodą, żadnym wrogiem.

– Skoro już mowa o wrogach, waszą partię oskarża się o złe traktowanie więźniów politycznych.

– To całkowita nieprawda. Osadzeni są przetrzymywani w warunkach obowiązujących we wszystkich niemieckich więzieniach, prawdopodobnie najbardziej humanitarnych na całym świecie. Jako że jest pan przedstawicielem prasy hiszpańskiej, chciałbym wykorzystać tę okazję, aby odnieść się do oszczerstw rozpowszechnianych przez niektóre media lewicowe w pańskim kraju, a konkretnie do haniebnego artykułu, w którym zarzuca się nam spowodowanie śmierci komunisty Ernsta Thälmana. Delikwent ten, choć oskarżony o udział w planowaniu zbrodniczego podpalenia Reichstagu, jest cały i zdrowy, otoczono go nawet szczególną ochroną przed innymi więźniami, którzy próbowali go zaatakować. Niemcy, choć obecnie w stanie rewolucji, pozostają państwem prawa. Może dochodzić do pewnych incydentów, nie jesteśmy w stanie wszystkiego osobiście kontrolować, ale ewentualni sprawcy są zawsze surowo karani. Uważam więc, że takie kłamstwa są niegodne braterskiego kraju, zwłaszcza o tak wysoko rozwiniętej moralności jak naród hiszpański.

– Sporo mówi się o zamiarach rządu w stosunku do mieszkańców pochodzenia żydowskiego. Co ma pan do powiedzenia na ten temat?

– Jako Niemcy nie mamy nic przeciwko wszystkim osobnikom tej rasy, ale chcemy zwalczać system kapitalistyczny zarządzany przez Żydów. Sięgając po przykład dotyczący bezpośrednio mojego ministerstwa: dziewięćdziesiąt procent właścicieli

berlińskich kin i teatrów należy do tej właśnie grupy etnicznej. Nie wydaje się to panu przesadą? Jak zareagowalibyście w Hiszpanii, gdyby okazało się, że dziewięćdziesiąt procent, czy ja wiem, toreadorów to muzułmanie? W naszym kraju ta dysproporcja występuje w wielu innych wolnych zawodach: adwokaci, lekarze, wykładowcy uniwersyteccy... Monopolizują także wielkie domy towarowe, które zaniżają ceny, doprowadzając do ruiny uczciwych drobnych niemieckich kupców. Chodzi nam o zniszczenie takich trustów, uwolnienie konkurencji i zapewnienie wszystkim równych szans, żeby ludzie mogli zdecydować, czy wolą udać się do osoby jasno zidentyfikowanej jako pochodzenia żydowskiego, czy do aryjskiego specjalisty godnego zaufania.

– I na koniec: co chce pan przekazać czytelnikom spoza Niemiec, którzy obawiają się, że działania nowego rządu mogą doprowadzić do wybuchu kolejnej wojny?

– Jak już wspominałem, naszym nadrzędnym celem jest wyciągnięcie gospodarki z zapaści, przywrócenie naszym rodakom pracy i godności, zapewnienie chleba każdemu gospodarstwu domowemu w Niemczech. Jesteśmy absolutnie przekonani, że aby go osiągnąć, należy bezwzględnie utrzymać pokój. Uważamy również, że nowy konflikt zbrojny skutkowałby katastrofą na niespotykaną dotychczas skalę, a my nie mamy zamiaru ingerować w sprawy innych krajów. Nie zamierzamy jednak być pucybutami Europy, upomnimy się o swoje prawa, których pozbawiono nas na mocy traktatu wersalskiego podpisanego po ostatniej wojnie. Będziemy silni i zdeterminowani, będziemy dawać przykład własną skutecznością i wydajnością. Taki jest nasz plan. Użycie armat bywa niezbędne jako element perswazji, ale my wolimy przekonać do siebie ludzi dobrej woli, miłujących wolność Europejczyków. Proszę więc przekazać czytelnikom, że mogą spać spokojnie, my również pragniemy pokoju. – Wyszczerył kły w uśmiechu. To była jedyna mina, na jaką pozwolił sobie przez cały czas trwania wywiadu, przypominał robota żywcem wyjętego z filmu *Metropolis* albo jakiejś książki z gatunku fantastyki naukowej. Zerwał się z krzesła, uściśnął mi dłoń i wykonał hitlerowski salut. Ja trzymałem na kolanach blok z notatkami, więc zanim się podniosłem, Herr Doktor zdążył już wyjść z pokoju.

W drodze powrotnej do pensjonatu (odwiózł mnie kierowca z ministerstwa) nie mogłem przestać myśleć o tym, co właśnie zobaczyłem i usłyszałem. Choć podczas wywiadu starał sprawiać wrażenie umiarkowanego, ten facet – niewątpliwie wybitnie inteligentny – nie wiedział, co to zwątpienie czy niepewność, nie rozróżniał niuansów ani odcieni, był fanatykiem. Mentalista zdołał mnie przekonać, że operacja „Berliner Tageblatt” to bułka z masłem, że wszyscy na tym zyskają, a naziści przymkną oko na nieco szemrany interes. Po tym jednak, jak poznałem Goebbelsa, nie potrafiłem sobie wyobrazić, żeby chciał wchodzić w podejrzone układy z żydowskim jasnowidzem.

Kiedy dojechałem pod pensjonat, Felipe stał w drzwiach i zobaczył, jak wysiadam ze służbowego samochodu ze swastyką na chorągiewkach; splunął na ziemię i ruszył ulicą. Chciałem nawet pobiec za nim i wyjaśnić sytuację, ale uznałem, że nie ma to sensu. Manuel Olivar powitał mnie przyjaźniejszą miną.

– No proszę, ale z ciebie szycha! – zawołał, a oczy uśmiechały mu się za grubymi szklami w czarnych oprawkach. Nie odpowiedziałem, jemu też nie chciało mi się tłumaczyć. – A właśnie, Pepe, przynieśli coś dla ciebie. – Wręczył mi jakiś przedmiot

owinięty w bibułkę. Wyjąłem z opakowania srebrną papierośnicę z wygrawerowanym w środku napisem, który wywołał uśmiech na mojej twarzy: „Dla mojego dzielnego hiszpańskiego rycerza”.

– Nie za dobrze ci, kolego? – zapytał Manuel żartobliwie. – Rozbijasz się limuzynami, dziewczyny przysyłają ci drogie prezenty. Musisz mi opowiedzieć, jak to robisz.

Poprosiłem, żeby połączył mnie z numerem w Charlottenburgu.

– Bardzo dziękuję, droga Bello, ale nie trzeba było.

– To tylko *petit cadeau*, na pamiątkę pewnej, powiedzmy, bardzo wyjątkowej nocy. Gdyby nie ty, nie wiem, jak by się to skończyło – odparła Frau Fromm i natychmiast zmieniła temat, jakby chciała wymazać całe to nieprzyjemne zajście.

Wymienialiśmy banalne uwagi, plotki i żarty polityczne, które krążyły po Berlinie w tych niepewnych czasach. Domyśliłem się jednak, po nerwowym drzeniu w jej głosie, po tym, jak zaczęła opowiadać jakąś historię i nagle urywała, że boi się wyznać mi coś, co budzi w niej niepokój. Długo nie mogła się zebrać, ale w końcu udało jej się wydusić:

– Ludzie gadają jak najęci, sam wiesz, Pepe. Mówi się na przykład, że Hanussen próbuje kupić ni mniej, ni więcej, tylko „Berliner Tageblatt”. A ty masz mu w tym pomagać. Sam powiedz, czy to nie absurd?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem i zdołałem tylko wyjąkać coś bez sensu. Nigdy nie spodziewałem się zostać obiektem plotek w wielkim, pięciomilionowym mieście. Czuję się obnażony, jakby ktoś przyłapał mnie na gorącym uczynku z ręką w szufladzie kasy sklepowej. Ona milczała przez chwilę, a potem delikatnie powtórzyła swoje retoryczne pytanie. Zrozumiałem, że nie ma sensu zaprzeczać faktom. Powiedziałem, że mentalista bada tylko różne możliwości, a ja ograniczam się do doradzania mu w nieistotnych kwestiach technicznych.

– Nie chce mi się wierzyć, że ten niemiecki szarlatan zamierza przejąć naszą najlepszą gazetę, filar pluralistycznych, demokratycznych i świątłych Niemiec, które tak wielu z nas szczerze kocha. Ale cóż, musimy chyba zacząć się przyzwyczajać do takich sytuacji, nie mogę nic zrobić, niczego zmienić. Tak naprawdę martwi mnie jednak twój udział w całej sprawie. To nie może się dobrze skończyć. Nie chodzi już nawet tylko o to, że „BT” symbolizuje wszystko, czego naziści nienawidzą, ale, jak wiem z dobrze poinformowanych źródeł, Goebbels ma z nimi niewyrównane rachunki: po studiach próbował wszystkimi możliwymi drogami dostać pracę w „Berliner Tageblatt”, ale go nie przyjęli. Ludzie, którzy dobrze go znają, twierdzą, że ten zakompleksiony karzeł pragnie zemsty, a jego ministerstwo już szykuje listę żydowskich dziennikarzy do zwolnienia. Wiesz, że uważam cię za przyjaciela, dlatego pozwolę sobie nalegać: trzymaj się z dala od tej sprawy. To tykająca bomba, a im dalej będziesz w momencie wybuchu, tym lepiej.

Nie zdradziłem mentaliście źródła plotki, powiedziałem, że to gadanie kolegów dziennikarzy, ale on nie dał się nabrać.

– Ten babsztyl ciągle mieli ozorem! Musi wymyślić codziennie dwie albo trzy bajeczki, inaczej zeszlaby chyba na zawał! – Zataczał się ze śmiechu, aż nieodłączny papieros spadł mu na podłogę; schylił się, podniósł go i nie przestając się śmiać, wypełnił salon kłębamii dymu. Ja jednak nie podzielałem jego dobrego humoru. Stwierdziłem, że po tym, jak osobiście poznałem Goebbelsa, żądza zemsty idealnie pasuje mi do jego postaci.

– Mój drogi, nadal zupełnie nie rozumiesz nazistów – odparł mentalista, położył mi dłoń na ramieniu i spojrzał głęboko w oczy. – Może i sprawiają wrażenie szalonych ekstremistów, ale tak naprawdę są do bólu pragmatyczni. Kilka lat temu zapowiadali w swoim programie walkę z kapitalizmem, nacjonalizację systemu bankowego oraz upaństwowienie środków produkcji. Teraz Hitler jednego dnia nadal to powtarza, a następnego jada z Thyssenami, Kruppami i całą resztą. Tak samo będzie z pozostałymi radykalnymi postulatami. Doktor Goebbels to niełatwy przeciwnik, wiem to z doświadczenia, rywalizowaliśmy, kiedy „Die Hanussen Zeitung” walczyła o pozycję lidera z „Der Angriff”, której był naczelnym. Zdaje sobie jednak sprawę, że nie może zaprezentować się międzynarodowej opinii publicznej jako ten, który pogrzebał wolną prasę. „Berliner Tageblatt” w rękach osoby pozornie neutralnej jest dla niego wart znacznie więcej niż najlepsza nawet ulotka propagandowa, a ja dysponuję doświadczeniem i środkami, żeby jak na tacy podać mu to, czego pragnie.

Baronowa obserwowała nas z boku. Próbowałem wyczytać coś z jej spojrzenia, znaleźć jakiś argument.

– A ta lista pracowników pochodzenia żydowskiego? – zapytałem zdeterminowany, żeby nie dać znów się przegadać.

– To działanie jest obliczone z jednej strony na zewnątrz, dla międzynarodowej opinii publicznej, a z drugiej na potrzeby polityki wewnętrznej. Naziści muszą przekonać swoich zwolenników, że Żydzi przestaną kontrolować środki przekazu, więc będziemy musieli przeprowadzić czystki. Wiedzą też jednak, że „BT” jest nic niewart bez dziennikarzy. Prędzej czy później wrócą. Jak już mówiłem, do twoich zadań należy przywrócenie Theodora Wolffa na stanowisko naczelnego. Sytuacja wkrótce wróci do normy.

Przy mentaliście czułem się jak totalny idiota. Jeśli tylko chciał, potrafił sprawić, że każde słowo padające z jego ust brzmiało rozsądnie i przekonująco, a moje obawy stawały się wówczas urojeniami ignoranta. Z drugiej strony, mówiąc o „czystkach” Żydów, użył pierwszej osoby liczby mnogiej: czy chciał przez to powiedzieć, że i ja będę musiał brać w nich udział? Wizja ta wzbudziła we mnie instynktowny wstręt, nawet jeśli rozwiązanie takie miałyby być tylko tymczasowe.

– Poza tym mam dla ciebie dobrą wiadomość – oznajmił Hanussen, wyczuwając moje wahanie. – Udało mi się załatwić, żeby zarządcą gazety został mój znajomy

Sturmbannführer Ohst, znasz go z moich bankietów, to zaufany człowiek. To on weźmie na siebie te, powiedzmy, niezbyt przyjemne elementy pierwszego etapu operacji i ułatwi całą procedurę. Dziś po południu spotkamy się z nim i dopniemy wszystkie szczegóły. Mamy to już w kieszeni – dodał i mrugnął porozumiewawczo. – Chodźmy to uczcić do Horchera, zamówimy wielką butlę szampana i wzniesiemy toast za tę twoją starą plotkarę.

Blizna po pojedynku z czasów szkolnych – wielu niemieckich oficerów takie miało – zaczynała się tuż przy lewym kąciku ust, co sprawiało wrażenie półuśmiechu. A może faktycznie się uśmiechał. Widywałem go tylko przelotnie na przyjęciach: zubożały szlachcic trzeciej kategorii, sprzedawca losów na loterię w latach dwudziestych, a w latach trzydziestych zbir SA – typowy koleżka Helldorfa, choć w przeciwieństwie do hrabiego nie cieszył się statusem arystokraty. Za biurkiem w gabinecie dyrekcji „Berliner Tageblatt” Wilhelm Ohst sprawiał wrażenie wyższego, niż pamiętałem, jakby poczucie władzy przydało mu kilku centymetrów wzrostu. U jego boku Vetter wyglądał, jakby się skurczył, i nie podnosił głowy znad kartki, na której coś pisał. Mentalista, jak zawsze czarujący, rzucił parę niezłośliwych żartów i przywołał jakąś anegdotę o wspólnych przygodach ze Sturmbannführerem, nadającą się do opowiedzenia w każdym gronie, choć te, które zrelacjonował mi przy obiedzie u Horchera, były zgoła inne. Między kolejnymi kieliszkami Veuve Clicquot Hanussen dusił się ze śmiechu na wspomnienie miny Ohsta, kiedy ten zapytał go, jakie wrażenie wywarł na nim Führer podczas spotkania twarzą w twarz.

– Wydaje się bystry, ale wygląda raczej na bezrobotnego krawca niż na cezara – odpowiedział jak zwykle żartobliwie.

Mentalista nie miał jednak najmniejszych wątpliwości, że Ohst przystanie na jego plan; podobnie jak hrabia, miał u niego spore długi, a poza tym Hanussen trzymał w sejfie zdjęcia Sturmbannführera z niejednej orgii na *Ursel IV*. Szampan ukoił nieco lęk i wątpliwości co do operacji, które prześladowały mnie przez ostatnie dni.

Na anegdoty Ohst reagował uśmiechem – tak mi się przynajmniej zdawało, blizna utrudniała jednoznaczność ocenę – i nie przerywał mentaliście, który zaczął snuć plany na przyszłość gazety. Według Hanussena „BT” nie powinien już być dziennikiem starych, zakurzonych elit; nie tracąc nic z dotychczasowej powagi gazety, zamierzał ją nieco unowocześnić, uczynić bliższą szerokiej opinii publicznej. Obmyślił już nowe działy: recenzje kulturalne, kronikę kryminalną, więcej rozrywki. W miarę, jak opowiadał, Ohst zaczął postukiwać – z początku delikatnie, potem coraz mocniej – swoim sygnetem SA w poręcz fotela. Nagle się wyprostował i uderzył w stół, stanowczo acz niezbyt brutalnie.

– Może pan sobie darować ciąg dalszy. I tak nic z tego wszystkiego nie będzie – oświadczył, wstając z fotela.

Hanussen spojrział na niego kompletnie zaskoczony.

– Nie rozumiem, co ma pan na myśli – stwierdził, wciąż siedząc.

Ja też nie rozumiałem, co się dzieje. Przez chwilę pomyślałem, że znowu zawodzi mnie znajomość niemieckiego.

– Wypadł pan z gry, Hanussen, niech pan sobie da spokój z tym „Berliner Tageblatt”. Nie jest pan nam do niczego potrzebny – odparł Ohst, opierając się pięściami

o biurko.

Vetter próbował się za nim schować. Hanussen zaczął powoli podnosić się z fotela, twarz miał czerwoną jak burak.

– Jak to: nie potrzebujecie mnie? Przecież to ja wymyśliłem tę operację. Ja! Znajduje się pan teraz w tym gabinecie tylko dlatego, że ja zaproponowałem pańską kandydaturę waszym szefom, wiedział pan o tym? – Żyła na szyi mentalisty nabrzmiała już do rozmiarów cumy okrętowej. – A gdyby to panu nie wystarczało, przypominam, że wykładam własne pieniądze, to mało?

– Dwa miliony marek? Niech mnie pan nie rozśmiesza, dobrze pan wie, że nie można za to kupić nawet wszystkich gumek do ścierania z tej redakcji. – Blizna przy ustach wykrzywiła się teraz w dół w złowrogim grymasie. – Dlatego właśnie wami gardzę, Żydzi: myślicie zawsze tylko o tym, żeby kogoś wykorzystać, nawet jeśli to przedstawiciele waszej własnej rasy, jak w przypadku tych Mosse. Szczury podgryzają inne szczury.

Hanussen wpadł w taką wściekłość, że zdawał się gotów w każdej chwili wskoczyć na biurko i złapać Ohsta za kłapy. Zerwałem się na równe nogi, Vetter też wstał.

– Panowie, panowie, spokojnie, nie traćmy panowania nad sobą. Nie ulega wątpliwości, że pan Hanussen zainwestował w tę sprawę czas i pieniądze, poniósł pewne koszty. Wydaje mi się, że można by rozważyć jakieś niewielkie odszkodowanie, rekompensatę za poczynione wysiłki. Nie sądzi pan, panie Sturmbannführer?

Teraz to na Vettera Hanussen przeniósł wściekle spojrzenie nabiegłych krwią oczu. Nie trzeba było jasnowidza, żeby się domyślić, kto okazał się zdrajcą w całej tej historii.

– Wiecie, co myślę o waszej jałmużnie? – Mentalista porwał z biurka jakąś kartkę, zgniół ją w kulę i cisnął na drugi koniec pokoju. – Mam na ciebie mnóstwo haków, Vetter, wykończę cię w dwie minuty. Na pana też, Ohst, nie ma się co śmiać: mogę pana pograć jednym skinięciem palca. Pan już wie, co mam na myśli.

– Ja tylko wykonuję rozkazy moich przełożonych – odparł członek SA, z niemal niezauważalnym wahaniem.

– Oni też niech lepiej uważają, bo mam brudy na wszystkich. Całą kupę brudów! Ale nie będę już tracił na pana czasu, rozmówię się bezpośrednio z nimi. Nie zostawię tak tej sprawy, wykluczone! – Hanussen złapał kapelusz i wypadł z gabinetu, trzaskając drzwiami. Podążyłem za nim.

Udało mi się wsiąść do jego samochodu, kiedy kierowca odpalał silnik. Przez całą drogę Hanussen miotał przekleństwami, opowiadał, jak zmasakruje Ohsta, kiedy tylko porozmawia z jego zwierzchnikami. Tak, ten sukinsyn wróci do sprzedawania kuponów na loterię, zanim się obejrzy. I będzie musiał spłacić mu wszystkie długi, do ostatniej marki. Tak mu było śpieszno, żeby wykończyć wroga, że bez przerwy szturchał szofera laską w plecy, zmuszając go do wciskania gazu do dechy. Po przyjeździe do domu mentalista nadal głośno złorzeczył, nie przestał wrzeszczeć, nawet kiedy złapał za słuchawkę telefonu.

– Proszę pani, muszę natychmiast, jasne?... natychmiast porozmawiać z hrabią Helldorfem. Z tej strony Erik Jan Hanussen.

Telefonistce jednak wyraźnie się nie śpieszyło i dość długo łączyła rozmowę.

Mentalista zapalił papierosa, wykończył go trzema zaciągnięciami i sięgnął po następnego. Głośno zażądał whisky i Dzino po chwili mu ją przyniósł. W tej chwili w domu pojawiła się baronowa, obładowana pakunkami – widocznie wracała z zakupów. Zapytała, co się dzieje, przerażona zamieszaniem. Hanussen machnął tylko ręką, więc wyjaśniłem jej półgłosem całą sytuację. Patrzyła na mnie oszołomiona.

– Wiesz, co to oznacza? – szepnęła mi do ucha.

– Halo, halo? – Hanussen gestem nakazał nam wyjść z pokoju, ale zostaliśmy na miejscu. – Pan hrabia? Nareszcie! Ta dziewczyna, co dla pana pracuje, jest zupełnie niekompetentna, powinni ją zwolnić. Zresztą nieważne, nie o tym chcę z panem porozmawiać. Nie uwierzy pan, co się stało! Wracam właśnie z siedziby „BT”, rozmawiałem z tym nienormalnym Ohstem. Dopiero się tam pojawił, a już uważa się za szefa, woda sodowa uderzyła mu do głowy. Wyobraża pan sobie, co mi powiedział? Że wypadłem z gry! Ja! – Twarz mentalisty nadal miała barwę bakłażana, ale wyraźnie odzyskał już tupet. – To jasne, że działa na własną rękę, ale trzeba jak najszybciej go powstrzymać. Błagam pana, z najwyższym szacunkiem, żeby jak najszybciej zwolnił tego osobnika. To zupełny ignorant! Co ten sprzedawca z lotka może wiedzieć o zarządzaniu gazetą? To absolutnie nie do zaakceptowania, bo... Tak, oczywiście, słucham. – Choć wyraźnie zżerała go niecierpliwość, Hanussen zmusił się do wysłuchania rozmówcy. – Jak to? Chyba nie rozumiem. Co właściwie chce pan przez to powiedzieć? – Wyrzecz niedowierzania wygładził jego skurczoną w furii twarz. – Jak to Ohst już nie jest pana podwładnym? – Słuchał odpowiedzi z drugiego końca linii, coraz bardziej wytrzeszczając oczy. Potem odłożył słuchawkę i osunął się na fotel. Przez chwilę żadne z nas nie odważyło się powiedzieć ani słowa. W końcu baronowa usiadła na podłodze u jego stóp, pogładziła go po dłoni i zapytała, co się stało.

– Helldorf nie jest już szefem berlińskiej policji. Zwolnili go, zdegradowali po zaledwie dwóch tygodniach i wysłali do Poczdamu doglądać koni. – Potarł dłonią twarz, był blady jak kreda. – Nikt mnie już nie chroni.

Dwudziesty czwarty marca był ciepły i słoneczny, jak niemal wszystkie dni od początku tamtego miesiąca. Gazety pisały o „wiośnie Führera”: Hitler przyniósł nie tylko pokój i narodową zgodę, lecz także ładną pogodę. Od czasu wyborów utrzymywały się wyjątkowo wysokie temperatury jak na tę porę roku, więc po południu Hanussenowi zachciało się spaceru. Zwykle przemieszczał się wszędzie swoimi luksusowymi samochodami, ale tym razem zapragnął rozprostować nogi, pooddychać świeżym powietrzem. Dzino zaproponował mu swoje towarzystwo, ale on podziękował i sam wyszedł z domu. W bramie nie stali już ochroniarze z SA, wycofani po dymisji hrabiego, ale nie wzbudzało to jego niepokoju. Po początkowym szoku odzyskał pewność siebie. Bywał już na wozie i pod wozem, wiedział, że w życiu jak w pokerze – karta czasem nie idzie. Jeszcze przed tygodniem miał w ręku same asy, a teraz trafiło się fatalne rozdanie, ale wiedział, że to tylko złudzenie, tak samo jak triumfy. Bez płaszcza, bez krawata, w starym kapeluszu na rozczochranej czuprynie czuł się lekki i wolny. Obserwował ludzi przechadzających się ulicami: jedni wyprowadzali psy, inni próbowali dogonić autobus, mała dziewczynka siedziała na ławce i jadła cukierka, policjant kierował ruchem, jakiś chłopak niósł na ramieniu kosz z zamówieniem ze sklepu spożywczego, starsza pani wyglądała przez okno, opierając łokcie na poduszce ułożonej na parapecie. Życie toczyło się swoim rytmem.

Znalazł mniej uczęszczaną uliczkę i natychmiast poczuł, że zeszło z niego napięcie, jakby zniknęły wszelkie zobowiązania, jakby nikt na niego nie czekał i niczego nie wymagał. Dwie jaskółki przeleciały mu nad głową i zniknęły za szarymi, solidnymi budynkami. Z fasad patrzyły na niego kamienne głowy z rzeźbionych medalionów, cherubinki zdobiące zwieńczenia bram, atlanty podtrzymujące mieszczańskie balkony. Z jakiegoś okna dobiegały dźwięki gramofonu odtwarzającego romantyczną piosenkę. *Ich bin von Kopf bis Fuß auf Liebe eingestellt*: „Od stóp do głów jestem gotowa na miłość”. Czuł się dobrze z sobą samym i w tym otoczeniu. Czy faktycznie polubił to miasto? Berlin traktował jako cel podróży, swój popisowy numer, żyłę, której pożąдали poszukiwacze złota. Pociągały go światła latarni i neonów, niekończące się noce, zgiełk, dym gigantycznej maszyny pozostającej w ciągłym ruchu. Berlin sam w sobie, jako miejsce każdego dnia pozytywnie i negatywnie doświadczane przez miliony mieszkańców, nieszczególnie go interesował. Pod frywolną maską kryło się miasto zbyt poważne, zbyt formalne. Gdyby był sentymentalny, stwierdziłby, że brakuje mu tej radości życia, którą czuć w powietrzu w każdym zakątku Wiednia, ale tak naprawdę nie tęsknił za rodzinnym miastem. Odetchnął z zadowoleniem. W rzeczywistości należał do niezbyt licznej grupy szczęśliwców, którzy nie uważali się za obywateli żadnego miejsca, bez więzi i z czystą hipoteką. Wszystkie te przemowy o ojczyźnie, rozpalające serca i dusze Niemców, jego pozostawiały zupełnie obojętnym.

Uliczka doprowadziła go na Kurfürstendamm, starą, kochaną Ku'damm. Mimo dość wczesnej pory drzwi do kin praktycznie się nie zamykały, a teatry włączyły już neony. Świetlne napisy mrugały figlarnie, gasły na chwilę, by znów się zapalić i rzucić na

okoliczne budynki wielobarwne cienie. To był jego prawdziwy dom, miejsce, do którego zawsze chciał wracać. Wiedział, że we wszystkich dużych miastach całego świata znajdują się takie ulice, niektóre większe, inne mniejsze, z widowiskowymi pokazami albo skromnymi spektaklami, z ogromnymi afiszami albo ogłoszeniami wymalowanymi pędzlem na murze. W każdym z nich poczułby się swobodnie. Czekał na zielone światło, Hanussen przyjrzał się swoim dłoniom. Zawsze mu wystarczały, żeby zarobić na życie, one i bystry umysł, nie potrzebował żadnego sprzętu. Rzucił okiem na zegarek: osiemnasta. Powinien wracać do domu, przygotować się do wieczornego występu.

Nie, wcale nie potrzebuję zgrywać wielkiego przedsiębiorcy ani wydawcy gazet, myślał Hanussen, kiedy z pomocą służącego zakładał frak. Nie był nic winny Berlinowi, a to miasto nie miało mu już nic do zaoferowania. Zgromadził wystarczający kapitał, żeby przez dłuższy czas nie musieć się martwić o pieniądze. Odda weksle i kompromitujące dokumenty z sejfu w zamian za możliwość spokojnego przelania pieniędzy na rachunek w szwajcarskim banku i zgodę na dyskretny wyjazd z kraju. Wszyscy skorzystają na takim układzie. W kwietniu miał zakontraktowane występy w Pradze, to pierwszy etap podróży. Potem pojedzie do Merano. Tak jak przewidywał, mąż Risy, jego byłej, zostawił ją dla innej kobiety niedługo po Bożym Narodzeniu. Nie trzeba było nadprzyrodzonych mocy, żeby się domyślić, że prędzej czy później ten pętał ją rzuci; na pewno zdoła ją namówić, żeby przeprowadzili się całą trójką, jako rodzina. Cel: Ameryka. Czuł – jedno z tych jego dziwnych przeczuć, które od czasu do czasu nieoczekiwanie go nawiedzały – że Europa już wkrótce stanie się bardzo niebezpiecznym miejscem.

Otworzyły się drzwi do pokoju. Hanussen stał tyłem do wejścia, poprawiał właśnie muszkę.

– Dzino, prosiłem chyba, żeby nikt mi nie przeszkadzał.

– Nie udało mi się ich zatrzymać, Eriku...

Nie zrozumiałwszy znaczenia tych słów, mentalista się odwrócił. Obok sekretarza stało dwóch oficerów SA. Tutaj, w jego własnej sypialni.

– Co to ma znaczyć?

– Eriku Janie Hanussenie, a raczej Herschmannie-Chaimie Steinschneiderze, jest pan aresztowany.

– Nie za wcześnie trochę na prima aprilis? – Pierwszy kwietnia wypadł dopiero w przyszłym tygodniu, a to musiał być jakiś żart, tak, bez dwóch zdań. Mentalista czuł, jakby wszystko wokół wirowało, ale próbował zachować spokój. – Szykuję się do wyjścia do Scali, mój występ zaczyna się za dokładnie dwadzieścia siedem minut – oznajmił, zerkając na zegarek. Zazwyczaj zwlekał z wyjściem do ostatniej chwili. – Tysiąc pięćset osób czeka na mnie na widowni, zapłacili za bilety. Nie możemy załatwić tego później?

– Obawiam się, że dzisiejszego wieczoru publiczność będzie musiała poszukać sobie innej rozrywki. Dokonamy przeszukania, będziemy wdzięczni, jeśli zechce pan z nami współpracować i nie utrudniać nam zadania.

– A nakaz? – zapytał, próbując stłumić wzbierającą w nim powoli falę oburzenia.

– Niech się pan nie wygłupia. – Oficer SA szybko zapomniał o uprzejmości.

– Gdzie jest pański gabinet?

Dobrze wiedzieli, czego szukają. Kiedy prowadzili go przez korytarze, Hanussen

rozważał możliwe scenariusze: pieniądze były drugorzędne, najważniejsze to zachować papiery, przynajmniej ich część. Stanowiły jego list żelazny, ostatnią deskę ratunku. Zastanawiał się, czy zdoła zmylić tych typów. Większość dokumentów przechowywał w sejfie, ale te najbardziej kompromitujące ukrył w podwójnym dnie jednej z szuflad biurka. Musi ich zagadać, trochę pokręcić.

– Pozwólcie mi chociaż zadzwonić do teatru, uprzedzić, że nie mogę przyjść – powiedział, podchodząc do telefonu. Facet w brunatnej koszuli pchnął go gwałtownie i przewrócił na podłogę. Kiedy próbował się podnieść, okazało się, że celują do niego z broni.

– Żadnych sztuczek, Żydku, dawaj to, czego chcemy. Wszystko.

Po raz pierwszy od dawna poczuł strach, fizyczny, namacalny lęk, który ścisnął mu gardło i żołądek. Z trudem udało mu się powstrzymać przed popuszczeniem moczu i zaczął otwierać kasę pancerną. Tymczasem z korytarza dobiegał głos baronowej wypytującej, o co w ogóle chodzi.

– To komunistyczny spiskowiec. – W innej sytuacji taka uwaga całkiem by go rozbawiła: komuniści przez tyle lat próbowali go wsadzić do więzienia, a teraz okazał się nagle jednym z nich – ironia losu. Wręczył im papiery z sejfu. Do gabinetu weszło jeszcze trzech mundurowych, którzy na własną rękę dokonali rewizji. Książki rozrzucone po podłodze, potłuczone wazony, wyrwane szuflady, wybebeszone meble. Odkrycie podwójnego dna było tylko kwestią czasu, więc wołał sam wskazać im skrytkę. Oficer dowodzący z satysfakcją przejrzał jej zawartość: sześć teczek pełnych listów, weksli podpisanych przez najwyższych szczeblem członków partii, zdjęcia, a nawet kilka rolek filmu.

– Na Papestrasse z nim! – zawołał do swoich ludzi.

Hanussen poczuł, jak łapią go pod pachy i ciągną w stronę drzwi. Nie mógł już dłużej wytrzymać i posikał się ze strachu.

Tego wieczoru wychylałem kufel w towarzystwie Xammara i Felipego Fernandeza Armesta w piwiarni naprzeciwko pensjonatu. Spotkaliśmy się dzień wcześniej w operze Krolla, zaadaptowanej na potrzeby obrad parlamentu po pożarze Reichstagu, i do wszystkich nas dotarło, że mamy już dość obraźliwości. Przez ostatnie miesiące zżyliśmy się niemal jak rodzina i potrzebowaliśmy nielicznych przyjaciół, jakich mieliśmy w Berlinie, zwłaszcza po widowisku, które obejrzelśmy tego popołudnia w budynku dawnego teatru: ostatni akt Republiki Weimarskiej, czyli przyjęcie Ustawy o pełnomocnictwach, na mocy której Adolf Hitler uzyskał władzę absolutną.

Kiedy przybyłem na miejsce, budynek był już otoczony przez oddziały SA, raczej w celu zastraszenia parlamentarzystów innych ugrupowań niż ze względów bezpieczeństwa. Mimo delegalizacji Komunistycznej Partii Niemiec i aresztowania większości jej posłów, naziści nie mogli być pewni przegłosowania ustawy; prowadzili negocjacje z nacjonalistami, a zwłaszcza z partią Centrum, ale wiele głosów pozostawało niepewnych, a potrzebowali większości dwóch trzecich. Wymagano również kworum, więc socjaliści – świadomi, że jeśli nie wejdą na salę posiedzeń, nie uda się go osiągnąć – skupiali się w niewielkich grupkach w westybulu. Przewodniczący parlamentu, grubas Göring, wyciągnął jednak z rękawa nie wiadomo którą już brudną sztuczkę: każdy poseł zostanie uznany za obecnego, nawet jeśli nie znajdzie się na sali, jeżeli nie usprawiedliwi nieobecności. W ten sposób zmuszono socjalistów do wejścia na salę obrad – mieli osobiście doświadczyć porażki.

Jako pierwszy wystąpił Hitler:

– Decyzja rządu o dokonaniu czystki w życiu publicznym gwarantuje stworzenie odpowiednich warunków dla głęboko religijnych obywateli.

Ewidentny ukłon w stronę katolików. Kanclerz sprawiał wrażenie spokojniejszego i bardziej wycofanego niż kiedykolwiek, ledwo dało się go dosłyszeć. Podnosił głos tylko wtedy, gdy wspominał, choć mimochodem, swoich odwiecznych wrogów.

– Nie możemy jednak pozwolić, by przynależność do danego wyznania, rasy czy partii politycznej stanowiła przepustkę do działań godnych potępienia albo popełniania odrażających zbrodni.

Przeciwko wprowadzeniu ustawy jako jedyny odważył się wypowiedzieć lider socjaldemokratów. Kiedy zmierzał na mównicę, członkowie SA weszli na salę obrad i zajęli pozycje w przejściach. Drobnym Otto Wells nie dał się jednak zastraszyć, a jego głos wybrzmiał czysto i ostro:

– Szanowny panie, żadna ustawa nie może przyznać panu prawa do przekreślenia ponadczasowych, niezniszczalnych idei. W wyniku tych prześladowań nasza partia odrodzi się z nowymi siłami. Z tego miejsca chcielibyśmy pozdrowić wszystkich prześladowanych i uciskanych, a także naszych zwolenników na terenie całej Rzeszy. Wasza lojalność i wytrwałość zasługują na najwyższy podziw. Odwaga, z jaką trwacie przy swoich przekonaniach, a także niewyczerpane pokłady zaufania stanowią gwarancję lepszej przyszłości dla nas wszystkich. Panie kanclerzu, może pan odebrać nam życie

i wolność, ale nigdy nie odbierze nam pan honoru.

Ustawa została przyjęta przy czterystu czterdziestu czterech głosach za oraz dziewięćdziesięciu czterech przeciw, ale tamte słowa jeszcze nazajutrz tkwiły nam w głowie. Choć znowu przyjaźniliśmy się z Xammarem i Felipem, nie chcieliśmy rozmawiać o polityce, musieliśmy zapomnieć o tej hańbie dla demokracji, o demonstracji brutalnej siły, zając się innymi sprawami. Kiedy do piwiarni weszła baronowa, dyskutowaliśmy właśnie na temat różnic między paellą katalońską a walencką.

– Zabrali go! – z krzykiem rzuciła mi się na szyję.

Szłochała tak gwałtownie, że nie mogłem zrozumieć, co mówi. W końcu udało jej się opowiedzieć nam o całym zajściu. Poczulem ucisk w gardle. Od czasów afery z „BT” przeczuwałem, że może się stać coś takiego, ale nie chciałem przyjąć tego do wiadomości. Baronowa była zrozpaczona, nie wiedziała, co robić ani do kogo się zwrócić. Zapytałem, czy dzwoniła do Helldorfa – uznałem to za najbardziej oczywiste wyjście mimo jego degradacji; odparła, że w bałaganie po rewizji nie mogła znaleźć notesu z telefonami. Ja miałem jego numer, więc poprosiła, żebym sam zadzwonił, bo sama nigdy mu za bardzo nie ufała. Ja też nie, ale w tej sytuacji nie zamierzałem się kłócić. Wróciliśmy wszyscy do pensjonatu i w recepcji Manuel Olivar wybrał numer.

– Halo?

– Czy mógłbym rozmawiać z hrabią Helldorfem?

Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

– A kto mówi?

– José Ortega, dziennikarz z Hiszpanii, jestem jego znajomym.

– Przykro mi, ale już tu nie mieszka. Przeprowadził się do Poczdamu.

Próbowałem dopytać o nowy numer, ale już się rozłączyli. Byłem pewny, że to jego głos słyszałem w słuchawce, głos samego Helldorfa. Nie miałem cienia wątpliwości. Uznałem to za fatalny znak, ale nic nie powiedziałem, nie chciałem jeszcze bardziej denerwować baronowej.

Jak już wspominałem, ani Xammar, ani Armesto nigdy szczególnie nie cenili mentalisty, ale w imię świeżo odnowionej przyjaźni oraz zwykłej ludzkiej solidarności zaoferowali nam pomoc. Baronowa nie chciała iść na policję – w końcu i oni, i naziści to te same psy, tyle że w innych obrożach – więc postanowiliśmy podzielić zadania: Felipe miał zrobić obchód po dzielnicach półświatka i poszukać dawnych komunistycznych towarzyszy, obecnie członków oddziałów szturmowych SA, którzy mogliby udzielić mu jakichś informacji; tymczasem Eugeni, baronowa i ja zamierzaliśmy udać się do Scali. Może tam coś wiedzą. Umówiliśmy się za dwie godziny w domu Hanussena.

Choć pokaz się jeszcze nie skończył, spotkaliśmy Julesa Marxa, właściciela Scali, opuszczającego teatr. Stwierdził, że musi się czegoś napić, i poprosił, żebyśmy poszli z nim do Der grüne Zweig, baru naprzeciwko, tego samego, w którym mentalista poprosił mnie kiedyś, dawno temu, żebym dla niego pracował.

Marx zamówił kieliszek brandy, po czym wychylił go do dna. Co chwilę ocierał chusteczką spoconą łysinę. Był bardzo podenerwowany. Dzino bardzo oględnie poinformował go przez telefon, co się stało, ale nie interesowały go szczegóły: zabrali

jego przyjaciela i największą atrakcję teatru, fakt pozostawał faktem. Skoro zatrzymano Hanussena, który był w tak dobrych stosunkach z nazistami, to żydowski impresario variétés mógł od razu pakować manatki. Zapytaliśmy, czy zna kogoś, kto mógłby pomóc nam w poszukiwaniach.

– Dzwoniłem do paru osób, ale nikt nic o nim nie wie. – Zanim się obejrzelismy, pił już trzeci koniak. – Rozmawiałem też z Fleischerem, starym kolegą z wojska, który teraz zajmuje wysokie stanowisko w SA. Obiecał popytać na wszystkich posterunkach w Berlinie i oddzwonić, jeśli czegoś się dowie. – Gestem zamówił kolejny kieliszek.

– Wczoraj przyszło tu jakichś dwóch typów, wypytywali o pana Hanussena – powiedział kelner, podając alkohol. – O jego grafik, godziny występów i takie tam. W czarnych płaszczach, wyglądali na policjantów. Nic im nie powiedziałem, pan Hanussen to mój przyjaciel. – Cóż, mentalista zawsze dawał hojne napiwki.

Marx potwierdził, to samo słyszał od portierów w Scali. Możliwe, że kierownictwo SA rozważało aresztowanie go w teatrze, ale postanowili zrobić to dyskretniej, w domu.

– Panowie z Hiszpanii? – zapytał mnie i Xammara. – Jeśli się pojawi, muszą go panowie przekonać, żeby jak najszybciej stąd uciekał, na przykład do waszego kraju. Jeszcze dziś w nocy, jeżeli to możliwe. Aż tak daleko go chyba nie będą gonić. – Impresario znowu otarł pot wielką chustką. – Ładnie tam u was w Hiszpanii? Ja też będę musiał wyjechać. Nigdy nie przepadałem za słońcem, ale w Berlinie robi się teraz goręcej niż na dnie piekła.

W barze zadzwonił telefon: Fleischer, człowiek z SA. Podobno nikt nic nie wiedział o mentaliście. Radził nam wrócić do mieszkania aresztowanego, podobno czasem po przesłuchaniu odwozili ich do domu. Zostawiliśmy Julesa Marxa nad kolejnym kieliszkiem i obiecaliśmy o wszystkim go poinformować. Przed pożegnaniem poprosił nas jeszcze o numery telefonów, na wypadek gdyby musiał zorganizować nagłą podróż do Hiszpanii.

Pod bramą Hanussena czekał już na nas Felipe, który również niczego się nie dowiedział. Razem weszliśmy po schodach do mieszkania. Drzwi były otwarte na oścież, na podłodze wały się papiery i okruchy szkła. Wyrwali nawet lampę wiszącą pod sufitem w przedpokoju. W salonie znaleźliśmy Dzina – siedział na wypatroszonej kanapie z pustym, zagubionym wzrokiem. Nawet nasz widok nie sprawił mu ulgi.

– Wrócił. Ale przed chwilą znowu go zabrali – powiedział.

Choć więzienie przy Papestrasse było oddalone o prawie cztery kilometry od jego mieszkania, a do tego trzęsły mu się nogi, Hanussen postanowił wrócić piechotą. Musiał przewietrzyć głowę, żeby opracować jakiś plan działania, ale zaraz zaczęły go prześladować wspomnienia niedawnych przeżyć: dziesięcioosobowa cela, do której wsadzono pięćdziesięciu–sześćdziesięciu osobników ze wszystkich klas społecznych i w najróżniejszym stanie; krew i odchody na wysypanej trocinami podłodze; strażnicy sami wyglądający jak zbiry. Spędził w zamknięciu zaledwie trzy kwadranse, ale ciągnęły mu się jak dni. A potem bicie. Zaprowadzili go do pokoju przesłuchań, ciasnej klitki, nie skatowali, ale wystarczyło kilka policzków, żeby go przerazić. Wielokrotnie w życiu pakował się w jakieś kłopoty, ale już od wielu lat nikt go nie uderzył, od czasów tamtej młodzieńczej bójki. Wtedy wydawało mu się to nawet zabawne. Teraz, w jego wieku i przy jego pozycji społecznej, ciosy nadeszły nieoczekiwanie, zaskoczyły go i upokorzyły. Jakby obudził się ze snu o sławie i bogactwie i odkrył, że znów jest Herschmannem, żydowskim obwiesiem, który musi kraść, żeby nie umrzeć z głodu. Zauważył, że ludzie dziwnie na niego patrzą, zataczał się ulicą jak pijany. Lepiej złapać taksówkę.

– Nie mam pieniędzy. Może pan zawieźć mnie na Lietzenburgerstrasse 16? Zapłacę na miejscu.

Taksówkarz odwrócił się i spojrzął na niego.

– Jak rany! To przecież sam Erik Jan Hanussen! – zawołał z szerokim uśmiechem, w którym brakowało kilku zębów. – Pan się nie martwi, kurs będzie na koszt firmy. To zaszczyt pana wieść! A to ci historia, żona mi nie uwierzy!

Serce nieco się uspokoiło, krew zaczęła znów krążyć w żyłach. Nadal żył i nadal był kimś, gwiazdą, ludzie go rozpoznawali. Spotkanie z wielbicielem dodało mu sił, a wchodząc do bramy domu, czuł się już znacznie lepiej. Nie wszystko przepadło, na własnych nogach wyszedł z aresztu, zostało mu nazwisko i sporo pieniędzy w skrytce bankowej. Przede wszystkim musiał się przebrać, nie da się myśleć w zasikanych spodniach i z więziennymi pluskwami we wszystkich zakamarkach ciała. Dzino, zaskoczony powrotem szefa, przygotował mu kąpiel i jeden z nowych garniturów. Kiedy już się umyje, będzie musiał działać szybko: przede wszystkim znaleźć dobrego adwokata, najlepszego. Ten, z którego usług korzystał do tej pory, nadawał się do tych głupich procesików, ale teraz sytuacja wymagała zatrudnienia osoby pozostającej w świetnych stosunkach z nazistami. To jakaś pomyłka, dzięki odpowiednim znajomościom na pewno uda się ją wyjaśnić. Słyszał kiedyś o wziętym adwokacie, wspólniku Hansa Franka, doradcy prawnego Hitlera. Kto może go znać? Mózg pracował mu na najwyższych obrotach. Przypomniało mu się, jak Fritzi wspomniała kiedyś, że grywa w tenisa z żoną adwokata, więc wykręcił numer byłej.

– Erik? Jest jedenasta wieczorem! Nie wszyscy prowadzą nocny tryb życia, pobudzisz psy. A właśnie, kiedy przyjdiesz je odebrać? W tym tygodniu twoja kolej. – Jakby miał w ostatnich dniach czas na myślenie o głupich kundlach.

– O tym później. Wpadłem w poważne tarapaty. Jak się nazywał tamten adwokat, znajomy Hitlera, o którym mi mówiłaś?

– Ty i te twoje afery. Co się stało tym razem? Złapali cię in flagranti z żoną jakiegoś ministra?

– Nie, to naprawdę ważne. Dziś po południu mnie aresztowali.

– Co? Naprawdę? Aresztowali? Boże...!

– Fritzi? Fritzi! Fritzi! – Mentalista raz po raz naciskał widełki telefonu, ale bez skutku. Połączenie zostało przerwane. Poczł dreszcz, najeżyły mu się włoski na karku. Usłyszał kroki w przedpokoju i odwrócił się, żeby widzieć drzwi do salonu.

– Puk, puk, dobry wieczór! Przepraszam, że tak niezapowiedzianie, ale to nie jest wizyta towarzyska. – Blizna rozciągała usta Ohsta w złowrogim grymasie. W innych okolicznościach fakt, że to on stał na czele oddziału, można by uznać za dobry omen. Jednak po awanturze w „Berliner Tageblatt” mogło chodzić tylko o jedno. Hanussen wstał i otrzepał garnitur. Wiedział, że przypomnienie o starych czasach, o wspólnych przygodach, o pomocy, jakiej udzielał Ohstowi w ciężkich chwilach, to strata czasu. Sięgnął po papierosa i zapalił.

– Słucham szanownych panów – powiedział pewnym głosem.

– Ładny dziś wieczór – stwierdził Ohst. – Idealny na spacer, nie uważa pan?

Kostka cukru rozpuszczała się szybko w kieliszku szampana. Choć Führer nie pijał alkoholu, wiele lat temu widziano go z takim trunkiem w jakimś mieszczkańskim domu, a dzisiejszego wieczoru Goebbels nabrał ochoty na spróbowanie mieszanki. W ciągu ostatnich dni wiele się działo, wreszcie miał okazję odsapnąć, wyciągnąć się na szezlongu w salonie i o niczym nie myśleć. Był tak zmęczony, że najchętniej zamknąłby oczy i otworzył je już w łóżku, w piżamie. Jak za sprawą magii. Może powinienem zadzwonić do Hanussena i poprosić o taką sztuczkę, pomyślał z ironicznym uśmiechem. Hanussen. Jeszcze kilka dni temu dźwięk tego nazwiska doprowadzał go do szału, a teraz brzmiało jak dobry żart. Dzięki władzy wszystkie problemy, zwłaszcza te niewielkie, ale irytujące, rozpuszczały się niczym ta bryłka cukru. *Auf wiedersehen*, Hanussen. Po tylu miesiącach knucia, jak by się go pozbyć, magik sam mu się podłożył. Próbował kupić „Berliner Tageblatt”, co za poroniony pomysł. Ci Żydzi nie znają umiaru, zawsze dadzą się skusić łatwemu zarobkowi. Kiedy tylko Goebbels dowiedział się o interesie, wystarczyło wysłać Ohsta, jednego z jego chłopców z SA, do „Berliner Tageblatt”, żeby na własne oczy przekonał się, jakie zagrożenie stanowi ten jasnowidz. Kiedy pogróżki mentalisty o wywleczeniu brudów dotarły już do odpowiednich uszu, nawet nie musiał prosić tłustego Göringa o pomoc; to on zażądał głowy magika, kolejny dowód, że sam miał z nim niewyrównane rachunki. Nie było innego wyjścia, musiał poświęcić Helldorfa, jednego z najwierniejszych, ale on sam sobie nawarzył tego piwa, zadając się z takimi typami. Dobrze mu robi parę lat na uboczu, potem ściągnie się go z powrotem do Berlina. Zerknął na zegarek. Jednego Żyda mniej. O tej porze problem powinien już być rozwiązany. Bez sędziów, bez prasy, bez biurokracji – tak jak mogli już teraz, na szczęście, działać w nowych Niemczech. Toast za władzę. Pociągnął łyk i natychmiast z obrzydzeniem odstawił kieliszek. Co za paskudny wynalazek. Führer to geniusz, ale

jego gust kulinarny pozostawia wiele do życzenia. Wezwał lokaja i poprosił o szklankę wody, żeby pozbyć się z ust wstrętnego, słodkawego posmaku.

Zatrzymali się na poboczu mało uczęszczanej drogi. Przejechali jakieś dwadzieścia kilometrów i przez cały czas Hanussen próbował się modlić, ale uświadomił sobie, że tylko dodatkowo go to stresuje. Po tylu przygodach ma go spotkać taki koniec? Czterdzieści trzy lata, a widział pustynie i drapacze chmur, oklaskiwali go królowie, kochały najcudowniejsze kobiety, niemal zginął na wojnie i w katastrofie statku, jego imię tysiące razy pojawiało się w gazetach. Jakie to wszystko ma znaczenie w obliczu śmierci, tej czarnej dziury bez dna, do której lada chwila miał wpaść? Zrobiło mu się jeszcze zimniej. „Rasputin Hitlera”, tak nazywano go w dziennikach komunistów. Może przynajmniej tak zostanie zapamiętany. Tyle że Rasputina zamordował przynajmniej kuzyn cara podczas proszonej herbatki, a nie oprychy w śmierzących brunatnych mundurach. Co za bzdura, przecież to żadna różnica, w jaki sposób zginie. Kiedy kazali mu wysiąść z samochodu, na chwilę opadł z sił. W głowie pojawił mu się obraz jego córki Eriki. Przynajmniej ona o nim nie zapomni.

– No, dalej, idź – powiedział Ohst i szturchnął go lekko.

Do tego momentu trzymał się jeszcze podświadomej nadziei, że zdarzy się jakiś cud i coś go uratuje. Myśl, że życie będzie się dalej toczyć bez niego, że nazajutrz ludzie jak zwykle wstaną i pójdą do pracy, do kina czy będą bawić dzieci, podczas gdy jego ciało będzie już zimne i sztywne, uderzyła go jak obuchem. To jakiś absurd, głupi żart losu, inni przetrwają, ale jego pociąg dojechał do stacji końcowej. Krok, potem drugi. Spodziewał się, że nogi odmówią mu posłuszeństwa, ale działały całkiem sprawnie. Ale mu się chce zapalić. W drodze próbował wymyślić błyskotliwe ostatnie słowa, które w przyszłości zaciągną na sumieniu jego katów. Albo przynajmniej błyskotliwe. Myślał o czymś w rodzaju: „Nieszczęśni, nigdy się nie dowiecie, którego z tych dwóch zabiliście: Erika czy Herschmanna!”. Hanussen i Steinschneider. Te dwie strony monety nigdy do siebie nie pasowały, Żyd z Ottakringu i jasnowidz zarabiający miliony. Tak naprawdę on sam już nie wiedział, kim jest. Za kilka chwil pozbędzie się wszelkich wątpliwości. Zaczął kroczyć w ciemność. Przecież noc to w zasadzie tylko dekoracja, scena, na której już za chwilę zaprezentuje nową i niezwykle niebezpieczną sztukę – oczami wyobraźni widział napięte w oczekiwaniu twarze widzów.

– Takiego zakończenia nie przewidziałeś, co, Żydzie? Magik za dychę. – Co za prostactwo! Nie mógł wymyślić bardziej oryginalnego pożegnania? Usłyszał śmiech Ohsta i dźwięk odbezpieczanej broni. Spojrzał w niebo: noc była ciepła, a gwiazdy świeciły jasno. Wiosna Führera.

Próbowałem nie patrzeć na jego twarz, rozszarpaną przez dwie kule wystrzelone w kark, a potem podgryzaną przez robaki w ciągu dwóch tygodni, gdy zwłoki leżały w lesie. Nagie ciało leżące na stole w kostnicy wydawało mi się mniejsze, niż zapamiętałem. Na początku wzrok odruchowo wędrował do śladu po trzecim pocisku, na środku piersi, niczym wypalony w skórze szkaplerz. Nogi miał całe podrapane, a paznokcie u stóp zapuszczone. Poznałem go po szczupłych dłoniach o długich palcach poźółkłych od nikotyny.

– To on? – zapytał komisarz.

Potwierdziłem. Zakręciło mi się w głowie, musiałem się oprzeć. Niechcący padło na kolano nieboszczyka; z trudem stłumiłem wrzask. To jak ostatni makabryczny żart mentalisty.

– Może pan zidentyfikować również jego ubrania i przedmioty osobiste? – zapytał policjant z niewzruszonym wyrazem twarzy. Garnitur był przesiąknięty krwią i ziemią, dali mi ołówek, za pomocą którego udało mi się go rozłożyć. Zajrzałem do wewnętrznej kieszeni marynarki i znalazłem to, co policja widziała już wcześniej: metkę z nazwiskiem krawca Hoffmana i wszywkę „Erik Jan Hanussen”. Data uszycia: 20 lutego 1933 roku. Przynajmniej zginął w świeżo kupionym garniturze, tak jak na pewno chciał.

– To nie był napad rabunkowy. Oprócz zegarka nie zginęło nic wartościowego – stwierdził komisarz. – Zna pan kogoś zaufanego, komu moglibyśmy przekazać jego rzeczy?

Nie, nie znałem nikogo, kto mógłby ich zainteresować. Nazajutrz po zniknięciu mentalisty Dzino wsiadł z żoną do niebieskiego cadillaca i z tego, co mi mówili, pojechał prosto do granicy z Austrią, nie zatrzymując się po drodze. Biorąc pod uwagę okoliczności oraz informacje, jakimi dysponował, to najlepsze, co mógł zrobić. Baronowa myślała chyba podobnie. Tamtej nocy, gdy zabrali Hanussena, wróciła ze mną do pensjonatu. Trzęsa się tak gwałtownie, że musiała położyć się do łóżka w ubraniu, z płaszczem z nerek włącznie. Kiedy ją objąłem, próbując uspokoić, miałem wrażenie, że kości trzeszczą jej od drgawek. Było mi jej potwornie żal, a zarazem sądzę, że nigdy nie nienawidziłem jej tak mocno jak w tamtej chwili. Wiedziałem z całą pewnością, że za mną nigdy tak rzewnie by nie płakała. Tuż przed świtem przestała się trząść; rozebrała się i podpełzła do mnie w łóżku. Kochała się ze mną z rozpaczliwym zapałem, który przypominał mi nasze pierwsze, potajemne schadzki, ale to była smutna miłość; złośliwy duszek był bardziej wyczuwalny niż kiedykolwiek, unosił się niewidoczny w którymś kącie pokoju, obserwował nas z ironicznym grymasem. Kiedy się obudziłem, jej już nie było. Na krześle, na którym wcześniej leżały jej ubrania, znalazłem tylko futro z nerek i list.

Mein Lieber Pepe:

Jakże pięknie jest śnić! W marzeniach nie ma żadnych przeszkód, żadnych ograniczeń, możemy robić, co nam się żywnie podoba, nie zważając na konsekwencje.

Niestety, rzeczywistość jest zupełnie inna, niesprawiedliwa i bezlitosna. Marzyliśmy, żeby razem zniknąć, zapomnieć, kim jesteśmy, i zacząć nowe życie, z dala od tego wszystkiego, ale w głębi naszych serc wiedzieliśmy, że będzie to bardzo trudne. W świetle ostatnich wydarzeń stało się wręcz niemożliwe. Po tym, co zaszło, muszę działać szybko, nie zostawić po sobie żadnego śladu, a mogę to zrobić tylko sama. Kiedy przekonasz się, że zniknęła zawartość skrytek bankowych mistrza, uznasz mnie pewnie za chciwą zdzirę, która myśli tylko o pieniądzach – i wcale Cię nie winię. Ale nie zapominaj, że mam syna: użyję wszystkich dostępnych środków, żeby zapewnić mu komfort życia, na jaki zasługuje.

W Berlinie mojemu życiu zagraża wielkie niebezpieczeństwo, byłam zbyt blisko mistrza i zbyt wiele widziałam. Tamtej nocy w zeszłym miesiącu, kiedy zadzwoniłeś i poszliśmy na kawę – pamiętasz, jaka byłam przerażona? Nie chodziło tylko o zmianę w zachowaniu Erika, przeczuwałam też, co planuje. Coś strasznego, co wywróciło wszystko do góry nogami. Wspomnę Ci tylko o jednym nazwisku, żebyś zrozumiał, co mam na myśli: Lubbe. Teraz powinieneś zrozumieć, że prędzej czy później będą chcieli pozbyć się kolejnych niewygodnych świadków, więc nie mam innego wyjścia, muszę zniknąć, zanim mnie znajdą. Nie chowaj do mnie urazy, Kochanie, ale nie próbuj mnie też szukać. Będę śniła, że kiedyś się jeszcze spotkamy, w innym, prostszym życiu.

Alles liebe, przesyłam Ci całą swoją miłość wraz z pocałunkiem na pożegnanie.

Marinus van der Lubbe. Podpalacz Reichstagu, jedyny zatrzymany na miejscu zdarzenia? Próbowала mi przekazać, że komunista z Holandii działał pod wpływem mentalisty? To wyjaśniałoby, dlaczego Hanussenowi udało się z taką pewnością przepowiedzieć pożar na dzień przed wybuchem. Przypomniały mi się występy Erika, który potrafił przemienić starca w pięcioletniego chłopca albo wmówić bankierowi, że ten jest zabawnym kotkiem. Albo sprawić, że kobieta osiągała przyjemność z wyimaginowanym kochankiem. Jednak co innego pozbawić kogoś zahamowań, a zupełnie co innego skłonić do dokonania zamachu. Z drugiej strony wszystkie kawałki układanki do siebie pasowały: Heldorf i Hanussen znajdują idiotę, działacza organizacji komunistycznych, w jakiejś berlińskiej spelunie, hipnotyzują go i skłaniają do czynu, z którego znaczenia nie zdawał sobie nawet sprawy – dostarczył bowiem nazistom idealnego pretekstu do wykończenia opozycji i przejścia władzy absolutnej. Tak więc nie tylko pożyczki i kompromitujące dokumenty uczyniły mentalistę kłopotliwym. Ale skąd mam wiedzieć, czy to nie kolejna fantazja baronowej? Albo po prostu pretekst, żeby mnie zostawić i uciec z pieniędzmi?

PS Zostawiam Ci swoje futro z norek. Sprzedaj je, powinieneś dostać niezłą sumkę, i wracaj do Hiszpanii. Przyjmij moją radę. Ty także byłeś blisko z mistrzem, a oni nie będą się zastanawiać ani sprawdzać, czy wiesz dużo czy mało.

Futro z norek. Poczułem się jak tancerka z kabaretu porzucona przez kochanka. Jak mogłem pomyśleć, że kiedykolwiek będę dla tej kobiety kimś więcej?

– Proszę, łańcuszek, który miał na szyi, i portfel – powiedział komisarz, nadal z drewnianą twarzą. – Jak pan widzi, w środku jest trzydzieści marek. Mówiłem, że to nie

był rabunek.

Trzydzieści marek. Trzydzieści srebrników. Naziści najwyraźniej lubili dbać o szczegóły.

Cztery dni później pochowaliśmy Erika na cmentarzu w Stahnsdorfie. Katolicki pochówek dla Żyda, siedmiu żałobników na pogrzebie człowieka, który żył w otoczeniu tłumów. Dziennikarze zbyli wiadomość o śmierci mentalisty kilkoma linijkami w kronice kryminalnej: Hanussen miał powiązania z półświatkiem, dwadzieścia trzy razy pozywano go o oszustwo, romansował z wieloma kobietami, w większości mężatkami. Niewątpliwie chodziło o wyrównanie rachunków, zemstę dokonaną przez zawodowców, którzy nie zostawili żadnych śladów.

SA zależało na dyskretnym pochówku, ale udało mi się namówić księdza, który przed niespełna dwoma miesiącami udzielił mu chrztu, żeby wygłosił neutralną mowę pogrzebową, typową w takich przypadkach: „Nie znałem zmarłego zbyt dobrze, ale sprawiał wrażenie porządnego człowieka, a dla takich zawsze znajdzie się miejsce w niebie”. Sądzę, że niezbyt przypadłoby mu do gustu takie kazanie, miał przecież wielką słabość do hiperboli. Raczej nie zadowoliliby go także nagrobek – zwykły niewygładzony kamień, na którym umieszczono wyłącznie jego imię i nazwisko. Bez dat urodzenia ani śmierci, bez wzmianki o tym, kim był i czego dokonał. Chociaż, z drugiej strony, uznałby zapewne, że wielkiemu artyście wystarczy nazwisko. A przynajmniej to, które sam sobie wybrał: Erik Jan Hanussen.

Wkrótce, zgodnie z radą baronowej, sprzedałem futro i wróciłem do Hiszpanii. Chętnie dokonałbym ostatniego heroicznego aktu, tak jak mój przyjaciel Felipe Fernández Armesto, który jakiś czas później podczas konferencji prasowej zapytał Goebbelsa o kilku komunistów znalezionych martwych w Kilonii. Mógłbym publicznie zaatakować tę kanalię: „Mieli panowie coś wspólnego ze śmiercią znanego mentalisty Hanussena? Czy to zabójstwo ma jakiś związek z pożarem Reichstagu?”. Zabrakło mi jednak zarówno okazji, jak i odwagi. W późniejszym procesie, przeprowadzonym jesienią 1933 roku, nie udało się wyjaśnić okoliczności podpalenia. Marinus van der Lubbe, z nisko opuszczoną głową, mamrotał tylko coś niewyraźnie podczas ciągnących się kilka miesięcy rozpraw, nie potrafił skłecić zdania ani powiedzieć nic, co mogłoby uratować go przed gilotyną, która spadła na jego szyję parę miesięcy później. Jak można zobaczyć na zdjęciach z ówczesnych kronik filmowych, tylko raz się wyprostował, jakby jakaś niewidzialna ręka postawiła go do pionu: kiedy Helldorf, świadek oskarżenia, kazał mu stanąć na baczność. Nie odrywając od niego wzroku, Lubbe oświadczył głośno i wyraźnie, że nigdy wcześniej nie widział hrabiego na oczy. Zeznania Helldorfa coś jednak udowodniły: to, jak mały jest świat. Jak twierdził, kiedy poinformowano go o pożarze, siedział w piwiarni Ratskeller przy Rankestrasse, dokładnie naprzeciwko Pensi6n Latina, tej samej, w której dokładnie o tej porze jedliśmy kolację z Felipem i Xammarem. Mogę przysiąc, że hrabiego tam nie było, zauważylibyśmy go. Dlaczego więc kłamał? Pilnował podpalacza w Reichstagu? Osobiście zawi6zł tam Lubbego? To tylko domysły, pewnie nigdy się nie dowiemy, co się wtedy stało, czy Erik rzeczywiście zahipnotyzował Holendra, czy wsp6lnie z nazistami zorganizował pożar, czy jako nieświadomy uczestnik przyłożył rękę do spustoszenia, jakie zasiał potem Hitler, czy Hanussen dysponował jakimikolwiek

mocami, czy był oszustem.

Jak przystało na wytrawnego hazardzistę, Erik zawsze obstawiał wysoko, wszystko albo nic, *va banque*. Nie potrzebował asów w rękawie: jeśli karta mu nie szła, zaczynał blefować i tak czy inaczej wygrywał. Tak często mu się udawało, że dlaczego nie miałby zrobić tego jeszcze raz? Traktował wszystko jak zabawę, grę, w której nie istniały prawda ani kłamstwo. Dopóki bogini Fortuna, która wcześniej zawsze miała go w opiece, nie spuściła go z oka, a wtedy runął domek z kart. Nie przewidział własnego końca, ale jego śmierć sama w sobie stanowiła proroctwo, początek długiej listy ofiar, zapowiedź tego, co miało nadejść. Wkrótce podążyły za nim miliony, w obozach koncentracyjnych, na polach bitew – nieprzebrane morze trupów. A jednak, kiedy wspominam jego tubalny śmiech, pokryte brylantyną włosy i pożółkły od nikotyny uśmiech, tylko jedno pytanie nie daje mi spokoju: czy ten stary pirat naprawdę mnie szanował, uważał za przyjaciela, czy byłem tylko jednym z pionków na jego planszy. Obawiam się, że jak to zwykle z Erikiem, będę musiał spróbować to sobie wywróżyć.

Posłowie autora

Kiedy kończymy czytać książkę, często chcielibyśmy się dowiedzieć, jak potoczyły się losy tej czy innej postaci. W przypadku fikcji musimy uruchomić wyobraźnię, ale powieść historyczna umożliwia nam zaspokojenie ciekawości, zwłaszcza jeśli – tak jak w tym przypadku – praktycznie wszystkie postaci występujące na jej kartach naprawdę mieszkały wówczas w Berlinie. Pomijam najważniejsze postaci historyczne, takie jak Hitler, Goebbels czy Göring, gdyż ich dalsze losy są powszechnie znane.

Znajomi Pepe Ortegi

— Eugeni Xammar. Mimo represji ze strony nazistowskich władz uprawiał dziennikarstwo w Berlinie aż do wybuchu hiszpańskiej wojny domowej w 1936 roku. Wtedy uciekł do Paryża, gdzie pracował jako attaché prasowy ambasady republiki. Wojnę spędził w Perpignan, a po jej zakończeniu odrzucał propozycje pisania do gazet w ramach protestu przeciwko frankizmowi. W roku 1950 zatrudnił się jako tłumacz dla ONZ i już do końca życia pracował w tym charakterze dla tej i innych organizacji międzynarodowych. Zmarł w 1973 roku w swoim domu w L’Ametlla del Vallès.

— Felipe Fernández Armesto vel Augusto Assía. Po wygnaniu z Niemiec przez Goebbelsa trafił do Anglii jako korespondent „La Vanguardia”. Niedługo potem odżegnał się od komunizmu, a w 1936 roku wrócił do Hiszpanii i dołączył do biura prasowego rządu Francisca Franco. W 1939 roku wrócił do Londynu i jako jedyny hiszpański korespondent spędził całą drugą wojnę światową w brytyjskiej stolicy. Relacjonował procesy norymberskie, a w latach pięćdziesiątych został wysłany do Stanów Zjednoczonych. W roku 1986 przestał pisać dla „La Vanguardia” po pięćdziesięciu ośmiu latach współpracy. Zmarł w roku 2002. Mimo różnic w poglądach pozostawał w przyjaznych stosunkach z Eugenim Xammarem aż do jego śmierci.

— Bella Fromm. Mimo żydowskiego pochodzenia nadal publikowała w niemieckiej prasie, choć zabroniono jej podpisywać artykuły własnym nazwiskiem. Żeby nieco podreperować coraz skromniejszy budżet, zajęła się handlem winem, jednak musiała zrezygnować w 1938 roku, kiedy zakazano Żydom pracy w tej branży. Wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, gdzie zarabiała na życie jako sprzątaczką i sekretarką, dopóki nie opublikowała swoich wspomnień w książce *Krew i bankiety*, która odniosła spory sukces. W 1958 roku uhonorowano ją Orderem Zasługi Republiki Federalnej Niemiec. Zmarła w 1972 roku w Nowym Jorku.

— Manuel Olivar. Pensión Latina pozostał miejscem spotkań Hiszpanów w Berlinie do końca lat trzydziestych. Zatrzymywały się tam takie osobistości jak piosenkarka Imperio Argentina, pisarz Rafael Alberti, Onésimo Redondo czy José Antonio Primo de Rivera (politycy Falangi Hiszpańskiej) podczas pierwszej wizyty w Niemczech w roku 1934. Budynek przy Rankestrasse został zbombardowany w czasie wojny, pensjonat zamknięto, a po Manuelu i jego żonie ślad zaginął.

Znajomi Hanussena

— Baronowa. Identyfikowana jako Barbara van Swieten, Verena von Prawnitz albo

Sybille Pongratz. Po śmierci Hanussena baronowa zniknęła bez śladu. Niektóre źródła utrzymują, że prowadziła restaurację francuską w Nowym Jorku.

— Hrabia Helldorf. Po kilku latach spędzonych w Poczdamie w ramach kary za przyjaźń z Hanussenem, w roku 1935 ponownie mianowano go szefem berlińskiej policji na polecenie Josepha Goebbelsa. Wykorzystywał swoje stanowisko do wzbogacania się kosztem zamożnych Żydów, od których żądał pieniędzy w zamian za pozwolenia na wyjazd z Niemiec. Podczas wojny nadal sprawował urząd, ale po pierwszych porażkach nazistów zaczął wątpić w zdolność Hitlera do wygrania wojny. Wziął udział w spisku zorganizowanym przez Stauffenberga i 20 lipca 1944 roku pozwolił zbuntowanym oddziałom wyjść na ulice Berlina. Po porażce zamachu został aresztowany, poddany torturom i skazany. 15 sierpnia 1944 powieszono go na haku rzeźniczym w więzieniu Plötzensee, a Hitler zażądał nagrania filmu z egzekucji. Po dziś dzień niektórzy uważają go za bohatera antynazistowskiego ruchu oporu.

— Dżino Ismet. Po ucieczce z Berlina osiedlił się z żoną, Grace Cameron, w Wiedniu, gdzie urodził im się syn. Przez kilka lat pracował jako krupier. 27 sierpnia 1937 roku całą trójkę znalezioną martwą w mieszkaniu; jak twierdzą niektórzy świadkowie – pod wielkim żyrandolem, tak jak przewidział Hanussen. Dżino podobno zabił żonę i dziecko, a potem się zastrzelił. Wiele osób utrzymuje jednak, że dysponował kompromitującymi dokumentami zabranymi z sejfu mentalisty i rozważał ich publikację, więc naziści postanowili załatwić sprawę do końca.

— La Jana. Została gwiazdą filmów muzycznych, podobno miała romans z Josephem Goebbelsem, najwyższym zwierzchnikiem przemysłu filmowego. Po wybuchu drugiej wojny światowej często występowała dla żołnierzy. Zmarła na zapalenie płuc w roku 1940.

— Peter Lorre. Wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i zasłynął rolami czarnych charakterów. Nie chciał mówić o swojej znajomości z Hanussenem. Zmarł w 1964 roku, a mowę na jego pogrzebie wygłosił znany aktor Vincent Price.

— Conrad Veidt. Również wyjechał do Hollywoodu, ale zaszkladkowano go jako odtwórcę roli nazistów. Pojawił się na ekranie w towarzystwie swojego przyjaciela Petera Lorrego w *Casablance*, gdzie zagrał okrutnego majora Strassera. Zmarł w 1943 roku, niedługo po premierze filmu.

— Maria Paudler. Jako aktorka jeszcze przez długie lata cieszyła się sławą. W 1982 roku otrzymała nagrodę Niemieckiej Akademii Filmowej za całokształt twórczości. W roku 1971 opublikowała pamiętniki, w których ze szczegółami opisuje sesję hipnotyczną z Hanussenem.

— Erika Hanussen. Mieszkała w Merano z matką, kierowniczką hotelu, aż do ślubu z baronem Winspeare'em w 1943 roku. Po wojnie została aktorką, występowała w rolach drugoplanowych w filmach z Giną Lollobrigidą i Johnem Wayne'em.

Wrogowie Hanussena

— Wilhelm Ohst. W roku 1934 został aresztowany pod zarzutem czerpania zysków z nacjonalizacji grupy Mosse. Uniewinniono go, ale po nocy długich noży ponownie zatrzymano i wyrzucono z szeregów SA. W roku 1935 został redaktorem wydawnictwa

Deutsche Kohlenzeitung. Zniknął po porażce Niemiec w drugiej wojnie światowej. W roku 1960 prokurator generalny Berlina zamierzał oskarżyć go o zabójstwo Erika Jana Hanussena, ale nie udało się ustalić miejsca pobytu Ohsta.

— Bruno Frei. Wyemigrował do Czechosłowacji, a stamtąd do Francji, gdzie zaskoczyła go wojna. Trafił do obozu dla internowanych, z którego udało mu się wyjść dzięki pomocy konsula Meksyku – wyjechał do tego kraju i mieszkał tam przez kilka lat. W 1966 roku, na znak sprzeciwu wobec reakcji Związku Radzieckiego na wojnę sześciodniową, wystąpił z partii komunistycznej. W ostatnich latach życia opublikował liczne artykuły, w których kwestionował słuszność swoich ataków na Hanussena i zastanawiał się, czy nie przyczyniły się one do pogłębienia antysemityzmu nazistów.

— Willi Münzenberg. Po pożarze Reichstagu zorganizował alternatywny proces w Londynie, w którym za winnych podpalenia uznano nazistów. Potem zajął się działalnością propagandową – a podobno także szpiegowską – na terenie całej Europy. W 1936 roku sprzeciwił się poleceniu Stalina, nakazującemu przeprowadzenie czystki w Komunistycznej Partii Niemiec (KPD), i odmówił przyjazdu do Moskwy, gdzie wezwano go, aby „przedyskutować” jego postawę – decyzja ta prawdopodobnie uratowała mu życie. Münzenberg został uznany za zdrajcę i wykluczony z KPD, a wkrótce zaczął walczyć ze stalinizmem. Po zajęciu Paryża kolaboranci aresztowali go i wysłali do obozu dla internowanych. Znajomy, prawdopodobnie tajny agent, zaproponował mu ucieczkę. Münzenberg przystał na pomysł i kilka dni później znaleziono go powieszzonego w lesie. W końcu dosięgła go długa ręka Stalina.

— Erich Juhn. Wyemigrował najpierw do Wiednia, a potem do Nowego Jorku, gdzie pracował jako nauczyciel niemieckiego. Zmarł w roku 1973.

— Léo Poldés. Kierował Club de Faubourg do 1939 roku. Po wojnie działał w partii komunistycznej. Zmarł śmiercią naturalną w 1970 roku.

Inne postaci historyczne

— Generał Kurt von Schleicher. Po stracie urzędu kanclerza próbował zbliżyć się do Hitlera, żeby odzyskać przynajmniej stanowisko ministra obrony. Został zamordowany, razem z żoną, podczas nocy długich noży w 1934 roku.

— Franz von Papen. Zmarginalizowany po uzyskaniu przez Hitlera tytułu kanclerza, próbował bezskutecznie doprowadzić do przywrócenia niektórych swobód obywatelskich. Zatrzymano go podczas nocy długich noży, ale wkrótce zwolniono, choć zamordowano jego sekretarza. Został powołany na stanowisko ambasadora w Austrii, a następnie w Turcji. Po drugiej wojnie światowej znalazł się wśród oskarżonych w procesach norymberskich, ale został uniewinniony.

— Gregor Strasser. Mimo konfliktu z Hitlerem 23 czerwca 1934 został uhonorowany Odznaką Złotą Partii NSDAP. Tydzień później zamordowano go podczas nocy długich noży.

— Marinus van der Lubbe. Zgilotynowany w więzieniu w Lipsku 10 stycznia 1934 roku. Miał 25 lat. Nie potrafił wyjaśnić swojego udziału w podpaleniu Reichstagu, a przyczyny pożaru do dziś pozostają niewyjaśnione.

Najważniejsze wydarzenia politycznie w Niemczech od marca 1932 do marca 1933 roku

1932

— Kwiecień, wybory prezydenckie. Hindenburg pokonuje Hitlera w drugiej turze ponad 17 procentami głosów.

— Czerwiec. Hindenburg odwołuje kanclerza Brüninga i mianuje Papena.

— Lipiec. Papen rozwiązuje socjalistyczny rząd Prus i przejmuje władzę nad największym krajem związkowym Niemiec.

— Lipiec, wybory parlamentarne. Naziści zdobywają 37 procent głosów i podwajają liczbę mandatów w stosunku do wyborów z roku 1930. Hindenburg odmawia przekazania władzy Hitlerowi.

— Listopad, kolejne wybory parlamentarne. Naziści tracą dwa miliony głosów. Wzmacnia się opozycja wobec Hitlera wewnątrz partii.

— Grudzień. Hindenburg znowu zmienia kanclerza: Papena zastępuje Schleicher.

1933

— 30 stycznia. Hitler, dzięki układom z Papenem, zostaje kanclerzem. Kilka dni później zwołuje nowe wybory parlamentarne na 5 marca.

— 27 lutego. Pożar Reichstagu. Delegalizacja Komunistycznej Partii Niemiec.

— 5 marca. Naziści zdobywają 44 procent głosów.

— 23 marca. Parlament przyjmuje Ustawę o pełnomocnictwach, na mocy której Hitler uzyskuje władzę absolutną.